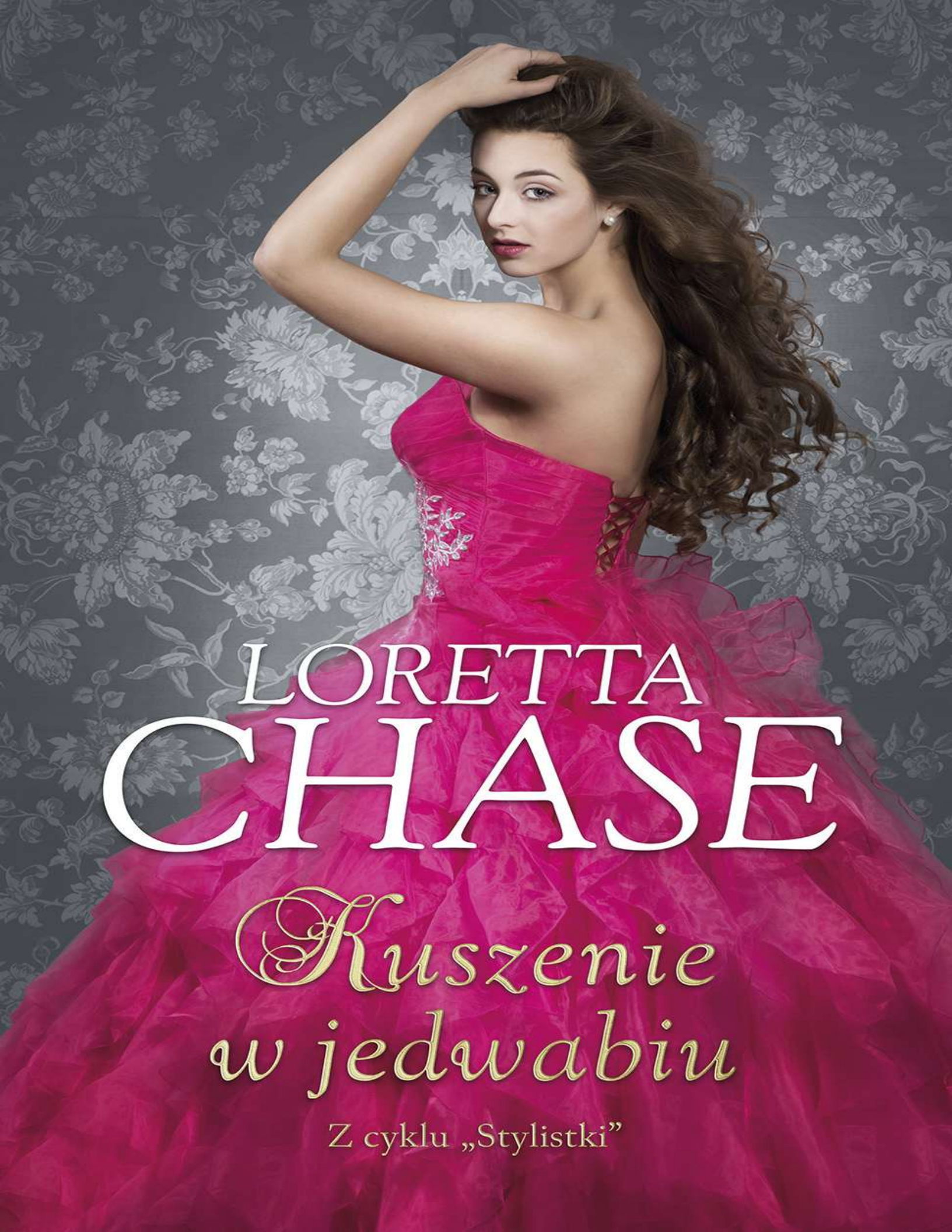

LORETTA
CHASE

Kuszenie w jedwabiu

Z cyklu „Stylistki”

LORETTA
CHASE

Kuszenie w jedwabiu

przełożyła
Ewelina Kowalczyk-Kurzaj

bis
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Silk is for Seduction*

Projekt okładki: Dorothea Bylica

Copyright © 2011 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2017

ISBN 978-83-7551-540-4

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Epilog

Prolog

Latem 1810 roku panna Catherine DeLucey uciekła do Gretna Green z Edwardem Noirotem.

Pan Noirot był przekonany, iż niecnie uprowadził nadobną angielską arystokratkę, a biorąc ją w posiadanie, przede wszystkim pragnął posiąść legendarną fortunę. Ucieczka z Catherine uwolniła go od nudnych i męczących ustaleń pomiędzy rodzicami i prawnikami, zwłaszcza że bynajmniej nie pragnął, by ktokolwiek grzebał w jego przeszłości. Poza tym chciał odświeżyć rodzinną tradycję i wrócić do korzeni. Jego babka i matka pochodziły z Anglii.

Niestety, został bezlitośnie oszukany przez wymarzoną narzeczoną, równie biegłą w czarujących kłamstwach jak on sam. Istotnie, jej rodzina posiadała kiedyś znaczną fortunę. Kiedyś. Należała ona do matki Catherine, którą – zgodnie z rodzinną tradycją – uwiódł i porwał do Szkocji John DeLucey.

Rodzinne bogactwa należały już, jako się rzekło, do przeszłości. Panna DeLucey planowała zabezpieczyć swą przyszłość sposobem praktykowanym przez zubożałe szlachcianki od wieków – usidlając naiwnego szlachcica o pełnych kieszeniach i pożądliwym sercu.

Jednakże i ją oszukano, gdyż Edward Noirot nie miał ani grosza. Z dumą ogłaszał się potomkiem francuskiego księcia, nie wspominał jednakże, że rodowe bogactwa zostały im odebrane, a większość krewnych zginęła w czasie rewolucji.

Dzięki tej komedii pomyłek czarna owca francuskiego rodu potajemnie związała się węzłem małżeńskim z równie czarną owieczką angielską, pochodzącą z familii znanej na Wyspach jako Koszmarni DeLuceyowie.

W tym miejscu Czytelnik spodziewa się zapewne łez, kłótni i wzajemnych oskarżeń. Wszelako nic takiego nie nastąpiło. Będąc rasowymi oszustami, co więcej, szczerze w sobie zakochanymi, nowożeńcy przez kilka dni zaśmiewali się do rozpuku. Wreszcie postanowili

zjednoczyć siły i umiejętności. Zajęli się zawodowym uwodzeniem i ograbianiem wszystkich naiwniaków o czułych sercach, jakich spotkali na swej drodze.

Wybrali długą i zawiłą ścieżkę, zmuszeni uciekać z Anglii do Francji i z powrotem, gdy nad ich głowami zaczynały gęstnieć burzowe chmury.

W trakcie tych eskapad Catherine i Edward dorobili się jednak trzech pięknych córek.

Rozdział 1

Krawcowa damska – pod tą nazwą kryje się
nie tylko sprawny rzemieślnik tworzący odzienie,
lecz takoż stylistka. Stylistce zaś nie może zbraknąć
gustu i smaku, a również sprytnego a bystrego
wychwytywania, kopiowania i ulepszania mnogich
w modzie kierunków, zmieniających się wciąż
i czarujących arystokrację.

Księga zawodów i sztuk użytecznych (1818)

Londyn, marzec 1835 roku

Marcelline, Sophy i Leonie Noirot, właścicielki butiku Maison Noirot na rogu Fleet Street i Chancery Lane, westchnęły niemal niedostrzegalnie, gdy lady Renfrew uraczyła je najświeższą ploteczką.

Ciemnowłosa Marcelline wiązała wstążkę na kształt motyla, by w ostatniej chwili ozdobić nim suknię lady Renfrew. Blondynka Sophy porządkowała szufladę z aplikacjami, wywróconą do góry nogami przez wyjątkowo kapryśną klientkę. Rudowłosa Leonie obrębiała halkę przeznaczoną dla przyjaciółki lady Renfrew – pani Sharp.

Choć wytworna dama wspomniała jedynie o zdumiewającym skandalu, pani Sharp pisnęła przejmująco, potknęła się i przydepnęła dłoń Leonie.

Leonie nie zaklęła na głos, lecz Marcelline widziała, jak jej wargi formują słowo zupełnie nieodpowiednie dla możnych dam. Nieświadoma bólu, jaki zadała krawcowej, pani Sharp zapytała zdławionym szeptem:

– Książę Clevedon wraca?

– Owszem – odparła półgłosem lady Renfrew.

– Do Londynu?

– Jak najbardziej. Wiem to z pewnego źródła.

– Co się stało? Czyżby hrabia Longmore zagroził mu pojedynkiem?

Szanujące się krawcowe szyjące dla dam z wyższych sfer musiały znać szczegóły każdego towarzyskiego skandalu, więc siostry Noirot słuchały z zaciekawieniem. Wiedziały, że Gervaise Angier, siódmy książę Clevedon, był wychowankiem markiza Warforda, ojca hrabiego Longmore'a. Wiedziały, że Longmore i Clevedon byli najlepszymi przyjaciółmi i druhami. A także że książę znał lady Clarę Fairfax, najstarszą z trzech sióstr Longmore'a, od urodzenia. Clevedon uganiał się za nią już w pokojach dziecięcych i nie zauważał żadnych innych dziewcząt ani kobiet, nawet gdy miał ku temu wiele okazji, choćby w czasie trzyletniej podróży po Europie.

Choć para nigdy nie była oficjalnie zaręczona, uznawano to powszechnie za zwykłe niedopatrzenie. Uznawano też, że książę ożeni się z Clarą, gdy tylko powrócą z Longmore'em z podróży. Towarzystwo przeżyło pierwszy wstrząs, gdy Longmore wrócił rok wcześniej, a Clevedon pozostał na Starym Kontynencie.

Najwyraźniej Warfordowie stracili cierpliwość, gdyż dwa tygodnie temu lord Longmore wyruszył do Paryża, by ponaglić przyjaciela do nazbyt długo odwlekanych oświadczyn.

– Słyszałam, że Longmore chciał oćwiczyć księcia szpicrutą, ale nie jestem pewna, czy to prawda – wyznała lady Renfrew. – Tak czy inaczej, lord Longmore ruszył do Paryża i prośbą albo groźbą wymógł na Jego Wysokości obietnicę, że wróci do Londynu przed urodzinami króla.

Choć Jaśnie Oświecony urodził się w sierpniu, w tym roku obchody królewskich urodzin zaplanowano na dwudziestego ósmego maja.

Ponieważ żadna z sióstr Noirot nie zapiszczała, nie potknęła się ani nie uniosła brwi, nawet bardzo uważny obserwator nie domyśliłby się, jak wielką wagę przywiązywały do tej plotki.

Jak gdyby nigdy nic usłużnie zajmowały się kolejnymi klientkami. Wieczorem odesłały szwaczki i o zwykłej godzinie zamknęły butik. Udawszy się do przytulnego mieszkania na piętrze, zjadły lekką kolację. Marcelline opowiedziała swej sześcioletniej córce Lucie Cordelii bajkę na dobranoc i o zwykłej porze położyła ją do łóżka.

Lucie spała już snem niewiniątka – o ile jakiekolwiek dziecko było w stanie zachować niewinność w tej zdegenerowanej rodzinie – gdy siostry bezszelestnie zeszły do pracowni.

Każdego wieczoru mały obdarty ulicznik dostarczał im plotkarskie gazety prosto z drukarni, zanim jeszcze zdążyła wyschnąć na nich farba. Leonie rozłożyła pachnące świeżym drukiem stronice na blacie do krojenia tkanin i wszystkie trzy prędko przebiegały wzrokiem kolumny.

– Tu jest! – syknęła Marcelline.

Ostatniej nocy hrabia L. powrócił z Paryża. Wieść niesie, że pewien krnąbrny książę, obecnie mieszkający we francuskiej stolicy, został dobitnie poinformowany, iż lady C. ma dość biernego oczekiwania… Książę miał wracać do miasta w dniu urodzin króla… zaręczyny ogłoszą w Warford House na balu kończącym sezon… Ślub do końca lata.

Przekazała gazetę Leonie.

Gdy dżentelmen wzdraga się przed podjęciem właściwych kroków, dama powinna uznać ich porozumienie za nieporozumienie. – Leonie parsknęła śmiechem. – *Następnie zaś może się zastanowić, kto powinien zająć miejsce opieszałego adoratora.*

Leonie popchnęła gazetę ku Sophy, która z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Musiałaby być głupia, żeby mu odpuścić – oświadczyła. – To prawdziwy książę, do licha! Jak wielu ich mamy? Młody, przystojny i zdrowy, wiecie, ilu takich znam? Jednego! – Dźgnęła palcem gazetę. – Tylko jego.

– Ciekawe, skąd ten nagły pośpiech – zastanowiła się Marcelline. – Przecież ona ma dopiero dwadzieścia jeden lat.

– I nie ma nic do roboty poza jeżdżeniem do opery, teatru, na bale, przyjęcia i wycieczki – stwierdziła Leonie. – Szlachcianka o wspaniałej urodzie, świetnym nazwisku i niebagatelnym wianie. Miałaby się martwić brakiem adoratorów? Ta dziewczyna…

Nie musiała nawet kończyć zdania. Siostry widziały kilka razy lady Clarę Fairfax. Była olśniewająco piękna, jasnowłosa i błękitnooka, prawdziwa angielska róża. Stały za nią nieskalane nazwisko, wspaniała rodzinna historia i pokaźna fortuna, więc mężczyźni dosłownie ścielili się u jej stóp.

– Już nigdy w życiu nie będzie miała takiej władzy nad mężczyznami – westchnęła Marcelline. – Ja na jej miejscu zaczekałabym do trzydziestki.

– Przypuszczam, że lord Warford nie spodziewał się, że książę wyruszy w tak długą podróż – uznała Sophy.

– Słyszałam, że Clevedon był zawsze bardzo pilnie strzeżony przez opiekuna – szepnęła Leonie. – Zwłaszcza odkąd jego ojciec zapił się na śmierć. Trudno się zatem dziwić, że zwiał.

– A może to lady Clara się zniecierpliwiła? – zasugerowała Sophy. – Przecież nikogo do tej pory nie martwiła podróż Clevedona, nawet gdy Longmore wrócił bez niego.

– Po co te awantury? – podsumowała Marcelline. – Zdaniem całego towarzystwa są już zaręczeni. Zerwanie z lady Clarą oznaczałoby zerwanie z całą rodziną i znajomymi.

– Może na horyzoncie pojawił się jakiś elegant, który nie spodobał się lordowi Warfordowi? – podsunęła Leonie.

– To raczej lady Warford nie podobają się tacy eleganci – sprostowała Sophy. – Nie pozwoli, by książęcy tytuł wymknął się jej z rąk.

– Ciekawe, jakich argumentów użył Longmore. – Leonie uśmiechnęła się pod nosem. – Obaj słyną z dzikich charakterów. Nie mógł przecież zagrozić mu pojedynkiem. Zastrzelenie księcia o świcie byłoby sprzeczne z jego oczekiwaniami. Może zwyczajnie zagroził, że go stłucze do nieprzytomności?

– Bardzo bym chciała to zobaczyć – westchnęła Marcelline.

– Ja też – przytaknęła Sophy.

– I ja – dodała Leonie.

– Dwóch szlachetnie urodzonych przystojniaków w walce na pięści! – Marcelline zachichotała. Clevedon opuścił Londyn kilka tygodni przed ich przeprowadzką z Paryża, nie miały więc jeszcze okazji widzieć go na własne oczy. Słyszały jednak same pochlebne opinie i domyślały się, że jest niezwykle przystojny. – Naprawdę chciałabym to zobaczyć. Jaka szkoda, że nie będzie nam to dane.

– Swoją drogą, książęce wesele nie zdarza się co tydzień – oświadczyła Sophy. – Szczerze mówiąc, przestałam sądzić, że to się wydarzy za naszego życia.

– To będzie wesele roku, jeśli nie całej dekady – rozmarzyła się Leonie. – Suknia ślubna to zaledwie początek. Lady Clara będzie potrzebowała

bielizny i całego kompletu garderoby pasującej do jej nowego tytułu. Wszystko najlepszej jakości. Metry lśniących koronek. Najmiększe jedwabie. Muśliny lekkie jak mgiełka. Wydadzą fortunę!

Przez dłuższą chwilę siostry w milczeniu kontemplowały tę wizję, tak jak mistycy kontemplują wizję Królestwa Niebieskiego.

Marcelline była przekonana, że Leonie przelicza tę fortunę co do pensa. Pod nieokiełznaną burzą rudych włosów krył się precyzyjny umysł księgowej. Uwielbiała pieniądze, zwłaszcza te, które pojawiały się w kolumnach jej ksiąg, kont i raportów. Marcelline z kolei wolałaby czyścić wychodek, niż ślęczeć nad finansami.

Zresztą każda z sióstr miała własne talenty. Najstarsza Marcelline jako jedyna była podobna do ojca i z tego, co wiedziała, tylko ona była jego prawdziwą córką. Z pewnością odziedziczyła po nim wyczucie smaku, żywą wyobraźnię i talent do rysunku. Łączyło ich także upodobanie do pięknych rzeczy, choć dzięki wykształceniu, jakie odebrała w Paryżu, ta pasja przerodziła się w coś głębszego. Z początku nauka krawiectwa na pensji kuzynki Emmy była udręką, której siostry Noirot musiały się poddać, by przetrwać. Z czasem praca ta okazała się najgłębszą miłością Marcelline, niemal całym jej życiem. Była nie tylko projektantką w Maison Noirot, lecz także duszą całego przedsiębiorstwa.

Sophy miała talent aktorski, który z powodzeniem wykorzystywała w butiku. Ten jasnowłosy cherubin w głębi serca był prawdziwym rekinem. Ta dziewczyna sprzedałaby piach Beduinom! Londyńscy bankierzy unikali jej jak ognia, a skąpe matrony dzięki niej kupowały w ich butiku najdroższe kreacje.

– Pomyślcie tylko, jakież to będzie zlecenie! Jaki prestiż! – szepnęła Sophy. – Księżna Clevedon będzie ikoną mody. Wszystkie damy będą nosiły to co ona.

– Będzie ikoną mody, jeśli trafi we właściwe ręce – ucięła sucho Marcelline. – Bo teraz…

Westchnęły jednym głosem.

– Jej gust woła o pomstę do nieba – prychnęła z dezaprobatą Leonie.

– Gust jej matki – odparła z naciskiem Sophy.

– Po prawdzie, to gust krawcowej jej matki – sprostowała Leonie.

– Wrednej Pretensji – wymruczały chórem.

Hortensja Downes, właścicielka prowadzonej z rozmachem pracowni krawieckiej, była jedyną przeszkodą w zawładnięciu modowym rynkiem w Londynie. W butiku panien Noirot pani Downes zyskała godne miano „Pretensji”.

– Gdyby udało nam się ukraść Pretensji lady Clarę, byłby to doprawdy akt miłosierdzia. – Marcelline się uśmiechnęła.

Przez kilka minut marzyły w błogiej ciszy.

Jeśli skradną jedną klientkę, podążą za nią następne.

Wielkie damy ze śmietanki towarzyskiej były jak owce. Można to było wspaniale wykorzystać, gdy wiedziało się, w jakim kierunku pędzi stado. Niestety, jak dotąd Maison Noirot nie miało zbyt wielu klientek z wyższych sfer, gdyż szanująca się dama nie poszłaby do butiku, w którym nie zaopatruje się jej przyjaciółka czy kuzynka. Żadna nie chciała być tą pierwszą.

W ciągu trzech lat od otwarcia butiku udało im się zwabić wiele pań z kręgów lady Renfrew, lecz była ona zaledwie żoną niedawno pasowanego dżentelmena. Reszta klientek również należała do środowiska nowobogackich mieszczan i podupadłej drobnej szlachty. Wielkie damy z towarzystwa wciąż zaopatrywały się u Pretensji.

I choć suknie sióstr Noirot odznaczały się lepszą jakością, podążały za zmieniającymi się trendami w modzie i były zwyczajnie piękniejsze niż kreacje konkurencji, wciąż brakowało im klientek z najwyższych sfer.

– Całe dziesięć miesięcy odzierałyśmy lady Renfrew z łachmanów od Pretensji – gorzko stwierdziła Sophy.

W zasadzie udało im się wyłącznie przez przypadek. Lady Renfrew usłyszała, jak jedna ze szwaczek Pretensji stwierdziła, że gorset jej najstarszej córki wymagał wielu poprawek, gdyż miała zdumiewająco niesymetryczne piersi.

Urażona do głębi lady Renfrew odwołała pokaźne zamówienie, trzasnęła drzwiami i przyszła prosto do Maison Noirot, polecanego jej przez lady Sharp.

W czasie przymiarek Sophy pocieszała szlochającą dziewczynę i tłumaczyła jej, że żadna kobieta na świecie nie ma symetrycznych piersi. Oświadczyła także lady Renfrew, że ma ona skórę gładką jak atłas i wszystkie damy będą jej zazdrościć, gdy wystąpi w głębokim dekolcie. Zanim siostry Noirot skończyły kompletować garderobę młodej lady

Renfrew, dziewczyna promieniała szczęściem. Niebawem okazało się, że jej subtelnie podkreślona figura i doskonale dobrane barwy sukien przyciągnęły pokaźny wianuszek wielbicieli.

– Tym razem nie mamy dziesięciu miesięcy – westchnęła Leonie. – I nie możemy liczyć na to, że jakaś tępa głowa obrazi lady Warford u Pretensji. Jest markizą, na Boga, nie żoną podrzędnego szlachetki.

– Musimy ją prędko usidlić, zanim szansa przemknie nam koło nosa – pokiwała głową Sophy. – Jeśli Pretensja dostanie suknię ślubną, weźmie całą resztę.

– Chyba że będziemy pierwsze. – Marcelline się uśmiechnęła.

Rozdział 2

Opera Włoska – przy placu Włoskim w Paryżu. Zachwyci amatorów włoskiej muzyki i języka. Może się pochwalić znakomitymi wokalistami i wystawia wyłącznie włoskie opery komiczne. Instytucja wspierana przez państwo, działająca jako filia Opery Paryskiej. Spektakle grane są we wtorki, czwartki i soboty.

Francis Coglan, *Przewodnik po Francji, wskazujący wszelkie rozrywki i wydatki* (1830)

Opera Włoska w Paryżu
14 kwietnia 1835 roku

Clevedon próbował ją ignorować.

Uderzająco piękna brunetka starała się z kolei przyciągnąć jego uwagę. Weszła do loży naprzeciwko u boku znanej paryskiej aktorki akurat w chwili rozpoczęcia spektaklu.

Niebywałe wyczucie czasu.

Obiecał Clarze opisać z najdrobniejszymi detalami zaczynającą się właśnie paryską wersję *Cyrulika sewilskiego*. Wiedział, że Clara marzy o podróży do Paryża, i starał się pisać jej o wszystkim, co widział. W ciągu miesiąca wróci do Londynu i podejmie życie, które porzucił. Przemyślał wszystko, na całe szczęście dla Clary, i postanowił, że nie będzie takim mężem ani ojcem, jakim był jego własny ojciec. Będzie dobry. Gdy się pobiorą, weźmie ją w długą podróż. Często pisali o tym w listach, które mieli w zwyczaju regularnie wymieniać, odkąd Clara potrafiła utrzymać pióro w dłoni.

Tymczasem miał zamiar wyciągnąć jak najwięcej z ostatnich trzech tygodni wolności. List do Clary był jego jedynym obowiązkiem na ten wieczór.

Przyszedł do opery z powodu madame St. Pierre, która siedziała w sąsiedniej loży, otoczona przyjaciółkami, i od czasu do czasu rzucała w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Założył się z Gaspardem Aronduille’em o dwieście funtów, że po spektaklu madame zaprosi go na wieczorek, a następnie do łóżka.

Jednak ta tajemnicza brunetka…

Wszyscy dżentelmeni w operze gapili się na nią bez skrępowania. Żaden nawet nie spojrzał na scenę. Francuska publiczność, w odróżnieniu od angielskiej czy włoskiej, oglądała spektakle w milczeniu, jednak towarzysze Clevedona szeptali nerwowo za jego plecami, zastanawiając się, kim jest to nieziemskie stworzenie z loży Sylvie Fontenay i kto może ją znać.

Rzucił okiem na madame St. Pierre, a potem na siedzącą naprzeciwko brunetkę. Chwilę później, gdy jego znajomi wciąż snuli przypuszczenia i wykłócali się o pochodzenie piękności, Clevedon opuścił lożę.

* * *

– Twoje czary działają błyskawicznie! – szepnęła Sylvie zza wachlarza.

– To nie czary, tylko efekty skrupulatnej pracy – odparła Marcelline.

Ostatni tydzień spędziła, poznając ze szczegółami paryski plan dnia i utarte ścieżki księcia Clevedona, jego zwyczaje i miejsca, w których bywał. Niewidoczna dla nikogo, śledziła go we dnie i w nocy.

Jak większość członków swej szalonej rodziny, potrafiła wtopić się w tłum i nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. Bądź wywołać nieodparte wrażenie, tak jak zrobiła to dzisiaj. Tego wieczoru wszystkie oczy zwrócone były na nią. Nie było to korzystne dla aktorów, ale Marcelline nie było ich żal. Ona wykonała swoją pracę przed planowanym wystąpieniem, oni najwyraźniej nie. Rosina wciąż zerkała do ściągi, a Figaro był przygaszony i brakowało mu temperamentu.

– Nie traci ani chwili – zdumiała się Sylvie, pozornie wpatrzona w aktorów męczących się na scenie. – Chce, żeby ktoś go przedstawił, więc co robi? Udaje się prosto do loży największego plotkarza w mieście, mego

przyjaciela księcia d’Orefeur, i jego ostatniej kochanki, madame Ironde. Moja droga, to jest światowej klasy ekspert w uwodzeniu dam.

Marcelline miała tego świadomość. Jego Wysokość był zawołanym uwodzicielem o wyrafinowanym guście. Nie uganiał się za każdą urodziwą kobietą, z którą się zetknął. Nie chodził do domów rozpusty, nawet najbardziej ekskluzywnych. Nie zauważał pokojówek ani mieszczek. Mimo wieści na jego temat, które krążyły po Paryżu, nie był typowym libertynem. Uwodził wyłącznie najpiękniejsze arystokratki oraz absolutne boginie z półświatka.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że jej honor – a przynajmniej tyle, ile z niego zostało – jest bezpieczny. Trudniejsze będzie podtrzymanie jego zainteresowania wystarczająco długo, by dopiąć swego. Serce Marcelline biło równie prędko jak w chwilach, gdy obserwowała wirującą ruletkę. Tym razem stawka była znacznie wyższa. Nie chodziło tylko o pieniądze, lecz o przyszłość rodziny.

Jednak jej twarz pozostała jasna i spokojna.

– Chcesz się założyć, że wejdą do naszej loży, gdy tylko oddzwonią przerwę? – zapytała.

– Nie zakładam się z tobą – prychnęła Sylvie.

* * *

Gdy tylko nadszedł czas antraktu, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył wstać z siedzenia, Clevedon i książę d’Orefeur weszli do loży mademoiselle Fontenay.

W pierwszej chwili Clevedon ujrzał plecy brunetki, wciąż odwróconej w stronę sceny. Głęboko wycięty tył sukni obnażał gładkie ramiona i plecy o kilka cali bardziej niż kreacje najodważniejszych paryskich elegantek. Jej skóra lśniła jak alabaster. Kapryśne loki wymykające się z frywolnej koafiury muskały kark kobiety. Clevedon stanął jak wryty, zapominając w mgnieniu oka o Clarze, madame St. Pierre i wszystkich innych kobietach świata.

Zdawało mu się, że minęły wieki, zanim podszedł do niej i spojrzał w ciemne oczy, w których lśniły ogniki wesołości. W kącikach jej

zmysłowych ust igrał uśmiech. Zwróciła się ku niemu i był to zaledwie cień ruchu, jednak zrobiła to jak kochanka, obracająca się z rozkoszą wśród prześcieradeł, a przynajmniej tak jej ruch odczytało ciało Clevedona. Czuł, jak męskość nabrzmiała mu w spodniach.

Blask płynący z kryształowych żyrandoli tańczył w jej kruczych lokach i krzesał skry z ciemnych oczu. Wzrok Clevedona prześliznął się po jedwabistych wzgórkach piersi i wciętej talii nieznajomej.

Nie zauważał wokół siebie nikogo, nie był w stanie skupić się na rozmowie. Głos brunetki był niski, głęboki, muśnięty zmysłową chrypką.

Nazywa się Noirot.

Perfekcyjnie.

Zamieniwszy z mademoiselle Fontenay tyle słów, ile wymagały pozory grzeczności, zwrócił się ku brunetce. Pochylając się nad jej dłonią w rękawiczce, czuł, jak łomocze mu serce.

– *Madame Noirot* – mruknął. – *Enchanté.*

Musnął wargami miękką koźlęcą skórkę, czując delikatny zapach. Jaśmin? Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie oczu czarnych jak noc. Wpatrywali się w siebie przez długą, pełną napięcia chwilę.

Dama wskazała wachlarzem stojący przy niej wolny fotel.

– Niezbyt wygodnie się rozmawia z zadartą głową, Wasza Wysokość – rzekła.

– Proszę o wybaczenie. – Clevedon niechętnie usiadł. – Przyznaję, że górowanie nad panią nie było zbyt grzeczne, jednak nie mogłem się oprzeć widokowi… – Urwał nagle, zdając sobie sprawę, że mówiła do niego po angielsku, z doskonałym akcentem. Odpowiedział jej odruchowo, nauczony już w dzieciństwie uprzejmości prowadzenia konwersacji w języku narzuconym przez rozmówcę.

– To jakaś szatańska sztuczka – wzdrygnął się Clevedon. – Założyłbym się o wszystko, że jest pani Francuzką.

Francuzką, w dodatku spoza towarzystwa, był tego pewny! Słyszał, jak rozmawiała z d’Orefeurem doskonałą francuszczyzną, znacznie lepszą od jego własnej. Akcent miała wspaniały, lecz jej podstarzała przyjaciółka była wszak aktorką! Damy z wyższych sfer nie chadzały do opery w takim towarzystwie. Musiała być także aktorką lub luksusową kurtyzaną.

Gdy jednak usłyszał jej angielski, mógłby przysiąc, że rozmawia z arystokratką z Londynu.

– Założyłby się pan o wszystko? – dopytała. Prześliznęła spojrzeniem po jego włosach i twarzy, budząc falę gorąca, spływającą Clevedonowi do podbrzusza. Utkwiła wzrok w ozdobnym fularze. – Na przykład o tę piękną szpilkę?

Jej zapach, głos, mowa jej ciała oszałamiały go do tego stopnia, że nie był w stanie się skoncentrować.

– Zakład? – wyjąkał.

– Och, możemy także porozmawiać o zaletach aktorzyny usiłującego wcielić się w Figara bądź podyskutować, czy Rosina powinna w istocie śpiewać kontraltem czy mezzosopranem – parsknęła Marcelline. – Wydaje mi się jednak, że nie skupiał się pan na sztuce. – Zatrzepotała wachlarzem. – Czyżbym się myliła?

Clevedon oprzytomniał nieco.

– Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby patrzeć na scenę w pani obecności.

– To Francuzi – wyjaśniła. – Traktują sztukę bardzo poważnie.

– A pani nie jest Francuzką?

– Na tym właśnie polega zakład – odparła z czarującym uśmiechem.

– Jest pani Francuzką – uznał. – Doskonale wykształconą i potrafiącą grać, ale jednak Francuzką.

– Widzę, że jest pan przekonany.

– Jestem prostolinijnym Anglikiem, zapewne pani dostrzegła. – Wzruszył ramionami. – Jednak nawet ja potrafię odróżnić Angielki od Francuzek. Można od stóp do głów przebrać Angielkę we francuskie fatałaszki, a jednak ciągle będzie widać, że to Angielka. Pani zaś…

Urwał i objął ją spojrzeniem. Choćby te włosy! Fryzurę miała na wskroś paryską. A jednak nie… Nie do końca. Jej włosy wyglądały, jakby poderwała się z łóżka i ubierała w pośpiechu. Z drugiej strony, jej toaleta była dopracowana w najdrobniejszym szczególe. Cała mademoiselle Noirot była po prostu… inna.

– Jest pani Francuzką, koniec i kropka – postanowił Clevedon. – Jeśli nie mam racji, szpilka należy do pani.

– A jeśli ma pan rację?

Myślał przez chwilę.

– Jeśli mam rację, jutro uda się pani ze mną na przejażdżkę do Lasku Bulońskiego.

– Tylko tyle? – zapytała po francusku.

– Dla mnie to aż tyle – odparł.

Madame Noirot wstała raptownie wśród szelestu jedwabi. Zaskoczony Clevedon powoli podniósł się z fotela.

– Chciałabym odetchnąć – oświadczyła. – Robi się tu zbyt gorąco.

Książę usłużnie otworzył drzwi loży i z bijącym sercem wyszedł za nią na korytarz.

* * *

Marcelline widziała go już wiele razy, jednak nigdy dotąd z tak bliska. Miała okazję obserwować jedynie zgrabną i wspaniale odzianą sylwetkę przystojnego angielskiego arystokraty.

Z bliska…

Odetchnęła głęboko.

Ciało miał wspaniałe. Obserwowała go uważnie, gdy wymieniał grzeczności z Sylvie. Wcześniej byłaby gotowa uznać, że sylwetka księcia jest przynajmniej w połowie podkreślana sztuką krawiecką. Lecz choć ubrania miał szyte na miarę i w doskonałym gatunku, krawiec nie musiał w nim niczego poprawiać. Nie dostrzegła watowania na szerokich ramionach, a wspaniały tors był zarysowany wyłącznie dzięki mięśniom.

Zresztą cały składał się ze stalowych mięśni. Ramiona, nogi, plecy… Żaden krawiec nie obszyłby go też tą delikatną aurą potęgi.

Jak tu gorąco… – to była jej pierwsza sensowna myśl. Po chwili całował jej dłoń i siadał, a w loży robiło się coraz goręcej.

Podziwiała jego czarne włosy, lśniące jak jedwab i kunsztownie ułożone. Delikatną twarz o rysach pełnych i szlachetnych jak twarze aniołów. Męskie, zdecydowane ruchy.

Spojrzała w oczy o rzadkim odcieniu szmaragdowej zieleni i usłyszała głos, pieszczący jej uszy niskim brzmieniem, rezonujący w częściach jej ciała ukrytych przed wzrokiem publiczności.

Do licha!

Prędko szła korytarzem opery, usiłując równie szybko zebrać myśli. Mimowolnie dostrzegła, że falujący tłum rozstępuje się przed nią jak

morze. Roześmiała się cicho.

Zrozumiała już, że książę Clevedon jest narowistym koniem i nie da sobą tak łatwo manipulować.

Zrozumiała, że przeszacowała swoje możliwości.

A jednak wciąż była Marcelline Noirot! Ryzyko tylko ją podniecało.

Przystanęła wreszcie przy oknie w odludnej części korytarza. Nie było widać ulicy. W szybie odbijała się wspaniale ubrana dama, chodząca reklama butiku, który – niebawem, przy drobnej pomocy Clevedona – stanie się celem pielgrzymek śmietanki towarzyskiej Londynu. Gdy tylko księżna Clevedon zostanie ich klientką, zamówienia posypią się jak liście. Miała nieomal wrażenie, że w dłoniach ściska złote monety.

– Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje, madame – odezwał się do niej po francusku z delikatnym angielskim akcentem.

– Oczywiście, przyznaję jednak, że zachowałam się niedorzecznie – stwierdziła. – Cóż za niemądry zakład!

Uśmiechnął się.

– Boi się pani przegranej? Czyżby wycieczka ze mną była aż tak odrażającą perspektywą?

Uśmiech miał chłopięcy, łobuzerski, a mówił ze swadą, która z pewnością zgubiła setki kobiet.

– Wygram niezależnie od wyniku – oświadczyła Marcelline. – Jakkolwiek by na to spojrzeć, zakład jest niedorzeczny. Załóżmy, że powiem panu, jaki jest wynik, lecz skąd będzie miał pan pewność, że nie kłamię?

– Czyżby pani sądziła, że zażądam dokumentów?

– A uwierzy mi pan na słowo?

– Oczywiście!

– To bardzo eleganckie z pana strony, ale równie naiwne – rzekła z uśmiechem.

– Nie okłamałaby mnie pani.

Gdyby usłyszały to jej siostry, powywracałyby się ze śmiechu.

– W szpilce tkwi diament wspaniałej czystości – oceniła. – Jeśli sądzi pan, że kobieta nie uciekłaby się do kłamstwa, by go zdobyć, jest pan nieuleczalnie naiwny.

Wpatrywał się w nią szmaragdowymi oczami. Ostatecznie oświadczył po angielsku:

– Myliłem się co do pani. Teraz widzę wyraźnie. Jest pani Angielką.

– Co mnie zdradziło? Szczerość?

– Mniej więcej. Francuzki wciąż debatują nad prawdą i fałszem. Nie potrafią przejść nad niczym do porządku. Wszystko oglądają jak pod mikroskopem. To słodkie, lecz również troszkę nudne. Wszystko musi podlegać jasnym zasadom. Mają ich tysiące.

– Nie spodobałaby mi się ta przemowa, gdybym była Francuzką – stwierdziła cierpko.

– Ale pani nią nie jest, już to ustaliliśmy.

– Czyżby?

Pokiwał głową.

– Zakłada się pan nierozważnie – oceniła. – Zawsze jest pan taki prędki?

– Tylko czasami – przyznał. – Ale miała pani nade mną przewagę. Nigdy jeszcze nie poznałem kogoś takiego jak pani.

– Ależ skądże znowu – żachnęła się Marcelline. – Moi rodzice byli Anglikami.

– A domieszka francuskiej krwi? – droczył się Clevedon z uśmiechem. Na ogół chłodne serce Marcelline podskoczyło nagle w jej piersi.

– Bardzo niewielka. Czystej krwi pradziadek. Jednak i on, i jego synowie woleli Angielki.

– Jeden pradziadek nie przeważy tej szali – odparł książę. – W mojej rodzinie było ich więcej, a jednak jestem na wskroś Anglikiem. Powolnym i ociężałym, z wyjątkiem wyciągania pochopnych wniosków. Trudno. Żegnaj, szpilko!

Clevedon szarmancko się ukłonił i zaczął rozwiązywać fular. Nosił rękawiczki, lecz Marcelline domyślała się, że nie ukrywał pod nimi połamanych paznokci czy odcisków. Dłonie miał na pewno wypielęgnowane, jak na księcia przystało. Widziała, że są większe, niż nakazywały ostatnie trendy w modzie, jednak palce miał długie i zwinne. Ze szpilką jednak nie mógł sobie poradzić. Albo lokaj wpiął ją ze znawstwem i precyzją w ułożone artystycznie fałdy fularu, albo Clevedon nie mógł się rozstać z klejnotem i celowo przeciągał ten moment.

– Proszę mi pozwolić – nie wytrzymała Marcelline. – Pan przecież nie widzi, co robi.

Odepchnęła jego dłonie stanowczym gestem. Wystarczyło muśnięcie rękawiczek, by Marcelline zadygotała. Gorący dreszcz przebiegł jej po

plecach.

Umiała właściwie ocenić kształt rozbudowanego torsu księcia kryjącego się pod delikatną koszulą i bogato zdobioną kamizelką. Jednak jej dłonie nawet nie zadrżały. Miała wprawę. Lata praktyki w nonszalanckim trzymaniu kart, choć serce waliło jej jak młotem. Lata spędzone na blefowaniu, panowaniu nad każdym grymasem i każdym mrugnięciem.

Wyjęła szpilkę, lśniącą błękitnym blaskiem w świetle kandelabrów, i zerknęła na śnieżnobiały fular.

– Jakże nago teraz wygląda – stwierdziła z dezaprobatą.

– Czyżby wyrzuty sumienia? – zapytał książę.

– Nigdy – odparła szczerze. – Jednak to puste miejsce razi mój zmysł estetyczny.

– W takim razie poślę lokaja do hotelu po inną szpilkę.

– Jest pan niezwykle szarmancki.

– We właściwym towarzystwie.

– Nie ma pośpiechu, Wasza Wysokość – zadrwiła. – Mam lepszy pomysł.

Wyciągnęła własną szpilkę z gorsetu sukni i wpięła ją w fular Clevedona. Nie był to drogocenny klejnot, zwykła drobna perła, lecz idealnie okrągła i o łagodnym, mlecznym odcieniu. W eleganckich fałdach fularu prezentowała się bardzo ładnie.

Marcelline czuła na sobie wzrok mężczyzny. Bez mrugnięcia wpatrywał się w jej twarz. Delikatnym ruchem wygładziła fular, odsunęła się o krok i oceniła swe dzieło krytycznym spojrzeniem.

– Ślicznie się prezentuje – oceniła.

– Doprawdy? – zapytał, nie patrząc jednak na spinkę.

– Proszę się przejrzeć w oknie, Wasza Wysokość – podsunęła.

Wciąż wpatrywał się w nią, jakby nie był w stanie oderwać wzroku.

– Okno, drogi książę. Proszę docenić moją pracę.

– Och, doceniam ją i wierzę na słowo – odparł, lecz spojrzał w okno z uśmiechem.

– Ach – zdumiał się. – Widzę, że ma pani równie doskonałe wyczucie smaku jak mój lokaj. A nie jest to komplement, który rozdaję na prawo i lewo.

– Muszę mieć doskonałe wyczucie smaku – odrzekła szczerze. – Jestem najlepszą stylistką na całym świecie.

* * *

Serce Clevedona wciąż biło bardzo prędko.

Z podniecenia? A dlaczegóżby nie?

Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety.

Paryż był zupełnie innym miastem niż Londyn, a paryżanki – innym gatunkiem niż damy z Londynu. Przyzwyczaił się już do wystudiowanych póz i gestów Francuzek, wiedział, co znaczy każdy ruch wachlarza, pochylenie głowy czy wzruszenie ramion. Znał zasady i reguły. Francuzki żyły dla reguł.

Brunetka dyktowała własne.

– Jakże pani skromna – zażartował.

Roześmiała się, jednak nie był to srebrzysty, zbyt głośny śmiech, do jakiego przywykł, lecz cichy, głęboki, niemal intymny. Nie zamierzała wzorem innych kobiet sprawić, by wszystkie głowy odwróciły się w ich kierunku. Nie zależało jej na publicznym poklasku. Clevedon odwrócił się od okna i spojrzał jej w oczy.

– Być może jako jedyny w całej operze nie dostrzegł pan mojej kreacji. – Zamkniętym wachlarzem obrysowała swoją sylwetkę.

Objął spojrzeniem ponętną figurę nieznajomej. Wcześniej nie zwrócił baczniejszej uwagi na jej strój. Skupił się na wspaniałym kształcie jej ciała, jedwabistej skórze, lśniących oczach i frywolnej fryzurze.

Przyjrzał jej się, by ocenić uszytą z grubej czarnej koronki tunikę, czy też narzutkę, włożoną na halkę z różowego jedwabiu. Kreacja zachwycała krojem, kolorem, doborem dodatków i…

– Stylowe, prawda? – podsunęła Marcelline.

Książę poczuł się nieswojo. Najwyraźniej nieznajoma czytała w jego myślach jak w otwartej księdze, co więcej, przeszła już od prologu wstępnych konwersacji i zapoznawania się do pierwszego rozdziału. Czy czuł się tym zniesmaczony? O nie! Zrozumiał, że nie jest niewiniątkiem i że widzi wyraźnie, czego by od niej pragnął.

– Do tej pory nie dostrzegłem, madame – wyznał. – Widziałem tylko panią.

– To najlepsza rzecz, jaką można powiedzieć kobiecie – roześmiała się. – I najgorsza, jaką można powiedzieć krawcowej.

– Błagam, niech dziś będzie pani wyłącznie kobietą. Jako stylistka roztrwoni pani przy mnie swój talent.

– Bynajmniej – zaprzeczyła. – Gdybym była źle ubrana, nie pojawiłby się pan w loży mademoiselle Fontenay. I gdyby nie śpieszył się pan do mnie tak bardzo, zwróciłby pan uwagę na to, co wypada, i dał się przekonać księciu d’Orefeurowi, że to istne towarzyskie samobójstwo.

– Samobójstwo? Czy pani aby nie przesadza?

– Pozwoli pan sobie przypomnieć, że jesteśmy w Paryżu.

– W tej chwili nie dbam zupełnie o to, w jakim mieście jestem.

Roześmiała się znów cicho i gardłowo. Miał wrażenie, że czuje na karku jej oddech.

– Muszę się mieć na baczności – oświadczyła. – Widzę, że chce mnie pan doszczętnie oszołomić.

– Sama pani zaczęła – odparł. – Przyznaję, że jestem doszczętnie oszołomiony.

– Jeśli próbuje mnie pan wzruszyć i podejść, by odzyskać diament, ostrzegam, że to nie zadziała.

– Jeśli ma pani zamiar odzyskać perłę, radzę przemyśleć to jeszcze raz.

– Proszę mnie nie rozśmieszać – prychnęła. – Może pan być bujającym w obłokach romantykiem, ja jednak doskonale wiem, że diament wart jest więcej niż pięćdziesiąt takich pereł. Niech ją pan zatrzyma wraz z moim błogosławieństwem. Powinnam już wracać do mademoiselle Fontenay. A oto i zbliża się pana przyjaciel, książę d’Orefeur. Zapewne chce pana uchronić przed fatalną gafą towarzyską, jaką byłby powrót ze mną do loży. Wiem, że jest pan oczarowany i oszołomiony. Niech i pan wie, że będę zdruzgotana naszym zbyt rychłym rozstaniem. To tak niezwykłe w dzisiejszych czasach spotkać mężczyznę, który potrafi używać rozumu. Nie mogę sobie jednak pozwolić, by wzięto mnie za pana nową zabawkę. To fatalnie wpływa na interesy. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Może jutro na targach Longchamp, gdzie mam stoisko?

W tle rozbrzmiał dzwonek rozpoczynający drugi akt. D’Orefeur podszedł do nich nieśpiesznie. Jakaś młoda dama pomachała ku madame Noirot, która dygnęła wdzięcznie, rzuciła mu ponętne spojrzenie znad wachlarza i prędko odeszła. Gdy tylko oddaliła się o kilka kroków, d’Orefeur szepnął:

– Miej się na baczności. To niebezpieczna sztuka.

– Owszem. – Clevedon nie spuszczał jej z oka. Widział, jak tłum rozstępuje się na jej widok, jakby była urodzoną księżniczką. A jest tylko krawcową! Powiedziała mu to bez wstydu czy zażenowania, wręcz z dumą. Jednak wciąż nie mógł w to uwierzyć. Widział z oddali, jak się porusza i jak na tym tle wygląda jej francuska przyjaciółka. Jakby nie należały do tego samego gatunku.

– Owszem – powtórzył w zadumie. – Wiem.

* * *

Tymczasem w Londynie lady Clara Fairfax z trudem powstrzymała się przed celnym rzutem porcelanową wazą w tępą głowę brata. Hałas przyciągnąłby jednak osoby postronne, a ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było pojawienie się wzburzonej matki.

Celowo zaciągnęła Longmore’a do biblioteki. Matka rzadko tu wchodziła.

– Harry, jak mogłeś? – krzyknęła stłumionym głosem. – Wszyscy o tym gadają! Umieram ze wstydu!

Hrabia Longmore opadł bezwładnie na sofę i zamknął oczy.

– Nie musisz, doprawdy, tak piszczeć – jęknął. – Och, moja głowa…

– Domyślam się, jak się nabawiłeś tej migreny – prychnęła Clara. – I nie współczuję ci ani trochę.

Harry miał podkrążone oczy i zielonkawy odcień cery. Wygniecione ubranie jasno dawało do zrozumienia, że nie był w domu od wczoraj. Był rozczochrany, wymięty i do niczego. Na pewno spędził noc u którejś z kochanek i nawet nie trudził się odświeżeniem stroju, gdy otrzymał wezwanie od siostry.

– Pisałaś, że to pilne – jęknął z wysiłkiem. – Myślałem, że potrzebujesz pomocy. Nie mam zamiaru tu siedzieć i słuchać wymówek.

– Wycieczka do Paryża i to idiotyczne ultimatum, jakie dałeś Clevedonowi… Ożeń się z moją siostrą albo… To tak chciałeś mi pomóc?

Otworzył oczy z wysiłkiem.

– Kto ci o tym powiedział?

– Pisali o tym w gazetach! – krzyknęła i zakryła dłonią usta. – Wszyscy dyskutowali o tym przez dwa tygodnie. W końcu musiałam usłyszeć.

– Świat oszalał – mruknął Longmore. – Ultimatum, też coś. Nic takiego nie miało miejsca. Zapytałem go tylko, czy cię chce, czy jednak nie.

– Och, nie… – szepnęła słabo Clara i osunęła się na fotel. Jej twarz bladła i czerwieniała na przemian. Jak mógł?! Choć z drugiej strony, nie mogła się dziwić. Harry nigdy nie słynął z taktu.

– Lepiej, że zrobiłem to ja, a nie ojciec – zaznaczył hrabia.

Clara zamknęła oczy. Wiedziała, że brat ma rację. Tata napisałby list, który byłby wprawdzie daleko bardziej stonowany, lecz zapewne również znacznie groźniejszy w skutkach. Ojciec przypomniałby księciu o wszystkich więzach winy i obowiązków. A to był, jak przypuszczała, pierwszy powód, dla którego Clevedon uciekł na kontynent.

Clara wzdrygnęła się i spojrzała bratu w oczy.

– Naprawdę musiało do tego dojść?

– Drogie dziecko, matka doprowadziła mnie na skraj załamania nerwowego, mimo że z nią nie mieszkam. Sama widzisz, że w ogóle tu już nie przyjeżdżam, bo nie dałaby mi chwili spokoju. To była tylko kwestia czasu, a ojciec poddałby się jej woli. Wiesz dobrze, że on nigdy nie chciał, żebyśmy w ogóle wyjeżdżali. A przynajmniej Clevedon, bo mnie chętnie się pozbył na ten czas.

Clara nie mogła zaprzeczyć. Mama stała się nie do wytrzymania. Wszystkie córki jej przyjaciółek były już zamężne. Poza tym matka drżała z trwogi na myśl o tym, że Clara zadurzy się w kimś nieodpowiednim. To znaczy w kimś, kto nie jest księciem.

– Dlaczego uśmiechasz się do lorda Adderleya? – narzekała. – Przecież wiesz, że to bankrut! A ten wstrętny Bates? Nie ma szans na tytuł, jest przecież trzecim synem. Nie słyszałaś, że zamek lorda Geddingsa rozpada się w gruzy? Sir Henry Jaspers to zaledwie baronet. Zamierzasz wpędzić mnie do grobu, Claro? Dlaczego nie potrafisz trzymać się mężczyzny, który kocha cię od dzieciństwa i mógłby wykupić wszystkich tu zebranych?

Clara wysłuchiwała podobnych wymówek praktycznie każdego wieczoru od rozpoczęcia sezonu.

– Wiem, że chciałeś dobrze – westchnęła. – Ale żałuję, że to zrobiłeś.

– Siedzi tam już trzy lata – parsknął Harry. – Zaczyna to wyglądać niedorzecznie, przyznasz sama. Musi się zdecydować, czy chce się z tobą

żenić, czy nie. Czy chce żyć w Anglii, czy we Francji. Wydaje mi się, że miał dość czasu na podjęcie decyzji.

Clara spojrzała na brata ze zdumieniem. Trzy lata? Nie sądziła, że minęło tyle czasu. Pierwszy rok spędziła, opłakując ukochaną babkę. Debiut i pierwszy sezon pamięta jak przez mgłę. A kolejne dwa lata minęły prędko, głównie na czytaniu wspaniałych listów od Clevedona.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że to już trzy lata – westchnęła. – Pisze tak często, że mam wrażenie, iż jest tu przy mnie.

Clara pisała do Clevedona, odkąd umiała sklecić pierwsze zdania w rodzaju: „Mam nadzieję, że masz się dobrze. Podoba ci się w szkole? Ja uczę się francuskiego. Jest trudny. A ty czego się uczysz?”. Nawet jako chłopiec świetnie pisał. Miał wrodzony talent do obserwacji i snucia opowieści, a także wspaniałe poczucie humoru. Znała go bardzo dobrze, na pewno lepiej niż ktokolwiek inny, jednak głównie poprzez listy.

Nagle dotarło do niej, że nie spędzili razem zbyt wiele czasu. Ona szlifowała francuski i kaligrafię pod okiem guwernantki, Clevedon spędzał kolejne lata w szkołach, potem na uczelni. Zanim Clara zadebiutowała w towarzystwie, on wyjechał za granicę.

– Clevedon najwyraźniej również nie zdawał sobie z tego sprawy – stwierdził Harry. – Kiedy zapytałem go wprost o zamiary wobec ciebie, roześmiał się i powiedział, że cieszy się, iż przyjechałem. Powiedział też, że przyjechałby wcześniej, ale z twoich listów wynikało, iż świetnie się odnajdujesz jako najbardziej pożądana partia w towarzystwie i nie chciał ci psuć zabawy.

Clara pomyślała, że ona również nie chciała mu psuć zabawy. Nie miał najlepszego dzieciństwa. W ciągu roku stracił matkę, ojca i siostrę. Ojciec Clary został jego prawnym opiekunem, a trzeba mu przyznać, że najwyżej ceni sobie obowiązki, odpowiedzialność i słuszne postępowanie. Clevedon, w odróżnieniu od braci Clary, zawsze starał się zbliżyć do ideałów opiekuna.

Kiedy wraz z przyjacielem postanowił wyruszyć w podróż, ucieszyła się. Doszła do wniosku, że z dala od ojca Harry nabierze nieco ogłady, a Clevedon odnajdzie drogę do samego siebie.

– Nie powinien wracać, dopóki sam nie będzie gotów – stwierdziła w zadumie.

Harry uniósł brwi.

– A może to ty nie jesteś gotowa?

– Nie rozśmieszaj mnie. – Oczywiście, że była gotowa. Przecież kochała Clevedona. Od dzieciństwa.

– Nie obawiaj się, nie będzie cię od razu ciągnął do ołtarza. – Harry się uśmiechnął. – Zaproponowałem, by zaczekał do końca maja. To da twoim adoratorom wystarczającą ilość czasu, by powystrzelali się nawzajem albo udali na wygnanie do Włoch. Przez kolejny miesiąc będziesz się oswajała z tym, że wciąż za tobą łazi jakiś wielki i drwiący z wszystkiego typ. Na tym zastanie was koniec sezonu, który proponowałem uwieńczyć wspaniałymi oświadczynami w starym dobrym stylu, okraszonymi pięknymi słówkami, obietnicami i monstrualnie wielkim pierścionkiem.

– Harry, jesteś nie do wytrzymania.

– Doprawdy? Clevedon uznał moje propozycje za genialne i uczciliśmy ten plan czterema czy pięcioma, a może nawet sześcioma butelkami szampana.

* * *

15 kwietnia, Paryż

Clevedon uwielbiał uwodzić kobiety. Samo ściganie króliczka sprawiało mu daleko więcej przyjemności niż chwytanie go. Uwodzenie madame Noirot zapowiadało się wspaniale. Będzie wprost idealnym zakończeniem trzyletniej podróży i uwieńczeniem łańcuszka rozkosznych romansów. Wcale nie śpieszyło mu się z powrotem do Londynu i obowiązków, które zamierzał podjąć, wiedział jednak, że nadszedł już najwyższy czas. Paryż zaczynał go nudzić, a nie miał ochoty szwendać się po kontynencie bez Longmore’a.

Postanowił udać się na targi Longchamp, przynajmniej po to, by dokładnie je obejrzeć i opisać potem Clarze. I tak miał już zaległy list o operze. Trudno. Opis targów doda listowi polotu.

Coroczne targi wielkanocne odbywały się na Polach Elizejskich i w Lasku Bulońskim w Wielką Środę, Wielki Czwartek i Wielki Piątek. Obiecująca jeszcze parę dni wcześniej pogoda zmieniła się nagle i zaczął

wiać nieprzyjemnie zimny wiatr. Mimo to na targach pojawiła się cała paryska śmietanka towarzyska, w najświetniejszych strojach i powozach, do których zaprzężono paradne rumaki. Karoce jechały powoli, tocząc się jedna za drugą. Jednak największe tłumy przemierzały targi na piechotę, w tym także Clevedon.

Tłok był nieprzebrany. Książę co chwilę klął w duchu i zastanawiał się, jak do diabła, znajdzie madame Noirot. Parę minut później zrozumiał, że nie byłby w stanie jej nie dostrzec. Wystarczyło spojrzeć w kierunku największego zgiełku.

Podobnie jak w operze, przyciągała uwagę wszystkich dookoła. Ludzie dosłownie wykręcali szyje, żeby na nią popatrzeć. Karety zderzały się ze sobą. Piesi wpadali na latarnie i na siebie nawzajem.

Madame Noirot bawiła się setnie, był o tym przekonany.

Tym razem, patrząc na nią z daleka i nie będąc pod oszałamiającym czarem jej spojrzenia i głosu, miał możliwość przyjrzeć się, jak wygląda. Obejrzał suknię, pelerynę i kapelusz. Widział, jak się porusza. Zwrócił uwagę na bladozielone wstążki przy kapeluszu, białe koronki i liliowy aksamit peleryny odsłaniający co chwilę jasnozieloną suknię.

Widział, jak mężczyźni zbliżają się do niej jak ćmy do płomienia. Z każdym zamieniała kilka słów i szła dalej, zostawiając nieszczęśnika na trotuarze, z wyrazem twarzy zdradzającym głębokie oszołomienie.

Podejrzewał, że zeszłego wieczoru w operze wyglądał identycznie.

Clevedon westchnął cicho i przepchnął się do niej przez tłum.

– Witam, madame Noirot.

– Ach, to pan – odparła. – Cieszę się, że pana widzę.

– Mam nadzieję – roześmiał się. – Przecież sama mnie pani zaprosiła.

– Zaprosiłam? – zdziwiła się. – To była raczej delikatna sugestia.

– Najwyraźniej podsunęła ją pani wszystkim miłośnikom włoskiej opery. Zdaje mi się, że nie brakuje nikogo.

– W żadnym razie. Tylko pana chciałam spotkać. Pozostali przyszli tu, bo tak wypada. Wszak to Wielki Tydzień i tradycyjne targi. Wszyscy pielgrzymują pobożnie, by się pokazać. Dlatego i ja tu jestem. Jak na widelcu.

– Raczej jak na scenie – stwierdził Clevedon. – Pani strój jest zapewne ostatnim krzykiem mody. Mogę to wyczytać z zazdrosnych spojrzeń, jakimi

obrzucają panią wszystkie damy. Mężczyźni, naturalnie, wyglądają na otumanionych, ale z nich przecież nie ma pani większego pożytku.

– Bynajmniej – zaprzeczyła madame Noirot. – Muszę być wystarczająco pociągająca dla mężczyzn. To oni płacą rachunki. A damy, które noszą moje suknie, nie mogą mieć wrażenia, że moja uroda je przyćmiewa i odwraca od nich uwagę zalotników.

– Zdumiewa mnie zatem fakt, iż podsunęła mi pani delikatną sugestię, bym pojawił się tu dzisiaj, choć nie jestem damą.

– Zgadza się. – Pokiwała głową. – Chcę bowiem, by to pan płacił rachunki.

Madame Noirot znowu zbiła go z tropu. Tym razem jednak nie było mu do śmiechu. Zacisnął pięści i czuł, jak na policzki wypłynęły mu rumieńce.

– Czyje rachunki?

– Dam z pańskiej rodziny, drogi książę.

Clevedon nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Czyżby moje ciotki były pani winne pieniądze – wycedził przez zaciśnięte zęby – i przyjechała pani aż do Paryża, by odzyskać długi?

– Szanowne ciotki pana nigdy nie zaszczyciły mego butiku – powiedziała spokojnie. – I to jest problem. Cóż, jeden z wielu w zasadzie. Ale nie to miałam na myśli. Chodzi o pana żonę.

– Przecież ja nie mam żony!

– Ale niedługo będzie pan miał. I to ja powinnam ją ubierać. Myślę, że w tej chwili jest to dla pana zupełnie oczywiste.

Potrzebował kilku minut, by przetrawić jej słowa. A potem kolejnych, by zdławić rosnący gniew.

– Przyjechała pani aż do Paryża, by podstępem zostać krawcową przyszłej księżnej Clevedon?

– Ależ skąd! Przyjeżdżam tu dwa razy do roku z dwóch powodów. – Uniosła dłoń w lśniącej rękawiczce i wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący. – Po pierwsze, by zwrócić na siebie uwagę dziennikarzy opisujących najnowsze trendy w magazynach dla pań. To uroczy opis sukni dziennej, którą nosiłam zeszłej wiosny, przyciągnął panią Sharp do Maison Noirot. Gdy zamówiła kilka sukien, zarekomendowała nas swej przyjaciółce, lady Renfrew. W ten sposób rozrasta się nasza klientela.

– A drugi powód? – zapytał niecierpliwie. – Nie musi pani pokazywać na palcach. Do dwóch jestem w stanie sam policzyć.

– Inspiracja. – Uśmiechnęła się. – W Paryżu bije serce mody. Tutaj mogę wpaść na nowe pomysły i wyczuć trendy.

– Rozumiem – mruknął, choć nie rozumiał. Czuł się skrzywdzony i wystrychnięty na dudka. A teraz płacił cenę za zadawanie się z wulgarną i chciwą sklepikarką. Mógł wczoraj wkraść się do łóżka madame St. Pierre, a tracił czas na szwendanie się za tą… tą… kokietką z gminu! – Jestem nieznaczącym aspektem tej podróży.

– Miałam nadzieję, że będzie pan wystarczająco mądry, by nie brać tego do siebie – prychnęła. – Pragnę jedynie wspierać pana na nowej drodze życia.

Clevedon zmrużył oczy i zacisnął zęby. Czy ona sobie kpi? Czyżby sądziła, że skoro ściągnęła go do loży, a potem na targi, to jest już jej niewolnikiem?

Nie byłaby pierwszą ani zapewne ostatnią kobietą, która przeceniła swój wpływ na mężczyznę.

– Niech się pan zastanowi – zachęciła madame Noirot. – Czy nie chce pan, by księżna Clevedon była najlepiej ubraną damą w Londynie? By stała się ikoną mody? By pożegnała się z sukniami, które ją szpecą? Na pewno pan tego chce.

– Nie dbam o suknie Clary – wybuchnął Clevedon. – Podoba mi się taka, jaka jest!

– Jakie to słodkie. – Madame Noirot wzniosła oczy ku niebu. – Zapomina pan jednak o towarzyskiej pozycji pana żony. Wszyscy powinni podziwiać księżnę Clevedon. Wszak na ogół ocenia się książkę po okładce. Gdyby było inaczej, wszyscy chodzilibyśmy w koszulach i owijalibyśmy się derkami jak nasi przodkowie. Jakże chciałby mnie pan przekonać, że strój nie ma znaczenia? Niech pan tylko spojrzy na siebie!

Clevedon bał się odezwać, by nie ryknąć na nią z bezsilnego gniewu. Jak śmiała mówić tak swobodnie o Clarze? Jak śmiała tak się do niego odzywać? Miał ochotę ją złapać i… i…

A niech ją diabli porwą! Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek pozwolił się wytrącić z równowagi kobiecie z gminu.

– Wszak sama pani powiedziała, że jesteśmy w Paryżu, gdzie bije serce mody.

– A w Londynie nosi pan płócienne sukmany? – zadrwiła.

Miał przemożną ochotę udusić tę przebiegłą istotę. Nie był w stanie wymyślić żadnej ciętej riposty. Wpatrywał się w nią tylko płonącym wzrokiem.

– Nie boję się pana spojrzeń – prychnęła. – Gdyby łatwo mnie było zastraszyć, w ogóle nie otwierałabym tego interesu.

– Madame Noirot – wychrypiał Clevedon. – Widzę, że bierze mnie pani za kogoś innego. Za głupca, jak sądzę. Do widzenia – rzucił i się odwrócił.

– Jasne, jasne – zaśmiała się, machając lekceważąco dłonią. – Odejdzie pan dumnie w stronę zachodzącego słońca. Proszę się nie krępować. Do zobaczenia u Frascatiego.

Rozdział 3

Hotel Frascati przy ulicy de Richelieu 108 – dom gier
Hazardowych dla starannie wybranej klienteli.
Otwarty również dla dam.

Galignani, *Nowy przewodnik po Paryżu* (1830)

Clevedon zatrzymał się jak rażony gromem i odwrócił się raptownie.

Jego oczy miotały błyskawice. Zęby miał tak zaciśnięte, że drżał mu mięsień na policzku.

Był potężny nie tylko ze względu na wzrost i szerokie ramiona. Był angielskim księciem! Angielscy książęta rozgniatali wszelkie nieroztropne istoty, które weszły im w drogę.

Jego wygląd i zachowanie wprawiłoby w trwogę każdego.

Ale nie Marcelline.

Doskonale wiedziała, że pomachała czerwoną płachtą przed nosem wyjątkowo agresywnego byka. Zrobiła to celowo i z rozmysłem, jak doświadczony matador. I teraz Clevedon, jak rasowy byk, skupił się wyłącznie na niej.

– Niech panią piekło pochłonie! – ryknął. – O! Teraz mogę odejść.

– Nie będę się czuła urażona – odparła. – Wszak został pan sprowokowany. Ostrzegam jednak Waszą Wysokość, że jestem najbardziej zdeterminowaną kobietą, jaką pan kiedykolwiek spotkał. A teraz zależy mi na ubieraniu pana księżnej.

– Kusi mnie, by powiedzieć, że po moim trupie – wycedził Clevedon – lecz obawiam się, że pani odpowie: „Jeśli nie da się inaczej…”.

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

Twarz Clevedona jakby pojaśniała. Oczy mu zabłysły.

– Czy to oznacza, że zrobiłaby pani wszystko?

– Wiem, o co panu chodzi – odparła – i to raczej nie będzie konieczne. Niech się Wasza Wysokość zastanowi. Jaka szanująca się dama zgodziłaby

się zostać klientką krawcowej, która specjalizuje się w uwodzeniu mężów?

– Czyż taką właśnie specjalizacją może się pani pochwalić?

– Spośród wszystkich znanych mi mężczyzn pan najlepiej powinien zdawać sobie sprawę, iż uwodzenie jest sztuką, a niektórzy uwodziciele mają większy talent niż inni – rzekła z uśmiechem. – Ja postanowiłam wykorzystać swoje talenty, by pięknie ubierać szlachetne damy. Kobiety są kapryśne i trudno im dogodzić, to prawda. Mężczyznom bardzo łatwo dogodzić, są jednak daleko bardziej kapryśni.

Jego wyrazista twarz przypominała otwartą księgę. Marcelline z upodobaniem przyglądała się, jak ślady gniewu ustępują zaciekawieniu. Clevedon zastanawiał się nad jej słowami i dostosowywał taktykę uwodzenia do nowych informacji. To naprawdę błyskotliwy przeciwnik, musi być ostrożna.

– Frascati, tak? – zapytał przeciągle. – Jest pani hazardzistką?

– Gra z przeznaczeniem to mój ulubiony sport – przyznała. Jej rodzina żyła z hazardu. Igrania z ludźmi, ich pieniędzmi i czasem. – Uwielbiam ruletkę. Czysty przypadek.

– To wyjaśnia pani ryzykowne zachowania w kontaktach z nieznajomymi mężczyznami.

– Krawiectwo nie jest biznesem dla strachliwych panienek – odparła z powagą.

Clevedon nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Kąciki jego ust zadrżały, w oczach zabłysły zielone iskierki. Każdy mężczyzna wyglądałby czarująco z taką miną. On wyglądał obezwładniająco. Marcelline czuła ten uśmieszek w głębi serca. I w innych miejscach również.

– Wygląda na to, że ten zawód jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłem.

– Nie ma pan pojęcia.

– Przyjmę to za obietnicę – oświadczył stanowczo. – Do zobaczenia u Frascatiego.

Ukłonił się z niewymuszoną gracją mężczyzny w pełni panującego nad swym potężnym, umięśnionym ciałem. Oddalił się sprężystym krokiem. Marcelline patrzyła za nim jeszcze parę chwil po tym, jak zniknął jej z oczu. Widziała morze kapeluszy i czepków rozstępujących się na boki, gdy kobiety i mężczyźni schodzili mu z drogi.

Rzuciła mu wyzwanie, a książę podjął rękawicę. Teraz nie mogła skończyć na plecach z tym pięknym ciałem pomiędzy nogami.

To nie będzie łatwe.

Z drugiej strony, gdyby było inaczej, nie byłoby tak ekscytująco.

* * *

Londyn

Pani Downes czekała cierpliwie w powozie, niedaleko mieszkania szwaczki. Tuż po wpół do dziesiątej szwaczka minęła pojazd, zaglądając przelotnie do środka. Nie zatrzymała się. Po chwili pani Downes wysiadła, dogoniła młodą kobietę i przywitała się z nią, jakby spotkała ją zupełnie przypadkiem. Kurtuazyjnie wymieniły się pytaniami o zdrowie i krewnych, a po chwili weszły do mieszkania szwaczki.

Zamknąwszy drzwi, szwaczka wyjęła z kieszeni złożoną kilkakrotnie kartkę.

Pani Downes wyciągnęła rękę.

– Najpierw pieniądze. – Szwaczka zacisnęła dłoń na kartce.

– Najpierw zobaczę, co to jest – wycedziła pani Downes. – Pewnie nic specjalnego!

Szwaczka podeszła do lampy i rozłożyła papier. Pani Downes mimowolnie westchnęła i w tym samym momencie prychnęła teatralnie.

– Tylko tyle? Moje dziewczęta uszyją coś takiego w godzinę! To nie jest warte nawet pół korony, a co dopiero suwerena!

Szwaczka starannie złożyła zapiski.

– Niech zatem szyją, skoro potrafią – stwierdziła. – Zrobiłam dokładne notatki, ale jestem pewna, że pani sprytne dziewczęta nie potrzebują żadnych wskazówek i poradzą sobie z upięciem tych fałd i uszyciem kokard. Zapewne nie musi też pani wiedzieć, jakich wstążek używają i gdzie je kupują. Tak, te informacje są pani zbędne. Wezmę to zatem i wrzucę do kominka. Ja przecież wiem, jak to uszyć, madame także wie, a więc i pani niezdary sobie z tym poradzą.

Szwaczka potrząsnęła dumnie głową. Czuła, że jest warta o wiele więcej niż inne krawcowe. W innym wypadku stałaby teraz, jak one, na ulicy i liczyła na to, że ktoś postawi jej kolację. Owszem, szpieguje dla

konkurencji, ale nie robiłaby tego, gdyby pewne osoby należycie doceniały jej umiejętności.

– Ma pani rację, madame, to nie jest warte suwerena – powtórzyła. – Szkoda, że marnowała pani swój cenny czas, przychodząc tu o tej porze.

– Dość – ucięła pani Downes, sięgając do torebki. – Proszę, oto zapłata. Jeśli jednak chcesz dostać więcej, musisz mi przynieść coś lepszego.

– Lepszego? – Szwaczka błyskawicznym ruchem ukryła pieniądze w kieszeni.

– Nie zamierzam więcej płacić za te świstki. Jedna suknia co miesiąc! Zeszyt ze szkicami, to byłoby coś godnego transakcji.

– Bez wątpienia – odparła szwaczka. – To byłoby warte mojej posady. Skopiowanie jednego modelu to co innego. Zeszyt ze szkicami? Od razu by zauważyły, że go nie ma. Są bardzo bystre, wie pani o tym.

– Gdyby straciła zeszyt ze szkicami, straciłaby wszystko – rozmarzyła się pani Downes. – Powinnaś zacząć szukać nowej pracy. Jestem pewna, że poszukiwania będą znacznie przyjemniejsze, gdy będziesz bogatsza o dwadzieścia gwinei.

Dwadzieścia gwinei. Tyle zarabia najlepsza pokojówka u wielkiej damy. Rocznie. Znacznie więcej niż najbardziej utalentowana szwaczka.

– Pięćdziesiąt – warknęła kobieta. – Taki zeszyt wart jest dla pani pięćdziesiąt. Nie zaryzykuję za mniej.

Pani Downes odetchnęła głęboko, prędko tworząc w myślach bilans zysków i strat.

– Niech będzie pięćdziesiąt. Ale musi tam być wszystko! Opisane w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli nie będę mogła zrobić dokładnych kopii tych sukien, nie dostaniesz ani pensa.

Pani Downes wypadła na ulicę, nie zamykając za sobą drzwi.

Szwaczka patrzyła za nią wrogo.

– Głupia jesteś jak but – wymruczała. – Nic nie będziesz w stanie uszyć, jeśli nie opiszę każdego szwu z osobna.

Brzęcząc monetami w kieszeni, zamknęła drzwi.

* * *

Paryż

Opera Włoska w środy była zamknięta, więc Clevedon udał się do Teatru Variétés, licząc na porcję dobrej rozrywki. Miał także nadzieję, że spotka tam madame Noirot.

Nie odnalazłszy jej w tłumie, szybko znudził się występem. Już chciał się udać wprost do Frascatiego, gdy przypomniał sobie, że Clara czeka na jego list. Nie napisał jej ani słowa o *Cyruliku sewilskim*, a przecież to jej ulubiona sztuka. Co więcej, nie wspominał także o targach wielkanocnych. A przynajmniej o tym, co chciał jej na ten temat napisać.

Został w loży i w skupieniu zapisał kilka zdań w niewielkim notatniku.

Oczywiście nie napomknął nawet o uwagach madame Noirot na temat stylu Clary czy raczej jego braku. Sądził, że w ogóle wyrzucił je z pamięci, a jednak odezwały się w nim teraz, jakby przeklęta krawcowa wszyła mu je w zakamarki umysłu.

Gdy widział Clarę ostatnim razem, była w żałobie po babce. Czerń z pewnością nie dodawała jej uroku. Krój sukni… Ach, do licha, była w żałobie! Któż się martwi o krój sukni, gdy wypłakuje oczy po ukochanej krewnej? Jest piękna, delikatna i urocza. Kocha ją taką, jaka jest, niezależnie od kroju jej sukien, i kochał ją, odkąd pamięta.

Gdyby jednak ubrał Clarę w suknię zaprojektowaną przez madame Noirot…

Clevedon wpatrywał się w scenę, lecz niczego nie dostrzegał. Oczyma wyobraźni ujrzał wspaniale odzianą narzeczoną i rozstępujący się przed nią tłum mężczyzn. Widział siebie u jej boku, szczycącego się takim klejnotem, budzącego zazdrość i zawiść.

Po kilku minutach ocknął się ze zdumieniem.

– Niech ją czart porwie – wymruczał. – Zatruła moją wyobraźnię! Wiedźma!

– Co się z tobą dzieje, przyjacielu?

Gaspard Aronduille wpatrywał się w Clevedona ze szczerą troską.

– Czy strój kobiety rzeczywiście ma znaczenie? – zapytał książę półprzytomnie.

Francuz odchylił się w fotelu i otworzył szeroko oczy.

– To jakiś żart? – zapytał.

– Bynajmniej. Odpowiedz, proszę. Czy suknia zdobi człowieka?

Aronduille pokręcił głową ze zdumieniem.

– Tylko Anglik może zadawać takie pytania.

– Zdobi?

– Ależ oczywiście!

– Tylko Francuz może twierdzić takie głupoty – prychnął Clevedon.

– Mam rację i zaraz ci to udowodnię.

Sztuka dawno się zakończyła, lecz ich dyskusja tylko się zaogniała. Aronduille dowodził swego zdania zarówno teoretycznie, jak i przywołując znane im obydwu damy z towarzystwa. Omawiali ich stroje ze szczegółami, dopóki nie stanęli w drzwiach kasyna.

Wokół stołu do ruletki kłębił się tłum. Clevedon nie dostrzegł żadnych dam, ruszył więc przed siebie, by przejść w głąb lokalu. Spojrzał ponad głowami zebranych tu dżentelmenów i zamarł.

Pomiędzy tłoczącymi się graczami ujrzał znajomy kształt ramion i kuszące plecy. Jej fryzura znów była trochę nieporządna, jakby chwilę wcześniej wyrwała się z objęć kochanka. Ciemny lok wysunął się z koka i muskał kark madame Noirot. Clevedon prześliznął wzrokiem po niesfornym kosmyku, wzdłuż ramienia hazardzistki aż do bufiastego rękawka sukni. Kreacja miała kolor głębokiej czerwieni i była skrojona zdumiewająco prosto, a jednocześnie wyzywająco. Przez chwilę czuł absurdalną pokusę, by zamówić obraz, na którym pyszniłyby się plecy madame Noirot wyeksponowane w czerwonej sukni.

Zatytułowałby go: *Wcielenie grzechu*.

Miał szaloną ochotę stanąć blisko niej, poczuć jej zapach i jedwab sukni ocierający się o jego nogi. Jednak nie byłby w stanie przebić się przez tłum, poza tym widział, że jest pochłonięta obracającą się ruletką. Obszedł stół, by spojrzeć na jej twarz. Natychmiast rozpoznał mężczyznę stojącego u jej boku. Markiz d’Emilien był znanym w mieście rozpustnikiem.

– Dwadzieścia jeden, czerwone nieparzyste! – zawołał krupier i popchnął w jej stronę stosik żetonów.

Emilien nachylił się do jej ucha i szepnął coś z uśmiechem.

Clevedon zacisnął zęby. Spojrzał na stół. Przed madame Noirot piętrzyły się stosy żetonów.

– Proszę obstawiać! – zawołał krupier i puścił w ruch kulkę. Krążyła z turkotem, powoli zwalniając.

Tym razem przegrała. Choć krupier zagarnął spory zasób żetonów, madame Noirot śmiała się i obstawiła po raz kolejny. W następnej turze Clevedon postawił na czerwone. Przegrał.

Madame Noirot wygrała. Krupier popchnął jego żetony w jej stronę. Markiz roześmiał się głośno, nachylił się i coś szepnął, niemal muskając wargami jej ucho. Odpowiedziała uśmiechem.

Clevedon zmienił stolik. Próbował sobie wmówić, że przyszedłby nawet wtedy, gdyby go tu nie zapraszała. Tłumaczył sobie, że sprytna krawcowa ugania się także za innymi mężami, chętnie płacącymi krocie za suknie swych żon. Emilien był bogaty, miał żonę, kochankę i trzy ulubione kurtyzany.

Przez pół godziny grał w czerwone i czarne. Wygrał więcej, niż przegrał, więc zabawa szybko przestała go ekscytować. Odszukał Aronduille’a.

– Strasznie tu dziś nudno – oświadczył. – Jadę do Palais Royal.

– Pojadę z tobą – ucieszył się Aronduille. – Zobaczmy, czy ktoś jeszcze nie ma chęci na przejażdżkę.

Podeszli do ruletki. Wciąż tam stała, odziana w czerwony jedwab, którego nie dało się zignorować. Markiz wciąż trwał u jej boku. Zanim Clevedon zmusił się do odwrócenia wzroku, podniosła na niego oczy. Zdawało mu się, że wpatrywali się w siebie przez całą wieczność, dopóki nie skinęła na niego wachlarzem.

Przecież przyszedłby do Frascatiego, nawet gdyby go nie zapraszała, zapewniał się w duchu. Przyszedł i ujrzał ją w towarzystwie. Nie przejął się tym. Paryż tętnił życiem i był pełen fascynujących dam. Mógłby po prostu skinąć jej głową albo uśmiechnąć się i wyjść.

Ale ona stała przed nim nieruchomo. Jak wcielony grzech. I kusiła.

Kątem oka widział też Emiliena. Książę Clevedon jeszcze nigdy nie oddał interesującej kobiety rywalowi.

Podszedł do nich.

– Ach, Clevedon. Domyślam się, że znasz madame Noirot? – powitał go Emilien.

– Dostąpiłem tego zaszczytu, owszem – zadrwił Clevedon, uśmiechając się do niej uroczo.

– Doszczętnie wyczyściła moje kieszenie – poskarżył się Emilien.

– Ruletka wyczyściła pana kieszenie – sprostowała madame Noirot.

– Nie, to pani. Ruletka zatrzymuje się pod pani wzrokiem.

Madame Noirot machnęła wachlarzem.

– Nie ma sensu się z nim kłócić – szepnęła do Clevedona. – Obiecałam, że pozwolę mu się odegrać. Jedziemy pograć w karty.

– Może masz ochotę do nas dołączyć? – wtrącił Emilien. – Razem z przyjaciółmi?

* * *

Udali się do dyskretnego, luksusowego salonu gier w prywatnym domu. Gdy weszli, w głównym pokoju toczyło się już kilka rozgrywek. Przed trzecią w nocy większość towarzystwa zdążyła się jednak rozejść. W małej alkowie grali jedynie Emilien, piękna blondwłosa madame Jolivel, madame Noirot i Clevedon. W fotelach pod ścianami spali mniej wytrzymali goście.

Przy ruletce, gdzie liczyło się wyłącznie szczęście, madame Noirot ciągle wygrywała. Gra w karty wymagała znacznie więcej umiejętności i doświadczenia. Markiz przegrywał już od godziny i coraz bardziej zapadał się w fotelu. Clevedon zgarniał wszystkie rozdania.

– Mam już dość – oświadczyła nagle madame Jolivel, wstając gwałtownie. Mężczyźni podnieśli się z miejsc.

– Ja też – burknął Emilien, rzucając karty na środek stołu, po czym wyszedł z pokoju.

Clevedon stał uprzejmie, czekając, aż madame Noirot się podniesie. Wreszcie miał ją dla siebie i marzył o chwili, kiedy będzie mógł ją odprowadzić. Dokądkolwiek.

– Zdaje się, że to koniec przyjęcia – stwierdził.

Noirot wlepiła w niego pociemniałe oczy.

– Myślałam, że dopiero początek.

Przetasowała karty i zaczęła rozdawać. Clevedon usiadł.

Grali w prostą wersję blackjacka, bez żadnych udziwnień. Książę uwielbiał tę grę. Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Kiedy jednak zostali sami, nie był już w stanie odczytywać sygnałów płynących od madame Noirot. Nie zdarzało jej się już uśmiechać zza wachlarza kart ani bębnić palcami po stole. Dopóki grali w większym

gronie, nie kryła się tak dokładnie. Teraz odnosił wrażenie, że gra z zupełnie inną osobą.

Wygrał pierwsze, drugie i trzecie rozdanie.

Potem Noirot zaczęła wygrywać wszystko. Z pełnym spokojem, bez najmniejszego mrugnięcia okiem zbierała przed sobą kolejne złote monety.

Rozdała karty.

– Wygląda na to, że szczęście mnie opuściło – stwierdził Clevedon.

– Tak to już jest ze szczęściem – oświadczyła sentencjonalnie.

– Chyba że grała pani ze mną w coś jeszcze, madame Noirot.

– Po prostu bardziej się skupiam na kartach. Zresztą wygrał pan ode mnie znacznie więcej. Staram się odzyskać pieniądze. W przeciwieństwie do pańskich, moje fundusze są znacznie ograniczone.

Clevedon pokiwał głową.

Spojrzała w karty i wybrała kilka monet, kładąc je na środku stołu. Clevedon spojrzał na karty. Dziewiątka kier.

– Podbijam.

Poprosiła o kolejną kartę, zerknęła na nią przelotnie.

Nic. Żadnego gestu, grymasu czy mrugnięcia. Nie mógł stwierdzić, czy dostała dobrą kartę. Clevedon długo musiał się uczyć takiej nieprzeniknionej postawy. Czyżby madame Noirot częściej ćwiczyła swoje umiejętności? A może miała po prostu cholerne szczęście? Wygrała wszak w ruletkę, jak sama podkreślała, grę polegającą wyłącznie na przypadku i szczęściu. Choć mężczyźni wciąż próbowali rozgryźć kolejność wypadających pól.

Wygrała kolejne rozdanie.

I jeszcze jedno.

Clevedon zaczął tasować, lecz madame Noirot nagłym ruchem zagarnęła monety.

– Nie jestem przyzwyczajona do tak późnej godziny. Już czas na mnie.

– Gra pani ze mną inaczej niż z innymi – zauważył książę.

– Doprawdy? – Zgarnęła z czoła niesforny lok.

– Zastanawiam się, czy ma pani po prostu szczęście, czy to coś więcej.

Oparła się wygodnie w fotelu i obdarzyła go uśmiechem.

– Jestem spostrzegawcza – wyznała. – Widziałam już wcześniej, jak pan grał.

– I z początku pani przegrywała.

– Najwyraźniej pana urok mnie rozproszył. Teraz już się przyzwyczaiłam. No i potrafię odczytać sygnały, które pan bezwiednie wysyła.

– Zdawało mi się, że nie wysyłam żadnych sygnałów.

Machnęła dłonią.

– Istotnie, bardzo się pan pilnuje. Niełatwo mi było pana rozszyfrować, a gram w karty od dziecka.

– Doprawdy? – uśmiechnął się. – Sądziłem, że kupcy są szanowanymi obywatelami i raczej nie parają się hazardem.

– Nie świadczy to dobrze o pana zmyśle obserwacji. U Frascatiego spotykają się zarówno bogaci kupcy, jak i zwykli sprzedawcy. Lecz dla dżentelmenów z pana sfery są po prostu niewidzialni.

– Wiele można o pani powiedzieć, lecz z pewnością nie to, że jest pani niewidzialna.

– Myli się pan – parsknęła. – Kilka razy minęłam pana o pół kroku i nie obdarzył mnie pan nawet spojrzeniem.

– To niemożliwe! – żachnął się Clevedon.

Przetasowała karty błyskawicznym ruchem wytrawnej hazardzistki.

– Sprawdźmy… W sobotę około czwartej odbywał pan przejażdżkę po Lasku Bulońskim z przystojną damą. W poniedziałek o siódmej siedział pan w sąsiedniej loży w Królewskiej Akademii Muzycznej. We wtorek tuż po dwunastej spacerował pan po galeriach Palais Royal.

– A podobno to nie z mojego powodu przyjechała pani do Paryża – zadrwił. – A jednak śledzi pani wszystkie moje ruchy.

– Bynajmniej. Śledzę modne damy, które odwiedzają wciąż te same miejsca. Pana zaś trudno nie zauważyć.

– Podobnie jak pani.

– To zależy od tego, czy chcę być zauważona, czy raczej pozostać w ukryciu – wyjaśniła. – Kiedy chcę być dyskretna, nie stroję się w taki sposób. – Pełnym gracji gestem wskazała czerwoną suknię. Jego diamentowa szpilka lśniła w głęboko wyciętym dekolcie. Noirot rozłożyła karty w perfekcyjny łuk, oparła łokcie na stoliku. – Dobra stylistka potrafi ubrać każdą damę – stwierdziła. – Czasem ubieramy damy, które z rozmaitych powodów pragną nie zwracać na siebie uwagi. – Oparła brodę na złączonych dłoniach. – To, że nie dostrzegł mnie pan w żadnym

z wymienionych miejsc, powinno panu udowodnić, że jestem najlepszą krawcową na świecie.

– Czy z panią można rozmawiać wyłącznie o interesach? – zapytał.

– Muszę jakoś zarobić na życie – odparła, omiatając znaczącym spojrzeniem alkowę i arystokratów śpiących w najdziwaczniejszych pozach na fotelach i podłodze. Nic nie powiedziała, lecz jej wzrok mówił nazbyt wiele.

Poczuł się do głębi urażony, w innym wypadku udawałby, że nie rozumie. Wszak z tymi ludźmi spędzał swoje życie! To byli jego przyjaciele i jej drwiący uśmiech był nad wyraz irytujący.

– W przeciwieństwie do mnie i reszty mojego towarzystwa, chciała pani powiedzieć? Mieszczanie i ich samouwielbienie!

Wzruszyła ramionami. Bezwiednie spojrzał na obojczyki madame Noirot, rysujące się wyraźnie pod gładką jak atłas skórą.

– Owszem, jesteśmy też nudziarzami, myślącymi wiecznie o pieniądzach.

Zebrała monety i wrzuciła je do torebki, dając mu do zrozumienia, że wieczór właśnie się skończył.

Clevedon wstał, by odsunąć jej fotel. Podniósł z oparcia szal i owijając jej ramiona, musnął palcami gładką skórę. Westchnęła cicho. Clevedona przeszył dreszcz. Natychmiast zapomniał o irytacji, napawając się nagłym triumfem, którego nie powinien wszak czuć po zwykłym dotknięciu ramienia kobiety jej stanu! Jednak madame Noirot była tak niedostępna i tak tajemnicza, że nawet to ciche westchnienie zdawało mu się wielkim sukcesem.

Choć wszyscy wokół spali, pochylił się ku niej i szepnął:

– Nie powiedziała mi pani jeszcze, gdzie się spotkamy. Za pierwszym razem wskazała pani Longchamp. Za drugim Frascatiego. A dziś?

– Jeszcze nie wiem. – Odsunęła się odrobinę. – Jutro, czy też raczej dziś wieczorem, muszę wziąć udział w balu księżnej de Chirac. Obawiam się jednak, że uzna pan to towarzystwo za zbyt… staroświeckie.

Clevedona zamurowało. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że gapi się na nią jak wół na malowane wrota. Zawstydził się i zaczął udawać, że wcale go to nie zainteresowało, jednak przypomniał sobie, jak bystrą jest obserwatorką, i nie miał wątpliwości, że z łatwością odczytała oznaki jego

zdumienia. Musiał przyznać, że była bardzo zaskakująca. Wiedział, że nie różni się niczym od tych mężczyzn, którzy na jej widok wpadali na latarnię.

Zapytał, ważąc słowa i spodziewając się, że się po prostu przesłyszał:

– Ma pani zaproszenie na bal u księżnej de Chirac?

Madame Noirot poprawiła szal na ramionach.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale pójdzie pani. Bez zaproszenia.

Spojrzała na niego z błyskiem w oczach.

– Jakżeby inaczej.

– A gdyby tak nie pchać się, gdzie pani nie proszą?

– Jest pan niedorzeczny. Przecież to najważniejsze wydarzenie towarzyskie sezonu!

– Jest to również najbardziej hermetyczne wydarzenie – żachnął się Clevedon. – Będzie tam sam król! Arystokraci knują, spiskują i wkupują się w łaski od miesięcy, byle tylko otrzymać to zaproszenie. Czy nie dociera do pani, że niezaproszony gość będzie widoczny jak na dłoni?

– Czyż nie krążyłam wokół pana wielokrotnie bez zwracania na siebie uwagi? – zapytała. – Uważa pan, że nie potrafię udać się na bal i pozostać niewidoczną?

– Nie na tym balu – odparł stanowczo. – No, chyba że planuje pani udać się tam w przebraniu służącej.

– A cóż w tym zabawnego?

– Nie ma pani szans dostać się na ten bal – oświadczył z mocą Clevedon. – Natychmiast panią odkryją! Jeśli będzie pani miała szczęście, wyrzucą panią na ulicę. Z madame de Chirac nie należy zadzierać. Jeśli nie rozbawi jej ta przygoda, a przysięgam, że niełatwo ją rozśmieszyć, uzna panią za zamachowca! – Ostrzeżenie bynajmniej nie było na wyrost. W towarzystwie wciąż krążyły plotki o rewolucji. – Wtrącą panią do lochu i zrobią wszystko, żeby nikt tam pani nie odnalazł. W najgorszym wypadku nawiąże pani osobistą relację z madame Gilotyną. I w tym nie widzę nic zabawnego.

– Nie zauważą mnie – odrzekła z uporem.

– Jest pani szalona.

– Będą tam najbogatsze damy Paryża! – uniosła się. – W kreacjach najlepszych paryskich stylistek! To w zasadzie najważniejsza bitwa na suknie w sezonie. Muszę to zobaczyć!

– Nie może pani stać na chodniku i patrzeć, jak wchodzą do pałacu?

Zadarła dumnie głowę i spojrzała na niego wrogo. W ciemnych oczach zalśnił żar emocji, jednak jej głos był chłodny i wyniosły, jakby sama była księżną.

– Mam stać i się gapić jak dziecko przy wystawie cukiernika? Nie sądzę. Mam zamiar dokładnie obejrzeć te suknie, przestudiować je ze szczegółami. Podobnie jak fryzury i biżuterię. Taka sposobność nie nadarza się każdego dnia. Planowałam to przez długie tygodnie.

Już wcześniej wyznała mu, że jest stanowcza i zdeterminowana. Potrafił to zrozumieć. Zdawał sobie sprawę z tego, że ubieranie Clary mogło się okazać niebywale lukratywne. Zwłaszcza jeśli – jak celnie zauważyła Noirot – jego narzeczona nie miała zbyt trafnie dobranej garderoby. Jednak podejmowanie takiego ryzyka nie mieściło mu się w głowie. Planowała się wedrzeć na bal najbardziej wybrednej towarzysko damy w Paryżu! W dodatku w niespokojnych czasach, gdy wszyscy podejrzewali wszystkich o udział w spiskach, a sądy pękały w szwach podczas rozpraw przeciwko zdrajcom monarchii.

To było czyste szaleństwo i musiała mieć tego świadomość.

Tymczasem madame Noirot wygłosiła swą obłąkaną wizję głosem chłodnym i spokojnym, z jasnym czołem i spojrzeniem czystym jak jezioro. Dlaczego go to dziwi? Przecież to hazardzistka! Ta gra najwyraźniej jest dla niej warta świeczki.

– Zapewne udało się pani wśliznąć na rozmaite przyjęcia i nie wzbudzić niczyjego niepokoju, jednak nie tym razem – powtórzył.

– Boi się pan, że zauważą, iż jestem nikim? – zadrwiła. – Nie wierzy pan, że mogę ich okpić? Że umiem sprawić, by widzieli we mnie to, co pragnę, żeby zobaczyli?

– Inni arystokraci – być może. Nie madame Chirac. Nie ma pani szans.

W głębi ducha wierzył, że ma szanse, jednak celowo ją drażnił, by zburzyć jej zimny spokój.

– Rozumiem, że uwierzy pan dopiero, kiedy ujrzy to pan na własne oczy – stwierdziła. – To znaczy, o ile został pan zaproszony.

Spojrzał na diamentową spinkę, puszczającą do niego oko z dekoltu czerwonej sukni. Madame Noirot oddychała szybciej niż jeszcze kilka minut temu.

– Wiem, że to zdumiewające, ale owszem, zostałem zaproszony. Zdaniem księżnej de Chirac my, Anglicy, jesteśmy zupełnie innym, odległym gatunkiem, ale z jakiegoś powodu ma do mnie słabość. To pewnie przez te wyszukane francuskie imiona, jakimi uszczęśliwili mnie rodzice.

– Zatem do zobaczenia – ucięła Noirot i ruszyła ku drzwiom.

– Mam nadzieję, że jednak nie. Nie chciałbym widzieć pani w kajdanach, nawet jeśli miałoby to ożywić ten koszmarnie nudny wieczór.

– Ma pan wybujałą wyobraźnię – uznała. – Moim zdaniem w najgorszym wypadku po prostu mnie nie wpuszczą. Nie będą przecież chcieli robić scen przy motłochu kłębiącym się u drzwi. Wszak ów motłoch mógłby zapragnąć stanąć po mojej stronie.

– Wprost niedorzecznie się pani upiera. To ogromne ryzyko. A wszystko to dla jakiegoś sklepiku.

– Niedorzecznie – powtórzyła cicho. – Dla jakiegoś sklepiku.

Podniosła głowę i przez chwilę błądziła wzrokiem po driadach i satyrach uganiających się za sobą po suficie alkowy. Gdy spojrzała na niego, wzrok miała spokojny i jasny, lecz jej piersi unosiły się prędko. Była wściekła, ale doskonale panowała nad gniewem. Zastanowił się przelotnie, jak wspaniale by wyglądała, gdyby pozwoliła sobie wybuchnąć.

– Ten sklepik utrzymuje mnie przy życiu – oznajmiła chłodno. – I nie tylko mnie. Nie ma pan pojęcia, jak to jest stanąć na obcym brzegu i próbować otworzyć biznes w obcym mieście. Jak trudno jest przebić się z własną ofertą wśród wielkich magazynów, zwłaszcza gdy te są zacofane i mają przestarzałe modele. Nawet nie ma pan pojęcia, komu musiałyśmy stawić czoło. Nie tylko innym stylistkom, które bywają okrutne i podłe, muszę przyznać. Także arystokratkom, które są zwykle zaślepione, zaskorupiałe i bezwolnie podążają utartymi ścieżkami. Francuskie prababcie ubierają się z większym polotem niż wasze wielkie damy. Żyjemy niemal jak na wojnie i dlatego, owszem, myślę wyłącznie o pracy i owszem, staram się wszelkimi sposobami podnieść prestiż mojego butiku. Więc gdyby wyrzucono mnie na ulicę lub wtrącono do więzienia, zapewne myślałabym wyłącznie o tym, jak wykorzystać to w reklamie.

– Dla sukien – wtrącił Clevedon. – Nie wydaje się to pani absurdalne ryzykować tak wiele, skoro jak sama pani twierdzi, Angielki są ślepe na styl? Dlaczego nie da im pani tego, czego chcą?

– Bo mogę sprawić, że staną się ikonami mody! – wykrzyknęła. – Niezapomniane! Oszałamiające! Już do tego stopnia nie dba pan o życie? Czy nic nie ma dla pana takiego znaczenia, by dążyć do celu, nie dbając o przeciwności losu? Ach, na litość boską, o co ja pytam?! Przecież gdyby miał pan jakiś cel w życiu, to dążyłby pan do niego, zamiast trwonić czas w Paryżu!

Powinien był przewidzieć, że wybuchnie. Był jednak tak zauroczony jej namiętnością i pasją, że nie przygotował się na celny cios. Oczyma wyobraźni zobaczył ciasny, duszny i nudny świat, od którego uciekł. Bezcelowe życie, które usiłował wypełnić płytką rozrywką. Przypomniał sobie głos lorda Warforda: „Wygląda na to, że chcesz roztrwonić życie”.

Poczuł falę wstydu i zaraz potem gniew. Ugodziła go w czuły punkt.

Odpowiedział bez namysłu:

– Ma pani rację, życie jest dla mnie wyłącznie rozrywką. Proponuję więc zakład: ostatnia partia blackjacka. Jeśli pani wygra, zabiorę panią ze sobą na bal do księżnej de Chirac.

W jej oczach zalśniły iskry. Gniewu czy dumy, nie potrafił stwierdzić i w zasadzie w ogóle o to nie dbał.

– Widzę, że z pana nienasycony szuler. Zakład za zakładem – prychnęła. – Ciekawe, co też próbuje mi pan udowodnić? Chwileczkę, przecież pan w ogóle się nad tym nie zastanowił, nieprawdaż? Nie zadał pan sobie nawet trudu, by pomyśleć, co powiedzą pana znajomi!

Clevedon prawie jej nie słyszał. Chłonął wzrokiem sygnały toczącej się w niej walki. Twarz madame Noirot na zmianę bladła i oblewała się rumieńcem. Jej oczy miotały iskry, a piersi falowały od gwałtownego oddechu. Poza tym nie mógł jej wybaczyć ostrych słów.

– Niczego nie chcę pani udowadniać – warknął. – Chcę tylko, żeby pani przegrała to rozdanie. A kiedy pani przegra, otrzymam od pani pocałunek.

– Pocałunek sklepikarki! – roześmiała się głośno. – Cóż za nędzna wygrana dla Waszej Wysokości!

– Prawdziwy pocałunek nie może być nędzny, madame Noirot – oświadczył dobitnie Clevedon. – Nie wykpi się pani cmoknięciem w policzek. Ma to być pocałunek, jaki otrzymałby mężczyzna, któremu się pani poddaje. – Jeśli nie będzie w stanie oszołomić jej pocałunkiem, może równie dobrze wracać do Londynu już tej nocy. – Biorąc pod uwagę pani bezcenną reputację, wiem, że to poważny zakład.

Jego rozmówczyni w mgnieniu oka przyoblekła swą twarz w zwykłą maskę. Piękną, chłodną, iście królewską. Clevedon dojrzał jednak cień toczącej się wewnętrznej walki. Nie mógłby teraz zrezygnować, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

– Nie przeraża mnie to – rzekła. – Czyżby już pan zapomniał? Nie ma pan ze mną szans.

– W takim razie nie ma pani nic do stracenia. A może pani wygrać łatwe wejście na najbardziej strzeżony i najnudniejszy bal w Paryżu.

Pokiwała z politowaniem głową.

– Doskonale. Proszę tylko pamiętać, że pana ostrzegałam.

Usiadła za stolikiem. Clevedon zajął miejsce naprzeciwko.

– Niech pan wybierze grę – rzuciła. – Jaką pan chce. To nie ma znaczenia. I tak wygram, i będzie to niebywale zabawne.

Popchnęła talię w jego stronę.

– Proszę rozdać.

* * *

W czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej arystokratyczny dziadek Marcelline zachował głowę, bo potrafił zachować zimną krew. Po ucieczce do Anglii przyjął nazwisko Noirot i przekazał kolejnym pokoleniom przede wszystkim umiejętność opanowania i bezwzględną praktyczność w podejściu do życia.

Rzecz jasna, Marcelline była kobietą pełną pasji i namiętności. Było to zresztą typowe dla członków jej rodziny. Potrafiła to jednak doskonale ukryć. Długo uczyła siostry tej umiejętności. Sama najwyraźniej urodziła się z tym darem.

Musiała przyznać, że bezmyślne uwagi Clevedona o jej butiku doprowadziły ją do furii. Przez chwilę miała wrażenie, że krew zawrzała jej w żyłach. Owszem, była to krew zatruwana w całej Europie przez jej licznych krewnych, lecz wciąż błękitna! Na szczęście siostrom udało się zerwać kontakty z resztą szemranej familii. Jednak szemrana czy nie, jej rodzina miała równie stare korzenie jak Clevedonowie. Szczerze wątpiła w świętość wszystkich jego przodków. Różniło ich jedynie to, że był bogaty

i nie musiał się martwić o żadną sumę, ona zaś musiała zarobić na każdy posiłek.

Czuła, że kolejny zakład jest absurdalny. Że niepotrzebnie dała się sprowokować. Wszak wszystkie klientki patrzyły na nią z góry i traktowały ją tak, jakby była ślepa i głucha. Arystokracja uważała sklepikarki za specyficzny rodzaj służących. Marcelline zwykle widziała w tym wygodne i przydatne zaślepienie, czasem nawet zabawne.

Lecz Clevedon…

Ach, nieważne! Teraz musiała się zastanowić, czy pozwolić mu wygrać, czy pokonać go z uśmiechem na twarzy.

Duma nie pozwalała jej przegrać. Chciała go zmiażdżyć, rozgromić jego próżność i skłonność do wywyższania się.

Jednak wygrana nie była wcale jej celem. Nie mogła przecież wejść na bal do księżnej de Chirac u boku księcia Clevedona! To wywołałoby masę plotek i niewybrednych komentarzy, a na to zdecydowanie nie mogła sobie pozwolić.

A jednak nie potrafiła po prostu dać mu wygrać.

– Blackjack – odezwał się Clevedon. – Gramy kolejne rozdania, ale do samego końca nie pokazujemy kart. Na koniec odsłaniamy karty i ten, kto wygrywa najwięcej, jest zwycięzcą.

Jeśli nie będą widzieć kart po każdym rozdaniu, trudniej będzie ocenić ostateczny wynik.

Lecz Marcelline umiała odczytać jego sygnały, on zaś nie potrafił odczytać jej. Ponadto gra, którą zaproponował, przebiega bardzo szybko. Niebawem będzie mogła ocenić, czy książę gra rozsądnie, czy z szaleństwem w oczach.

Pierwsze rozdanie. Dostała z ręki asa karo i waleta kier. Jednak książę też nie dobrał kart, co do tej pory mu się nie zdarzało, jeśli nie uzbierał siedemnastu punktów. W następnym rozdaniu wzięła asa kier, czwórkę i trójkę. W kolejnym uzbierała siedemnaście punktów na treflach. Potem z ręki as pik i król kier. A następnie dama kier i dziewiątka karo.

Grali. Clevedon często dobierał trzecią kartę. Był jednak bardzo skupiony i nie udawało jej się dostrzec błysku w zielonych oczach, który świadczyłby o tym, że wyciągnął złą kartę.

Czuła, jak z każdym rozdaniem coraz mocniej bije jej serce, choć karty miała dobre. Trzy razy uzbierała z ręki dwadzieścia jeden. Pozostałe

rozdania też nie były dużo gorsze. Jednak książę grał tak spokojnie i uważnie, że nie potrafiła ocenić, czy i jego rozdania nie szły równie korzystnie.

Rozegrali karty w dziesięciu rozdaniach.

Odwracali je prędko i z uśmiechem, oboje pewni wygranej. Marcelline wystarczył jeden rzut oka, by ocenić, że wygrała co najmniej cztery rozdania, a w jednym był remis. Zresztą nie musiała patrzeć na karty, by widzieć, kto wygrał. Spoglądała z satysfakcją na księcia, który w całkowitym skupieniu porównywał rozłożone karty. Wydawał się speszony, zawstydzony, wręcz przerażony.

Trwało to zaledwie moment i już był sobą, swobodnym elegantem, przekonanym, że świat należy do niego. Jednak przez tę chwilę Marcelline dostrzegła w nim chłopca, jakim był przed laty, i ogarnął ją żal. Że spotkali się dopiero teraz, że dzielą ich całe światy, że nie miała szansy poznać go, zanim stracił swą dziecięcą niewinność.

Clevedon spojrzał na nią i ujrzała w jego oczach – wreszcie! – zrozumienie, w jaką kabałę się wpakował. Zamrugał gwałtownie. Jeśli nawet czuł się pogrążony, nie zamierzał dać jej satysfakcji. Podobnie jak ona, był mistrzem w ukrywaniu uczuć. Miała jednak nadzieję, że zastanowi się nad tym jeszcze raz. Czuła, że musi mu w tym pomóc.

– Zachował się pan nierozważnie, Wasza Wysokość – powiedziała cicho. – Kolejny szalony zakład. Jednak tym razem położył pan na szalę zbyt wiele.

Swą dumę. Najcenniejszą rzecz dla dżentelmena.

Książę wzruszył ramionami i zebrał karty. Widziała, że maskuje niepokój.

Przyjaciele widzieli go w operze w loży podstarzałej aktorki, proszącego o prezentację damie, która jej towarzyszyła. Emilien słyszał, że jest stylistką z Londynu, i już jutro cały Paryż będzie wiedział, że jest nikim. Ani zagraniczną aktorką, ani ekskluzywną kurtyzaną, ani – niestety – arystokratką z jakiegoś odległego kraju.

Co sobie pomyślą, kiedy zobaczą ją u jego boku? Prawdopodobnie w ogóle nie poszedłby na ten bal, a tymczasem pojawi się w towarzystwie niechcianego gościa, zwykłej sklepikarki!

– Nie ma większych hipokrytów niż arystokraci – stwierdziła. – Nie wzbraniacie się przed uwodzeniem kobiet z niższych sfer. Bierzecie je sobie

na własność, ale nie bierzecie ich ze sobą, idąc na przyjęcie. To nie do pomyślenia. Wszyscy uznają, że stracił pan rozum, mój książę. Że pana ośmieszyłam. Usidliłam niegodnym sposobem. Będą się z pana natrząsać.

– Doprawdy, madame? – Zbył ją wzruszeniem ramion. – Przynajmniej zapowiada się jakieś widowisko, które rozrusza te gnuśne tłumy. Ubierze się pani na czerwono?

Marcelline wstała. Clevedon natychmiast się podniósł. W każdej sytuacji potrafił zachować dobre maniery.

– Jest pan dzielny, Wasza Wysokość – rzekła z uśmiechem. – Widzę to i doceniam. Lecz wiem też, że jest pan bystry i musi się teraz gryźć w język za niewczesne słowa. Jestem uczciwa i łaskawa z natury, więc zwalniam pana z zakładu, którego konsekwencji pan nie przemyślał. Wszak jest pan mężczyzną i wiadomo nie od dziś, że w pewnych sytuacjach mężczyźni myślą zgoła innym organem niż mózg.

Wzięła torebkę i poprawiła szal, przypominając sobie wstrząsające wrażenie, jakie zrobił na niej dotyk jego palców na nagim ramieniu. Potrząsnęła głową, odganiając wspomnienie, i ruszyła ku drzwiom.

– *Adieu* – rzuciła. – Wierzę, że kilka godzin snu przywróci panu rozsądek i pozostaniemy przyjaciółmi. W takim wypadku mam nadzieję, że zobaczymy się w piątek. Może na przechadzce po Quai Voltaire?

Clevedon odprowadził ją do drzwi.

– Jest pani niezwykła, doprawdy – wyznał. – Nie przywykłem do tego, że kobieta mi rozkazuje.

– My, mieszczki, tak już mamy – odparła. – Żadnego taktu ani finezji. Jesteśmy… przedsiębiorcze.

Wyszła na ciemny korytarz. Z niektórych alków dobiegały szmery. Grano tam jeszcze. Z innych dało się słyszeć chrapanie. Przede wszystkim słyszała jednak jego kroki, tuż za nią, a potem obok.

– Zraniłem pani uczucia – odezwał się nagle Clevedon.

– Jestem stylistką – odrzekła. – Moimi klientami są kobiety, głównie z wyższych sfer. Jeśli planuje pan zranić moje uczucia, musi pan się wznieść na poziom, jakiego może pan nie być w stanie ogarnąć umysłem.

– A jednak sprawiłem pani przykrość – upierał się. – Chciała pani ubierać moją księżną i mimo że jeszcze nie powiedziałem „nie”, przestała pani o tym wspominać. Moim zdaniem, poddała się pani.

– Nie docenia mnie pan. Ja nigdy się nie poddaję.

– Dlaczego zatem odsyła mnie pani do diabła?!

– W żadnym wypadku – zaprzeczyła spokojnie. – Jedynie zwolniłam pana z zakładu, co jest przywilejem wygranego. Gdyby myślał pan trzeźwo, wiem, że nigdy by go pan nie zaproponował. Gdybym nie pozwoliła się sprowokować. Nie powinnam była się na to godzić. To wszystko. Oboje postąpiliśmy niewłaściwie. Czas, by zorganizował pan powozy dla przyjaciół, drogi książę. Mam przed sobą długi dzień i nie mogę, niestety, spędzić go na dochodzeniu do siebie po zarwanej nocy.

– Boi się pani – stwierdził.

Zatrzymała się raptownie i spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się bezczelnie.

– Co takiego? – syknęła.

– To pani się boi, co ludzie powiedzą. Co powiedzą o pani i jak się będą zachowywać. Chętnie wśliźnie się tam pani jak zwykła złodziejka, mając nadzieję, że nikt nie zwróci na panią uwagi. Ale przeraża panią myśl o wejściu tam ze mną i ściągnięciu na siebie uwagi wszystkich gości.

– Z przykrością rozwieję pana złudzenia, Wasza Wysokość, lecz to, co mówią arystokraci, ma znaczenie wyłącznie dla innych arystokratów, nie dla mieszczan. Mam nadzieję, że nikt nie zwróci na mnie uwagi, tak jak szpieg ma nadzieję, że nikt go nie odkryje. Zdaje się, że nie dostrzega pan również, że wśliźnięcie się niepostrzeżenie i opuszczenie balu, na który nie miało się zaproszenia, jest zabawą znacznie lepszą niż wejście tam przez frontowe drzwi.

Ruszyła przed siebie spokojnym krokiem, lecz przyspieszony oddech zdradzał targające nią emocje. Wspaniale kontrolowała swoje reakcje, a jednak już raz dała się sprowokować. Chciała jedynie opiekować się garderobą jego żony, tymczasem wdała się z nim w dwuznaczną grę. Marcelline sama już nie wiedziała, czy przypadkiem nie dała się złapać w sieć zauroczenia. Czy jej rozsądku nie zaćmiła jego piękna twarz, niewinne minki i pozornie przypadkowe muśnięcia.

– Tchórz – wycedził za nią Clevedon.

Słowo odbiło się echem w pustym korytarzu.

Tchórz? Miała dwadzieścia jeden lat, gdy ruszyła do Londynu z garścią monet w kieszeni, chorą córką i dwiema młodszymi siostrami. Postawiła wszystko na jedną kartę. I miała odwagę za tym podążać.

Zatrzymała się na chwilę, odwróciła i ruszyła ku niemu stanowczym krokiem.

– Tchórz – szepnął książę miękko.

Marcelline upuściła torebkę, chwyciła go za fular i przyciągnęła ku sobie. Zdumiony Clevedon pochylił głowę. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.

Rozdział 4

Butik Clark oferuje paniom najnowsze modele prosto z Paryża. Szyjemy najmodniejsze suknie, proponujemy także kapelusze i dodatki. Szanownym klientkom zapewniamy fachową obsługę i wiele dowodów uznania.

Reklama butiku Clark z lipca 1807 roku w magazynie „La Belle Assemblée”

Niespodziewany pocałunek madame Noirot nie miał nic wspólnego z poddaniem się. Przypominał raczej siarczysty policzek.

Jej wargi spadły gwałtownie na jego usta i rozchyliły się śmiało, w ułamku sekundy biorąc w posiadanie wszystkie zmysły Clevedona. Jakby byli już kiedyś, dawno temu, kochankami, a teraz szczerze się nienawidzili i te dwa przeciwstawne uczucia stopiły się w jedno. Mogą wyłącznie kochać się lub walczyć.

Trzymała jego twarz w silnym uścisku. Gdyby zatopiła paznokcie w jego policzkach, nie zrobiłoby to już większego wrażenia. To był ten rodzaj pocałunku.

Napierała na księcia miękkimi wargami, splatała język z jego językiem, jak w pojedynku. Czuł się oszołomiony jej ustami. Smakowała jak brandy, ciemne, wypalane, stuletnie brandy. Jak zakazany owoc.

Jak kłopoty.

Zareagował instynktownie, odpowiadając jej w takim samym duchu napaści i rywalizacji, choć czuł, że kolana się pod nim uginają i wiruje mu w głowie. Kuszące krągłości madame Noirot emanowały cudownym ciepłem. Clevedon nie był w stanie zebrać myśli, jednak jego ciało ze zdwojoną wrażliwością wychwytywało każdy sygnał: smak jej ust, zapach skóry, sprężystość piersi i szelest jedwabnej sukni ocierającej się o jego spodnie.

Serce łomotało mu w piersi, krew zawrzała w żyłach. Oplótł ją ramionami i ułożył dłonie na gładkich plecach, tuż nad ozdobionym koronką głębokim wycięciem sukni. Po chwili przesunął dłonie niżej, ogarniając silnymi dłońmi łuk talii i krągłość pośladków. Przyciągnął ją do nabrzmiałej męskości, dającej się wyczuć przez kilka warstw materiału. Jęknęła głucho.

Puściła twarz księcia, muskając jego szyję, zsunęła dłonie po torsie i w dół, w stronę umięśnionego brzucha. Clevedon wstrzymał oddech, wyczekując dotknięcia.

Madame Noirot odepchnęła go z mocą. Choć włożyła w to dużo siły, z pewnością nie zdołałaby go ruszyć, gdyby nie był tak obezwładniony pieszczotami. Zaskoczony osunął się na ścianę.

Roześmiała się cicho i podniosła torebkę z podłogi. Odgarnąwszy z czoła zmierzwione loki, poprawiła z gracją szal.

– To będzie zabawa na sto dwa – parsknęła. – Nie mogę się już doczekać. Przemyślałam to i nie mogłabym sobie życzyć niczego lepszego, Wasza Wysokość, niż pana towarzystwo na balu madame de Chirac. Proszę mnie odebrać z hotelu Fontaine punktualnie o dziewiątej. *Adieu*.

Odeszła ku drzwiom, chłodna i wyprostowana jak królowa.

Nie poszedł za nią.

To było wspaniałe wyjście i nie chciał go zepsuć.

A przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

Stał przez chwilę, odzyskując świadomość i panowanie nad ciałem. Z trudem stłumił wewnętrzne rozedrganie. Czuł się tak, jakby podszedł za blisko przepaści i z trudem uchronił się przed upadkiem z urwiska.

Choć, rzecz jasna, nie było żadnej przepaści, żadnego zagrożenia. Brzmiało to zbyt absurdalnie. Przecież to tylko kobieta! Pociągająca, namiętna i zabawna, to prawda. Był z pewnością zaciekawiony i poruszony, ale to dlatego, że od dłuższego czasu nie spotkał nikogo w tym guście.

Wrócił do alkowy, by odszukać zalegających tam pokotem przyjaciół i odesłać ich do domów. Wiedział, że nigdy nie zrobiłby tego z własnej woli. Że dyktuje mu to cichy głos podświadomości, wskazujący, że nie ma nic lepszego do roboty niż pozbieranie ciał arystokratów poległych w walce z kartami i alkoholem.

Po jakimś czasie, gdy uznał, że jednak nie zaśnie, wstał i zaczął pisać list do Clary. Szybko stwierdził, że pisać też nie da rady. Nie mógł sobie

przypomnieć ani opery, ani spektaklu w teatrze. Zdawało mu się, że był tam całe wieki temu i że skupiał się jedynie na madame Noirot. Zerknął do notatek o *Cyruliku*, ale wydały mu się płytkie i bezbarwne.

Jedyne jasne i wyraźne myśli dotyczyły Noirot i balu u księżnej de Chirac, głupiego zakładu, który znowu przegrał, i zagadki, którą musiał prędko rozwiązać: jak pójść na bal z przeklętą krawcową, nie tracąc godności, dobrego imienia i reputacji.

* * *

Gdy Marcelline dotarła wreszcie do hotelu, zastała Selinę Jeffreys kiwającą się w fotelu przy kominku. Delikatna, krucha blondynka była ich najmłodszą szwaczką, uratowaną niedawno z przytułku dla panien po przejściach, bardzo wrażliwą i rozsądną zarazem. Z tego powodu Marcelline wybrała ją do roli pokojówki na czas podróży do Paryża. Dama podróżująca z pokojówką budziła zawsze większy szacunek niż samotna wędrowniczka.

Frances Pritchett, najdłużej pracująca dla niej szwaczka, zapewne wciąż miała żal, że została w Londynie. Jednak w czasie zeszłorocznej podróży okazało się, że nie potrafi grać roli pokojówki szlachetnej damy. Z pewnością nie czekałaby w fotelu na powrót Marcelline, chyba żeby ponarzekać na Francuzów w ogóle, a na obsługę hotelu – w szczególności.

Jeffreys obudziła się, gdy tylko Marcelline dotknęła jej ramienia.

– Obudź się, głuptasie. Przecież mówiłam, żebyś nie czekała.

– Ale kto pomógłby się pani rozebrać, madame?

– Położyłabym się w ubraniu – uspokoiła ją Marcelline. – Nie pierwszy już raz.

– Och nie, madame! – przeraziła się dziewczyna. – W takiej pięknej sukni?

– Już nie tak pięknej – sprostowała szefowa. – Pogniotła się i przesiąkła dymem cygar i zapachami perfum mnóstwa obcych ludzi.

– Tym bardziej należy ją zdjąć. Musi być pani wyczerpana. Targi, spacer, a potem pół nocy na nogach.

Selina towarzyszyła Marcelline na targach i na dany znak błyskawicznie się ulotniła. To także różniło ją od panny Pritchett. Nie miała nic przeciwko pozostawaniu w cieniu. W zupełności wystarczało jej to, że przebywa w innym mieście i może się przyglądać elegancko ubranym bogaczom, ich pięknym koniom i kosztownym powozom.

– Muszę być tam, gdzie najmodniejsi – westchnęła Marcelline.

– Nie wiem, jak oni mogą zarywać każdą noc.

– Po prostu nie muszą rano iść do pracy.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Racja.

Była szybka, ale staranna i uważna. W mgnieniu oka wyswobodziła Marcelline z czerwonej sukni i podała wyczarowaną skądś gorącą wodę. Na kąpiel trzeba będzie zaczekać do południa, tymczasem Marcelline z wdzięcznością zmyła z dłoni i twarzy drażniący zapach hazardu.

Jeden zapach i smak nie dawał się jednak tak łatwo przegonić. Choć wyszorowała mydłem twarz i umyła zęby, jej ciało doskonale pamiętało zaskoczenie Clevedona, jego szybko narastające podniecenie, śmiałe pocałunki i nieugaszone pragnienie, które wzbudził w niej prostym przesunięciem dłoni od talii do bioder.

Rzucanie mu się w ramiona było bardzo nierozsądne, ale czy miała jakiś wybór? Spoliczkować go? Banalne. Uderzyć pięścią? Ciało miał tak umięśnione, szczęki twarde i uparte. Zraniłaby się tylko i wzbudziła jego śmiech.

Teraz nie było mu do śmiechu.

Z pewnością rozmyślał i będzie myślał aż do rana. Prawdopodobnie zanurzył się w swoich rozmyślaniach głębiej niż kiedykolwiek do tej pory.

Miała pewność, że książę się nie wycofa. Był na to zbyt dumny, poza tym lubił stawiać na swoim.

Była niezmiernie ciekawa, jak sobie poradzi z wprowadzeniem jej na bal u księżnej. Może by się czegoś nauczył, gdyby skończyło się to upokorzeniem. Niestety, istnieje też ryzyko, że znienawidzi Marcelline i zabroni swej żonie zbliżać się do Maison Noirot.

Intuicja podpowiadała Marcelline, że Clevedon nie chował jednak urazy w sercu.

– Połóż się już – poleciła Selinie. – Będziemy miały mnóstwo roboty przed balem. Wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

I będzie.

Czekała na nią jedyna w życiu okazja wejścia do pałacu księżnej de Chirac i jedyna okazja zdobycia klientki w osobie przyszłej księżnej Clevedon.

Książę skomplikował proste zadanie. Wchodząc tam na własną rękę, potrzebowałaby jedynie doskonale nudnego stroju, spokojnego kroku i pewności siebie. Ale nie zamierzała tego rozpamiętywać. Los raz po raz weryfikował jej żmudne i szczegółowe plany. Lepiej radziła sobie z przewidywaniem wyników w ruletce. Zwłaszcza że miała w tej grze niebywałe szczęście.

Życie było dla niej zdecydowanie mniej łaskawe. Nie było toczącym się kołem i nigdy nie wracało w to samo miejsce. Nie składało się z rozsądnej liczby czarnych i czerwonych pól. Kpiło z logiki.

Pod pozorami ładu, porządku i przewidywalności życie było w istocie wykwitem anarchii.

Choć jej plany wielokrotnie padały w gruzach, robiła nowe i miała nadzieję, że jakoś przetrwa kolejne burze. Czasem triumfowała, czasem leczyła rany.

Cokolwiek stanie się tym razem, wiedziała, że da z siebie wszystko.

* * *

Clevedon miał ochotę dać Noirot nauczkę i spóźnić się co najmniej pół godziny. Nie miał w zwyczaju słuchać rozkazów, tym bardziej od sklepikarek.

– Punktualnie o dziewiątej – oświadczyła, jakby był jej lokajem!

Jednak byłoby to dziecinne, a nie chciał dodawać niedojrzałości do listy swych wad, które zapewne skrzętnie notowała. Mogłaby zresztą uznać spóźnienie za tchórzostwo. Już zwalniając go z zakładu, założyła, że będzie się bał iść z nią na bal.

Podjechał do bramy hotelu punktualnie o dziewiątej. Otworzywszy drzwi karety, ujrzał ją przy stoliku na tarasie. Jakiś dżentelmen – Anglik, sądząc po stroju i manierach – pochylał się nad nią i mówił coś prędko.

Clevedon strawił cały dzień na snuciu planów. Godzinami obmyślał, co na siebie włożyć, co powiedzieć księżnej i jaką mieć przy tym minę. Przymierzył tuzin kamizelek i zostawił lokajowi cały stos fularów do poskładania. Ułożył i osobiście wyszydził kilka bystrych wypowiedzi. Był niewyobrażalnie spięty.

Noirot z kolei była wzorem swobody i spokoju, siedziała wygodnie przy stoliku i flirtowała pewnie z każdym chłystkiem, który się napatoczył. Można by przypuszczać, że nie myśli o niczym innym jak tylko o kolejnej banalnej rozmowie i kolejnym potencjalnym kliencie.

Dlaczegóż jednak miałaby się martwić czymkolwiek innym? Wszak to nie jej przyjaciele będą szeptać za ich plecami i z politowaniem kiwać głowami.

Z łatwością wyobrażał sobie, co będzie tematem tych szeptów: księcia Clevedona w końcu trafiła strzała Amora. Nie oddał jednak serca żadnej z paryskich piękności, żadnej ze sławnych kurtyzan, żadnej z modnych, szlachetnie urodzonych panienek.

Nie. Stracił głowę dla nikogo. Usidliła go jakaś angielska sklepikarka.

Przeklął pod nosem i przyjaciół, i własną głupotę. Wysiadł z karety i ruszył do stolika.

Madame Noirot dojrzała go kątem oka. Odezwała się cicho do wiszącego nad nią dżentelmena, który natychmiast pokiwał głową i nie zaszczycając Clevedona spojrzeniem, ukłonił się i wszedł do hotelu.

Noirot spojrzała na księcia i ku jego zdumieniu uśmiechnęła się wdzięcznie. Ciepły, pełen blasku uśmiech niemal rzucił go na kolana.

Nie. Nie stracił głowy. Ani trochę.

– Przyjechał pan o czasie – zauważyła.

– Nie pozwalam damom czekać – wyjaśnił Clevedon.

– Nie jestem damą – wytknęła Noirot.

– Doprawdy? Zatem jest pani prawdziwą zagadką. Gotowa do odjazdu? Czy woli się pani czegoś napić dla kurażu?

– Wystarczy mi kurażu – odparła. Wstała i gestem wskazała swoją kreację.

Clevedon domyślał się, że kobieta potrafiłaby stosownie opisać to dzieło sztuki krawieckiej, będące dla niego po prostu suknią. Był pewny, że rękawy mają własną nazwę, jak à la Taglioni albo à la Clotilde czy inny tego rodzaju idiotyczny epitet, którego znaczenie było zrozumiałe

wyłącznie dla kobiet. Dla niego wszystkie suknie były takie same. Bufiaste na rękawach, lejące na dole i ciasne pośrodku. Takie suknie nosiły kobiety, od kiedy zaczął zwracać na nie uwagę.

Jej suknia była uszyta z jedwabiu w dziwnym piaskowym kolorze, który uznałby za blady i bez wyrazu, gdyby widział go na wystawie. Jednak krój podkreślały czerwone kokardki, wyglądające jak kwiaty kwitnące na pustyni. Była też czarna koronka, całe metry spływające z ramion Noirot jak wodospady, krzyżujące się na piersiach i płynące w dół po brzuchu.

Clevedon zawirował palcami. Obróciła się posłusznie dookoła z niewymuszoną gracją i płynnością. Koronki furkotały wokół niej jak motyle. Obróciwszy się, ruszyła do karety. Clevedon pospieszył za nią.

– Co to za dramatyczny kolor? – zapytał.

– *Poussière* – odparła po francusku.

– Kurzowy? – zakpił. – Gratuluję, madame. Zdołała pani uczynić kurz pociągającym.

– To trudny kolor – przyznała. – Zwłaszcza dla takiej cery jak moja. W czystym piaskowym wyglądałabym, jakbym cierpiała na zapalenie wątroby. Ale ten jedwab ma różowe tony, jak pan widzi.

– Nie chciałbym wyjść na ignoranta – oświadczył – ale nie widzę.

– Ależ naturalnie, że pan widzi. Brakuje panu tylko fachowego słownictwa. Nazwał go pan pociągającym. To właśnie różowy ton, pasujący do mojej cery i tej pięknej koronki, która nazywa się *blonde*. Im bliżej mojej twarzy, tym ładniej kontrastują ze sobą, podkreślając kolor moich oczu.

– Jest czarna – przerwał jej Clevedon. – Koronka. *Noir*, a nie *blonde*.

– Koronka *blonde* to inaczej koronka klockowa najlepszego rodzaju – wyjaśniła. – Nie chodzi tu o kolor.

Tak rozmawiając, dotarli do karety. Clevedon przygotował się na dalszy ciąg nocnej walki, jednak Noirot była nad wyraz uprzejma i pogodna, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, co zachwycało go i martwiło jednocześnie. Był również zbyt zaaferowany znaczeniem słowa *blonde* i faktem, że nie odnosi się do koloru koronki, by spojrzeć, jak Noirot wspina się do karety.

Szczęśliwie, instynkt zadziałał bezbłędnie i na czas. Wsiadając do karety, madame Noirot mignęła mu przed oczami smukłymi łydkami obleczonymi w śnieżnobiałe pończochy.

Wydarzenia ostatniej nocy wróciły do niego wraz z falą gorąca, oblewającą ciało aż do stóp. Wyobraził sobie, jak chwyta tę drobną kostkę, wsuwa dłoń pod suknię i sunie w górę po łydce i dalej po udzie, i…

Później, obiecał sobie w duchu, wsiadając do karety.

* * *

– Wierzę, iż wyświadczy mi pani honor i pozwoli przedstawić sobie madame Noirot, krawcową z Londynu i moją znajomą – wypalił Clevedon jednym tchem, kłaniając się przed księżną de Chirac.

Gdy weszli na schody pałacu, bal już trwał i w sali unosił się jednostajny gwar rozmów. W czasie gdy księżna de Chirac godziła się z myślą, że bynajmniej się nie przesłyszała i że książę Clevedon rzeczywiście wypowiedział w jej obecności słowa „krawcowa z Londynu”, w dodatku odnoszące się do nieproszonego gościa u jego boku, plotka obiegła już całą salę i nagle zapanowała głucha cisza.

Madame de Chirac zesztywniała jeszcze bardziej niż zwykle, choć zdawało się to anatomicznie niemożliwe. W szarych, zimnych oczach zalśniła stal.

– Nie rozumiem angielskiego poczucia humoru – wycedziła. – Czy to ma być żart?

– W żadnym wypadku – zaprzeczył swobodnie Clevedon. – Przyprowadziłem do pani zdumiewającą osobliwość, podobnie jak niegdyś pielgrzymi sprowadzali na dwór rozmaite ciekawe okazy ze swych podróży do Egiptu. Poznałem tę egzotyczną istotę w operze, wczoraj zaś była główną atrakcją targów wielkanocnych. Błagam o wybaczenie, jednak ośmieliłem się założyć, że podziela pani moją pasję naukową. Czuję się jak botanik, który odkrył właśnie nowy gatunek orchidei i z poświęceniem wydostał ją z naturalnego środowiska, by z dumą zaprezentować innym naukowcom i wielbicielom bogactwa natury.

Zerknął na madame Noirot. Nie zdawała się rozbawiona. Ani trochę. W beżowo-czarnym stroju i z drapieżnym spojrzeniem wyglądała jak tygrysica. Czerwone plamy kokard – jak krew jej ofiar.

– Być może porównanie do kwiatu nie jest najszczęśliwsze – zawahał się Clevedon. – Nie jestem też pewien, czy rozsądne było przyprowadzanie jej bez smyczy…

Tygrysica uśmiechnęła się leniwie, kryjąc w tym uśmiechu obietnicę przyszłych tortur i krwawej męczarni, po czym wśród furkotu koronek i lśnienia jedwabiu dygnęła przed księżną z takim wdziękiem, że w Clevedonie zamarło serce.

Słyszał, jak goście wzdychają z zachwytem. Jako Francuzi nie mogli nie dostrzec piękna, gracji i stylu połączonego mistrzowsko w jedno zapierające dech arcydzieło mody.

Księżna również słyszała westchnienia i szepty. Rozejrzawszy się po sali, spostrzegła kuzynów i przyjaciół z najściślejszej francuskiej elity, stojących z otwartymi ustami. Towarzystwo będzie omawiać ten moment przez kilka miesięcy. Każde jej słowo i gest będą powtarzane tysiące razy. To najbardziej ekscytująca historia, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w pałacu de Chirac. Wiedziała o tym doskonale, podobnie jak Clevedon.

Czy powinna złamać świętą tradycję i pozwolić gościom na odrobinę rozrywki?

Wstrzymała oddech jak sędzia przed wydaniem wyroku.

Sala zamarła w oczekiwaniu.

– Śliczna – oznajmiła dźwięcznym głosem, jak gdyby Clevedon w istocie pokazał jej egzotyczny kwiat. Ledwo dostrzegalnym kiwnięciem głowy i niemal niewidocznym gestem pozwoliła krawcowej się podnieść. Noirot wstała z taką samą taneczną gracją, wywołując kolejną falę westchnień i szeptów.

To wystarczyło. Goście znów zaczęli rozmawiać. Clevedon i jego „odkrycie” mogli wejść na salę balową.

* * *

– Krawcowa? Z Londynu? Ależ to nieprawdopodobne! Pani nie może być Angielką!

Damy gwałtownie przepchnęły się łokciami przez otaczający madame Noirot wianuszek mężczyzn i zaczęły ją zasypywać pytaniami.

Kreacja Marcelline wzbudziła ciekawość i zazdrość. Kolory wcale nie były dziwaczne, jak oceniał Clevedon. Były najmodniejsze w tym sezonie. Krój wcale nie różnił się od najświeższych modeli prezentowanych na targach. Jednak kompozycja całości: barw i linii – wraz z dodatkami – świadczyła o odwadze interpretowania nurtów i niebywałym guście. Zebrane tu Francuzki od razu zauważyły tę kombinację i po prostu musiały porozmawiać z Noirot, choć ta była towarzyską anomalią. Nie traktowały jej jak osoby, bardziej jak egzotyczne zwierzę.

Zwierzę Clevedona.

Marcelline wciąż z trudem hamowała furię, jednak nie mogła odmówić mu sprytu. Było to szaleństwo z wyraźnym akcentem absurdu, jakie zwykle prezentowali członkowie jej rodziny, gdy znajdowali się nagle w sytuacji bez wyjścia.

Rozliczy się z nim później.

– Jestem Angielką i jestem stylistką – potwierdziła Marcelline. Wyjęła z torebki kunsztownie zdobione srebrne puzderko i wręczyła kilku damom wizytówki. Proste i eleganckie. Bardzo męskie. – Przyjeżdżam do Paryża po inspiracje.

– Ależ to właśnie tutaj powinna pani mieć butik! – wykrzyknęła jedna z dam.

Marcelline powiodła uważnym spojrzeniem po zgromadzonych elegantkach.

– Panie mnie nie potrzebują – pochwaliła z prostotą. – Angielki wprost przeciwnie. – Westchnęła i dodała scenicznym szeptem: – Rozpaczliwie mnie potrzebują.

Damy uśmiechnęły się porozumiewawczo i odeszły, zjednane i oczarowane.

Mężczyźni natychmiast zwarli ciasny krąg wokół Marcelline.

* * *

– Nie umiem rozwikłać tej tajemnicy – wyznał Aronduille.

– Każda kobieta jest tajemnicą – pocieszył go Clevedon.

Stali przy parkiecie, obserwując, jak markiz d’Emilien tańczy walca z madame Noirot.

– Ach, oczywiście. Jednak nurtuje mnie, kiedy krawcowa ma czas, by nauczyć się tak doskonale tańczyć? – drążył Aronduille. – Jak to możliwe, że angielska sklepikarka mówi po francusku jak księżna z rodowodem? Widziałeś, jak dygnęła przed madame de Chirac? – W zachwycie wzniósł oczy i cmoknął koniuszki swoich palców. – Nigdy tego nie zapomnę.

„Nie jestem damą” – powiedziała.

– Przyznaję, że jest zagadkowa – zgodził się Clevedon. – To właśnie czyni ją taką… zabawną.

– Damy do niej podeszły! – zdumiewał się Aronduille. – Widziałeś?

– Owszem. – Tego Clevedon się nie spodziewał. Mężczyźni to co innego.

Ale damy? Czym innym było łaskawe przymknięcie oczu gospodyni na dziwaczne zachowanie ekscentrycznego, lecz wciąż szlachetnie urodzonego i bogatego gościa, czym innym – niebywałe zachowanie zaproszonych dam. Podeszły do jego „odkrycia” i rozmawiały z nią. Gdyby była jakąkolwiek aktorką, kurtyzaną czy po prostu piękną mieszczką, nawet by na nią nie spojrzały.

A jednak odepchnęły stłoczonych dżentelmenów, by się do niej dostać. Rozmowa nie była długa, ale kiedy odchodziły, wyglądały na zadowolone.

– To krawcowa – podsumował Clevedon. – Zajmuje się na co dzień uszczęśliwianiem dam.

Perfekcyjnego dygnięcia wolał nie tłumaczyć.

Nie wiedział, jak wyjaśnić jej wrodzoną gracją. Jej miękkie i wdzięczne ruchy, jej królewski sposób mówienia. Jej taniec!

Który to już raz Emilien z nią tańczy? Clevedon nie dbał o to. I tak nie tańczyłby z nią całą noc. Nie. To byłoby niezręczne.

Jednak, wziąwszy pod uwagę, na co się dla niej naraził, należał mu się chyba przynajmniej jeden taniec.

* * *

Choć wydawać by się mogło, że Marcelline jest skupiona wyłącznie na tancerzu, z którym okrążała salę balową madame de Chirac, w każdej

chwili dokładnie wiedziała, gdzie jest Clevedon. To nie było zresztą trudne. Jego Wysokość przewyższał wszystkich dżentelmenów o głowę i jakaż to była głowa! Profil księcia doprowadziłby do łez wzruszenia najlepszych greckich rzeźbiarzy. Lśniące czarne włosy układały się w chłopięcą burzę loków. I ramiona. Nikt inny nie miał takich ramion! Nikt nie miał takiego ciała. Mógłby zapewne wybełkotać każdą bzdurę u drzwi pałacu, a madame de Chirac wpuściłaby go i tak wyłącznie z przyczyn estetycznych. Mógłby nawet uraczyć ją lubieżnymi słówkami i nie mrugnęłaby okiem. Księżna jest stara i zimna, ale nie martwa.

Wirując po sali, wciąż byli bardzo blisko siebie, jednak książę zdawał się równie zajęty partnerką jak Marcelline swoim partnerem. Można by sądzić, że jest mu doskonale obojętne, gdzie jego „odkrycie” się znajduje i co robi. Zdawało się, że wprowadził ją na bal, a reszta była już wyłącznie jej sprawą.

Marcelline nie była ani tak naiwna, ani tym bardziej głupia.

Doskonale wiedziała, że Clevedon pilnie ją obserwuje, choć doskonale udawał, że nie zwraca na nią uwagi. W ostatniej godzinie balu książę krążył po sali to tu, to tam, za nim ciągnął się zaś jak cień jakiś gadatliwy przyjaciel. Pozornie nieprzemyślane wędrówki doprowadziły wreszcie Jego Wysokość do Marcelline.

Mężczyźni wciąż tłoczyli się wokół niej i przekrzykiwali nawzajem, próbując zwrócić na siebie uwagę. Clevedon zdawał się ich nie dostrzegać. Parł ku niej niewzruszenie, przypominając wielki okręt wchodzący do portu. Tłumek bez protestu rozstąpił się na boki.

Przelotnie zastanowiła się, czy podobnie zachowywał się lata wcześniej jej dziadek, gdy był młodym, przystojnym arystokratą z doskonałym nazwiskiem. Czy świat giął się przed nim w ukłonach i czy, podobnie jak Clevedonowi, nigdy nie postała w jego głowie myśl, że świat miałby jakieś inne wyjście.

– Ach, tu pani jest – rzucił niedbale, jakby natknął się na nią przypadkiem.

– Jak pan widzi, zdołałam się jakoś powstrzymać przed niszczeniem mebli i darciem zasłon – zakpiła.

– Widzę i domyślam się, że zostawia to pani na później – odparł. – Zatańczymy?

– Ale madame obiecała już ten taniec mnie! – pisnął cienko monsieur Tournadre.

Clevedon spojrzał na niego.

– Ach, może się pomyliłem – zaskrzeczał młodzieniec. – Może chodziło o inny taniec.

Wycofał się jak młody wilczek przed przewodnikiem stada.

Na Boga, nie powinna tak drżeć! Tylko niedorosła dzierlatka drży, gdy dwa samce warczą na siebie o jej względy. A jednak książę był najbardziej pożądanym samcem na balu, a ten mały pokaz władczości podekscytowałby każdą szlachetnie urodzoną damę na sali. Choć była inna niż wszystkie, wciąż przecież była młodą kobietą. I mimo doświadczenia i obycia w świecie nie spotkała jeszcze mężczyzny, który miałby czelność odganiać od niej innych zalotników.

Nie zachowuj się jak dzierlatka! – upomniała się w duchu, idąc za Clevedonem na parkiet. Zaprowadził ją w sam środek tańczącego tłumu, objął jej talię, ona zaś położyła dłoń na jego ramieniu.

I wtedy świat nagle się zatrzymał.

Wbiła w niego spojrzenie i ujrzała w jego oczach ten sam wstrząs, który odebrał jej oddech. Wszak tańczyła już z setkami mężczyzn i każdy trzymał ją tak samo! Jednak jego dłoń w talii wysyłała sygnał tak silny, jakby dotykał jej nagiej. Czuła, jak jej ciało ogarnia bezwład, jakby ziemia przestała się kręcić. Przez chwilę bała się, że upadnie. Clevedon potrząsnął głową i serce Marcelline zaczęło znów bić. Odetchnęła ukradkiem i odzyskując świadomość, przywdziała maskę światowej, swobodnej damy. Książę również ochłonął. Ich dłonie splotły się i pociągnął ją do tańca.

* * *

Przez chwilę wirowali w milczeniu.

Clevedon nie był gotowy do żadnych rozmów. Wciąż czuł się roztrzęsiony nagłym impulsem, który przebiegł przez jego ciało, gdy ujął ją w ramiona. Widział, że ona również to poczuła. Nie wiedział jednak, co to było, i bał się nad tym zastanawiać.

Madame Noirot z uporem unikała jego spojrzeń. Spoglądała spłoszonym wzrokiem gdzieś ponad jego ramieniem, mógł więc spokojnie się jej przypatrywać. W istocie nie była pięknością, ale potrafiła sprawić takie wrażenie. Była ładna i czarująca, i – wniosek, do którego dochodził za każdym razem – inna.

Ciemne włosy miała jak zwykle starannie ufryzowane w koafiurę robiącą wrażenie nieco potarganej. Gdyby byli gdzie indziej, wsunąłby palce w te włosy, aż szpilki posypałyby się na wszystkie strony. W małym, perfekcyjnie zaokrąglonym uchu tkwił kolczyk z granatem. Najchętniej pochyliłby się i polizał bladoróżowy płatek.

Ale nie byli gdzie indziej, więc tańczyli, wirowali i okrążali salę raz po raz, a z każdym okrążeniem znajomy walc stawał się coraz gorętszy i uderzał do głowy.

Coraz mocniej czuł żar bijący z jej ciała. Żar, który wydobywał różowe tony z jej kremowej cery i fale zapachu rozgrzanej skóry z lekką nutką jaśminu. Nie nadużywała perfum, mógłby przysiąc, że była to zaledwie kropla. Choć tańczyli w zatłoczonej sali, w powietrzu gęstym od aromatów, Clevedon czuł jedynie zapach madame Noirot.

Wirujący tłum gości zlewał się w feerię barw na tle czarno-białych męskich strojów. Jednak Clevedon widział wyłącznie bladozłote mgnienia jedwabiu, promieniujące różem jak ozłocona zachodem słońca pustynia, skropione czerwonymi kokardkami chwiejącymi się w tańcu jak maki. I czarną koronkę, płynącą jak kaskada przy każdym ruchu Noirot.

Wreszcie na niego spojrzała. Widział, jak wewnętrzny żar zarumienił jej twarz. Żyłka na szyi pulsowała prędko. Bez patrzenia mógł założyć, że jej piersi falują od przyspieszonego oddechu.

– Byłam ciekawa, przyznaję – rzekła, nieco zdyszana. – Wiedziałam, że użyje pan wymyślnego podstępu, by mnie tu wprowadzić, ale tego się nie spodziewałam. Jeszcze nigdy nie byłam niczyim… zwierzakiem.

– Przedstawiłem panią jako „odkrycie” – zauważył.

– Staram się wymazać z pamięci wspomnienie smyczy – prychnęła.

– To byłaby bardzo szykowna smycz! – bronił się Clevedon. – Wysadzana diamentami!

– Dziękuję, nie skorzystam – warknęła ostrzegawczo. – Staram się również zapomnieć o tym, że zachowywał się pan, jakby wygrał mnie w jakimś zakładzie, gdy w istocie przegrał go pan z kretesem. I to nie

pierwszy raz. – Objęła spojrzeniem jego włosy i twarz, po czym spojrzała na fular. Clevedona oblała fala gorąca. – Śliczny szmaragd.

– Nie dostanie go pani – ostrzegł. – Nie zamierzam się dziś z panią o nic zakładać. Wciąż jeszcze mogą nas stąd wyrzucić. Wiceksiężna Montpellier pokazała mi pani wizytówkę. Czy nikt pani nie wyjaśnił różnicy między spotkaniem towarzyskim a biznesowym? To nie jest bankiet w Izbie Cechów ani spotkanie Związku Angielskich Krawców.

– Zauważyłam. Krawcy byliby lepiej ubrani.

– Czy pani jest ślepa? – zdumiał się książę. – Proszę się rozejrzeć!

Powiodła po sali znudzonym spojrzeniem.

– Już się rozglądałam.

– Jesteśmy w Paryżu!

– Ja mówię o mężczyznach, nie o damach. – Spojrzała na niego z uwagą. – Jest pan jedynym dżentelmenem na sali, który nie przynosi wstydu swemu krawcowi.

– Jakże doceniam pani aprobatę, madame!

– Nie powiedziałam, że aprobuję pana w całości – zastrzegła.

– Ach, oczywiście. Jestem wszak tylko bezużytecznym arystokratą.

– Jakiś użytek można z pana mieć – przyznała po chwili. – W innym wypadku nie zabiegałabym o pana.

– Ach tak?

– Wciąż nie może się pan z tym pogodzić – wytknęła. – Ten bal, pan, podróż do Paryża… To dla mnie część pracy.

W istocie, znów o tym zapomniał. Przecież mówiła, że chce wejść na bal, by przyjrzeć się sukniom. Przyszłaby i bez niego, gdyby nie głupi zakład czy może próba sił.

– Jakże mógłbym zapomnieć – westchnął. – Moi przyjaciele obnoszą się z pani wizytówkami, jakby to były kotyliony.

– Czyżby egzotyczne odkrycie zdołało pana zawstydzić, mój książę? Czy sklepowy odór drażni pana szlachetne nozdrza? Zdumiewające. Wszak to pan nalegał na nasze spotkanie. Pan zarzucał mi tchórzostwo. A jednak…

– Uduszenie pani na parkiecie byłoby niegrzeczne wobec gospodyni – przerwał jej Clevedon. – A jednak czuję tak silną pokusę…

– Niech pan nie będzie głuptasem – zadrwiła. – Od wieków się pan tak świetnie nie bawił. Wszak opowiadał mi pan o podstępach, do jakich posuwają się paryscy arystokraci, by dostać się na ten wyjątkowo nudny

bal. Dokonał pan czegoś, za co wielu z nich oddałoby ważny organ. Będą o tym opowiadać przez następne trzy lata. Złamał pan święte, odwieczne zasady towarzyskie. Zagrał pan na nosie Anglikom, Francuzom i arystokracji całego świata. W dodatku tańczy pan z najbardziej ekscytującą kobietą na sali!

Serce Clevedona łomotało gwałtownie. To pewnie przez taniec! Szalone wirowanie, rozmowy i próby dotrzymania jej kroku w bystrej, ociekającej drwiną konwersacji. W głębi serca czuł jednak, że sam próbuje się oszukiwać. Że znów trafiła go w czuły punkt. Bo wszystko, co mówiła, było prawdą. Co więcej, nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie usłyszał tego z jej ust.

– Ma pani niebywale wysoką opinię na własny temat – stwierdził.

– Drogi książę, wystarczy spojrzeć na rywalki.

– Spojrzałbym – przyznał drwiąco – ale jest pani tak zajmująca. Nie mogę oderwać od pani wzroku.

Wirowali i krążyli, zdyszani od tańca i rozmowy. Noirot patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem; jej usta – rozkoszne usta, które tak dalece wytrąciły go z równowagi – rozchylały się w uśmiechu.

– Fascynująca – podsunęła. – Chciał pan powiedzieć: fascynująca.

– Bez wątpienia zafascynowała pani mojego przyjaciela Aronduille’a. Biedak zachodzi w głowę, gdzie nauczyła się pani tak dygać, tańczyć i się wysławiać.

– Ma pan na myśli „jak dama”? Ależ ja jedynie naśladuję lepszych ode mnie.

– Gdzież zatem uczyła się ich pani naśladować? Czyż nie pracuje pani od świtu do zmierzchu? Czyż krawcowe od najmłodszych lat nie przyuczają się do zawodu?

– Od dziewiątego roku życia – oznajmiła sucho. – Zdumiewa mnie tak znakomita znajomość mojego zawodu.

– Zapytałem lokaja.

Roześmiała się.

– Lokaja? Ach, to dobre. Doskonałe!

– Pani również ma pokojówkę, nieprawdaż? – wytknął. – Drobną blondynkę.

Uśmiech madame Noirot zniknął w mgnieniu oka.

– Zauważył ją pan?

– Oczywiście. Na targach.

– Jest pan niebywale spostrzegawczy.

– Madame, staram się obserwować panią ze zdwojoną uwagą. Głównie w odruchu czystej samoobrony, przyznaję.

– Może mnie pan uważać za cyniczną – westchnęła – ale nie widzę w tym nic czystego.

Walc zbliżał się do finału. Clevedon ledwie słyszał, jak muzycy powoli przestają grać. Gęstniejący pomiędzy nimi żar stawał się nie do zniesienia.

– A jednak zabiega pani o mnie.

– Wyłącznie na gruncie biznesowym – zaznaczyła.

– Interesujące – odparł. – Ma pani bardzo ciekawe metody reklamowania usług. Chce pani ubierać moją księżną, a zaczyna pani od wyłudzenia diamentowej spinki.

– Wygrałam ją!

Taniec się skończył, lecz Clevedon nie wypuszczał jej z objęć.

– Drażni mnie pani, prowokuje, podpuszcza i rozwścieczа – mruknął.

– Ach, te rzeczy robię wyłącznie dla zabawy – rzekła z uśmiechem.

– Dla zabawy? – prychnął. – Lubi pani igrać z ogniem, madame.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

Minęło kilka długich chwil, zanim do Clevedona dotarło, że muzycy nie grają, tancerze zeszli z parkietu i przyglądają się im, udając, że patrzą w inną stronę. Wypuścił ją z objęć, markując poprawianie koronek na ramionach, jak dziecku. Uśmiechnął się protekcjonalnie i nonszalancko ukłonił. Wiedział, że doprowadzi ją tym do szału.

Podziękowała mu stosownym dygnięciem, otworzyła wachlarz i szepnęła zza niego:

– Jeśli chciałeś posiadać ujarzmione dzikie zwierzę, Wasza Wysokość, powinieneś był wybrać inną kobietę.

Umknęła w najgęstszy tłum, furkocząc piaskowym jedwabiem, czarną koronką i czerwienią kokardek.

Rozdział 5

Odbył się już ostatni bal maskowy w tym sezonie,
jednak spotkania taneczne zdarzają się równie często
jak na początku zimy. Najmodniejsze są wciąż suknie
z gazy w rozmaitych kolorach: od beżu, przez kanarkowy
i liliowy, biały i szmaragdowy, różowy i écru,
aż po wiśniowy.

korespondent paryski dla magazynu „La Belle Assemblée”

(1835)

Marcelline prędko przecięła salę balową, korytarz i ruszyła ku schodom.

– Twierdzi pani, że to ja panią wybrałem? – rozległo się tuż za jej plecami.

Obróciła się zdumiona i wpadła na Clevedona. Chwycił ją za ramiona, żeby nie upadła.

– Wspaniałe wyjście, madame – docenił. – Jednak jeszcze nie skończyliśmy.

– Doprawdy? Ja dopięłam dziś swego. Do rana moja wizytówka dotrze przynajmniej do dwóch korespondentów modowych wraz z dokładnym opisem sukni. Kilka dam z pewnością napisze do swoich angielskich przyjaciółek i kuzynek, polecając mój londyński butik. My zaś wywołaliśmy już dostatecznie dużo plotek i komentarzy, nie życzyłabym ich sobie więcej. Jestem zmęczona i przekonana, że nie nadaję się już do rozmowy. A pan trzyma mnie z taką mocą, że jutro będę miała siniaki. Ponadto gniecie mi pan koronki.

Clevedon puścił ją natychmiast. Marcelline od razu zatęskniła za ciepłem jego dłoni.

– Nie wybrałem pani – powtórzył z naciskiem. – To pani przyszła do opery wystrojona jak choinka i robiła, co w swojej mocy, żeby zwrócić moją uwagę!

– Jeśli rzeczywiście sądzi pan, że to było wszystko, co w mojej mocy, jest pan żałośnie niedoświadczony, mój książę.

Wlepił w nią zielone oczy.

Nie zdziwiłaby się, gdyby chwycił ją znów i potrząsnął, aż zadzwoniłyby jej zęby. Drażniła go i prowokowała, i wiedziała, że nie jest to najmądrzejsze posunięcie z jej strony, ale sama była rozdrażniona i nie mogła się powstrzymać. Głównie z jednego powodu. Dość ordynarnego.

– Ja panią przywiozłem – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu – i ja panią odwiozę.

– Nie ma sensu, by opuszczał pan przyjęcie – stwierdziła łagodnie. – Zawołam fiakra i pojadę sama.

– Przyjęcie jest nudne jak flaki z olejem – prychnął. – To pani jest jego jedyną atrakcją. Ledwie pani wyszła, napięcie ulotniło się jak z przekłutego balonu. Podążając za panią, słyszałem westchnienia rozczarowania i nudy.

– I nie założył pan, że były one skierowane do pana?

– Nie. Proszę się nie starać mi pochlebiać, madame. Nie pasuje to do pani cery. Natychmiast staje się pani zielonkawa. Ciekawe, jak sobie pani radzi z klientkami. Przecież w tym zawodzie codziennie trzeba komuś schlebiać.

– Jeśli już komuś schlebiam, to robię to tak samo jak wszystko inne. Pięknie. Z gracją. Być może zazieleniłam się, gdyż doznałam wstrząsu, że prawi mi pan komplementy.

– Proszę się zatem otrząsnąć, zanim zejdziemy ze schodów. Jeśli pani spadnie i rozbije sobie głowę, będę głównym podejrzanym.

W istocie musiała się prędko otrząsnąć i to nie ze strachu przed upadkiem. Wciąż nie doszła do siebie po tańcu z Clevedonem. Przenikały ją żar i drżenie, czuła się osłabiona i podekscytowana jednocześnie. Całe ciało dygotało z tęsknoty. Serce tłukło się w jej piersi, a w głowie wirowały gwiazdy, jakby wypiła jakąś truciznę!

Ruszyła po schodach, słysząc za sobą jego lekkie kroki.

Gwar balu pozostał daleko za nimi. Pałac wydawał się opustoszały i mroczny.

Ryzykanctwo miała we krwi, a zasady społeczne nigdy nie były jej priorytetem. Gdyby to był inny mężczyzna, zaciągnęłaby go w jakiś ciemny kąt i wzięła jak swojego. Zadarłaby suknię jak niedorosła szwaczka i ulżyła sobie na jakimś parapecie albo pod ścianą. I mogłaby o tym zapomnieć.

Ale to był książę, a Marcelline starała się jednak myśleć głową, a nie instynktami.

Zresztą zanim wyjechała, Leonie powtórzyła ze trzy razy: „Taka szansa nigdy więcej się nie powtórzy. Błagam, nie zepsuj tego”. Marcelline nigdy nie umiałaby ocenić, czy coś psuje, dopóki nie było już za późno.

Clevedon długo milczał. Ciekawe, czy również rozważał, jakie plotki dotrą niebawem do Londynu i jakie będą ich konsekwencje.

Czemuż jednak on miałby dbać o plotki? Był mężczyzną, a od mężczyzn wręcz wymaga się, by biegali za kobietami, zwłaszcza w Paryżu. Był to jego patriotyczny obowiązek. Lady Clara z pewnością nie robiła żadnych scen w związku z jego romansami. Gdyby robiła, pisano by o tym w gazetach. A ponieważ Longmore zachowywał się zapewne tak samo jak jego przyjaciel, szczerze wątpiła w opisane w prasie ultimatum.

Musiała jednak brać pod uwagę, że inne paryskie zdobycze Clevedona były arystokratkami bądź najsłynniejszymi artystkami. Takimi zdobyczami mógł się śmiało chwalić. Lecz krawcowa? Zwykła sklepikarka? Nie była to zdobycz, którą można się szczycić w towarzystwie.

Tego rodzaju rozważania nie były w stanie ukoić jej skołatanych nerwów.

Gdy Clevedon odwrócił się do niej, odezwała się prędko:

– Jak pan wytłumaczy ten wieczór lady Clarze? Czy też nigdy się pan przed nią nie tłumaczy?

– Proszę nie wymawiać jej imienia – wycedził.

– Proszę nie być niedorzecznym. Zachowuje się pan, jakbym swoimi ustami mogła skalać jej imię. Zapewne przemawia przez pana poczucie winy, bo mam lepsze zdanie o pana intelekcie. Wie pan doskonale, że to właśnie ona jest moim celem. Dla niej przyjechałam do Paryża. „Proszę nie wymawiać jej imienia”, no, doprawdy! – Całkiem udatnie powtórzyła jego nieuprzejmy ton. – Zawsze tak pan postępuje wobec spraw, które pana niepokoją? Udaje pan, że ich nie ma? Ona istnieje, uparty człowieku! Kobieta, którą zamierza pan poślubić pod koniec lata! Powinien pan mówić o niej przez cały czas. Powinien pan nieustannie mnie do niej porównywać i wytykać, jak bardzo jest ode mnie lepsza na wszystkich polach. Poza strojami, rzecz oczywista.

– Planowałem napisać do Clary, jak co dzień – oświadczył Clevedon obojętnym tonem. – Opisać jej najgłupsze rozmowy, w których miałem nieprzyjemność wziąć udział. Opisać towarzystwo. Wymalować ze

szczegółami katusze, jakich doznawałem na najnudniejszym balu świata, by dostarczyć jej trochę rozrywki.

– Jakież to szlachetne z pana strony!

Oczy Clevedona rozgorzały na chwilę, rzucając błysk jak latarnia morska w czasie burzy. Marcelline czuła, że wypłynęła na groźne wody, jednak nie podejmując ryzyka, nigdy nie założyłaby biznesu.

– I całkowicie pominie mnie pan przy tych opisach? – zapytała. – Głupie pytanie. Pisanie o wątpliwej reputacji kobietach, które spotyka pan w podróży, jest zapewne nietaktowne. Tym razem jednak doradzałabym jakieś przelotne choćby wspomnienie. Plotki o naszym wdarciu się do księżnej de Chirac dotrą do Londynu najpóźniej we wtorek. Lepiej niech dowie się o tym od pana. Niech pan napisze, że założył się z kolegami. Albo że to był żart.

– Czy musi pani zarządzać całym światem? – zirytował się Clevedon.

– Usiłuję jedynie zarządzać moją przyszłością – powiedziała drżącym głosem. Uspokoiła oddech. Clevedon wpatrywał się w jej dekolt. Czując na sobie jego pożądliwy wzrok, nie była w stanie się opanować.

Do diabła z nim! To on zasługiwał na smycz!

Raptownie ruszyła ku drzwiom. Lokaj otworzył je w ostatniej chwili.

– Kareta jeszcze nie zajechała – zauważył Clevedon. – Zamierza pani czekać na zewnątrz jak kelner na karetkę pocztową?

– Nie zamierzam jechać z panem ani pańską, ani żadną inną karetą – oświadczyła. – Jadę sama.

– Nie pozwolę pani na to. Prosi się pani o kłopoty.

Jakby podróżowanie z nim w karecie w środku nocy, w jej stanie umysłu – czy też raczej odłączenia od umysłu – nie było proszeniem się o kłopoty. Musiała jak najszybciej się go pozbyć! Nie chodziło już o pozory przyzwoitości, ale o to, by odzyskać jasność myślenia. Musiał być jakiś sposób na rozwiązanie tej sytuacji.

– Nie jestem pensjonarką – oznajmiła. – Od lat podróżuję sama do Paryża.

– Bez służby?

Żałowała, że nie ma pod ręką czegoś ciężkiego, by móc rzucić tym w jego głowę. Dorastała na ulicach Paryża, Londynu i wielu innych miast. Pochodzi z rodziny, która przetrwała wyłącznie dzięki sprytowi. Głupcy czy

naiwniacy nie mieli szans. Jedynym wrogiem, którego Noirotowie nie zdołali pokonać sprytem, była cholera.

– Owszem, bez służby – wycedziła. – Wiem, to szokujące. Domyślam się, że nie wyobraża pan sobie zrobienia czegokolwiek bez udziału służby.

– Bynajmniej – zaprzeczył. – Mogę wymienić kilka czynności, które nie wymagają obecności służby.

– Niezwykle pan pomysłowy.

– W wielu dziedzinach – wyznał z dumą. – A otóż i moja kareta.

W czasie, gdy Marcelline usiłowała nie wyobrażać sobie owych czynności niewymagających obecności służby, kareta zajechała z turkotem przed drzwi.

– *Adieu* – Marcelline pożegnała się oschle. – Znajdę fiakra tuż za rogiem.

– Deszcz pada – stwierdził beznamiętnie książę.

– Wcale nie – zaprzeczyła z niezrozumiałym uporem, czując dużą kroplę rozpryskującą się na ramieniu. I drugą na głowie.

Stangret zeskoczył z kozła, otworzył parasol i podbiegł ku nim. Zanim dotarł do schodów, pojedyncze krople zamieniły się w rzęsisty deszcz. Poczuła dłoń Clevedona na plecach, popychającą ją pod parasol i w stronę karety. Dotyk jego dłoni, stanowczy i zarazem opiekuńczy, rozwiał ostatnie rozsądne myśli Marcelline.

W duchu powtarzała sobie, że nie jest z cukru i na pewno się nie rozpuści. Powtarzała sobie, że setki razy chodziła po mieście w deszczu. Ale nie chciała słuchać głosu rozsądku.

Czuła wyraźnie jego dłoń na plecach i idące tuż przy niej potężne, sprężyste ciało. Deszcz padał coraz mocniej i zrobiło się zupełnie ciemno. Oczywiście, była silna i niezależna, wychowała się w surowych warunkach, a jednak, jak każda istota, szukała wsparcia i schronienia.

Nie zdołała stłamsić w sobie wszystkich instynktów. Wcale nie chciała błąkać się po Paryżu mokra i zziębnięta.

Wspięła się do karety i rozsiadła na tapicerowanej ławce, tłumacząc sobie, że gdyby się rozchorowała bądź została napadnięta w jakiejś ciemnej alejce, nie zadziałałoby to na korzyść jej córki czy sióstr.

Książę usiadł naprzeciwko. Drzwi zatrzasnęły się głucho i kareta ruszyła powoli po wybrukowanych, pełnych wybojów paryskich uliczkach. Marcelline trzymała się ławeczki, podskakując w rytm jazdy. Milczenie

niebezpiecznie gęstniało. Słychać było turkot karety, łomotanie deszczu i… głośne bicie serca Marcelline.

– Przejażdżki fiakrem, też coś – odezwał się nagle Clevedon. – Jest pani doprawdy niedorzeczna.

Owszem, nie mogła zaprzeczyć. Powinna była zaryzykować spacer w deszczu. Trwałoby to zaledwie kilka minut, a mogłaby przynajmniej swobodnie myśleć.

Noc była ciemna, strugi deszczu lały się na karetę i zgasiły obie lampy. W środku było jeszcze ciemniej. Ledwie widziała jego mroczną sylwetkę naprzeciwko. Czuła jednak długie nogi wyciągnięte w swoją stronę. Zdawało jej się, że książę rozparł się na ławce, kładąc rękę na oparciu. Pozornie swobodna pozycja jej nie zmyliła. Leżał na ławce, jak pantera leżałaby na gałęzi, obserwując swą ofiarę spacerującą po dżungli.

– Pójście z panem na ten bal było doprawdy idiotycznym posunięciem – oznajmiła Marcelline.

– A zdawało mi się, że doskonale się pani bawi. Na brak partnerów do tańca na pewno nie mogła pani narzekać.

– Owszem, bawiłam się dość dobrze, dopóki nie zagrały w panu wspomnienia ze średniowiecza.

– Ze średniowiecza?!

– „Precz z mojej drogi, ciury! Dziewoja należy do mnie!” – zakpiła, wykrzywiając twarz w grymasie. – Myślałam, że monsieur Tournadre zmoczy sobie spodnie, kiedy zobaczył pana obnażone kły.

– Ma pani zdumiewającą wyobraźnię.

– Jest pan wielki, arogancki i sądzę, że doskonale pan wie, jakie to robi wrażenie.

– A jednak pani, za przeproszeniem, nie moczy sobie spodni.

– A jednak – odrzekła. – Nie wzruszają mnie takie teatrzyki. Arogancja i zaborczość to typowe cechy arystokratów. Ponadto na balu byłam pana „odkryciem”, przyprowadzonym dla rozrywki. Na szczęście zdołałam zapewnić co ważniejsze osoby, że pojawiłam się tam z przyczyn biznesowych i że to ja wykorzystałam pana.

– Niemożliwe.

– Pewne.

– Pewne jest to, że tańczyliśmy walca, a wszyscy wpatrywali się w nas, jakbyśmy kochali się na środku parkietu. Tyle że w ubraniach.

– Ach, oczywiście – machnęła dłonią. – Działam tak na wszystkich tancerzy.

– Niech pani nie udaje. Widziałem wyraźnie, że była pani pod wrażeniem.

– Ależ oczywiście! Pierwszy raz w życiu tańczyłam z księciem. To był najbardziej podniecający moment w całym moim szarym, nudnym, mieszczańskim życiu.

– Żałuję wielce, że nie jestem tak średniowieczny, jak pani uważa – westchnął Clevedon. – Wówczas może uczyniłbym pani szare, nudne życie bardziej podniecającym, przynajmniej na jednej płaszczyźnie.

– Być może powinnam umieścić taką informację w reklamie – ucieszyła się Marcelline. – Modne damy zapraszamy serdecznie do butiku pani Noirot przy Fleet Street. Oferujemy bogaty wybór najmodniejszych sukien, peleryn i bielizny, których szyk nie może się równać z towarem z żadnego innego butiku. Jakość garderoby gwarantowana przez panią Noirot, która tańczyła z prawdziwym księciem!

Kareta zatrzymała się raptownie.

– Dojechaliśmy już do hotelu? – zdumiała się Marcelline. – Czas w towarzystwie Waszej Wysokości leci jak na skrzydłach.

Owinęła się szalem i chciała wstać.

– Jesteśmy jeszcze daleko od hotelu – oznajmił Clevedon. – Zatrzymaliśmy się z powodu wypadku, a może jakiś pijak stoi na ulicy. Wszyscy stoją.

Pochyliła się na ławce, by wyjrzeć przez okno, ale nie zobaczyła niczego poza strugami deszczu i rozmytym światłem latarni.

– Nie widzę żadnego…

Nie zobaczyła jego ruchu, raczej poczuła drgnienie powietrza. Zrobił to tak gwałtownie, że nie zdążyła zareagować. W jednej chwili wyglądała przez okno karety, a w następnej Clevedon podniósł ją jak piórko i posadził na swoich kolanach.

Marcelline zamarła na mgnienie oka, a gdy się otrząsnęła i usiłowała go odepchnąć, książę wsunął jej dłoń we włosy nad karkiem i przyciągnął jej twarz do swojej.

– Skoro już rozmawiamy o interesach, bo, jak widzę, nie da się z panią rozmawiać o niczym innym, chciałbym przypomnieć, że mamy pewne

niedokończone rozliczenia – wyrzekł niskim, wibrującym głosem. – To jeszcze nie koniec naszych spraw, madame Noirot. To zaledwie początek.

– Nie bądź głupi – wybełkotała roztrzęsionym tonem. Serce tłukło się jej w piersiach, jakby miała za chwilę dostać ataku.

Próbowała tłumaczyć sobie, że to tylko mężczyzna, a mężczyzn znała przecież od podszewki. Jednak jej rozsądek nie miał wystarczającej siły przebicia.

Clevedon był silny, rosły i promieniował ciepłem. Jego wzrost i muskularne ciało wprawiały Marcelline w zachwyt. Jego uroda ją oszałamiała. Jego władczość i arogancja pozbawiały ją tchu. Z podniecenia ledwie była w stanie oddychać, a z pewnością nie mogła trzeźwo myśleć.

Przez napięty materiał sukni czuła jego muskularne uda. Fale gorąca oblewały jej ciało, czuła, jak dygocze.

– Nie pragnę ciebie – wyjąkała. – Chcę tylko być krawcową księżnej…

Zamknął jej usta wargami.

Pocałunek był ciepły i zdecydowany. Wieki wcześniej jego przodkowie brali w posiadanie wszystko, czego zapragnęli: ziemię, bogactwa, kobiety. Stwierdzali, że należą do nich, i tak się działo.

Jego wargi wzięły w posiadanie usta Marcelline. Z mocą, nie uznając odmowy ani wahania.

Usta Clevedona były spełnieniem marzeń i ucieleśnieniem grzechu. Być może święta oparłaby się takiej pokusie, a Marcelline nie należała do świętych ani błogosławionych. Poddała się bez walki. Rozchyliła wargi, by wpuścić go do środka, poczuć jego smak i rozkoszować się nim. Smakował jak miód, jak skarb, jak oświecenie.

Dłonie, które wciąż trzymała na jego torsie, by odepchnąć natręta, teraz przesunęła w górę, muskając po drodze gładki jedwabny fular i ostre brzegi szmaragdu. Zrzuciła księciu cylinder i wsunęła palce w gęste loki. Musiała przyznać, że marzyła o tym od pierwszej chwili, gdy ujrzała go w operze.

Pocałunek był równie gwałtowny jak poprzedni, a jednak inny. Clevedon był na nią zły, ona była zła na niego, ale nie walczyli ze sobą. I nie ona kontrolowała sytuację. Tonęła w emocjach, w jego smaku, zapachu jego skóry. Syciła się jego muskularnym ciałem.

Clevedon trzymał ją mocno.

Minęły wieki, odkąd mężczyzna tak ją trzymał.

Wiedziała, że powinna natychmiast to przerwać. Ale… jeszcze chwileczkę. Otarła się o niego całym ciałem i nawet przez kilka warstw ubrań czuła nabrzmiałą męskość. Marcelline westchnęła z rozkoszy i triumfu.

Clevedon jęknął, oderwał usta od jej warg. Powinna była wykorzystać ten moment, ale jeszcze nie była gotowa, by przestać. Zaczął całować jej szyję i przesuwać się w dół do obojczyka. Zamruczała jak kot, odchylając głowę i poddając się przyjemności. Czuła, jak jego dłonie, jego wargi, budzą w niej uczucia, które zatrzasnęła gdzieś w środku całe lata temu. Zdawało jej się, że wargi Clevedona rozpalają iskry na jej skórze i rozdmuchują ogień palący się w brzuchu.

Nie tylko Marcelline była rozpalona. Słyszała jego chrapliwy oddech. Kiedy zacisnął dłonie na jej piersiach, mruknęła znowu, a Clevedon jęknął głucho. W głębokich ciemnościach karety dźwięki te przywodziły na myśl parę spółkujących panter. Marcelline prawie się roześmiała, czując, że porównanie jest perfekcyjne.

Clevedon był drapieżnikiem. Podobnie jak ona.

Wpił się w jej wargi, zamykając ją w silnym uścisku. Marcelline błądziła dłońmi po jego ramionach i torsie. W uniesieniu dostrzegła, jak jego ciało napina się pod jej dotykiem. Przesunęła dłoń jeszcze niżej. Potężna, sprężysta, prawdziwie książęca męskość emanowała żarem. Marcelline zakręciło się w głowie. Ach, jakże go pragnęła! Jej umysł wypełnił się obrazami nagich, lśniących od potu ciał… Jego ciała, jej ciała, wyprężonego i dygoczącego z rozkoszy.

Otwierając mu usta wargami, uniosła się i usiadła na nim okrakiem wśród szelestu jedwabiu.

Clevedon zsunął rękawki z jej ramion i z trzaskiem pociągnął suknię w dół za obszyty koronką dekolt. Marcelline wiedziała, że jedwab puścił na szwie. Nie dbała o to. Książę oderwał usta od jej warg i pochylił głowę. Obrysował językiem sterczącą brodawkę, po czym wciągnął ją do ust. Jęknęła przeszywająco, chwyciła go za głowę i wtuliła twarz w jego włosy. Niecierpliwie podciągnęła suknię i halki. Clevedon przesunął dłońmi po jej gładkich udach.

Nagły rozbłysk światła wypełnił wnętrze karety. Był to zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczył, by wyrwać ją z szaleństwa, któremu się poddała. Po chwili głuchy ryk gromu przetoczył się po czarnym niebie.

Odepchnąwszy jego dłonie, poprawiła prędko suknię i zeskoczyła mu z kolan.

– Do diabła! – burknął. – A już zaczynało być całkiem przyjemnie.

Kolejny błysk i grzmot.

Marcelline usiadła na swojej ławce.

– Nie miało być przyjemnie, na litość boską! Wiedziałam, że nie powinnam wsiadać z tobą do karety! Zatrzymaj ją! Muszę natychmiast wysiąść!

Błyskawica rozjaśniła pogrążoną w mroku ulicę. Grzmoty dudniły, jakby nadeszła wojna.

– Nie wysiądziesz w taką burzę.

– Ależ wysiadam natychmiast! – Przez chwilę mocowała się z oknem. Musiała je otworzyć, by dosięgnąć do klamki umieszczonej na zewnątrz drzwi. Kareta znów się zatrzymała i Marcelline się zachwiała. Clevedon chwycił ją, ale wbiła mu paznokcie w dłoń.

Nie puścił.

– To był tylko pocałunek – stwierdził obojętnym tonem.

– Mam na ten temat inne zdanie – wycedziła. – Gdyby nie burza, zrobilibyśmy to, czego nie muszę, nie powinnam i absolutnie nie chcę robić. Zresztą już o tym mówiłam.

– Wcale mi tego nie mówiłaś.

– Czy choć raz słuchałeś?

– Nie powiedziałaś, że nie musisz, nie powinnaś, nie chcesz – sprostował. – Powiedziałaś tylko, że wcześniej tego nie robiłaś.

Wyrwała mu się z rąk. Kareta znów ruszyła i tym razem Marcelline upadła wprost na księcia. Tak bardzo chciała już zostać w tej pozycji! Chciała umościć się na jego kolanach i otulić tym ciepłem. Jego silnym ciałem, jego elektryzującym dotykiem. Ostatnim wysiłkiem odepchnęła jego ręce i rzuciła się na drugą ławkę. Miała wrażenie, że tak muszą się czuć górnicy po wyjściu z kopalni.

Nieuleganie pokusie nie leżało w jej naturze.

– Rozdzielasz włos na czworo, jak widzę – prychnęła.

– Przed chwilą zarzucałaś mi, że nie słuchałem.

– Słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć!

– Jestem mężczyzną – oznajmił z dumą.

Tego rodzaju oświadczenie nie powinno robić na niej wrażenia, a jednak zrobiło. To mężczyzna – powtórzyła w duchu. Tylko mężczyzna. Mimo to narobili razem sporo zamieszania.

To nie tak miało wyglądać. Ten pocałunek, ten błyskawicznie narastający żar podniecenia, to nie było normalne, nawet dla niej. Nie doceniała go, a może przeceniała samą siebie. Miała ochotę kogoś zabić. Nie wiedziała bowiem, jak iść z nim do łóżka, nie rujnując misternego planu.

Jak gdyby już go nie zrujnowała.

Myśl. Myśl. Myśl.

Kareta się zatrzymała i Marcelline miała ochotę krzyknąć na cały głos. Czy ta podróż kiedykolwiek się skończy?

Drzwi otworzyły się i ujrzeli rozłożony parasol w ręku lokaja. Clevedon podniósł się z ławki.

– Nawet o tym nie myśl! – warknęła.

– Nie zwykłem wyrzucać dam z karety, by same szły do drzwi.

– Zauważyłam już, że do wielu spraw nie nawykłeś, drogi książę.

Clevedon już schodził ze schodków. Kłócenie się z nim nie miało sensu.

Ignorując wyniośle dłoń, którą łaskawie zaoferował jej towarzysz podróży, sama wyskoczyła z karety i pobiegła w strugach deszczu do hotelu. Clevedon pobiegł za nią. Chwycił ją w talii i mruknął:

– Musimy porozmawiać.

– Innym razem – odparła. – Twój lokaj zaraz się utopi.

Clevedon odwrócił się, zmieszany.

– Nie możesz zostawiać ich na deszczu, żeby się ze mną pokłócić – powiedziała z wyrzutem.

Najwyraźniej robił to na co dzień. Służący są dla niego niczym ożywione meble.

– Wcale nie zamierzałem się kłócić – sprostował. – Ale zapomniałem, że rozmowa z tobą zawsze kończy się w ten sposób.

– Porozmawiamy w niedzielę.

– Jutro.

– Jestem już umówiona z Sylvie! – zaprotestowała słabo.

– Odwołaj.

– Do niedzieli jestem zajęta. W niedzielę możesz mnie zabrać na przejażdżkę po Lasku Bulońskim, jeśli to nie stoi w sprzeczności

z arystokratycznym wstrętem do chwalenia się niestosownymi znajomościami. Jest już po targach, pewnie nie będzie tam żywego ducha.

– Myślałem o bardziej dyskretnym miejscu.

– Ja przeciwnie – ucięła. – Nie dyskutujmy o tym teraz. Wyślij mi bilecik w sobotę. Spotkamy się w niedzielę w dowolnie wybranym przez ciebie miejscu, lecz z poszanowaniem mojej reputacji. Bądź ostrożny w wyborze.

– W miejscu wybranym przeze mnie? – upewnił się.

– Żeby porozmawiać – przypomniała z naciskiem.

– Oczywiście – potwierdził. – Musimy omówić wspólne interesy.

Nie miała złudzeń, że Clevedon chce z nią rozmawiać o sklepie i strojach dla lady Clary. Jej własne przekonanie, że będzie w stanie okiełznać tego mężczyznę, wydało jej się paradne. Powinna była wiedzieć, że jako książę jest przyzwyczajony do osiągania każdego celu. Powinna była domyślić się, że życie, które rozpieszczało go od urodzenia, rozpuściło go jak dziadowski bicz.

Krótko mówiąc, powinna była być mądrzejsza, trzymać się z dala od niego, a do lady Clary wysłać Sophię.

Jednak mleko się rozlało. Teraz mogła jedynie stawić czoło tej sytuacji.

– Wiem, że nie uważasz lokajów za prawdziwych ludzi – stwierdziła – jednak ja nie mogę się skupić, bo cały czas myślę, że jeden z nich lub obaj przeziębią się i złapią zapalenie płuc. To bardzo mieszczańskie, zdaję sobie z tego sprawę, ale nic nie mogę na to poradzić.

Clevedon zerknął za siebie. Jeden lokaj stał w dyskretnym oddaleniu, trzymając przed sobą wielki parasol księcia. Drugi stał wyprężony na tylnej ławeczce karety. Obaj byli w pelerynach, zapewne przemoczonych już do suchej nitki.

– Do zobaczenia w niedzielę – rzekła.

Spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Do niedzieli.

Uśmiechnęła się, życząc mu dobrej nocy, i powoli ruszyła ku drzwiom. Portier mókł cierpliwie, trzymając je otwarte na oścież.

* * *

Clevedon wrócił pędem do karety. Joseph biegł za nim z parasolem.

Musiał natychmiast wyrzucić ją z pamięci! Musiał odzyskać równowagę!

– Okropna noc – wykrztusił.

– Prawda, Wasza Wysokość.

– Paryż nie wygląda zbyt pięknie w deszczu – ciągnął Clevedon z wysiłkiem.

– Ani trochę, Wasza Wysokość. Z rynsztoków kipią nieczystości. Odrażające.

– Co nas zatrzymało?

– Wypadek, Wasza Wysokość – westchnął Joseph. – Zderzyły się dwa powozy. Nie wyglądało to poważnie, ale stangreci zaczęli wrzeszczeć na siebie, potem dołączyli pasażerowie i zaczęła się awantura. Gdyby nie przerazili się grzmotów i błyskawic, pewnie zaczęliby się bić.

Noirot niepotrzebnie trzęsła się nad jego lokajami. Roztoczyła takie wizje, że sam niemal spodziewał się znaleźć ich leżących w kałuży i rozdzierających koszule na piersiach. Tymczasem stojący za karetą Thomas prowadził ożywioną rozmowę ze stangretem Hayesem, a Joseph aż tryskał młodzieńczą werwą i humorem, choć musiała być już druga w nocy!

Wszyscy trzej byliby niebywale uradowani, gdyby paryscy stangreci i pasażerowie zaczęli się nawzajem okładać, a potem pierzchać jak myszy na widok błyskawicy.

Stary wróbel Hayes dbał wyłącznie o dobro swych wypieszczonych koni. Lokaje byli młodzi, a młodość nie dba o takie drobiazgi jak odrobina deszczu. Cała służba Clevedona była sowicie opłacana, dobrze ubrana i porządnie karmiona. Gdy byli chorzy, wołał do nich doktora i szczodrze ich zaopatrywał, gdy odchodzili na emeryturę.

Wiedział, że nie jest to zasadą w każdym szlacheckim domu, a Noirot nie mogła znać warunków, w jakich żyła jego służba. Sama zresztą była zaliczana do tej warstwy i zapewne niejednokrotnie doznała niesprawiedliwego i bezdusznego traktowania ze strony arystokratów.

A jednak…

Wspiął się do karety. Joseph zatrzasnął drzwi.

Clevedon miał podejrzenie, że Noirot nie chodziło wcale o jego moknących lokajów.

Nie ufał jej za grosz.

Oszukiwała w kartach, był tego pewny. Była z nim nieszczera.

Przekonywała go, że nie uwodzi mężów swych klientek, a jednak…

– Dobry Boże – westchnął i zamarł.

Jej zapach unosił się we wnętrzu karety. Clevedon niemal czuł jej smak na wargach. Wciąż czuł dotyk jej skóry na opuszkach palców.

Tylko pocałunek.

Wystarczyło jedno uderzenie serca, by owładnęło nim szaleństwo.

Trudno się zresztą dziwić.

Będą musieli to dokończyć. Wtedy wreszcie będzie mógł o niej zapomnieć i spędzić ostatnie tygodnie wolności tak, jak zaplanował.

Bieganie po Paryżu za prowokującą krawcową nie należało do tych planów, ponadto nie było w jego stylu. Oczywiście, był przyzwyczajony do uganiania się za kobietami. Lubił flirty i gierki. Ale to było zupełnie co innego. Od kilku dni tańczył, jak mu zagrała bezczelna sklepikarka, mówiąca bez przerwy o swoich interesach! Jednocześnie pociągała go, bawiła i miał szczerą ochotę ją udusić. Całowała jak kochanka diabła, wyszkolona na zgubę mężczyzn przez samego Mefistofelesa, który stworzył także jej idealne ciało. Oszałamiające piersi. Gładki łuk szyi. Zalotne, drobne uszka…

Dziki, nienasycony język…

Kłamliwy język.

Jakież to ważne sprawy zajmą ją przez cały piątek i sobotę?

* * *

Hotel Fontaine

– Pakować? – powtórzyła panna Jeffreys nieprzytomnie.

Czekając na Marcelline, zapadła w drzemkę. Jednak prędko się obudziła.

Marcelline trzęsły się dłonie. Była bliska paniki.

– Musimy wyjechać najwcześniej, jak się da – potwierdziła z pośpiechem.

Był piątek, druga w nocy. Jeśli uda im się dostać na poranny prom do Londynu, będą w domu już w niedzielę. Goście księżnej de Chirac napiszą

listy najwcześniej po południu, więc zostaną one wysłane w sobotę. A w niedziele angielska poczta nie pracuje.

Przy odrobinie szczęścia zdołają dotrzeć do Londynu przed falą listów z Paryża. To da Sophy chwilę na wymyślenie, jak obrócić na ich korzyść plotki o pani Noirot i księciu Clevedonie.

– Nie mamy chwili do stracenia. We wtorek wszyscy będą mówić tylko o tym balu. Musimy sobie jakoś z tym poradzić.

Szwaczka nie zapytała, o jakie plotki chodzi. Nie była naiwna ani głupia. Wiedziała, że Marcelline idzie na bal z Clevedonem. Zauważyła rozdarcie sukni. Uniosła nawet brwi ze zdumienia, w jej oczach nie było jednak wyrzutów ani zgorszenia. To nie była niewinna owieczka z pastorskiego domu. Miała już do czynienia z arystokratami. Z tej właśnie przyczyny wylądowała w przytułku.

Nikt nie musiał jej tłumaczyć, w jaki sposób suknia uległa zniszczeniu. Martwiła się tylko, czy zdoła ją naprawić.

– To wszystko kwestia interpretacji – ciągnęła Marcelline. – Po prostu trzeba będzie we właściwy sposób opowiedzieć tę historię. Może tak: „Książę C. oczarowany wspaniałą kreacją pani Noirot, mieniącą się w walcu odcieniami złota”. – Marcelline się skrzywiła. – Nie, za mało szczegółów. „Piaskowozłota suknia z jedwabiu, ozdobiona czerwonymi kokardkami i czarną koronką, wzbudziła podziw jednego z najświetniejszych gości na balu u księżnej de Chirac”. Tak. To brzmi wiarygodnie.

– Da się łatwo naprawić – wtrąciła panna Jeffreys. – Wszyscy będą chcieli ją zobaczyć.

– I zobaczą, jeśli tylko uda nam się okiełznać falę niestosownych plotek. A w tym celu musimy się nimi zająć, zanim jeszcze dotrą do Londynu. Sophy udzieli obszernego wywiadu „Porannemu Zwierciadłu” Foxe’a. I wspomni, że książę Clevedon zabrał mnie na bal dla żartu. Albo żeby wygrać zakład.

– Wersja z żartem jest lepsza – stwierdziła szwaczka. – Dla niektórych zakład może brzmieć kompromitująco.

– Masz rację. Moja obecność na balu była żartem, ale suknia przykuła uwagę gości…

– Powinni napisać coś o efekcie kolorystycznym podczas ruchu.

– Otóż to! – podchwyciła Marcelline. – A potem coś o walcu jako idealnym tle dla takiej kreacji. Nawet książę Clevedon, zdumiony krojem i kolorem sukni, zdecydował się na taniec.

– Madame, ach, jakżebym chciała tam być! – westchnęła panna Jeffreys. – Każda dama, która czyta taką relację, czuje to samo. Wszystkie będą marzyły, by zobaczyć tę suknię i poznać krawcową, która ją zaprojektowała.

– Będziemy się zastanawiać nad szczegółami na promie – ucięła Marcelline. – Najpierw jednak musimy się na niego dostać. Pakujemy się, jakby od tego zależało nasze życie!

Nie pierwszy już raz – dokończyła w myślach Marcelline.

– Oczywiście, madame. A co z paszportami?

– Co z nimi?

– Sekretarz ambasadora powiedział, że przed wyjazdem musimy mu przynieść paszporty do przedłużenia. Potem mamy je zanieść na posterunek policji. Potem…

– Nie mamy na to czasu! – wykrzyknęła Marcelline.

– Ależ madame…

– To zajmie nam cały dzień, jeśli nie dwa – wyjaśniła Marcelline. Przechodziła przez to dwa razy do roku i znała już uciążliwą procedurę. – Każdy z urzędników przyjmuje w różnych godzinach i w różnych miejscach. Brytyjski ambasador jest łaskaw podpisywać paszporty między jedenastą a trzynastą. Potem trzeba czekać na prefekta policji. Następnie znosić nonsensy ministra spraw zagranicznych, który także przyjmuje dwie godziny i żąda za swój podpis dziesięciu franków. Widzisz, że to czyste szaleństwo.

„Potrzebują zasad. Tworzą ich tak wiele”. Marcelline przypomniała sobie niski głos Clevedona i poufały ton, gdy opowiadał jej żart o francuskim umiłowaniu reguł. Przebieg ich pierwszego wieczoru wrócił do niej falą wspomnień. Jej dłonie na jedwabnym fularze, zamiana spinek… Spojrzenie Clevedona. Jak wzrok czającej się pantery.

Odepchnęła wspomnienia. Nie miała na to czasu.

– Wiem, że to śmieszne, madame, ale mogą nas nie wpuścić na prom.

– Zajmij się pakowaniem – zdecydowała Marcelline – a ja dopilnuję dokumentów.

* * *

Sobotni wieczór

– Nie wierzę – westchnęła panna Jeffreys, rozglądając się po maleńkiej kajucie. Prom był niemal przeładowany, a jednak, mimo że złamały tyle zasad, dostały się na pokład. – Udało się pani!

– Gdzie jest wola, znajdzie się i sposób – odparła skromnie Marcelline, myśląc, że prawda ta ma szczególne zastosowanie w przypadku jej rodziny. Można osiągnąć zdumiewające efekty, mając na podorędziu umiejętność fałszowania podpisów, trochę czaru, kilka monet i głęboki dekolt.

Zwłaszcza gdy trzeba przekonać mężczyznę.

Choć panna Jeffreys nie była świadoma niektórych szczegółów – Marcelline wolała nie wtajemniczać jej w sztukę fałszowania podpisów – inne chwytała w lot i wykorzystywała z wielkim zaangażowaniem.

– Udało nam się – odetchnęła wreszcie Marcelline. – Myślę, że zasługa należy do ciebie. Pomysł ze sznurówką był genialny.

– Przyznaję, że trochę się zagalopowałam, madame. – Panna Jeffreys się spłoniła. – Ale zrobiło mi się słabo na myśl, że tuż przed wejściem na trap odeślą nas z kwitkiem.

– Ja zaś przyznaję, że zaczynałam już tracić cierpliwość. Jeszcze chwila i zdzieliłabym tego nędznika torebką.

– Jest pani bardzo zmęczona, madame. Nie spała pani prawie od dwóch dni.

– Zdrzemnęłam się w powozie.

Francuskie drogi poprawiały się powoli, ale wciąż nie można ich było nazwać równymi. Między szalonymi podskokami powozu i główkowaniem, jak obejść kolejnych biurokratów, oraz pomimo narzucających się ciągle wspomnień o Clevedonie zdołała zamknąć oczy na dosłownie parę minut. Nie jadły też porządnego posiłku, była więc głodna i śpiąca. I bliska załamania.

Na szczęście panna Jeffreys nie straciła głowy. Przypadkiem nastąpiła sobie na sznurówkę, urwała ją, potknęła się i wybuchnęła płaczem. Urzędnik rzucił się jej na pomoc, wzywając sekretarza. Nie wiadomo, czy

przepuścił je oszołomiony smukłymi kostkami pokojówki, czy bał się jej kolejnych spazmów. Tłum kotłujący się tuż przed trapem także zadziałał na ich korzyść. Marcelline wiedziała, że w towarzystwie Frances Pritchett wracałaby właśnie do Paryża. Zerknęła na zegarek.

– Powinnyśmy za chwilę odpływać – stwierdziła. – Pójdę się przewietrzyć.

– Myślałam, że położy się pani do łóżka. Ja lecę już z nóg, a spałam znacznie więcej niż pani.

– Muszę odetchnąć i trochę się uspokoić – wyjaśniła Marcelline. – Uwielbiam odpływać wieczorem. Światła powoli giną w oddali i świat wydaje się taki bezpieczny. Powinnaś wybrać się ze mną. Przypłynęłyśmy w południe, to zupełnie co innego.

Panna Jeffreys zadrżała.

– Morskie podróże mi nie służą. Mam nadzieję, że zasnę, zanim ruszymy. Wolałabym nie przechodzić tego drugi raz.

– Biedne dziecko – wzruszyła się Noirot. – Zapomniałam, jak ciężką miałaś podróż.

– Warto było się pomęczyć, madame – oświadczyła dzielnie szwaczka. – Z przyjemnością zrobię to jeszcze raz. Szczerze mówiąc, będę się o to codziennie modliła. – Roześmiała się. – Proszę się mną nie przejmować.

Marcelline wyszła na pokład. Marynarze przygotowywali prom do odpłynięcia, a pasażerowie uspokajali się powoli po szaleńczym poszukiwaniu swych miejsc i lokowaniu bagaży. Na pokładzie panował hałas i kręciło się mnóstwo ludzi. Zapadł już zmrok, lecz na niebie jasno świecił księżyc i było mnóstwo gwiazd.

Bez trudu wyłowiła z tłumu wysoką postać. Zanim jeszcze się odwrócił i światło księżyca oblało jego twarz, serce Marcelline zaczęło bić jak oszalałe.

Rozdział 6

Promy Steam-Packets, jeśli pozwala na to pogoda,
pływają codziennie od pierwszego kwietnia do końca
października z przystani przy Tower do Calais
i z powrotem. Podróż w jedną stronę trwa około
dwunastu godzin. Powozy, konie i bagaże są
przewożone bez dodatkowych opłat.

Mariana Starke, *Podróże po Europie* (1833)

Marcelline stała nieruchomo jak posąg, tylko koronki i wstążki przy jej kapeluszu furkotały na wietrze. Clevedon zacisnął dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Miał nadzieję, że wygląda na zupełnie spokojnego, choć serce biło mu znajomym, zdecydowanie zbyt szybkim rytmem.

Podszedł do niej swobodnym krokiem.

– Niespodzianka! – odezwał się pogodnie.

Spojrzała na niego z przyganą. Oczy miała podkrążone i był pewny, że nie jest to jedynie cień kapelusza. Była bardzo zmęczona. Zresztą trudno się dziwić. Był zdumiony tempem, w jakim zdołała opuścić Paryż. Pewnie od powrotu z balu w ogóle się nie kładła. A w drodze zatrzymywała się chyba tylko po to, by zmienić konie.

Jak tego dokonała? Zebranie wszystkich podpisów w ciągu jednej nocy musiało kosztować fortunę! Nawet dla niego, mimo tytułu i nazwiska, załatwienie formalności było drogą przez mękę, a zajął się tym dopiero rano, kiedy przynajmniej część urzędników już wstała. Gdyby nie był księciem Clevedon i nie użył wszystkich swoich wpływów, prawdopodobnie mógłby teraz jedynie patrzeć na odpływający prom i machać batystową chusteczką, przeklinając swoją głupotę. Spóźnił się o godzinę, a jednak zaczekali na niego.

Wprawdzie teraz także przeklinał swoją głupotę, ale nie na wiele się to zdało.

Przynajmniej zdołał ją rozwścieczyć.

– Niespodzianka? – wycedziła. – Chyba postradałeś rozum!

Owszem.

– Martwiłem się o ciebie – oznajmił. – Kiedy wyjechałaś tak nagle, pomyślałem, że zdarzyła się jakaś katastrofa. Albo że ktoś umarł. Zamordowałaś kogoś? Nie żebym miał czelność się wtrącać, ale…

– Wyjechałam z Paryża, by uwolnić się od ciebie!

– Cóż… To ci nie wyszło.

– Jak, na litość boską, udało ci się mnie dogonić? – zapytała. – Skąd wiedziałeś? Jak… Ach, nieważne! Nie będę pytała, jak zdołałeś przebrnąć przez francuską administrację, przecież jesteś księciem, a w tym sezonie nie ścinają was na szafocie. Choć dziwi mnie, że nie nauczyli się jeszcze, jak bezużyteczni są arystokraci. Nikt was już nie potrzebuje.

Clevedon się uśmiechnął.

– Przecież pani potrzebuje mej arystokratycznej głowy wciąż na karku, madame Noirot. Żebym mógł płacić za suknie.

– Skąd wiedziałeś, że wyjeżdżam?

– Widzę, że nie daje ci to spokoju.

– Skąd? – krzyknęła, zaciskając pięści.

Clevedon czuł, jak na twarz wypełza mu rumieniec, ale zdołał odpowiedzieć spokojnie:

– Wysłałem lokaja, by cię śledził. Widział, jak tuż przed świtem wsiadłaś z pokojówką do powozu. W pierwszej chwili przypuszczał, że pojechałaś o tak skandalicznej porze do mademoiselle Fontenay, ale gdy do drugiego powozu zaczęto ładować niezliczone walizki i pudła, zweryfikował swoje podejrzenia. Dowiedział się od jednego z posługaczy, że wyjechałaś. Rzekomo udałaś się w podróż do krewnych. Wybacz, ale muszę zapytać, jak w ogóle udało ci się opuścić Francję. Wyjechałaś przed świtem i nie miałaś szans na odwiedzenie każdego urzędnika z osobna, by podpisał wasze paszporty.

– Nie przyszło ci do głowy, że zatroszczyłam się o to z wyprzedzeniem? – zakpiła.

– Czyżby?

– Ach, więc twój lokaj nie zdołał tego wyśledzić? Szkoda, gdyż nie zamierzam zaspokajać twojej ciekawości. Przez półtora dnia tłukłam się po

przeklętych francuskich wybojach i jestem zmęczona. Dobranoc, Wasza Wysokość.

Dygnęła ledwie zauważalnie i odeszła.

Zwalczył potrzebę dogonienia jej. Już i tak zachowywał się absurdalnie. Po co? Co zamierzał osiągnąć na promie pełnym pasażerów? Miał szczęście, że to angielskie linie, bo inaczej na pewno nie czekaliby na niego. Choć zapłacił fortunę, by zamienić się biletami z innym pasażerem, to francuski prom nic by sobie z tego nie robił.

Wszelako naprawdę powinien był zostać w Calais. Do diabła, nie powinien był opuszczać Paryża! Ostatnie sześć tygodni wolności! Stracił je i w imię czego?

A jednak to zrobił. I kiedy wytrząsł się półtora dnia na drodze do Calais, nie miał ochoty stać na nabrzeżu i patrzeć, jak Noirot odpływa.

Zachowywał się jak nawiedzony, ale trudno. Szczerze mówiąc, zaczynał się już nudzić w Paryżu, a szalona galopada do Calais była najbardziej ekscytującym wydarzeniem ostatnich tygodni, jeśli nie miesięcy. Warto było to zrobić choćby po to, by zobaczyć wstrząśniętą minę Noirot. Niespodzianka, doprawdy. Dałby głowę, że nikt nigdy jej tak nie zaskoczył.

Clevedon stał na pokładzie, dopóki prom nie wyszedł z portu i nie wypłynął na wody kanału. Zauważył chmury przesuwające się leniwie po niebie i zasłaniające gwiazdy, ale nie skupił na nich uwagi. Niebo nad kanałem nigdy nie było zupełnie czyste.

Wrócił do kajuty. Saunders pomógł mu zdjąć płaszcz, fular, kamizelkę i buty. Książę runął na koję i w mgnieniu oka zasnął.

Po godzinie rozpętał się sztorm.

* * *

Marcelline wybiegła na wąski korytarzyk. Odór był nie do wytrzymania, najwyraźniej większość spanikowanych pasażerów cierpiała na chorobę morską. Nawet jej żołądek, zwykle ze stoickim spokojem znoszący kołysanie fal, wywrócił się na chwilę do góry nogami. Zatrzymała się pod ścianą i oddychała przez usta, próbując zwalczyć skurcze.

Statek przechylił się gwałtownie na prawą burtę i Marcelline wpadła z trzaskiem na drzwi kajuty. Słyszała dobiegające zza nich piski i krzyki, podobne odgłosy dobywały się zresztą ze wszystkich pomieszczeń. Prom trzeszczał tak przeraźliwie, jakby rozpadał się w drzazgi.

Marcelline szła krok za krokiem, przekonując się w duchu, że to naturalne. Że liny i deski trzeszczą pod naporem wiatru i wody. Serce łomotało jej ze strachu jak oszalałe. Trudno było nie myśleć o śmierci, gdy każda fala zdawała się wywracać ich do góry nogami, a statek jęczał i wołał o pomoc.

Załoga pozamykała luki, lecz woda i tak lała się pod pokład. Podłoga była śliska i zdradliwa.

– Rozpadamy się! – wrzeszczał jakiś marynarz. – Nasz czas jest bliski!

– Idź do diabła – mruknęła Marcelline. Oczywiście, była przerażona. Nie bałby się chyba tylko szaleniec. Jednak nie zamierzała umierać. Prom musi ocaleć. Marcelline ma córkę i siostry, które czekają na nią w Londynie.

Zadygotała, czując silny skurcz żołądka. Nigdy dotąd nie chorowała na morzu. Teraz także nie będzie. Nie ma na to czasu. Panna Jeffreys strasznie cierpi i potrzebuje pomocy.

Lecz wbrew swym zapewnieniom nie czuła się zbyt dobrze.

Później! Później będzie sobie chorowała do woli.

Nie wszystko naraz.

Podeszła do drzwi, przy których widziała wcześniej lokajów w bogatych liberiach. Wracając wieczorem do swej sypialni, słyszała, że książę Clevedon zamówił trzy kajuty. Najlepszą na promie dla siebie i dwie zwykłe dla swoich lokajów.

Załomotała do drzwi. Otworzyły się raptownie i w tym samym momencie statek zakołysał się jak korek. Marcelline pośliznęła się i wpadła bezwładnie do kajuty. Dwie silne ręce chwyciły ją w locie i postawiły na nogi.

– Do cholery, Noirot! Mogłaś skręcić kark!

Dłonie księcia były ciepłe i emanowały spokojną siłą. Miała ogromną pokusę, aby paść mu w ramiona. Oczyma wyobraźni widziała go w lśniącej zbroi, stającego w obronie swego zamku i kobiety. Chciała się na nim oprzeć, zawierzyć mu swój los.

Lecz nie mogła. Nie powinna!

Nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Czuła mdłości.

– Musiałam… przyjść – wyjąkała z trudem.

– Właśnie wychodziłem, żeby zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz – burknął. – Dobrze się czujesz?

Wpatrywała się w jego stopy i myślała tylko o upokorzeniu, jakie za chwilę ją spotka, gdy zwymiotuje na jego szykowne pantofle. Choć musiała przyznać, że były już odrobinkę sfatygowane. Szkoda. Takie piękne buty. Clevedon ma duże stopy. Zabawne.

– Dobrze – wybełkotała ze ściśniętym gardłem.

– Saunders! Brandy, prędko!

O, właśnie po to przyszła. Brandy dla panny Jeffreys.

I dla siebie. Tak.

– Moja… szwaczka… – zaczęła. – Ona…

– Cicho. – Clevedon przystawił jej flaszkę do ust. – Pij.

– Ja nigdy nie choruję – odparła słabo.

– Pij.

Wypiła. Żar alkoholu rozlał się po jej przełyku i żołądku. Westchnęła z ulgą. Miała szczerą nadzieję, że brandy wypali mdłości i skurcze.

Za chwilę dojdzie do siebie.

Statek przechylił się gwałtownie. Marcelline zachwiała się, lecz tym razem Clevedon trzymał ją mocno.

– Puść – szepnęła, podnosząc dłoń do ust. – Będę… Będę…

– Saunders!

Znikąd pojawiło się wiadro. Świetnie!

I nagle klęczała na podłodze, złożona w pół nad wiadrem, wstrząsana konwulsjami tak silnymi, że ledwie była w stanie utrzymać głowę.

Ktoś trzymał ją za ramiona. Jacyś mężczyźni rozmawiali ponad nią bez pośpiechu. Jego głos. Inny głos. Przenieśli ją na coś miękkiego. Łóżko. Cudownie. Poleży tu chwilę, a prom ukołysze ją do snu.

Ach, nie! Nie miała na to czasu.

Ktoś wsunął jej poduszkę pod głowę i okrył kocem. Przez chwilę poczuła się wspaniale. Nie mogła się jednak poddawać. Trzeba wstać. Panna Jeffreys potrzebuje pomocy. Czuła, że jeśli się poruszy, znów zacznie wymiotować.

Musi leżeć. Całkiem nieruchomo.

Prom kołysał się z boku na bok. Liny trzeszczały, skrzypiały deski. Hałas był tak przejmujący, jakby na pokładzie zgromadziły się dusze wszystkich

topielców. Zza ścian dobiegały krzyki i płacz pasażerów. A w tle rozlegały się grzmoty i wycie wiatru.

Piekło, pomyślała. Piekło Dantego. Albo z tego obrazu, nie mogła sobie przypomnieć autora. Do licha! Co się z nią dzieje? Nie może tu bezczynnie leżeć i rozmyślać o sztuce!

– Nie – wyjąkała. – Ja nie… Moja… moja szwaczka.

– Twoja pokojówka? – Głos Clevedona był kojący i słodki.

– Panna Jeffreys. Jest strasznie chora. Brandy… Przyszłam po brandy.

Znowu głosy. Męskie głosy nad jej głową. Świat kołysał się w górę i w dół, w górę i w dół.

Nie. Nie chcę być chora!

Coś mokrego i zimnego dotknęło jej twarzy.

– Saunders zaopiekuje się twoją pokojówką – uspokoił znajomy głos.

– Nie pozwólcie jej umrzeć – jęknęła.

A może sama umarła? Jej głos brzmiał tak słabo, jakby z oddali. Wokół narastał piekielny zgiełk.

– Ludzie nie umierają od choroby morskiej – zapewnił głos.

– Ale czasem woleliby umrzeć – stwierdziła.

Dziwny dźwięk. Chichot? Głos Clevedona był tak blisko. Wrzawa w tle stawała się coraz głośniejsza. Jęki i krzyki ludzi, straszliwy klekot lin, a na koniec przerażający trzask.

– Nie możemy zatonąć – załkała.

Nie. Nie powinna nic mówić. Nie powinna się ruszać, myśleć, a nawet oddychać.

– Nie zatoniemy – odparł kojąco. – Jest burza, ale nie zatoniemy. Proszę, wypij to.

Pokręciła głową. To był błąd. Znowu poczuła mdłości.

– Nie mogę.

– Tylko kropelkę – zachęcał. – To laudanum. Pomoże ci, obiecuję.

Nie była w stanie podnieść głowy, a nawet otworzyć oczu. Świat wirował w oszalałym tempie, kołysząc się w górę i w dół, a także na boki.

Gdzie ja jestem?

Delikatnie podniósł jej głowę. Czy to on? Czy sama podaje lekarstwo chorej Lucie? *Lucie. Lucie!*

Lucie jest bezpieczna w Londynie, z ciotkami, które ją pewnie rozpieszczają. Lucie jest bezpieczna, bo jej matka i ciotki walczyły zażarcie o jej życie, posuwając się do wiedźmich metod, warząc tajemne dekokty, by utrzymać ją przy sobie. Nie mogła walczyć tak długo tylko po to, by ją osierocić.

– Jeszcze troszkę – nalegał. – Jeszcze kropelka.

Weź leki. Wyzdrowiej. Wróć do Lucie.

Przełknęła gorzki płyn.

– Ohydne. – Wstrząsnęła się.

– Wiem. Ale to ci pomoże. Zaufaj mi.

– Zaufać ci – szepnęła. – Ha!

– Widzę, że daleko ci jeszcze do śmierci.

– Najwyraźniej. Diabeł nie chce mnie przyjąć.

Zachichotał.

– A więc jesteśmy bezpieczni.

Marcelline wcale nie czuła się bezpieczna. Statek jęczał, trzeszczał i skakał po falach jak pusta butelka. Widziała już wiele morskich burz, ale ta była najgorsza ze wszystkich. Lecz choć jej umysł roztrząsał możliwe zagrożenia, serce widziało to inaczej. Głos Clevedona, jego delikatny dotyk i spokojna opiekuńczość koiły jej lęki. O, ironio!

– Widzę ten uśmiech – oświadczył Clevedon. – Opium zaczyna nareszcie działać.

Nareszcie? Czyżby zasnęła? Zupełnie straciła poczucie czasu.

– To nie opium, to ty – powiedziała. Słyszała własny głos z oddali. Jakby dotarł już do Londynu bez niej. – To twoja książęca pewność siebie. Wszystko schodzi ci z drogi. Nawet diabelski sztorm.

– Zdecydowanie ci się polepsza. Wypowiadasz pełne zdania, które na dodatek ociekają drwiną.

– Owszem. Już mi lepiej. – Żołądek Marcelline w istocie się uspokoił, jednak głowę wciąż miała ciężką. Z wysiłkiem otworzyła oczy. Clevedon pochylał się nad nią z troską. W półmroku nie widziała szczegółów, zwłaszcza że wszystko nadal się kołysało. Oczy Clevedona były ukryte w cieniu. Pamiętała, że są zielone. Jak szmaragdy. Albo jak morze. Niewiele kobiet mogłoby nosić ten kolor. Niewiele mogłoby mu się oprzeć.

Przymknęła powieki.

Poczuła na czole wilgotną chusteczkę. Przetarł delikatnie jej twarz. Zadrżała z emocji, które bała się nazwać. Czuła się bezpieczna.

O, ironio!

– Dziwne – szepnęła.

– Tak – potwierdził.

Mrok zgęstniał. Zasnęła.

* * *

Clevedon nie miał pojęcia, jak długo trwał sztorm. Stracił poczucie czasu. Obudził się miotany falami, wśród ogłuszających krzyków i trzasków. Poczuł nawet mdłości, ale prędko sobie z nimi poradził. Jego żołądek, zahartowany po latach kawalerskich libacji, nie poddawał się tak łatwo. Pierwszą przytomną myśl poświęcił pani Noirot, umierającej pewnie ze strachu w swojej kajucie. Odnalazł podróżną apteczkę i chciał właśnie ruszyć na pomoc Marcelline, kiedy wpadła przez drzwi prosto w jego objęcia.

Od tej chwili nie miał czasu ani na mdłości, ani na martwienie się o kogokolwiek innego. Jej perłowa cera była szara z wysiłku. Widział to wyraźnie nawet w półmroku. Leżała na koi, nieprzytomna i pozbawiona sił. Majaczyła, wzywała kogoś. To było do niej niepodobne. Zawsze zdawała się silna, niezależna i śmiała. Widząc ją słabą, chorą, wstrząsaną spazmami, wpadł w panikę. Dopiero po jakimś czasie uspokoił się i zebrał myśli.

To tylko choroba morska. Majaki muszą być efektem niedospania i niedożywienia w ciągu ostatnich dni. Cokolwiek jednak jej zaszkodziło, była zbyt bezradna, by zostawić ją samą. Wmawiał sobie, że wie, co robić, ale drżał o jej zdrowie.

Nie był lekarzem i nie miał dotąd okazji pielęgnować kogokolwiek, przeżył jednak z Longmore’em epidemię cholery i nauczył się w tym czasie kilku podstawowych zasad opieki nad chorymi. Wprawdzie lekarze walczący z epidemią nie osiągali spektakularnych sukcesów i wciąż się kłócili, ale przecież Noirot nie zapadła na cholerę. To tylko choroba morska i nie należy panikować. Kiedy sztorm minie, na pewno poczuje się lepiej.

O ile nie zatoną.

Nie mogą zatonąć.

Wiedział, że musi jej podawać lekarstwa i płyny. To jednak nie było łatwe, bo jej żołądek niczego nie przyjmował. Brandy na chwilę ją otrzeźwiło, ale najlepiej zadziałało laudanum. Przez jakiś czas mamrotała o czarownicach, Makbecie, aniołach i demonach, wreszcie jednak ucichła. Clevedon odetchnął z ulgą.

Siedząc na brzegu koi, raz po raz przemywał jej twarz mokrą chusteczką. Nie wiedział nawet, czy to pomaga, ale czuł, że musi coś robić. Cokolwiek. Saunders na pewno wiedziałby, jak postępować, ale on zajmował się pokojówką. Czy też szwaczką. Kimkolwiek naprawdę była.

Do licha, wszystkie informacje o madame Noirot były równie chwiejne jak pokład pod jego stopami! Złudzenia, omamy i półprawdy. Madame Noirot była mistrzynią manipulacji.

Gdyby jej ufał, nie wysłałby lokaja na przeszpiegi, nie gnałby za nią na złamanie karku, nie znalazłby się na promie podczas przeklętego sztormu.

A jednak brak zaufania nie tłumaczył jego szaleństwa. Sam nie rozumiał własnego zachowania. Noirot nie jest nawet piękna. Na pewno nie teraz. W mdłej poświacie wygląda jak duch. Nie mógł uwierzyć, że to ta sama namiętna kobieta, która wskoczyła mu na kolana w karecie i całowała go do nieprzytomności.

Odgarnął wilgotne kosmyki z jej czoła.

Szalona. Wariatka.

* * *

Marcelline obudziła się o świcie.

W pierwszej chwili była przekonana, że umarła i unosi się bezwładnie w jakimś innym świecie.

Powoli docierały do niej kolejne dźwięki i obrazy. Prom kołysał się łagodnie, trzeszcząc cicho i uspokajająco. Wiatr ustał. Sztorm minął.

Przeżyli.

Poczuła ciepły ciężar napierający na jej plecy. Otworzyła oczy, ale zobaczyła jedynie drewnianą ścianę kajuty. Zamrugała i w ułamku sekundy wróciły do niej upokarzające wspomnienia. Wędrówka korytarzami do

kajuty Clevedona, mdłości, które ją dopadły, brandy… laudanum… jego dłonie…

To nie jest jej sypialnia ani jej łóżko.

To jego łóżko. I najwyraźniej to on z nią leży.

Wspaniale.

Próbowała się odwrócić, ale przygniótł jej suknię i nie mogła się ruszyć.

– Clevedon! – syknęła.

Mruknął coś i objął ją ramieniem.

– Wasza Wysokość – poprawił sennym głosem.

Przyciągnął ją do siebie i sapnął wzruszająco.

Jakżeby chciała zostać w tej pozycji, wtulona w jego potężne, silne ciało, otoczona muskularnymi ramionami, bezpieczna.

Lecz wcale nie była bezpieczna. Gdy Clevedon się obudzi, będzie zapewne w takim stanie jak większość mężczyzn nad ranem. Nie wierzyła, że uda jej się oprzeć takiej pokusie.

Stuknęła go łokciem w żebra.

– Co? – burknął.

– Zgniatasz mnie.

– Owszem – westchnął i wtulił nos w jej kark.

Czuła na pośladku silny nacisk książęcej męskości, obudzonej znacznie wcześniej niż jego mózg.

– Puść mnie! – pisnęła. – Puszczaj!

Zanim się poddam i postanowię uczcić cudowne ocalenie przed śmiercią w sposób tradycyjny dla naszego gatunku.

– Noirot?

– To ja.

– A więc to nie był sen?

– Nie. Puszczaj!

Mruknął coś pod nosem i wstał. Marcelline odwróciła się gwałtownie. Zakręciło jej się w głowie. Przez chwilę mrugała powiekami, by skupić się na obrazie.

Clevedon patrzył na nią z góry. Widziała cień zarostu na jego policzkach i wrogie spojrzenie.

Usiadła na koi i prawie w tej samej chwili opadła bezwładnie na plecy, chwytając się za głowę.

– To było niemądre – prychnął książę. – Miałaś mdłości. Przełknęłaś tylko trochę kleiku i dwa łyki wina.

– Jadłam?

– Nie pamiętasz?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, co się wydarzyło, a co było tylko złudą. Co mi się przyśniło, a co było naprawdę. Śniło mi się, że byłam w Londynie. A potem nie. Byłam na dnie morza i z dołu patrzyłam na prom. – Przypomniała sobie wyraźnie ten sen i rozpaczliwe uczucia, jakie ściskały jej serce. *Utonęłam! Już nigdy nie zobaczę Lucie. Po co wyjeżdżałam z Londynu?* – Ludzie wychylali się za burty i patrzyli na mnie. Krzyczeli i gestykulowali, ale ja ich nie słyszałam. Ty też tam byłeś. Bardzo, bardzo zły.

– To akurat nie mija się z prawdą – stwierdził. – Mocno nadwerężyłaś moją cierpliwość. Nie mam w zwyczaju bawić się w niańkę. Zwłaszcza że nie byłaś łatwą pacjentką. Rzucałaś się w malignie jak opętana.

– To dlatego się na mnie położyłeś?

– Nie leżałem na tobie. A przynajmniej nie świadomie. Zasnąłem. Byłem już wykończony. Zanim rozpętał się sztorm, drzemałem dosłownie chwilę. Potem wpadłaś tu i postanowiłaś się rozchorować w mojej kajucie.

– Nie miałam na to żadnego wpływu, choć teraz widzę, że to był wspaniały zbieg okoliczności, i żałuję, że nie mogę go przypisać własnemu sprytowi. Przyszłam po pomoc. Dla panny Jeffreys. Trochę kręciło mi się w głowie, a potem… – Wzruszyła ramionami. – Ja nigdy nie choruję. Nie powinnam była chorować.

– Miałaś szczęście, że tu byłem – oświadczył. – Masz szczęście, że jestem cierpliwy. Krnąbrna z ciebie pacjentka. Wyrzuciłbym cię za burtę, ale załoga pozamykała włazy.

Marcelline podniosła się powoli. Serce jej łomotało. Przycisnęła dłoń do piersi.

– Lepiej się połóż.

Wracały do niej strzępki wspomnień. Pamiętała, jak cierpliwie podawał jej leki. Jego łagodny dotyk. To niespotykane uczucie, że ktoś się nią opiekuje, dba o nią i się troszczy. Kiedy ostatnio ktoś się nią zajmował? Z pewnością nie rodzice. Nigdy nie wahali się porzucić dzieci na łaskę losu, gdy opieka nad nimi nie była im na rękę. Potem wracali po kilku miesiącach, oczekując, że córki rzucą im się w ramiona.

A my się rzucałyśmy – pomyślała z goryczą Marcelline. Ależ byłyśmy naiwne i głupie.

Jednak niezależnie od tego, czy rodzice byli w pobliżu, czy też nie, to Marcelline dbała o siostry, gdyż wiedziała, że na nikogo innego nie mogą liczyć. Nawet gdy wyszła za mąż, wciąż zajmowała się rodzeństwem. Lecz czego się spodziewała? Wyszła za mężczyznę swojego stanu. Biedny, nieudolny Charlie!

Clevedon nie należał do jej stanu. Zdawało jej się, że w ogóle należy do innego gatunku. Przypomniała sobie jego silną, władczą dłoń, która popychała ją delikatnie w kierunku pięknej karety. Bez trudu mógł oczarować i zbałamucić każdą kobietę na świecie. Bez wątpienia nieraz to zrobił.

Marcelline nie mogła do tego dopuścić.

– Ja… z całego serca dziękuję za niezmierzone trudy opiekowania się mną – powiedziała. – Muszę wracać do siebie, zanim ktoś się zorientuje, gdzie spędziłam noc.

– Któż miałby to zauważyć lub się tym interesować? – zdumiał się Clevedon. – Przetrwaliśmy piekielny sztorm. Ludzie biegali wokoło, wymiotowali i wrzeszczeli przez całe godziny. Wątpię, by wiedzieli, gdzie sami spędzili tę noc. – Zerknął przez okienko. – Już poranek. Skoro wszyscy chorowali w nocy, teraz będą umierali z głodu. Ciebie także głowa boli z głodu. – Spojrzał na nią z troską. – Albo być może dałem ci za dużo laudanum. Nie wiem, jaka jest dawka odpowiednia dla kobiety. To cud, że cię nie otrułem.

– Clevedon… – jęknęła.

– Nie ruszaj się. Znowu zaczniesz wymiotować, a muszę przyznać, że mam już tego dosyć. Mój lokaj przyniesie ci coś do jedzenia.

– Przestań się nade mną trząść! – krzyknęła i złapała się za głowę.

Clevedon spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Zachowujesz się jak dziecko. Boisz się, że najpierw cię nakarmię, a potem uwiodę? Nie rozśmieszaj mnie. Kiedy ostatnio patrzyłaś w lustro? Przypominam także, że przez pół nocy przytrzymywałem ci głowę nad wiadrem. Niezbyt podniecający widok, jeśli mam być szczery. Nie mogę sobie przypomnieć, co w ogóle w tobie widziałem. Chcę cię nakarmić, żebyś wreszcie doszła do siebie i łaskawie wyniosła się z mojej kajuty i z mojego życia.

– Ja również nie chcę cię więcej oglądać – odparła.
– Oczywiście. Dopóki nie wystawisz rachunków za garderobę księżnej.
– Tak – potwierdziła. – Właśnie.
– Doskonale – warknął. – Ten scenariusz bardzo mi odpowiada.
Wypadł z kajuty, trzaskając drzwiami.

* * *

Zanim prom dotarł do portu, Marcelline miała ochotę krzyczeć wniebogłosy. Zboczyli z kursu i podróż, która zwykle trwała dwanaście godzin, przeciągnęła się do ponad dwudziestu. Zachwalane w reklamach przekąski i napoje zniknęły, załoga i kelnerzy byli schorowani i zmęczeni, a nastrój pasażerów pogarszał się z godziny na godzinę. Podobnie jak ich zapach. Nawet na pokładzie mimo świeżej morskiej bryzy było nie do wytrzymania. Za dużo osób musiało się znosić nawzajem w zbyt małej przestrzeni i przez zdecydowanie zbyt wiele godzin. Małżeństwa kłóciły się bez zażenowania, a rodzice wrzeszczeli na rozbrykane dzieci, które wdawały się w bójki z rówieśnikami.

Naturalnie, gdy nadszedł odpowiedni moment, wszyscy rzucili się jednocześnie ku trapowi, krzycząc, szturchając się łokciami, a nawet kopiąc.

Choć Marcelline także desperacko pragnęła opuścić prom, zdecydowała się zaczekać. Odesłała narzucających się bagażowych i kazała im wrócić później. Choć czuła się znacznie lepiej niż przed śniadaniem, musiała przyznać, że nie czuje się… sobą. Panna Jeffreys wciąż była bardzo słaba i Marcelline nie widziała sensu w przepychaniu się z nią przez wrzeszczący tłum, a zwłaszcza wśród płaczących dzieci. Pragnęła dotrzeć wreszcie do własnego dziecka. Lucie nie była aniołkiem, ale nie jęczała tak przeraźliwie. A kiedy mama zaskoczy ją powrotem o tydzień wcześniej, niż planowała, córka będzie się uśmiechała do wieczora.

I ja będę się uśmiechała, zapewniała się w duchu Marcelline. Miała nadzieję, że kiedy tylko wydostanie się z tego piekła i będzie miała chwilę dla siebie, jakoś się ze wszystkim poukłada.

Clevedon pewnie już dawno wysiadł i nie musiał się przepychać w tłumie. Służba utorowała mu drogę albo w ogóle nie było to potrzebne, bo ledwie się pojawił, ludzie rozstąpili się przed nim jak fale Morza Czerwonego.

– Przejście! Zrobić przejście! – ryknął jej ktoś nad głową.

Spojrzała na zwalistego lokaja. Za jego plecami krył się następny, a obaj mieli na sobie znajome liberie. Lokaj odepchnął ociągającego się dżentelmena i ukłonił się przed nią nisko.

– Jego Wysokość załącza ukłony, madame Noirot. Czy będzie pani tak dobra i zgodzi się pojechać z panną Jeffreys do domu karetą Jego Wysokości? Książę domyśla się, że panna Jeffreys jest bardzo osłabiona i z tego względu nie chciałby pozostawić pań na pastwę transportu publicznego bądź na zaduszenie w tym piekielnym tłumie. Jeśli pani pozwoli, przeprowadzimy panie przez bramkę dla dyplomatów i w mgnieniu oka odeskortujemy do karety, która jest tuż za rogiem.

Mówiąc to, zbierał jej walizki i pudła, drugi lokaj zaś prędko zarzucał na ramię torby, wzbudzając protest bagażowych, którzy liczyli na sowite napiwki.

Wszystko zdarzyło się tak prędko, że Marcelline nie miała nawet czasu zastanowić się nad odpowiedzią. Z trudem zrozumiała, co do niej mówią, i poderwała się dopiero, gdy ruszyli przed siebie z wszystkimi jej bagażami.

* * *

Droga na Fleet Street upłynęła niemal w milczeniu i zdawała się trwać bez końca.

Panna Jeffreys, umościwszy się na ławeczce, serdecznie podziękowała księciu za Saundersa. Była zdania, że nie przeżyłaby tej nocy, gdyby nie jego pomoc.

Clevedon wzruszył ramionami.

– Saunders uwielbia udawać lekarza – stwierdził. – Spełnia swoje marzenia, przyrządzając ohydne mikstury, które stawiają do pionu ofiary pijaństwa. To jego subtelny sposób na ukaranie nas za plamy z wina na koszulach.

– Był dla mnie bardzo miły – szepnęła panna Jeffreys.

– To coś nowego – burknął Clevedon. – Zwykle nie jest.

Do mieszkania panny Jeffreys nie odezwał się już ani słowem.

Droga od domu szwaczki do butiku była jeszcze bardziej przykra i okropnie się dłużyła.

Marcelline zastanawiała się bez przerwy, co zrobić, by obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Cóż takiego powiedział, zanim wyszedł z kajuty? Coś o płaceniu jej rachunków? To byłoby bardzo w jego stylu.

Ach, jakiż był wściekły! Nie wrócił już do kajuty, przysłał za to lokaja z winem i talerzem zimnych wędlin i serów, które musiały kosztować fortunę.

Mogłaby się prędko uzależnić od takich luksusów.

Nie mogła sobie na to pozwolić.

– Nie mogę odgadnąć – odezwała się wreszcie – czy ćwiczysz się w cierpliwości, czy po prostu chcesz zobaczyć, gdzie mieszkam.

– Obie te kwestie są mi obojętne – oświadczył spokojnie, wyciągając wygodnie nogi, czego nie mógł zrobić, gdy jechała z nimi panna Jeffreys. Jedno ramię położył na oparciu pięknej tapicerowanej ławeczki i spoglądał przez okienko osłonięte ażurowym panelem, pozwalającym widzieć wszystko na zewnątrz, a utrudniającym przechodniom zaglądanie do środka. Nie podróżował jednak incognito. Wielki herb na drzwiach karety oznajmiał całemu miastu, kto znajduje się wewnątrz powozu.

Promienie popołudniowego słońca miękko okalały jego profil.

Tak bardzo chciała dotknąć tej pięknej twarzy. Poczuć jego ramię wokół talii. Wtulić się w to silne ciało.

Odchrząknęła.

– Litujesz się nad nami? – zapytała.

– Było mi żal twojej szwaczki czy też pokojówki – odparł obojętnym tonem. – Wiem, że ty sama doskonale byś sobie poradziła. Jednak Saunders nalegał, byśmy odwieźli dziewczynę. Przyznał, że przez chwilę bał się nawet, czy ten sztorm jej nie zabije. Nawet teraz nie wyglądała dobrze. – Odetchnął ukradkiem. – Panna Jeffreys nie mieszka z tobą?

– Mieszkała przez jakiś czas, ale już stanęła na nogi. Nie jestem zwolenniczką mieszkania w miejscu pracy. Dziewczęta nie mogą tylko jeść, spać i szyć. Muszą mieć własne życie, przyjaciół. Poza tym nie mam aż tyle miejsca. No i nie chciałabym spędzać życia w domu, w którym dniem

i nocą kotłuje się sześć szwaczek. Godziny pracy czasem dają mi w kość. Te ich kłótnie, docinki…

– Sześć? – wybuchnął książę i pochylił się ku niej gwałtownie. – Sześć?!

Nie był w stanie zapanować nad zdumieniem.

Owszem, na wizytówce widniał luksusowy adres Fleet Street, róg Chancery Lane, takiej wskazówki udzieliła także stangretowi, był jednak przekonany, że to jakaś suterena wciśnięta między skład węgla a piwnice.

– Zatrudniam sześć szwaczek – wyznała z dumą. – Niebawem zatrudnię kolejne. Brakuje nam rąk do pracy.

– Sześć?! Niech cię diabeł porwie! Co w tobie siedzi?

– Odkąd się znamy, wytknąłeś mi co najmniej kilkanaście wad. Którą z nich masz teraz na myśli?

– Myślałem, że… Noirot, jesteś najbardziej przewrotną z kobiet! Ścigałaś mnie z taką pasją, że doszedłem do wniosku, że jesteś w srogich opałach.

– Skąd, na Boga, taki pomysł? – zdziwiła się Marcelline. – Przecież mówiłam ci, że jestem najlepszą stylistką na świecie. Widziałeś moje suknie!

– Wyobrażałem sobie obskurną suterenę w piwnicy! Zastanawiałem się nawet, jak zdołałaś stworzyć tak ekstrawaganckie kreacje w ciemnym, wilgotnym kantorku.

– Jestem pewna, iż nie poświęciłeś tej myśli zbyt wiele czasu. To tłumaczy twój błąd. Byłeś zbyt zajęty próbami zaciągnięcia mnie do łóżka.

– Przyznaję, byłem. Ale już koniec z tym.

Miał dość. Miał dość madame Noirot i siebie samego, ganiającego za nią jak uczniak.

– Ogromnie się cieszę – powiedziała bezbarwnym głosem.

– Myślę już wyłącznie o Clarze – dodał stanowczo. – Bynajmniej nie chciałbym wzbudzać w tobie pychy, ale widziałem, że paryskie damy były oczarowane twoimi sukniami. Zachowujesz się skandalicznie, mimo to kobiety cię uwielbiają, a chyba to właśnie jest w twoim zawodzie najważniejsze. To i piękne ubrania, rzecz jasna. Nie będę więc chował w sercu urazy, choć miałbym szczerą ochotę stłuc cię na kwaśne jabłko.

Jej umęczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu, oczy zalśniły.

– Wiedziałam! – westchnęła. – Wiedziałam, że wszystko zauważysz i zrozumiesz.

– Ciągle ci nie ufam – zastrzegł.

Wargi Marcelline drgnęły, ale się nie odezwała. Patrzyła na niego z uwagą i zaciekawieniem. Owszem, była nim zainteresowana – ale tylko z przyczyn finansowych.

Clevedon jęknął w duchu. Nie chciał się do tego przyznać, ale chował w sercu urazę i nie mógł sobie z nią poradzić. Ucierpiała wszak jego męska duma.

– Chciałem zobaczyć butik – przyznał po chwili. – Upewnić się, że naprawdę istnieje, i sprawdzić, jak wygląda. Nie chciałem polegać na własnych wyobrażeniach.

– Całe szczęście! – uśmiechnęła się. – Jak mogłeś zakładać, że szyję piękne suknie w jakiejś norze? Maison Noirot to elegancki, stylowy butik. Ślicznie urządzony i umeblowany, lśniący czystością i przestronny. Z pewnością o wiele przyjemniejszy i bardziej szykowny niż siedziba tej obmierzłej i pozbawionej gustu… Ale nie, nie będę wymawiać jej imienia.

Clevedon wmawiał sobie, że z nią skończył. Musiał z nią natychmiast skończyć! Ale gdy opowiadała o pracy, była tak ożywiona i pełna pasji!

– Rywalka? – zapytał drwiąco.

Wyprostowała się na ławce.

– Nie mamy w Londynie godnych siebie rywali, Wasza Wysokość. Jestem najlepszą stylistką na świecie. – Spojrzała przez okienko. – Jesteśmy już prawie na miejscu. Zaraz sam zobaczysz.

Wolałby dotrzeć tam prędzej, jednak ulica była zapchana powozami, jeźdźcami i pieszymi. Wreszcie jednak dojechali i ujrzał nowoczesny, schludny butik z ogromną wystawą i eleganckim szyldem, na którym złotymi literami wypisano nazwisko Noirot.

Kareta się zatrzymała. Lokaj otworzył drzwi i rozłożył schodki.

Clevedon wysiadł i podał jej rękę. Gdy podtrzymywał Noirot, usłyszał pisk za plecami. Spojrzała ponad jego ramieniem, a jej twarz rozjaśnił blask, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Jakby przez gęsty woal chmur przebiło się nagle słońce, opromieniając ją światłem szczęścia i uniesienia.

– Mama!

Noirot sfrunęła ze schodków i pobiegła lekko, zapominając o bożym świecie. Zapominając o nim. Chwyciła w pędzie biegnącą ku niej ciemnowłosą, drobną dziewczynkę i porwała ją w ramiona.

– Mama! – wołało rozradowane dziecko. – Nareszcie wróciłaś!

Rozdział 7

Stylistka musi być prawdziwym znawcą w dziedzinie anatomii i najlepiej, gdyby pobierała nauki we Francji. Musi wiedzieć, jak ukryć wszelkie wady figury i wyeksponować jej powab. Jednocześnie – korygując wady postawy – nie może przeczyć dobremu gustowi i smakowi.

Księga zawodów i sztuk użytecznych (1818)

Dziecko.

Noirot ma córkę. Małą ciemnowłosą istotkę. Dziewczynka rzuciła się matce w ramiona ze śmiechem. Noirot uniosła ją i wtuliła twarz w puszyste loki dziecka.

– Moje szczęście – powtarzała ze wzruszeniem. – Moje szczęście.

Clevedon słyszał dobiegające z oddali kobiece głosy, lecz jego uwagę pochłonęła scena powitania. Noirot ściskała dziecko i kołysała je w ramionach. Clevedon widział ponad jej ramieniem twarz dziewczynki, uśmiechniętą i zaróżowioną, promieniejącą szczęściem.

Nie wiedział, jak długo stał przy karecie, obojętny na wszystko dookoła: ruchliwą ulicę, gwar rozmów i przechodniów omijających matkę z córką w objęciach. Nie zważał na lokajów wynoszących jej walizki z karety i wracających na swoje miejsce. Nie zważał na dwie młode damy, które wyszły z butiku i stanęły w drzwiach.

Wpatrywał się w Noirot z bolesną uwagą i nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie rozumiał uczuć, które wypełniły jego serce.

Po chwili Noirot postawiła dziewczynkę na chodnik i chwyciwszy jej dłoń, ruszyła w stronę butiku.

– Mamo, a kto to? – zapytało dziecko.

Noirot odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem. Clevedon z trudem zebrał się w sobie i podszedł do nich z ukłonem.

– Czy uczyni mi pani zaszczyt, madame Noirot, i przedstawi mnie tej czarującej młodej damie?

Dziewczynka spojrzała na niego ogromnymi błękitnymi oczami. Ich kształt i kolor wydały się Clevedonowi znajome. Przez chwilę zastanawiał się, który z jego przyjaciół miał równie błękitne oczy, lecz prędko odrzucił tę myśl. Przecież nie mogli mieć wspólnych znajomych.

Noirot spoglądała to na niego, to na dziewczynkę.

– Kto to jest, mamo? Czy to król?

– Nie, kochanie, to nie król.

Dziewczynka przechyliła głowę i uważnie spojrzała na powóz.

– Piękna kareta – stwierdziła z uznaniem. – Chętnie bym się nią przejechała.

– Bez wątpienia. – Noirot się uśmiechnęła. – Wasza Wysokość pozwoli sobie przedstawić moją córkę, pannę Lucie Cordelię Noirot.

– Wybacz, mamo – wtrąciła się dziewczynka. – Nie tak mam na imię.

Noirot spojrzała na nią z uwagą.

– Doprawdy?

– Teraz nazywam się Erroll. E-r-r-o-l-l.

– Rozumiem. – Noirot ponownie zwróciła się do Clevedona: – Wasza Wysokość pozwoli sobie przedstawić moją córkę… – Przerwała i zapytała dziewczynkę: – Wciąż jesteś moją córką?

– Oczywiście – potwierdziła Erroll. – Oczywiście, mamo.

– Cóż za ulga. Bardzo przywykłam do ciebie, dziecko. Wasza Wysokość pozwoli przedstawić sobie moją córkę, Erroll. Erroll, oto Jego Wysokość książę Clevedon.

– Panno… hm, Erroll – odchrząknął książę, kłaniając się uniżenie.

– Wasza Wysokość – odparła z godnością dziewczynka i dygnęła. Nie było to w połowie tak oszałamiające jak dygnięcie jej matki, jednak uczyniła to z wdziękiem. Zdumiały go wrodzona gracja dziewczynki, a także jej opanowanie.

Wtedy przypomniał sobie, czyje to dziecko.

Noirot ma dziecko!

Jakże mogła o tym nie wspomnieć? Dlaczego on sam czuje się tak wzburzony? Choć przedstawiała się jako „pani”, nie „panna”, zakładał, że była to wyłącznie forma walki o szacunek. Wszak przedstawiają się w ten sposób także niezamężne sklepikarki, aktorki, a nawet prostytutki. Nie brał

zatem pod uwagę, że może mieć rodzinę, męża… którego nie widział na progu butiku. Może nie żyje? Może był łajdakiem, który uwiódł ją tylko i porzucił wraz z dzieckiem?

– Czy zabiera pan czasem dzieci na przejażdżkę tą piękną karetą? – zapytała grzecznie Erroll. – Nie małe dzieci, lecz dobrze wychowane młode damy, które potrafią spokojnie siedzieć, nie wchodzą na ławki i nie brudzą palcami szyb? Siedzące cichutko z rękami na kolanach, wyglądające grzecznie przez okno? – Erroll wlepiła w niego wielkie oczy. Clevedon poczuł się nieswojo.

– Ja…

– Nie, skarbie. Książę ma bardzo wiele ważnych obowiązków. Obawiam się, że teraz także śpieszy się na spotkanie.

– Tak?

Noirot rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Ach, rzeczywiście – opamiętał się Clevedon. Wyjął zegarek z kieszeni i przez chwilę patrzył na niego niewidzącym spojrzeniem. Czuł, jak błękitne oczy przewiercają go na wylot. – Prawie zapomniałem.

Schował zegarek i odchrząknął.

– Panno Erroll, było mi bardzo miło panią poznać.

– Mnie również – odparła dziewczynka. – Proszę nas jeszcze odwiedzić, kiedy nie będzie pan tak zajęty.

Clevedon wybełkotał coś pod nosem i chwiejąc się, wrócił do karety. Gdy ruszyła, wyjrzał przez okienko i skupił wzrok na dwóch kobietach stojących na progu butiku. Jedna była blondynką, a druga miała płomiennie rude włosy. Mimo to podobieństwo trzech sióstr Noirot było uderzające – głównie w postawie i królewskiej gracji, z jaką się poruszały.

Źle ocenił madame Noirot. Jego wyobrażenia kompletnie rozmijały się z prawdą.

Jej butik nie był nędznym sklepikiem wciśniętym w kąt, lecz nowoczesnym, eleganckim miejscem, którego nikt nie mógłby się powstydzić. Ma rodzinę. Ma dziecko.

Nie zmieniło się tylko jedno. Nie można jej ufać.

Poza tym jednak nic się nie zgadzało i zrozumiał, że nie ma na jej temat bladego pojęcia.

Jakby znów znalazł się na wzburzonym morzu.

* * *

– Świetna robota – pochwaliła ją Sophy, gdy tylko drzwi się zamknęły. – Nie to, żebym cię wcześniej nie doceniała…

– O, niebiosa! – uniosła się Leonie. – Kiedy zobaczyłam herb na karecie, myślałam, że serce mi pęknie!

– A kiedy wysiadł z karety…

– Portrety w gazetach nie oddają jego uroku…

– I podał ci rękę!

– Przez chwilę myślałam, że śnię…

– To było jak marzenie.

– Ja pierwsza was zobaczyłam, mamo! – Lucie, a właściwie Erroll, przerwała paplaninę ciotek. – Siedziałam właśnie przy oknie i odrabiałam lekcje, kiedy usłyszałam turkot i wyjrzałam. Myślałam, że to król przejeżdża obok naszego domu.

– Król? Z dwoma lokajami? – powątpiewała Marcelline. – Nie wydaje mi się.

– Ależ tak, mamo. Wszyscy wiedzą, że król William nie lubi się obnosić. Jest mi przykro, bo mawiają, że stary król… – Zacięła się i zmarszczyła brwi.

– Król Jerzy IV! – zagrzmiała Leonie.

– Tak, właśnie – klasnęła Lucie. – Że król Jerzy lubił splendor i kiedy wyjeżdżał do miasta, z daleka było widać, kto jedzie. Ale książę też był fajny. I jaki przystojny! Jak z bajki. Nie spodziewałyśmy się ciebie, ale tak się cieszę, że już jesteś. Czy przyjemnie się podróżowało tą karetą? Pewnie na ławkach ma grube, miękkie poduszki!

– Owszem, ma – przyznała Marcelline. Kątem oka dostrzegła dwóch dżentelmenów zbliżających się do butiku. Nie mogła pozwolić, by Lucie wypytywała ją o księcia Clevedona przy klientach. Jednak nie było łatwo odwrócić uwagi jej córki od fascynującego tematu. Zwłaszcza gdy była nim piękna, bogata kareta. – Opowiem ci wszystko, kochanie, ale marzę o herbacie. Może pójdziemy na górę i nalejesz mamie filiżankę?

– Tak, tak! – Lucie podskoczyła. – Zaraz wyślę Millie do cukierni. Tak się cieszę, że jesteś w domu! Zrobimy przyjęcie, prawdziwe przyjęcie!

Z ciastkami!

* * *

Wieczorem, gdy Lucie dała się wreszcie położyć do łóżka, siostry zgromadziły się w pracowni i wypiły po lampce szampana, by uczcić powrót najstarszej z nich. Skruszona Marcelline opowiedziała im paryskie wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami. Choć zakładała, że siostry są dziewicami – lecz nie oczekiwała, że powiedziałyby jej, gdyby było inaczej – nie były bynajmniej niewiniątkami. Zresztą nie mogłaby oczekiwać od nich pomocy, zachowując przed nimi jakiekolwiek tajemnice.

– Naprawdę bardzo mi przykro – rzekła na koniec. – Wiem, że obiecałam, że tego nie zrujnuję, ale…

– Obiecałaś, to prawda – przerwała jej Leonie – jednak nie przypuszczałyśmy, że on będzie taki… taki…

– Wszyscy mówili, że jest przystojny – stwierdziła Sophy – ale to nie do końca prawda. Clevedon jest piękny, po prostu prześliczny. Dech mi zaparło. – Poklepała dłoń Marcelline. – Bardzo mi przykro, że musiałaś się powstrzymywać. Ja bym nie dała rady.

– Jego uroda to nie wszystko – wyznała Marcelline.

Siostry spojrzały na nią sceptycznie.

– To jego przeklęta książęcość. Piekielnie trudno nim kierować. Jest nie tylko przyzwyczajony do tego, że zawsze ma rację, on w ogóle nie dopuszcza innej możliwości. Książęta nie myślą tak jak inni ludzie. Nie wspomnę już o tym, że owszem, Clevedon potrafi myśleć! Jest tak bystry, że chwilami nawet ja za nim nie nadążałam. Ale cóż, to marna wymówka. Powinnam była dostosować metody do sytuacji, ale z niejasnych dla mnie przyczyn tego nie zrobiłam. Faktem jest, że źle to rozegrałam i teraz Sophy musi to naprawić.

Opowiedziała o artykule reklamowym, jaki naprędce wymyśliły z panną Jeffreys tuż po balu. Zdawało jej się, że było to wieki temu. Potem nadszedł sztorm. I Clevedon opiekował się nią tak troskliwie…

I jego dłonie.

– Podsunę artykuł do jutrzejszego wydania „Porannego Zwierciadła” – westchnęła Sophy. – Szkoda, że dałaś nam tak mało czasu, moja droga.

– Przypłynęłam najszybciej, jak się dało. Prawie się rozbiliśmy!

– Sophy, nie bądź złośliwa – upomniała ją Leonie. – Weź pod uwagę, że skoro sztorm opóźnił ich prom, to inne także. Listy też przybędą z opóźnieniem. To daje ci dodatkowy dzień, jeśli nie będziesz się ociągała.

– Nie możemy polegać na opóźnionych listach – upierała się Sophy. – Muszę jeszcze dziś porozmawiać z Tomem Foxe’em. Ale to może zadziałać na naszą korzyść. Plotka wyszeptana w jakimś ciemnym kącie jest zawsze bardziej pożądana. Ubiorę się szykownie, przedstawię jako lady Jakaśtam. Nie będzie w stanie mi się oprzeć. Znajdziemy się na okładce!

– Wszystkie damy się zbiegną, żeby obejrzeć suknię – przypomniała Leonie. – Pierwsze mogą nadejść już jutro po południu. Księżna Bartham nałogowo czytuje „Poranne Zwierciadło”.

– Zatem suknia musi stać na wystawie – uznała Marcelline. – Ale najpierw trzeba ją naprawić. Panna Jeffreys zdążyła ją odświeżyć przed spakowaniem, ale potem była zbyt chora, by pozszywać gorset. I zgubiłam kilka kokardek. Coś jeszcze? – Potarła czoło.

– Damy sobie świetnie radę bez ciebie – stwierdziła Leonie. – Zajmę się suknią, a Sophy pójdzie na spotkanie z Tomem. Ty idź do łóżka.

– Potrzebujesz wypoczynku, kochana – wypaliła Sophy. – Przecież mamy tu…

Nagle urwała. Marcelline zdążyła zauważyć mordercze spojrzenie, jakie przesłała blondynce Leonie.

– Co takiego? – zapytała Marcelline. – Coś przede mną ukrywacie.

– Sophy, musisz nauczyć się panować nad impulsami – rzekła z wyrzutem Leonie. – Nie widzisz, że jest wykończona?

– Przecież nic nie powiedziałam!

– Czego nie powiedziałaś? – Marcelline podniosła głos.

Młodsze siostry wymieniły spłoszone spojrzenia. Sophy odchrząknęła.

– Ktoś kradnie twoje projekty i dostarcza je Pretensji.

Marcelline spojrzała na Leonie, szukając potwierdzenia.

– To prawda. Mamy pod dachem szpiega.

* * *

W poniedziałek wieczorem lady Clara Fairfax otrzymała liścik od księcia Clevedona, w którym poinformował ją krótko o powrocie do Londynu i zaproponował odwiedziny we wtorek po południu, jeśli nie jest zajęta.

Warfordowie nie przyjmowali we wtorki, ale zwyczajne reguły nie dotyczyły wszak księcia Clevedona. Po pierwsze, jako podopieczny ojca uznawany był za członka rodziny, po drugie, nie był mistrzem w przestrzeganiu jakichkolwiek reguł. Trzy lata wcześniej ojciec wyraźnie zabronił im wyjeżdżać z powodu szalejącej epidemii cholery, lecz Clevedon i Longmore i tak wyjechali. Ojcu nie pozostało nic innego, niż wzruszyć ramionami i uznać, że kiedyś muszą się wyszumieć, a skoro Longmore potrafi jedynie siać zamęt, równie dobrze może to robić za granicą.

Wtorkowe odwiedziny były wszystkim na rękę, więc lady Clara uznała, że i dla niej nie będą uciążliwe. Szczerze tęskniła za księciem, zwłaszcza że jej brat zachowywał się wprost skandalicznie i widać było, że nieobecność przyjaciela bardzo źle na niego wpływa.

Musiała jednak przyznać, że spotkanie z Clevedonem jawiło się zgoła straszniej niż czytanie jego listów. Lady Clara nie miała pewności, czy jest gotowa na spotkanie z nim twarzą w twarz.

Szczęśliwie cały wstyd i wszystkie obiekcje prysnęły w chwili, gdy wszedł do jej saloniku. Uśmiechał się do niej z czułością, tak jak zapamiętała to z dzieciństwa. Clara odwzajemniła uśmiech. Kochała go całym sercem i wiedziała, że on ją kocha.

– Do licha, Claro, mogłaś mnie uprzedzić, że tak wyrosłaś! – Zatrzymał się kilka kroków od niej i zmierzył ją uważnym spojrzeniem, jak zwykł był to czynić przed laty po powrocie ze szkoły. – Jesteś co najmniej pięć centymetrów wyższa.

Clara pomyślała, że zdążył ją już zapomnieć. Zawsze była wysoka. Nie urosła od ich ostatniego spotkania. Doszła do wniosku, że po prostu przyzwyczaił się do Francuzek. Z pewnością napisałaby mu o tym w liście, jednak nie miała odwagi wypowiedzieć tego na głos. Zwłaszcza w obecności matki.

– Mam nadzieję, że Clara nie zdaje ci się jakąś olbrzymką – wtrąciła się lady Warford. – Jest równie wysoka jak zawsze, może jedynie bardziej kobieca niż ostatnio.

Matka miała na myśli to, że jej córka nabrała krągłości. Przez jakiś czas udowadniała jej, że Clevedon uciekł, bo Clara była za chuda. Mężczyźni lubią kobiety z walorami, a Clara nigdy ich nie wypracuje, jeśli nie będzie więcej jadła.

Lady Warford nigdy nie wpadła na to, że kilka miesięcy po śmierci ukochanej babci Clara wciąż była w żałobie, nie miała apetytu i w ogóle nie obchodziło jej, co Clevedon sądzi na temat jej figury.

Zresztą nie wpadła również na wiele innych rzeczy. Wezwała służbę i kazała podać tacę z ciastami. Clevedon jadł grzecznie, choć było powszechnie wiadomo, że nie przepada za słodyczami. W trakcie podwieczorku roztaczała niezbyt subtelne opowieści o niezliczonych konkurentach Clary, najwyraźniej próbując wzbudzić w gościu ducha rywalizacji.

Clara wyobraziła sobie, że zrywa się z fotela, zatyka matce usta dłonią i wyciąga ją na siłę z saloniku. Parsknęła cicho śmiechem. Na szczęście matka nie zauważyła tego, zajęta wyliczaniem kolejnych hrabiów i markizów odwiedzających jej córkę. Jednak Clevedon zwrócił na to uwagę i uśmiechnął się konspiracyjnie. Clara teatralnie przewróciła oczami.

– Jakże się cieszę, że nie musiałem się przedzierać przez hordę twych zalotników, Claro – odezwał się książę. – Wciąż jestem trochę zmęczony, bo sztorm na kanale prawie nas pochłonął.

– O, niebiosa! – wykrzyknęła lady Warford. – Czytałam w „The Times” o niemal zatopionym promie. Płynąłeś nim, Wasza Wysokość?

– Mam szczerą nadzieję, że tylko jeden prom dostał się w szpony sztormu. Zaskoczył nawet marynarzy.

– Zdumiewające – prychnęła lady Warford. – Ci ludzie powinni znać się na wietrze i przewidzieć zmianę pogody. Promy są zawsze przeładowane i setki razy napominałam Warforda, by… – Tu zaczęła powtarzać opinie ojca Clary o transporcie morskim.

Gdy umilkła, by zaczerpnąć oddechu, Clevedon wtrącił się płynnie:

– W istocie, cieszę się ogromnie, że już jestem na lądzie. Przyjechałem, gdyż nabrałem ochoty na przejażdżkę po Hyde Parku i jeśli byłaby pani tak

łaskawa i wyraziła na to zgodę, może zdołałbym namówić pannę Clarę, aby mi towarzyszyła.

Matka posłała Clarze triumfujące spojrzenie. Serce dziewczyny zaczęło kołatać jak oszalałe.

Chyba nie zamierza się jej oświadczyć! Jeszcze nie.

Ale czemuż miałby się nie oświadczać i czemu była tak przerażona? Wszak od dzieciństwa byli sobie przeznaczeni.

– Z wielką przyjemnością – odpowiedziała cicho.

* * *

– Jedyny model! – krzyczała lady Renfrew. Rzuciła w Marcelline balową suknią. – Zapewniała mnie pani, że to jedyny model. A jednak lady Thornhurst chodzi w identycznej sukni! Co ja teraz zrobię? Zamierzałam ją założyć na dzisiejszy bal u pani Sharp. Chyba nie oczekuje pani, że w tym pójdę? Lady Thornhurst także tam będzie i rozpozna tę suknię. Wszyscy ją rozpoznają! Spalę się ze wstydu! A przecież nie zdążymy uszyć nowej sukni. Będę musiała iść w tej różowej, którą wszyscy już widzieli. Ale nie w tym rzecz. Pani mnie zapewniała!

Głośny klekot z witryny przerwał gwałtowny potok jej wymowy. Spojrzała w tamtą stronę i otworzyła szeroko oczy.

– Czy to jest właśnie ta suknia? – zapytała nabożnym szeptem.

Marcelline w duchu ucałowała Sophy, która nieprzypadkowo kopnęła stołek do przymiarek w kierunku manekina odzianego w piaskową suknię. Wyszła zza kontuaru i podeszła do witryny.

– Co pani ma na myśli? – zapytała Marcelline z miną niewiniątka.

Nie wiedziała, co Sophy zrobiła Tomowi Foxe’owi. Bądź z Tomem Foxe’em. Wolała tego nie wiedzieć. Najważniejsze, że artykuł o najpiękniejszej sukni madame Noirot tańczącej z księciem Clevedonem na najbardziej eleganckim balu w Paryżu ukazał się w „Porannym Zwierciadle”.

Lady Renfrew najwyraźniej czytała prasę. Podeszła ostrożnie do słynnej piaskowej sukni. Kiedy wpadła do sklepu pięć minut wcześniej, sam król mógłby stać przy kontuarze i opowiadać dowcipy o marynarzach, a nie

zwróciłaby na niego uwagi. Była tak rozhisteryzowana, że chciała jedynie wylać żal na Marcelline, przyczynie jej troski.

– Czy to jest suknia, którą nosiła pani na balu w Paryżu, pani Noirot? – zapytała lady Renfrew.

Marcelline przytaknęła uprzejmie. Lady Renfrew zamarła przed manekinem.

Sophy wymieniła znaczące spojrzenia z siostrą. Wiedziały, o czym rozmyśla klientka. Najświetniejsze elegantki ze stolicy światowej mody podziwiały tę suknię, a jej projektantka nie znajduje się bynajmniej w Paryżu, lecz stoi tuż obok. Gotowa do pracy.

Pozwoliły lady Renfrew napawać się widokiem kreacji. Nie była to zwykła klientka. Nie dość, że posiadała ogromną fortunę, to jeszcze miała naprawdę dobry gust, co nie zdarzało się wcale tak często. Ponadto miała ambicje towarzyskie, co doskonale potrafiły zrozumieć, gdyż same podzielały te pragnienia.

Gdy Marcelline uznała, że medytacje przy piaskowej sukni wystarczająco uspokoiły wzburzoną lady Renfrew, zapytała spokojnym głosem:

– Czy rzeczywiście była identyczna?

Lady Renfrew utkwiła w niej odrobinę rozkojarzony wzrok.

– Słucham?

– Czy suknia lady Thornhurst wyglądała identycznie jak ta? – Marcelline z czułością pogładziła piękną zieloną suknię porzuconą na kontuarze.

Lady Renfrew z ociąganiem porzuciła manekin i przyjrzała się kreacji.

– Nie była identyczna. Muszę przyznać, że jej suknia nie była… nie była… – urwała, unosząc bezradnie dłonie.

– Jeśli pozwoli mi pani mówić szczerze, przypuszczam, że nie była zbyt dobrze uszyta ani dopasowana – podsunęła Marcelline. – To, co pani widziała, było zaledwie słabą imitacją. Z żalem przyznaję, że nie jest to pierwsza podróbka naszych modeli, jaka pojawiła się w Londynie.

– Ktoś kradnie nasze projekty, ale, oczywiście, nie jest to żadna wymówka – wtrąciła Sophy. – Dziś wieczorem wybiera się pani na bal i musi pojawić się tam w oszałamiającej toalecie, która w niczym nie będzie przypominała stroju lady Thornhurst.

– Przerobię pani suknię – zadeklarowała Marcelline. – Przerobię ją osobiście, w mojej pracowni. Nikt nie dostrzeże najmniejszego

podobieństwa do tej nędznej imitacji, którą miała nieszczęście nosić lady Thornhurst. Żadna szanująca się stylistka nie nazwie tego bowiem suknią.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami butiku. Siostry nawet nie spojrzały w tamtą stronę. Lady Renfrew była ich najlepszą klientką, nie mogły jej stracić. Cały ich świat kręcił się wokół niej. A przynajmniej tak powinna sądzić.

– Ja sama lub jedna z moich sióstr dostarczymy ją do pani nie później niż o dziewiętnastej i na miejscu dokonamy ostatecznych poprawek, jeśli będą potrzebne – ciągnęła Marcelline. – Suknia będzie idealna.

– Absolutnie idealna – powtórzyła Sophy.

Lady Renfrew nie słuchała. Nie będąc stylistką zagrożoną utratą najlepszej klientki, pozwoliła sobie zerknąć na drzwi. I zamarła.

– Jesteśmy na miejscu, moja droga – odezwał się znajomy, głęboki głos. – A oto i słynna suknia.

I książę Clevedon roześmiał się w głos.

* * *

Serce biło mu stanowczo za mocno.

Otwierając drzwi, starał się skupić na Clarze, lecz nie zdołał. Wizytą w sklepie planował podsumować – i ostatecznie zakończyć – to, co nazywał żartobliwie „Historią Noirot”, lecz nie mógł nad sobą zapanować. Przeszukiwał wzrokiem wnętrze butiku, dopóki nie znalazł tej, dla której tu przyszedł.

Noirot stała za kontuarem, pogrążona w rozmowie ze wzburzoną klientką, i nawet nie spojrzała w jego stronę. Także blondynka stojąca u jej boku nie zaszczyciła go spojrzeniem.

Clevedon z trudem oderwał wzrok od Noirot i za plecami wpatrzonej w niego jak w tęczę klientki dojrzał manekina ustrojonego w piaskową suknię. Jakże miałby zapomnieć tę piekielną kreację? Musiał się roześmiać, gdyż Noirot znów udowodniła, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Zawładnęła plotką i popchnęła ją na właściwe tory, tuszując swą skandaliczną obecność u księżnej de Chirac i skupiając uwagę na sukni.

Saunders przyniósł mu o świcie egzemplarz „Porannego Zwierciadła”. Na okładce pysznił się projekt sukni i jedynie słuszna wersja zdarzenia włącznie z drwiącą reklamą, którą Noirot ułożyła, gdy odwoził ją do hotelu. Doskonale pamiętał ton jej głosu, gdy wypowiadała ostatnią frazę: „Jakość garderoby gwarantowana przez panią Noirot, która tańczyła z prawdziwym księciem!”.

Jedwabiste czarne włosy pani Noirot, jak zwykle w delikatnym nieładzie, wyglądały olśniewająco i elegancko pod opaską z koronki. Jej suknia przypominała kaskadę białej piany ozdobioną intrygującymi zielonymi haftami. Koronkowy ni to szal, ni to pelerynka powiewał wokół jej ramion, spięty z przodu dwiema kokardkami w tym samym odcieniu zieleni co hafty.

Objął to wszystko jednym szybkim spojrzeniem, zanim zmusił się do odwrócenia wzroku, jednak niewiele wskórał. Jej obraz miał wciąż pod powiekami.

– Ojejku – szepnęła Clara, przywracając go do rzeczywistości. – Jest dość… śmiała, prawda?

– Nie znam się na tym – odparł Clevedon swobodnie. – Wiem tylko, że każda dama u księżnej de Chirac chciała mieć tę suknię. Ach, te paryżanki. Nie zdziwię się, jeśli kilka z nich zamówi sobie takie kreacje. O, a oto i ona.

Był dumny ze swego wysiłku. Jednocześnie udawał, że nie dostrzega Noirot, choć, prawdę mówiąc, nie spuszczał z niej oka. Widział, że wyszła zza kontuaru i zbliża się do nich bez pośpiechu. Owiał go ciepły zapach, tak znajomy i bliski, aż skulił się w sobie. Z ogromnym wysiłkiem stłamsił zalewające go wspomnienia. Ten zapach otulający go, gdy tańczyli walca. Gdy go całowała i objęła udami w karecie. Próbował przypomnieć sobie, jak chorowała na promie, ale te wspomnienia zabolały jeszcze bardziej. Była wtedy taka bezbronna. Potrzebowała go. Był dla niej ważny. A przynajmniej sam w to uwierzył.

Tymczasem, w ogóle na niego nie patrząc, Noirot zwróciła się do Clary z tym swoim firmowym uśmiechem. Clevedon oprzytomniał i dokonał koniecznej prezentacji. Przy słowach „lady Clara Fairfax” zduszony jęk wyrwał się z ust klientki porzuconej na pastwę blondynki.

Noirot dygnęła. Nie miało to nic wspólnego z przedstawieniem, jakie urządziła na balu. Delikatne, wdzięczne dygnięcie z rozważnie odmierzoną dozą szacunku.

– Uznałem, że lady Clara powinna jako jedna z pierwszych obejrzeć pani suknię – odezwał się. – Zanim jeszcze horda ciekawskich wedrze się do butiku.

– Nigdy nie widziałam niczego podobnego – wyrwało się Clarze.

– Zastanawialiśmy się właśnie, czy ten rodzaj kroju należy nazwać śmiałym – dodał Clevedon.

– Na tle zwykłych angielskich strojów istotnie wypada odważnie – przyznała Noirot swobodnym tonem. – Połączenie kolorów też nie należy do klasycznej palety londyńskich dam. Jednakże proszę pamiętać, że zaprojektowałam tę kreację na bal w Paryżu.

– I projekt ten miał przyciągać uwagę – nie wytrzymał Clevedon.

– Czy przyciąganie uwagi nie jest w istocie celem przebywania na balu? – zapytała lekko.

– To prawda. Żałuję, że cię tam nie było, Claro. – Spojrzał na pannę Fairfax, lecz zdawało się, że ta w ogóle go nie słucha. Z lękiem okrążała suknię, jakby to była śpiąca kobra. Clevedon ciągnął niezrażony: – Byłem ogromnie ciekaw, czy księżna de Chirac każe nas zrzucić ze schodów, czy zaszczyci swą łaską. To był wyborny żart.

– Nigdy nie widziałam podobnej sukni – powtórzyła Clara. – Jakże ślicznie musiała wyglądać, gdy tańczyliście. – Spojrzała na Clevedona, na Noirot i prędko uciekła wzrokiem w stronę kontuaru. – Ach, cóż za czarujący odcień zieleni!

Przerażona klientka chwyciła kreację w opiekuńcze ramiona.

– To moja suknia… – wyjąkała. – Potrzebuje tylko… dopasowania.

Clara zapewniła, że chciała jedynie popatrzeć, i po chwili trzy głowy pochyliły się nad zielonym jedwabiem, pogrążając się w cichej konwersacji.

– Dziękuję – szepnęła Noirot.

– Nawet nie musiałem jej namawiać – odszepnął Clevedon. Było mu gorąco. – Do jutra powinnyście się tu spodziewać najazdu arystokracji dzięki tym wstrząsającym wymysłom z „Porannego Zwierciadła”.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie spodziewałam się, że czytuje pan, książę, prasę kobiecą.

– Saunders czytuje – odparł książę drwiąco. – Przyniósł mi rano razem z kawą.

– Choć raduje mnie spodziewany najazd śmietanki towarzyskiej, to twoja narzeczona jest moją wymarzoną nagrodą.

– Niczego nie obiecuję – mruknął. – Na razie zrobiłem zabawny wstęp o paryskim balu. Jak widzisz, nie chowam w sercu urazy, choć haniebnie mnie wykorzystałaś.

– Wszak mówiłam o tym szczerze od samego początku. Były to moje pierwsze słowa, gdy tylko miałam pewność, że mnie słuchasz.

Ach, co za bezczelna, zimna, przebiegła…

A on? To takie upokarzające. Jest jak pies czekający na ochłap ze stołu. Wciąż jej pragnie. Jest jeszcze Clara. Niewinna, słodka Clara, zmartwiona i przerażona, bo nie pisał do niej przez tydzień.

Chciał wszystko uporządkować, skierować życie na właściwe tory i oświadczyć jej się w parku. Wczesnym popołudniem nie było tam nikogo. Jednak ledwie wyszli z domu Warfordów, Clara parsknęła śmiechem.

– Co ci się, do licha, przydarzyło, Clevedon? Cały tydzień bez listu? Myślałam, że złamałeś rękę! Nie przypominam sobie dnia, żebyś do mnie nie pisał.

Musiał jej więc opowiedzieć, tylko odrobinę mijając się z prawdą, całą historię. I zamiast do parku, zawiózł ją do butiku.

– Postanowiłem powiedzieć Clarze prawdę, oczywiście pomijając pewne szczegóły – wyznał. – Powiedziałem, że czyhałaś na mnie w operze, by uzyskać wsparcie swego butiku, i że jesteś najbardziej prowokującą z kobiet, w innym wypadku nie straciłbym głowy i nie wpadł na szalony pomysł zabrania cię na bal. Dalej moja relacja nie różniła się wiele od historii z „Porannego Zwierciadła”.

Tylko tyle mógł powiedzieć, nie raniąc Clary. Opowiadał to ze swadą i z humorem, by ją rozbawić, jak zwykł to czynić w listach. Zresztą jego opowieść była mniej więcej zgodna z punktem widzenia pani Noirot. Wszak tego właśnie chciała – by przywiózł Clarę do jej butiku.

Musiał przyznać, że znowu miała rację. Spojrzał tylko przelotnie na Noirot, na jej jasnowłosą towarzyszkę czy choćby na zakłopotaną klientkę i zdał sobie sprawę, jak fatalnie ubrana jest lady Clara. Nie potrafiłby wyjaśnić tej różnicy, gdyż kobiece fatałaszki były dla niego wyłącznie tłem, widział jednak, że w porównaniu z nimi Clara wygląda jak gąska z prowincji.

Wolałby tego nie dostrzegać. Widząc to, czuł gniew, jakby ktoś celowo starał się obrzydzić mu Clarę. Tłumaczył sobie, że to naturalne. Wszak od zawsze chciał ją chronić. Od pierwszego spotkania, gdy była jeszcze małą dziewczynką, młodszą pewnie od córki Noirot.

Od jej córki!!!

– Resztę pozostawiam w twoich rękach – szepnął. – Zapewne jak zwykle sprostasz sytuacji z zimną krwią.

Odchrząknął i powiedział głośno:

– Clara, drogie dziecko, nie przyjechaliśmy tu na zakupy. Wiesz, że nade wszystko nie znoszę zakupów w towarzystwie kobiet. Poza tym powinienem cię już dawno odwieźć do domu. Zostaw zatem tę niebywale fascynującą suknię. Jeśli chcesz się ubierać u pani Noirot, niech Longmore przywiezie cię tu w wolnej chwili. – Po chwili dodał jeszcze: – Zresztą popieram ten pomysł. Nie znajdziesz lepszej stylistki ani w Londynie, ani w Paryżu. Jednak, błagam, rób zakupy beze mnie.

Rozdział 8

Pani Thomas pragnie zapewnić, iż dołoży wszelkich starań, aby sytuacja, gdy inne modystki przychodzą do jej sklepu, by podkradać modele, nigdy więcej się nie powtórzyła.

Informacja prasowa z listopada 1807 roku w magazynie „La Belle Assemblée”

Clevedon pomógł Clarze wsiąść do karety i starał się za wszelką cenę nie odwrócić i nie patrzeć z tęsknotą na witryny butiku. Niczego dobrego by to zapewne nie przyniosło. Wsiadając do pojazdu, poczuł nagłe szarpnięcie za połę płaszcza. Odwrócił się błyskawicznie, gotowy do pogoni za kieszonkowcem.

W pierwszej chwili nikogo nie dostrzegł. Spojrzał w dół.

Para ogromnych błękitnych oczu wpatrywała się w niego z uwagą.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość – rzekła surowym głosem Erroll.

Ku karocy biegła już guwernantka dziewczynki, zupełnie pozbawiona tchu.

– Panienko Lucie, tak się nie godzi! Och, wracaj natychmiast! – Chwyciła dziecko za rękę, mamrocząc przeprosiny.

Erroll skrzywiła wargi i z uporem potrząsnęła głową, wyrywając opiekunce dłoń.

– Pragnęłam jedynie przywitać się z Jego Wysokością – oznajmiła chłodno. – Minięcie bez słowa byłoby bardzo niegrzeczne.

– Nie mijałaś Jego Wysokości, tylko wyrwałaś mi się i biegłaś jak oszalała! Poza tym…

– Dzień dobry, Erroll – wtrącił Clevedon.

Dziewczynka obdarzyła guwernantkę wyniosłym spojrzeniem, po czym uśmiechnęła się do księcia tak serdecznie i szczerze, że przez chwilę patrzył

na nią z zachwytem. Wyglądała jak promienne słońce. Jak Alice, jego mała siostra… Jak słońce.

– Cóż za czarujący dzień, nieprawdaż? – odezwała się dziewczynka. – Idealna pogoda na przejażdżkę otwartym powozem. Gdybym miała taki powóz, udałabym się na wycieczkę do Hyde Parku.

Clevedon z trudem wrócił do teraźniejszości.

Erroll była prześlicznie ubrana, co było wszak oczywiste. Zgrabny słomkowy kapelusik ustrojony wstążkami i koronką pasował idealnie do miniaturowej wersji sukni z pelerynką, jakie nosiły ostatnio szykowne damy. Jakże się nazywały? Taka damska wersja surduta? Redingote! Sukienka Erroll była różowa. Rząd czarnych wstążek zdobiących przód kreacji nadawał jej zaskakujący – i komiczny – wojskowy charakter.

– Owszem, panienko – odparła guwernantka. – Jego Wysokość właśnie odjeżdża, a my go zatrzymujemy. A przecież czeka na niego dama, jeśli nie zauważyłaś.

– Zauważyłam, Millie – prychnęła wyniośle Erroll. – Nie jestem ślepa. Nie mogę jednakże zwracać się do damy, gdyż nie zostałam jej przedstawiona. Że też ty niczego nie wiesz! – zirytowała się.

Twarz Millie oblała się szkarłatem.

– Dość tego, panienko Lu… panienko Err… panienko Noirot. Doprawdy nigdy nie słyszałam podobnych impertynencji. Jestem pewna, że dżentelmen i dama również nie pochwalają takiego zachowania. Idziemy. Matka będzie bardzo niezadowolona, kiedy dowie się, że niepokoisz klientów.

Erroll z uporem zacisnęła wargi w wąską kreskę. Nie ruszała się z miejsca, choć Millie ciągnęła ją za rękę, wyraźnie chcąc im już zejść z oczu.

Clevedon nie winił służącej. Nie pochwalał nieposłuszeństwa dzieci i uważał, że powinny słuchać opiekunów. Nie był jednak pewny, jak się zachować w tej sytuacji. Przede wszystkim nie uważał, że powinien się wtrącać.

– Och, Clevedon, nie bądźże taką niedojdą – jęknęła Clara. – Panna Noirot jest córką stylistki, jak sądzę?

Guwernantka pokiwała głową.

– Owszem, jest – odparł Clevedon, znów nie posiadając się ze zdumienia, że Noirot ma córkę. Gdzież, u licha, jest jej ojciec?! Jakże mógł opuścić…

lecz czy mężczyźni nie robili tego nagminnie? Bez namysłu powoływali dzieci na świat i równie bezmyślnie je porzucali. To zresztą nie jego sprawa, poza tym biedak może już umarł.

– Przecież pani Noirot cię zna – ciągnęła Clara. – Na pewno zgodziłaby się, byś wziął jej córkę na krótką przejażdżkę i pozwolił przez chwilę potrzymać lejce. – Zwróciła się do Millie, rzucającej strwożone spojrzenia na witryny butiku: – Nie obawiaj się. Panna Noirot będzie z nami bezpieczna. Kiedy byłam mała, Jego Wysokość uczył mnie powozić. Wszystko będzie dobrze.

Clevedon zacisnął zęby. Oczyma wyobraźni ujrzał powozik przewracający się do góry nogami i wpadający do rowu, usłyszał przeraźliwe krzyki matki i siostry, a potem głęboką ciszę.

Co się z nim dzieje? Nawiedzają go stare duchy. To szaleństwo.

Wszak pod jego opieką Clarze nigdy nic się nie stało. Bezmyślność ojca nauczyła go ostrożności. A jednak to dziecko…

Zadziorna mina Erroll zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uśmiech rozjaśnił jej twarz, a oczy zrobiły się jeszcze większe.

– Naprawdę, Wasza Wysokość? – szepnęła rozczulająco. – Mogę potrzymać lejce?

– Lady Clara twierdzi, że możesz, a ja nie mam odwagi się jej sprzeciwiać – odpowiedział rycersko.

Nie miał pojęcia, o co chodzi Clarze. Wiedział jednak, że uwielbia dzieci i że potrafi z nimi postępować. Często opisywała w listach zabawne wydarzenia z udziałem rozmaitych małych kuzynów.

Clevedon nie miał takich doświadczeń, ponadto nie było to pierwsze lepsze dziecko. Nie miał jednak wyboru. Na szczęście tego dnia zaprzęgał Ford, jego najlepszy stangret, i mieli dwa najspokojniejsze konie.

Ostatecznie wreszcie, jak mógłby odmówić jej zabawy, skoro aż drżała z podekscytowania? Podniósł ją ostrożnie i usadowił obok Clary. Sam wspiął się na kozła, wziął dziewczynkę na kolana i podał jej lejce. Cierpliwie wytłumaczył, jak powinna je trzymać, by jechać prosto. Słuchała i obserwowała uważnie, chłonąc każde słowo. Po chwili chwyciła lejce tak, jak pokazywał. Spojrzała mu w oczy z dumą i promiennie się uśmiechnęła. Odpowiedział uśmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

– Ależ z ciebie bystry wróbelek! – pochwaliła ją Clara. – Jesteś stworzona do powożenia, moja droga. Tak mi się właśnie zdawało.

Erroll odwróciła się i obdarzyła Clarę uśmiechem tak jasnym, że oczy panny Fairfax zwilgotniały ze wzruszenia. Nie było to zresztą trudne, Clara miała miękkie serce, a Erroll, co było dla niego jasne, potrafiła manipulować ludźmi. Jak matka.

– Jak ruszyć? – zapytała bez ceregieli.

Nie zdążył odpowiedzieć.

Noirot wypadła z butiku z krzykiem:

– Och, ty niedobre dziecko! Wprosiła się państwu do powozu? Namówiłaby was na wycieczkę do Brighton. Chodź do mnie, Erroll. Jego Wysokość i lady Fairfax mają swoje plany.

Wyciągnęła ręce. Clevedon – na poły z ulgą i żalem – podał jej dziewczynkę. Wolałby czuć tylko ulgę. Wszak nie miał kontaktu z dziećmi i trochę się ich obawiał. Jednak Erroll była małym, chytrym liskiem i bardzo mu się to podobało.

Dziewczynka nie opierała się matce i bez słowa chwyciła ją za szyję. Noirot najwyraźniej nie miała do niej zaufania. Nie postawiła jej na chodniku, tylko na rękach zaniosła do środka.

Patrzył za nimi przez chwilę. Erroll pomachała do niego znad ramienia matki.

Odmachał z uśmiechem, choć musiał przyznać, że więcej uwagi poświęcił zmysłowym, rozkołysanym biodrom Noirot, najwyraźniej nieobciążonym wagą dziewczynki. Oczywiście Erroll jest lekka, lecz Noirot nie była rosłym mężczyzną jak on ani nie miała tak mocnej figury jak Clara… o której obecności całkiem zapomniał.

Chwycił lejce i ruszył z pośpiechem.

* * *

Clara również obserwowała rozkołysane biodra Noirot, a także księcia, gdy się im przypatrywał.

Dostrzegła, jaki był spięty, gdy weszli do butiku. Widziała jego zdwojoną czujność, jak u ogara na polowaniu. Kiedy Noirot do nich podeszła, napięcie między nimi było niemal namacalne.

– Przeurocze dziecko – powiedziała ostrożnie Clara. Dziewczynka była śliczna. Clevedona? Nie, raczej nie. Nie była do niego podobna, a Angier miał bardzo charakterystyczne rysy.

– Nie przyjadę tu więcej – odparł Clevedon. – Następnym razem panna Noirot będzie chciała powozić. Doprawdy, dziękuję ci za to, moja droga. Nie powinnaś była jej zachęcać. Jestem przekonany, że jej matka nie była zadowolona. Oczywiście nie może mieć nam tego za złe. Sklepikarki muszą przedkładać dobro interesów ponad dobro własnej rodziny.

– Pani Noirot nie wydawała się rozgniewana. Raczej rozbawiona.

– Nie miała wyboru. Taką ma pracę, musi być uprzejma. Opowiadałem ci, jak paryskie damy wprost jadły jej z ręki. Nieważne zresztą. Tak czy siak, nie mam powodu tam wracać. Możesz poprosić Longmore'a, by ci towarzyszył. Albo przyjedź sama z panną Davis.

– Albo z mamą – podsunęła Clara.

– Nonsens! – wykrzyknął Clevedon. – Twoja matka nigdy nie weszłaby do tego butiku. Jest zbyt modny, a ona najwyraźniej uparła się, by ubierać cię jak… – Urwał, blednąc.

– Uparła się, by ubierać mnie jak? – zapytała Clara.

– Och, nieważne – uciął. – Wybacz, źle dziś spałem i spędziłem za dużo czasu w sklepie. Babskie gadanie wytrąciło mnie z równowagi. A przy okazji, o czym tak spiskowałyście?

– Clevedon!

– Pochylałyście się we trzy nad zieloną suknią, szepcząc i chichocząc – bronił się książę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Patrzył prosto przed siebie z zaciętą miną. Był w zdumiewającym stanie! Powściągana furia kłębiła się wokół niego jak opar, choć pozornie był całkiem spokojny.

Clevedon nigdy się tak nie zachowywał. A przynajmniej nie Clevedon, jakiego znała. Znała młodzieńca, który wszedł do jej saloniku z dawnym, czułym uśmiechem. Teraz siedział obok niej obcy mężczyzna.

Clara odwróciła twarz i wbiła niewidzące spojrzenie w mijanych przechodniów. Nie miała pojęcia, o czym rozmawiały pozostałe dwie kobiety, gdyż starała się podsłuchać, o czym Clevedon gawędzi z panią Noirot. Starała się patrzeć na nich, udając, że jest zajęta czym innym.

– Nie do końca zrozumiałam – wyjąkała wreszcie. – Zdawało mi się, że to piękna suknia, a one omawiały jakieś poprawki i zmiany. – Usilnie

starała się przypomnieć, co dokładnie mówiła krawcowa, lecz nie słuchała jej uważnie i miała w pamięci czarną dziurę.

Clara nie była naiwna. Wiedziała, że Clevedon wdaje się w romanse. Wszak jej brat czynił to samo. Jednak nigdy nie widziała brata w takim stanie, w jakim był książę, gdy ruszyła ku nim pani Noirot. Usiłowała to rozgryźć, gdy nagle powiedział coś o jej matce i jej… strojach?

– Wydaje mi się – ciągnęła rozpaczliwie – że coś było nie w porządku z suknią, choć nie do końca chodziło o samą suknię.

– Claro, to nie ma najmniejszego sensu.

Doprawdy, potrafił być równie irytujący jak jej bracia. Nagle Clara straciła cierpliwość.

– Jeśli koniecznie chcesz to zrozumieć, musisz zapytać panią Noirot – rzuciła. – Możesz wyjaśnić, o co chodzi z mamą i moimi sukniami?

– Do licha! – burknął.

– Powiedziałeś, że powinnam się tam ubierać, ale mam nie zawozić tam matki – brnęła Clara.

– Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

– Daj spokój, Clevedon. Od kiedy to liczysz się przy mnie ze słowami? Czemu nagle zachowujesz się jak panienka?

– Jak panienka? – zdumiał się książę.

– Taki delikatny i uważny. Zawsze podobało mi się to, że nie traktujesz mnie jak idiotki. W listach nie owijałeś w bawełnę. A przynajmniej tak mi się wydawało. Chyba że od dawna nie mówisz mi wszystkiego.

– Na Boga, oczywiście, że nie! Nie będę ci także mówił, gdzie powinnaś się ubierać, przecież to nie jest moja sprawa!

– Z pewnością już nigdy więcej nie zabiorę cię do sklepu. Jesteś nie do wytrzymania.

* * *

Wieczorem

– Mała wiedźma! – zżymała się Marcelline, gdy zamykały butik. – Wiedziałam, że nie zapomni wspaniałego księcia we wspaniałej karecie.

– Moja droga, trudno jej się dziwić – rzekła Sophy. – Ma to we krwi. Najwyższą jakość rozpozna z daleka.

– Książę nie miał nic przeciwko temu – stwierdziła Leonie, która wyszła z zaplecza, kiedy Jego Wysokość z towarzyszką opuścili butik.

Siostry z chichotem obserwowały, jak Millie traci głowę, a Lucie bez skrępowania oczarowuje księcia i lady Fairfax. Marcelline straciła kilka cennych minut, zanim zdołała opanować śmiech i przywołać do porządku swe krnąbrne dziecię.

Lucie już siedziała na kolanach księcia i trzymała lejce w dłoniach! Następnym razem zażąda pewnie lekcji powożenia. A na Gwiazdkę będzie chciała dostać własny powóz!

– Oczywiście, że nie miał nic przeciwko – przyznała Marcelline. – Errol użyła wszystkich swoich sztuczek, nawet książę Clevedon nie miał z nią szans.

Sama Marcelline, pozornie wyrachowana i chłodna, zmiękła niczym wosk na widok ciepłego uśmiechu, jakim Clevedon obdarzył jej córkę.

– Nie omieszkała oczarować także lady Clary – zauważyła Sophy.

– Masz rację. – Marcelline wzdrygnęła się niezauważalnie.

– Przywiózł ją – rzekła Leonie. – I to od razu.

Nie miały wcześniej czasu porozmawiać o wizycie księcia, gdyż dzień był wyjątkowo bogaty w niespodziewane wizyty.

Marcelline miała pełne ręce roboty przy sukni lady Renfrew. Musiała robić poprawki z dala od szwaczek, w zaciszu swojego pokoju. Czuła się, jakby podrabiała paszporty. W tym czasie Sophy i Leonie uspokajały dwie kolejne wzburzone klientki i oprowadzały całą rzeszę dam, które zjawiły się wyłącznie po to, by obejrzeć słynną suknię.

Ciekawskie damy udawały, że podziwiają model, a w istocie przepatrywały wszystkie kąty butiku w poszukiwaniu Marcelline. Zmuszały Sophię i Leonie do rozwijania całych metrów rozmaitych tkanin i opróżniania wszystkich szuflad ze wstążek, koronek, guzików i aplikacji.

Wychodziły, niczego nie kupując.

Dopiero po zamknięciu siostry mogły zacząć porządkować zawartość szuflad. Leonie, jak co wieczór, robiła inwentaryzację i zastanawiała się, która z szykownych klientek wyniosła niepostrzeżenie szpulkę czarnej satynowej wstążki, jedenaście agatowych guzików i trzy chusteczki.

– Nie mógł się pojawić w lepszym momencie – uznała Marcelline. – Gdyby nie przyszedł w czasie wizyty lady Renfrew, obawiam się, że straciłybyśmy ją na zawsze.

Starała się skupiać na tym, a nie na szalonym biciu serca, gdy usłyszała jego głos. Przyszedł we właściwym momencie i tylko to miało znaczenie dla ich przyszłości. Dzięki temu mogła zaoferować lady Renfrew przeróbki sukni, choć doskonale zdawała sobie sprawę, ile pracy będzie ją to kosztowało. Nie mogła jednak pozwolić, by najlepsza klientka zwątpiła w motto butiku, które głosiło, iż pani Noirot tworzy modele jedyne w swoim rodzaju, dopasowane do klientek i niepowtarzalne.

– Wszystko to pięknie – prychnęła Leonie – i wizyta lady Clary była bardzo na miejscu, ale przypominam wam, że jeszcze nie jest naszą klientką. Na ten moment wciąż najbardziej zależy nam na lady Renfrew. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

Suknia lady Renfrew dotarła do niej punktualnie o dziewiętnastej. Po kilku drobnych poprawkach, które zajęły niecałe pół godziny, Sophy pożegnała udobruchaną klientkę i życzyła jej wspaniałej zabawy na balu.

– Wróci do nas – zapewniła teraz. – Przez cały czas mówiła tylko o księciu Clevedonie i lady Clarze. Dobrze wiecie, że będzie o tym mówiła przez cały wieczór u pani Sharp. I będzie powtarzała jego słowa: „Nie znajdziesz lepszej stylistki ani w Londynie, ani w Paryżu”.

– Możemy jedynie mieć nadzieję, że była tak oszołomiona jego obecnością, że nie zauważyła, jak patrzył na Marcelline – wtrąciła Leonie.

– Jak wygłodniały wilk. – Sophy pokiwała głową.

Marcelline spłonęła rumieńcem. Wciąż nie otrząsnęła się z emocji, jakie w niej wzbudził, i to czym? Spojrzeniem i brzmieniem głosu! Wciąż czuła na sobie jego rozpalony wzrok. Słyszała poufałą chrypkę. Gdyby była wolna, mogła myśleć tylko o sobie i nie musiała zapewnić przyszłości trzem najbliższym osobom, zaciągnęłaby go na zaplecze i wzięła w posiadanie. Choćby na chwilę. I wreszcie mogłaby o nim zapomnieć.

Jednak nie była wolna, pod żadnym pozorem. W dodatku przy kontuarze stała jego piękna prawie narzeczona. Rozmawiali ze sobą tak swobodnie, że musiała dostrzec ich zażyłość. Marcelline upomniała się w duchu i starała przywołać obraz Lucie. Przywołała nawet wizję swych rodziców, którzy byli najlepszym przykładem tego, co się dzieje z rodziną, gdy dorośli myślą wyłącznie o sobie i swoich zachciankach.

Nie mogła z nikim o tym porozmawiać, jednak zdawała sobie sprawę, że poddawanie się zauroczeniu przeczy wszystkiemu, co chciała osiągnąć i nad czym pracowała latami. Romans z Clevedonem zniszczy jej biznes, a co za tym idzie, całą jej rodzinę.

Mimo to, gdy spojrzała w jego oczy, gdy w jej uszach brzmiał jego głos, miała wrażenie, że zapada się w nicość, przestaje myśleć. Ach, jakże jest niepoważna! Powinna sobie przypomnieć, jak na nią patrzył ten biedak Charlie i jakimi czułymi słowy się do niej zwracał. I do czego to doprowadziło?

– Clevedon zawsze tak patrzy na kobiety – zbyła siostry. – To spojrzenie doświadczonego uwodziciela. Zapamiętajcie je dobrze, jeśli nie chcecie wylądować nagle na plecach i potracić wianków, zanim będziecie na to gotowe.

– Na lady Clarę tak nie patrzył – zauważyła Leonie.

– Dlaczegóż miałby tracić na to energię? – zbagatelizowała Marcelline. – Między nimi wszystko jest już ustalone. Clevedon traktuje ją jak oczywistość. Ale to ich problem. Jeśli dziewczyna ma trochę rozumu, będzie wiedziała, jak skupić na sobie jego uwagę. To nie jest wcale trudne. A teraz skupmy się na prawdziwym problemie. – Zerknęła na drzwi do opustoszałej szwalni. Szwaczki rozeszły się już do swoich domów.

– Cóż… – zawahała się Leonie. – Mam pewne podejrzenia.

* * *

We wtorek wieczorem pani Downes spotkała się ze szwaczką w wyznaczonym miejscu i niechętnie przestudiowała wymięty szkic.

– To wszystko? – oburzyła się. – Obiecałaś mi cały notes!

– Dostanie go pani – zapewniła szwaczka. – Miałyśmy wielką awanturę o zieloną suknię lady Renfrew, a potem przez cały dzień biegałyśmy na zaplecze i z powrotem, bo wciąż wchodziły nowe klientki, żeby obejrzeć tę suknię.

Pani Downes czytała o piaskowej sukni i wiedziała o sensacji, jaką wzbudził artykuł. Dyskutowały o tym przy niej jej własne klientki! Co

gorsza, choć ta niestosowność wypłynęła do prasy, książę Clevedon i lady Clara Fairfax pojechali zwiedzić przeklęty butik Noirot!

– Chcę mieć ten notes! – wychrypiała Pretensja. – Przynieś mi go i to szybko!

– Bo co? – zaperzyła się szwaczka. – To ja wykonuję brudną robotę!

– A ja tracę klientki przez tę francuską dziwkę! Jeśli nie dasz mi tego, co obiecałaś, pójdę do niej i opowiem, jak przyszłaś i zaproponowałaś szpiegowanie. Skończysz na ulicy i nie zobaczysz nawet marnych pięćdziesięciu funtów. Jedyne, czego się dorobisz, to zła sława. I już nigdy nie dostaniesz żadnej posady.

* * *

Książę Clevedon wszedł jako ostatni na środowy bal u hrabiego Westermorelanda. Planował spędzić wieczór w klubie Almack, ale drzwi były zamknięte na głucho. Klub nie działał w sezonie. Clevedon westchnął, udał się na bal, zatańczył raz z Clarą i na resztę wieczoru schronił się w salonie gier.

W czwartek zdołał wytrzymać pół godziny na przyjęciu u księżnej Eddingham, po czym uciekł do White Clubu i grał w karty do świtu.

W piątek jadł kolację w domu Warfordów. Nie mógł, niestety, uciec na karty. Udawał zatem, że świetnie się bawi, choć było jasne i dla niego, i dla Clary, że nie może się doczekać końca kolacji.

Bynajmniej nie był dla niej niemiły. Od wtorku nie powiedział jej nic przykrego. Był jednak smutny i zgorzkniały, a do Clary dotarły wieści, że przegrał w karty szokujące sumy. Biorąc nawet pod uwagę wyolbrzymianie plotek, grał znacznie bardziej nieostrożnie niż zwykle.

A w sobotę na balu u lady Gorrell gospodyni – udając, że nie widzi stojącej tuż obok Clary – z wypiekami na twarzy zrelacjonowała w najdrobniejszych szczegółach list, który otrzymała od bratowej z Paryża.

* * *

Poniedziałek

Donośne stukanie do zamkniętych drzwi butiku zaskoczyło siostry Noirot. Była dopiero dziewiąta! Pracownia krawiecka działała co prawda od dziewiątej do dwudziestej pierwszej, ale butik otwierano dopiero w południe. Większość klientek spała do jedenastej. Otwieranie butiku wcześniej po prostu nie miało sensu.

Tego dnia zastanawiały się, czy w ogóle warto otwierać. Jeśli prędko nie wykryją szpiega, wszystkie klientki wrócą tylko raz. Z pretensjami i żądaniem zwrotu pieniędzy.

Choć Leonie miała pewne podejrzenia, jak dotąd nie udało się ich zweryfikować. Szpieg sprytnie unikał zasadzki. Tego poranka wymyśliły kolejną. Jeśli tym razem się złapie, już jutro rano dowiedzą się, o kogo chodzi. Tymczasem mogły jedynie czekać i zajmować się sklepem jakby nigdy nic.

Układały zatem szale i zwoje tkanin w pozornie niedbałą stertę na bocznym kontuarze. Łomotanie do drzwi oderwało je od pracy. Leonie poszła otworzyć.

Lady Clara Fairfax najwyraźniej opierała się o drzwi, gdyż niemal wpadła do środka. Na jej bladych policzkach wykwitał krwistoczerwony rumieniec. Tuż za nią wmaszerowała dumnie koścista pokojówka. Ignorując powitanie Leonie, lady Clara ruszyła prosto do Marcelline, która dygnęła z wdziękiem i zapytała, czym może jej służyć.

– Może mi pani służyć słowami prawdy – wypaliła lady Clara. – W sobotę wieczorem usłyszałam zdumiewającą plotkę, w którą trudno mi jednak uwierzyć… – Urwała, spoglądając na pokojówkę. – Panno Davis, proszę zaczekać w powozie.

Panna Davis obrzuciła butik wrogim spojrzeniem, obejmując nim także trzy siostry po kolei, po czym wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi.

Lady Clara odetchnęła.

– Pani Noirot, usłyszałam plotkę dotyczącą pewnego dżentelmena, którego znam. Który był ze mną tutaj w zeszłym tygodniu.

Marcelline powstrzymała wszystkie sarkastyczne uwagi, cięte riposty i niegrzeczne komentarze, które w jednej chwili przyszły jej na myśl. Była profesjonalistką. Jej twarz wyrażała wyłącznie grzeczne zainteresowanie.

– Zanim dojdzie pani do jakichkolwiek wniosków – ciągnęła lady Clara – zapewniam panią, że nie przyszłam tu z zazdrości. Wszak w jego przypadku byłoby to absurdalne. Nie jestem ślepa, mam braci, którym tylko się wydaje, że są dyskretni, więc… Och… – Wyszarpnęła z kieszeni chusteczkę i przycisnęła ją do oczu. – Och, nie…

Marcelline nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Wściekłość, gorycz, żal – owszem, byłyby zrozumiałe i do przyjęcia. Łzy? Na litość boską…

– Moja droga… Droga panno Fairfax. – Marcelline wzięła ją za rękę i zaprowadziła do fotela. – Sophy, przynieś pannie Fairfax kieliszek wina.

– Nie – chlipnęła Clara. – Nie chcę wina.

– W takim razie brandy – zdecydowała Marcelline.

– Cóż, może odrobinę – przyznała panna Fairfax.

Sophy zniknęła na zapleczu.

Lady Clara chlipnęła jeszcze raz i wyprostowała się w fotelu. Najwyraźniej zebrała się w sobie.

– Już dobrze. Ja nigdy nie płaczę. Nie jestem beksą. Ale to mój najlepszy przyjaciel. – Spojrzała na Marcelline błękitnymi oczami. – Nie mogę pani pozwolić go skrzywdzić.

Rodzina Noirot słynęła z braku sumienia. Gdyby jednak Marcelline je posiadała, nie uważałaby, że zrobiła cokolwiek tak złego, by miało jej dokuczać. Zastanowiła się jeszcze przez chwilę, lecz doszła do wniosku, że panna Fairfax trochę przesadza. Była z niej grzeczna i łagodna panna i do tej pory traktowała siostry Noirot z wyszukaną uprzejmością, co nie było powszechne wśród arystokratek. Było też jasne, że kocha Clevedona i z tej wyłącznie przyczyny Marcelline było jej odrobinę żal. Jednak z drugiej strony, sytuacja była absurdalna! Dziewczyna jest córką hrabiego. Niebawem zostanie żoną księcia i będzie miała przynajmniej sto tysięcy funtów rocznie, jeśli nie dwa razy tyle. Cały dom Marcelline nie pomieściłby służących Jej Wysokości.

A Marcelline musiała się skupić na zdemaskowaniu szpiega. Nie miała cierpliwości do dąsów rozpieszczonych panienek.

Odetchnęła, zbierając myśli, jednak ubiegła ją Leonie, najmniej sentymentalna z sióstr.

– Proszę się uspokoić, panno Fairfax. Żadna z nas nie planuje krzywdzić dżentelmenów, interesują nas wyłącznie ich portfele. W tym kontekście,

oczywiście, jesteśmy gotowe na każdą krzywdę, jaką zdołamy uczynić.

Lady Clara spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Słyszałam co innego.

– Domyślam się – odparła beznamiętnie Leonie. – Przypuszczam jednak, że żadna arystokratka nie uwierzyłaby, jak bardzo jesteśmy wyrachowane.

Ach, wspaniale. Rozbrajająca szczerość. To była najlepsza taktyka. Na szczęście Leonie zdołała się odnaleźć w krępującej sytuacji.

– Moja siostra ma rację – zgodziła się Marcelline. – Wiem, że pani nie będzie w stanie tego zrozumieć. Wy nigdy nie myślicie o pieniądzach. My rzadko myślimy o czymś innym.

– Jeśli rzeczywiście chodzi tylko o pieniądze – westchnęła lady Clara – dam pani tyle, ile pani zapragnie, jeśli zgodzi się pani zniknąć z jego życia i wyjechać tam, gdzie nigdy pani nie znajdzie.

– To dość dramatyczna wizja – rzekła z uśmiechem Marcelline.

– Brandy nam wszystko wyjaśni – oświadczyła Sophy, wnosząc na tacy lek na całe zło. Alkohol lśnił bursztynowo w kryształowej karafce. Obok stała szklaneczka od kompletu i talerz ze zgrabną kompozycją ciastek i kawałków sera. Niektóre klientki spędzały w butiku długie godziny. Siostry były zawsze gotowe podać im lekki posiłek oraz napoje. To pomagało w podejmowaniu decyzji.

Nie bacząc na wczesną godzinę, Clara przełknęła porcję brandy bez mrugnięcia okiem i z wyraźną przyjemnością. Tym śmiałym gestem zjednała sobie serca sióstr Noirot, co nie było im na rękę. Wolałyby traktować pannę z eleganckim chłodem. Jak inne klientki.

– Wiem, że plotki są zawsze wyolbrzymiane. – Lady Clara czknęła dyskretnie. – Wiem też, że zawsze tkwi w nich ziarno prawdy. Poza tym widzę, że Clevedon się zmienił.

– Z całym szacunkiem, panno Fairfax, nie widziała go pani przez trzy lata – wtrąciła Leonie. – Mężczyźni się zmieniają. To najbardziej zmienne istoty na świecie.

– Jest kapryśny, znudzony i chmurny – ciągnęła Clara. – Niezależnie od tego, gdzie jesteśmy, wydaje się nieobecny. Skupiony i uważny był tylko raz, tutaj, w butiku, gdy przyjechaliśmy obejrzeć suknię. Nie jestem głupia. – Machnęła szklanką w stronę Marcelline. – Widziałam, jak na panią patrzył, pani Noirot. O kim zatem miałam pomyśleć, słysząc o oszałamiającej brunetce, która złapała na haczyk… pewnego

dżentelmena? Podobno śledził tę egzotyczną piękność w operze, na targach, w salach gier, a cały Paryż z niedowierzaniem się temu przyglądał. A wreszcie postradał zmysły do tego stopnia, że przywiódł obiekt swej obsesji…

– To brzmi jak historia z książki, którą mogłabym napisać, gdybym miała trochę czasu – mruknęła Sophy.

– …obiekt swej obsesji na bal do księżnej de Chirac. I wcale nie po to, by zrobić świetny żart, lecz dlatego że kochanka… że miłośnica zagroziła, iż się zabije, jeśli tego nie zrobi.

– Że się zabije? – powtórzyły jak echo trzy siostry. Wymieniły znaczące spojrzenia, unosząc brwi. Leonie przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie był to pierwszy przypadek, kiedy dama owa używała podobnych gróźb – brnęła panna Fairfax. – Słyszałam o wielu jej paryskich przygodach, o szalonym romansie z markizem d'Emilienem, o krwawym pojedynku w Lasku Bulońskim. To zszokowało nawet najswobodniejszych francuskich arystokratów. Raniąc niemal śmiertelnie markiza, oszalały z miłości dżentelmen ruszył rzekomo w pogoń za swą miłośnicą. Goniąc ją do granic Francji, posunął się do gróźb i przemocy wobec brytyjskiego konsula i innych urzędników. Był tak zaślepiony, iż uważał, że celowo opóźniają jego wyjazd z Paryża.

Wszystkie trzy panie Noirot regularnie grały w karty, by zasilić rodzinny budżet. Tylko dzięki temu nie padły na podłogę ze śmiechu i zachowały nieprzeniknione miny. Marcelline, kiwając głową z udawanym zainteresowaniem, za plecami mięła w dłoniach chusteczkę, rozdzierając ją na strzępy. Jakby nie miała ważniejszych problemów na głowie! Teraz będzie musiała walczyć z idiotycznymi plotkami, wyssanymi z palca przez znudzone, pozbawione rozumu arystokratki. To jakieś szaleństwo! Choć musiała przyznać, że nie spodziewałaby się po nich niczego innego.

Powinna być rozbawiona, lecz czuła trwogę. Skandaliczne plotki mogły zrujnować jej firmę. W dodatku nie miała pojęcia, jak na nie zareagować.

Leonie nie miała takich trudności.

– Widzę, że arystokraci nie potrafią liczyć – stwierdziła ze spokojem. – Gdyby policzyli, ile dni moja siostra spędziła w Paryżu, odkąd po raz pierwszy spotkała pewnego dżentelmena, wiedzieliby, że to jakiś nonsens. Po raz pierwszy spotkali się czternastego. Pamiętam, gdyż tego samego

wieczoru wysłała do nas list, w którym opisywała to wydarzenie. Siedemnastego o świcie opuściła Paryż. Panno Fairfax, na Boga, jak w niecałe dwa dni miałyby się wydarzyć te liczne dramatyczne wypadki?

Leonie zawsze przeliczała emocje na cyfry, pomyślała Marcelline. To zaledwie kilka dni! A jednak Clevedon zdążył zachwiać rozsądkiem Marcelline, wedrzeć się do jej serca i napełnić je marzeniami, które nie dawały jej spokoju ani za dnia, ani w nocy.

Odetchnęła i zebrała się w sobie:

– Wcześniej zaś, i to przez długie miesiące, wspomniany dżentelmen mieszkał wśród paryżan – wtrąciła. – To oni zasłużyli na wymówki, jeśli już szuka pani winnych. Nie była pani w Paryżu, zgaduję?

– Jeszcze nie – odparła z godnością lady Clara.

– Nie może pani zatem zrozumieć, jak bardzo różni się od Londynu.

– Wiem, jaki jest Paryż – prychnęła lady Clara. – Cleve… Dżentelmen, o którym rozmawiamy, pisał mi o nim wiele i zupełnie szczerze. To jest… zanim spotkał panią. Nie mogę temu zaprzeczać. Kiedy go zapytałam, dlaczego przestał pisać, wszak nie złamał ręki, opowiedział mi, co się stało.

– Cóż takiego się stało, panno Fairfax? – zapytała Marcelline. – Czy zasłużyłam na kompromitujące plotki? Wszak była tu z nim pani w zeszłym tygodniu i oboje tryskaliście humorem. Wcale nie wyglądała pani, jakby zamierzała go zabić. Czy też mnie.

– Powiedział, że poznał niezwykle zalotną krawcową! – wykrzyknęła lady Clara. – Jest mężczyzną i wypowiada się bardzo ogólnikowo, to oczywiste. Ale miał na myśli, i bardzo proszę nie traktować mnie jak idiotki, bo widzę, że to była prawda, miał na myśli, iż krawcowa go uwiodła. Że jest nią oczarowany.

Zupełnie, jakby sam nie zrobił niczego, by mnie omotać, pomyślała z goryczą Marcelline. Jakby był bezwolną ofiarą moich szatańskich sztuczek.

– Zapytałam go wprost, czy jest panią… zaślepiony – ciągnęła lady Clara. – Roześmiał się i stwierdził, że najprawdopodobniej tak.

Interesy, upomniała się w duchu Marcelline. To tylko interesy i to jest właśnie klientka, którą chciała pozyskać. Pragnienie zwabienia panny Fairfax do butiku wpakowało Marcelline w mnóstwo kłopotów. Ale jest tutaj. Jest w butiku.

– Jakże mógłby nie być mną oczarowany? – zapytała nagle. – Proszę tylko na mnie spojrzeć.

Wdzięcznym gestem dłoni zaprezentowała suknię, którą miała na sobie. Lady Clara parsknęła, ale po raz pierwszy skupiła się na stroju Marcelline.

Suknia skomponowana z różowych i zielonych pasów – ulubionych kolorów Marcelline – uszyta była z jedwabnego batystu, podobnie jak lejąca się peleryna w tych samych barwach. Bufiaste rękawki i kołnierzyk sukni były przejrzyste jak pajęczyna.

– Ojejku – westchnęła lady Clara.

Marcelline z trudem stłumiła chęć przewrócenia oczami. Panna Fairfax była równie ślepa jak Clevedon. Nie widziała stroju rozmówcy, dopóki jej ktoś do tego nie zmusił.

– Proszę mi wierzyć, w Paryżu nie wyglądałabym tak skromnie. Tam musiałam się prawie obnażać, bo konkurowałam z najbardziej stylowymi i wyczulonymi na modę arystokratkami na świecie. One uczyniły z tego nową gałąź sztuki, a jej celem jest uwodzenie mężczyzn. To jest pani prawdziwa rywalka: Paryż. Ja się nie liczę. Jeśli dżentelmen bywa kapryśny, znudzony i chmurny, to tylko dlatego, że otaczające go damy nie potrafią skutecznie przyciągnąć jego uwagi.

Boleśnie powoli przesunęła wzrokiem po przerażająco niemodnym czepku lady Clary, bezkształtnej białej sukni z odrobiną zwykłej czarnej wstążki, wołającej o dopasowanie, hafty i koronkę, aż po brzeg halki, wyglądający nieśmiało spod brzegu sukni. Westchnęła z rozpaczą i pokręciła głową. Strój panny Fairfax nie miał żadnego kształtu ani stylu. Nawet najgorsza szwaczka Marcelline w pijanym widzie uszyłaby coś lepszego.

Sophy i Leonie podeszły bliżej, mierząc ubranie lady Clary współczującymi spojrzeniami.

– Dwór nosił żałobę po cesarzu austriackim, a potem po portugalskim następcy tronu – broniła się lady Clara. – Dopiero niedawno pożegnaliśmy się z czernią.

– Nie może pani nosić tego odcienia bieli, panno Fairfax. – Marcelline zbyła tłumaczenia machnięciem dłoni. – To rujnuje pani cerę.

– A ma pani tak piękną karnację! – zachwyciła się Sophy. – Przeźroczystą jak kryształ. Gdyby nie ta biel, która zaćmiewa wszelką żywotność pani twarzy, damy łkałyby z zazdrości.

– Rozumiem, że czarna wstążka po żałobie jest konieczna – wtrąciła Leonie. – Ale czy musi być taka ciężka?

– Nikt już nie wymaga krepy – zgodziła się Marcelline. – Nigdzie nie piszą, że nie wolno użyć cieńszej wstążki, na przykład z satyny. I może powiązać ją w małe węzełki? Albo naszyć w romby? Odrobina srebra tu i tam rozjaśniłaby całość. Ale przede wszystkim: nie ten odcień!

– Nie podkreśla pani figury – mruknęła Sophy.

– Jestem wielka. – Lady Clara uniosła dłonie w obronnym geście.

– Jest pani posągowa! – wycedziła Leonie. – Ileż bym dała za pani wzrost! Ileż bym dała, by patrzeć mężczyznom prosto w oczy!

– Głównie jednak patrzę na nich z góry – rzekła ze smutkiem lady Clara. – Nie licząc moich braci i Cleve… pewnego dżentelmena.

– Tym lepiej – uznała Sophy. – Mężczyzna powinien wznosić oczy ku kobiecie, zarówno dosłownie, jak i metaforycznie. To pasuje do adoracji, a adoracja jest najwłaściwszą postawą dla mężczyzn. Niezależnie zresztą od wzrostu. Jest pani najpiękniejszą panną w Londynie, a…

– Dość tych pochlebstw – ucięła lady Clara i wypiła trochę brandy. – Wszystkie trzy jesteście szalone.

Miała rację.

– Być może w teatrze znalazłabym kurtyzany, które wydają się ładniejsze od pani – rzekła lekko Sophy – ale to tylko dlatego, że one wiedzą, jak podkreślać swoją urodę i robią to na co dzień. Pani uroda to prawdziwy, oszlifowany angielski diament i z upływem czasu będzie tylko rosła. To doprawdy hańba i wstyd, co pani robi z darami, jakimi pobłogosławił panią Bóg.

– Wygląda pani na wielką, bo suknia panią postarza – wtrąciła Marcelline. – Jest nieodpowiedniej długości i fatalnie skrojona. Do licha, moja sześcioletnia córka potrafi lepiej szyć! Nie wspomnę już o fasonie, który zapewne został podpatrzony u sędziwych kuracjuszek sanatorium w Bath. W tym odcieniu wygląda pani jak chora na żółtaczkę. Pokażę to pani na przykładzie. Sophy, poproszę lustro. Leonie, organza w ciepłym tonie.

– Nie przyszłam tu na zakupy! – żachnęła się lady Clara.

– Przyszła pani, gdyż w głębi serca najbardziej pragnie pani przywołać do siebie dżentelmena, który zszedł na manowce – uśmiechnęła się Marcelline. – A my pokażemy pani, jak tego dokonać.

Rozdział 9

Pojawiły się nowe modele sukien na zakończenie żałoby – luźne fasony z białej krepy, ozdobione subtelnie węzełkową czarną wstążką z satyny bądź dyskretnym wzorem w romby.

Magazyn „La Belle Assemblée” (kwiecień 1835)

Warford House, wtorek

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Panna Fairfax jest w domu, ale jest teraz zajęta. – Kamerdyner Timms się zasmucił.

– Zajęta? – powtórzył Clevedon. – Czy dziś nie wtorek?

Warfordowie nie przyjmowali we wtorki, dlatego Clevedon postanowił przyjechać właśnie tego dnia. We wtorki nie musiał się przedzierać przez wianuszek adoratorów Clary, biegających wokół niej jak stado baranków. Kiedykolwiek pojawił się w pobliżu, miał wrażenie, że psuje zabawę – czy było to grupowe pisanie sonetów na cześć Clary, kłócenie się o miejsce w jej karnecie na następnym balu, czy żarliwe dyskusje o nowych trendach w modzie. Co było niedorzeczne, gdyż Clara nie dbała o modę. Nie odróżniłaby szalika od fularu ani nie poznałaby, czy kamizelka jest uszyta dobrze, czy fatalnie. Czyżby pomylił dni? Może jest poniedziałek?

Clevedon nie zmartwił się bynajmniej faktem, że Clara jest zajęta. Poprzedniej nocy pił na umór i głowa wciąż go bolała. Wróci innym razem. Może słońce nie będzie tak świeciło. Wróci we wtorek.

Upewniwszy się, że jednak jest wtorek, zawahał się na progu. Timms nie miał śmiałości odganiać Clevedona od drzwi, więc wprowadził go do małej bawialni i posłał lokaja po pannę Clarę.

Nienawykły do czekania, zwłaszcza w domu Warfordów, Clevedon miotał się po bawialni jak lew w klatce. Czym, na Boga, Clara może się

zajmować we wtorkowe popołudnie? Był niemal pewny, że w sobotę obiecał jej, iż zabierze ją we wtorek na przejażdżkę.

Musiał się wreszcie oświadczyć. Odkąd postanowił uporządkować życie, minął już tydzień. Czas na oficjalne oświadczyny. Musi się jak najszybciej ożenić.

Wycieczka do butiku wytrąciła go z równowagi. Zobaczył znów Noirot… i jej córkę. Od tamtej pory nie był w stanie zebrać myśli, więc co miałby powiedzieć Clarze? Sam nie był pewny, co czuje i na czym mu zależy. Musieli się do siebie na nowo przyzwyczaić. Czyż Longmore go nie ostrzegał?

Okazało się jednak, że chyba będą musieli się do siebie przyzwyczaić już po ślubie. Krótkie narzeczeństwo i szybki ślub zdawały się jedynym sposobem na rozwianie złośliwych plotek.

W listach z Paryża nadeszły niestworzone historie. Clevedon wiedział, że dotrą one także do Warfordów. Wprawdzie o części tych wydarzeń opowiedział już Clarze i znał ją na tyle, że czuł się spokojny. Nie należała do rozhisteryzowanych panienek, które rwą włosy z głowy. Czyż w listach nie wyśmiewała londyńskiego zwyczaju rozdmuchiwania plotek? Jednak jej matka… To zupełnie inna historia.

Z pewnością podniosłaby larum. Oczywiście nie powiedziałaby ani słowa Clevedonowi, jednak za jego plecami tak długo rozsiewałaby dramatyczne plotki o tym, jak porzucił biedną Clarę dla zwykłej sklepikarki, jak wzgardził wdziękami czystej jak lilia arystokratki dla lubieżnej dziewuchy z gminu, aż któryś z jej adoratorów wyzwałby go na pojedynek.

Przeżył to już nie tak dawno w Paryżu, gdy Longmore przyjechał przywołać go do porządku. Clevedon wątpił, by przyjaciel ponownie dał się namówić na taki gest.

Powtarzał sobie, że nie zrobił nic złego. Że nie uchybił Clarze ani jednym słowem czy gestem. Odkąd wrócił do Londynu, rzecz jasna. Przeszłość nie miała znaczenia.

Sny także nie powinny wpędzać go w poczucie winy. Dzikie fantazje i marzenia nie robiły Clarze krzywdy. Mężczyźni fantazjują na temat kobiet, czy to z ich sfery, czy nie. W snach posiedli je wszystkie. Ale to się skończy po ślubie. Gdy będzie mógł zaspokoić swe żądze w małżeńskiej sypialni.

Lecz choć w tej materii fantazji mu nie brakowało, nie był w stanie przywołać wizji nocy poślubnej. Ani do niej tęsknić.

Gdzież, u licha, jest lokaj?! Dlaczego Timms nie poszedł sam? Czym się zajmuje Clara? Kim jest zajęta we wtorek? Czyż nie powiedział jej, że przyjdzie? Był przekonany, że wspomniał o tym, ale w ostatnich dniach ból głowy często przyćmiewał mu pamięć.

Nagle dostrzegł, że miota się po bawialni. Zatrzymał się raptownie, zacisnął pięści i skarcił się w duchu. Doprawdy, zachowuje się jak szczeniak. Nie był w nastroju nawet na zwykłą wizytę, a co dopiero na oświadczyny!

Zwłaszcza że Clara jest czymś zajęta. Pewnie zapomniał jej powiedzieć, że przyjdzie. Albo ona o tym zapomniała.

Zobaczą się jutro na przyjęciu i wtedy Clevedon się z nią umówi.

Czyż jednak nie powinien porozmawiać najpierw z jej ojcem? To była właściwa kolejność. Wróci tu innego dnia, gdy będzie pewny, że zastanie lorda Warforda. We wtorki zwykle odwiedzał przytułki.

Clevedon wyszedł z bawialni. Gdy był chłopcem, co parę dni uciekał z tego domu i wiedział, jak się wyślizgnąć na ulicę. Musiał jedynie uważać, by się na nikogo nie natknąć.

Ruszył do małego saloniku, w którym prawdopodobnie znajdzie swój płaszcz, kapelusz i laskę. Wszedł i zamarł na progu. Na stoliku dostrzegł kapelusz. Niedorzeczny kłąb wstążek, kwiatów i piór. Wyszedł na korytarz, wzruszając ramionami.

Zatrzymał się jednak, chwycił za serce i wrócił do saloniku. Podniósł ostrożnie kapelusz i zanurzył twarz we wstążkach. Znajomy zapach uderzył mu do głowy i zamącił wzrok. Delikatna nuta jaśminu, zmieszana z wonią jej włosów i skóry.

Noirot.

Odłożył kapelusz.

Wyszedł na korytarz. Obok przebiegła pokojówka z naręczem sukien. Ruszył do drzwi, z których wybiegła, łowiąc uchem przenikliwy okrzyk grozy.

Clara!

Zerwał się do biegu.

* * *

Z hukiem otworzył drzwi do pokoju muzycznego. Światło wlewało się przez wysokie okna, oślepiając go na chwilę i przeszywając głowę nieznośnym bólem.

– Claro, wszystko w porządku?

– Clevedon? Zwariowałeś?!

Clara patrzyła na niego ze zdumieniem. Clevedon spojrzał na Noirot. Miała szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Prędko je jednak zamknęła i się otrząsnęła. Znów miała nieprzenikniony wyraz twarzy. Jak przy grze w karty.

– Co tu robisz? – zapytał niegrzecznie. – Co tu się dzieje, u diabła?!

– Popatrz na nią! – pisnęła Clara. – To moja ulubiona suknia! Miałam ją na sobie, gdy lord Herringstone układał sonet na cześć moich oczu.

Popatrz na nią. Popatrz na Noirot.

Popatrzył. Fryzurę znów miała w lekkim nieładzie i jedwabiste kosmyki muskały jej szyję. Omiótł spojrzeniem jej ciemne oczy, zmysłowe wargi, których smak wciąż pamiętał. Wysoko uniesione piersi. Wciąż czuł pod opuszkami palców jedwabistość jej skóry. Wreszcie jego wzrok spoczął na sukni, którą trzymała.

Clara przecięła pokój i odebrała suknię z rąk Noirot.

– Pani Noirot uważa, że powinnam się jej pozbyć – syknęła. – Ma uwagi do każdej mojej sukni. Do każdej! Nawet do ulubionej.

– Jest jadowicie zielona – uniosła się Noirot. – Pani oczy są niebieskie, owszem, bardzo piękne, skoro lord Herringstone odważył się skomponować sonet. Gdyby jednak miała pani suknię w lepszym kolorze, napisałby epopeję! Taki kolor pasuje do naprawdę niewielu typów urody, a pani będzie wyglądała dobrze tylko w określonych tonach zieleni. Dlatego odradzam tę suknię i…

– Akurat! – przerwała Clara. – A tamtej damie, lady Renfrew, uszyła pani suknię właśnie w tym kolorze!

– To był zupełnie inny odcień – żachnęła się Noirot. – Zresztą także nie pasowałby do pani cery. Nie jest pani w stanie oszukać swej urody. Ach, ktokolwiek zaniedbał pani wykształcenie w zakresie rozróżniania barw, czy

była to guwernantka, czy nauczyciel sztuk plastycznych, powinien wrócić i oddać całe honorarium! Proszę mi oddać tę suknię, panno Fairfax!

– Jest pani wstrętna, okrutna! Zabrała mi pani wszystkie ulubione sukienki!

Noirot wyrwała zieloną suknię z objęć lady Clary, rzuciła ją na podłogę i kopniakiem posłała pod ścianę.

Clara zasłoniła usta dłonią.

Noirot skrzyżowała ręce na piersi.

Oczy Clary rozjarzyły się groźnym blaskiem.

Noirot poczęstowała ją taką samą chłodną obojętnością, jaką oglądał znad wachlarza kart. Głupia! Nie powinna była traktować córki markiza jak upartego dzieciaka, nawet jeśli w istocie tak się zachowywała. Straci uznanie w oczach Clary i już nigdy nie pozyska w niej wiernej klientki. Jeśli będzie miała szczęście, Clara nie poskarży się matce. W innym wypadku lady Warford dopilnuje, by siostry Noirot wygnano z miasta.

– Jeśli mogę się wtrącić…

– Nie, Clevedon, nie możesz – ucięła Clara. – Sama ją zaprosiłam, ba, zmusiłam ją do tej wizyty. Ale nie dała mi wyboru. Wszystko, co proponowała mi w butiku, miało się nijak do rzeczy, które noszę na co dzień. Nie mogłam uwierzyć, że do tego stopnia nie mam gustu ani smaku. A jednak nigdy nie zajmowałam się modą, a suknie wybierała mi matka. Pani Noirot każe mi to wszystko wyrzucić! Co ja powiem mamie? Chcę mieć jakąś zieloną suknię!

Tupnęła nogą ze złością.

– Oczywiście, ale musi być błękitno-zielona – odparła lodowatym tonem Noirot. Stukając palcem w brodę, wpatrywała się w Clarę zmrużonymi oczami. – Z haftowanego jedwabiu, z mantylką i kołnierzykiem z klockowej koronki. – Zakreśliła palcem łuk, pokazując, jak będzie spływała mantylka i gdzie miałaby się kończyć. Lekko postukała palcem ramię w miejscu, które musnął, poprawiając jej szal. Pamiętał, jak wstrzymała oddech i jaki poczuł się szczęśliwy, gdyż sądził, że – wreszcie! – ją oczarował.

– Ale to za jakiś czas – dodała Noirot. – Chwilowo, jak pani zauważyła, czas na biel. Jak wspominałam, musi to być ciepły, miękki odcień bieli. Nie kość słoniowa. – Machnęła lekceważąco dłonią w stronę sukien

spiętrzonych na krześle. – Są za żółte. I na pewno nie taki oślepiający odcień jak ta, która leży na sofie.

– Skoro mówimy o oślepianiu, czy mógłbym zaciągnąć zasłony? – zapytał Clevedon. – Mam piekielną migrenę…

– Ciekawam, gdzie się jej nabawiłeś – rzuciła mściwie Clara. – Pewnie tam, gdzie Longmore znalazł swoją. Musisz to jakoś wytrzymać. Madame nie może pracować po ciemku.

– Doprawdy? – burknął Clevedon. – Myślałem, że ona może wszystko. Powiedziała mi kiedyś, że jest najlepszą stylistką na świecie.

– Na pewno najbardziej przekonującą – uznała Clara. – Pokazuje mi właśnie, jak różne kolory wpływają na wygląd cery. Przyszłyśmy tutaj, bo o tej porze dnia jest tu najlepsze światło. – Zmarszczyła brwi. – Skoro masz migrenę, to co tu w ogóle robisz?

– Usłyszałem twój krzyk.

– To bolesne, gdy ktoś ci odbiera ubrania – wycedziła Clara. – Przekonuję się właśnie, że nie mam sukien w takiej pogardzie, jak mi się zdawało. Ale dlaczego w ogóle przyjechałeś? Wiesz przecież, że nie zastaniesz taty we wtorek. Wątpię, byś miał w planie odwiedzać mamę, a nawet jeśli, to jej też nie ma, inaczej madame Noirot nie mogłaby przyjść. Jest moją mroczną tajemnicą.

– Chciałem cię zabrać na przejażdżkę – wyjąkał Clevedon, krzywiąc wargi. Czy Clara zawsze tyle papla?

– Jak widzisz, jestem zajęta. Dlaczego nie uprzedziłeś mnie o tym?

– Uprzedziłem. W sobotę.

– Bynajmniej. W sobotę nie poświęciłeś mi nawet pięciu minut i nie wyrzekłeś więcej niż dziesięć słów. Dziś nie mam czasu.

– Zaraz skończymy – podsunęła Noirot.

– Mowy nie ma. – Clara tupnęła. – Musimy wymyślić, co powiem mamie.

Noirot nie przewróciła oczami. Książę w duchu bił jej brawo za samokontrolę. Clara doprowadziła go już do szaleństwa, a spędził z nią zaledwie pięć minut. Noirot pewnie ma ochotę ją udusić.

– Proszę jej powiedzieć, że nie można oczekiwać od eleganckiego dżentelmena, który mieszkał tak długo w Paryżu, że będzie się łasił…

– Będzie co? – ryknął Clevedon.

– …kiedy wygląda się jak podstarzała włościanka – stwierdziła Noirot, nie zważając na jego wtrącenie. – Proszę trzymać głowę prosto i wypowiadać się stanowczo, jakby ta kwestia była oczywista dla każdego rozsądnego człowieka. Jeśli lady Warford będzie stawiała opór, proszę zainscenizować napad histerii. Tak właśnie wysoko urodzone panny załatwiają swoje sprawy.

– Ależ… ależ ja nigdy… – żachnęła się Clara. – Nie potrafię!

– Przed chwilą tupałaś nogą – zauważył Clevedon. – I wydymałaś wargi.

– Nieprawda!

– Lady Clara była bardzo poruszona – stanęła w jej obronie Noirot. – I tak trzeba to zrobić, jednak należy włożyć w to więcej siły i serca. Musi pani dać do zrozumienia, że jest absolutnie pewna swych racji. Proszę jednak pamiętać, że wybuch namiętności ma jedynie przykuć uwagę słuchacza. Gdy lady Warford poświęci pani całą uwagę, nadejdzie czas, by powściągnąć temperament, a wtedy opowie jej pani anegdotę.

Noirot złożyła dłonie. Jej oczy w jednej chwili napełniły się łzami. Clevedon z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ukochana mamo – rzekła płaczliwie Noirot. – Wiem, że nie chcesz, bym czuła się upokorzona przed całym towarzystwem. Tutaj – dodała normalnym głosem – należy wspomnieć kogoś, kogo matka pani nie cierpi. A kiedy żachnie się, że to nonsens, opowie pani anegdotę o pewnym francuskim dżentelmenie, który był do szaleństwa zakochany w mężatce…

– Tego lady Clara z pewnością nie…

– Proszę, daj pani Noirot skończyć – przerwała Clara. – To ty mnie do niej zawiozłeś i dziś rano uczyniłam ślub, że ścierpię to wszystko, żeby być piękną.

– Jest pani bardzo piękna – oświadczyła madame Noirot. – Ileż razy mam to powtarzać? Niebawem oszaleję. Najpiękniejszy diament wymaga szlachetnej oprawy. Dzieło sztuki potrzebuje pięknej ramy.

– Wiem, wiem, ale przecież ten argument nie zadziała na mamę. Co z tym Francuzem i mężatką?

– Przyjaciele próbowali go przekonać, błagali go, by się opamiętał, wszystko na próżno. I pewnego wieczoru na przyjęciu owa mężatka poprosiła go, by przyniósł jej szal. Pośpieszył, wyobrażając sobie delikatny dotyk kaszmiru i zapach ukochanej ukryty w miękkim szalu…

Clevedon dobrze pamiętał zapach Noirot. Zapach utrwalony w jej kapeluszu, w jej szalu. Zapach, który krył się w zagłębieniu jej szyi, pod uchem.

– …w szalu, którego wspaniałość zawstydzi szale wszystkich dam na sali. Znalazł go, lecz, o zgrozo! To nie był kaszmir. Zgrzebna wełna! Chory z obrzydzenia, w jednej chwili wyleczył się z wielkiej miłości i porzucił ją bez żalu.

Clara patrzyła na nią ze zdumieniem.

– Naśmiewa się pani ze mnie!

Clevedon odchrząknął, szybko otrząsając się ze wspomnień.

– Znajdziesz tę anegdotę w przewodniku po Francji napisanym przez lady Morgan. Wyszedł kilka lat temu, ale zasady się nie zmieniły. Gdybyś mogła zobaczyć minę mojego przyjaciela Aronduille'a, kiedy spytałem go, czy strój ma znaczenie. Gdybyś mogła usłyszeć, jak dyskutuje ze znajomymi o modzie i urodzie, cytując filozofów i pisarzy, powołując się na Balzaka i Stendhala.

Clara zerknęła na niego przelotnie i utkwiła wzrok w pani Noirot.

– Cóż, zatem właśnie tak powiem. I powiem, że to wszystko dlatego, że Clevedon jest bardziej krytyczny i wybredny niż Longmore.

– Claro, czyż nie byłoby lepiej, gdybyś…

– Ale co założę jutro do Almacka? – przeraziła się Clara. – Odrzuciła pani wszystko.

Almack, pomyślał Clevedon. Kolejny odrażający wieczór w tym samym towarzystwie. Będzie musiał odławiać Clarę z zastałego bagienka adoratorów i tańczyć z nią. Cokolwiek na siebie włoży, raczej nie zrobi na nim wrażenia.

– Skoro nikt nie został zamordowany i najwyraźniej stoję paniom na zawadzie... – zaczął Clevedon, lecz Noirot weszła mu w słowo:

– Nic podobnego, Wasza Wysokość. Przybył pan w doskonałym momencie. Lady Clara wykazała się już niezmierzoną cierpliwością, zwłaszcza że zdruzgotałam jej wszechświat.

– Co najmniej – burknęła Clara.

– Jego Wysokość uratuje panią i zabierze na przejażdżkę. Świeże powietrze na pewno dobrze pani zrobi.

– Ale jutro…

– Jutro dostanie pani suknię – obiecała Noirot. – Ja lub jedna z moich sióstr dostarczymy ją osobiście nie później niż o dziewiętnastej. Wystarczy nam czasu na dokonanie niezbędnych poprawek. Suknia będzie idealna.

– Ale mama…

– Już wcześniej się z nią pani rozmówi, jak to ustaliłyśmy.

Clara zwróciła się do Clevedona:

– To najbardziej władcza kobieta, jaką spotkałam.

– Jego Wysokość był już uprzejmy mi to wytknąć – przyznała Noirot, rzucając Clevedonowi kose spojrzenie. – Mam do czynienia z kapryśnymi klientkami od rana do wieczora przez sześć dni w tygodniu. Nie mam wyboru. Albo je zdominuję, albo to one zdominują mnie.

Clevedon uśmiechnął się pod nosem. Doceniał metodę rozbrajającej szczerości przyprawionej szczyptą humoru. Na Boga, Noirot przekracza wszelkie granice.

– Na dziś mam już dość bycia pani marionetką – westchnęła Clara. – Clevedon, bądź tak miły i zaczekaj kilka minut. Z przyjemnością zaczerpnę świeżego powietrza. Obiecuję, że przebiorę się błyskawicznie. Pani Noirot zostawiła mi zaledwie kilka rzeczy, których nie uważa za kompletnie odrażające. Nie będę się też zastanawiała nad doborem czepków, gdyż ich nie mam.

Ruszyła ku drzwiom, ale przez chwilę się zawahała. Potem jednak wyszła zdecydowanym krokiem.

* * *

Marcelline powtarzała sobie w duchu, że osiągnęła właśnie to, czego chciała. Więcej nawet. Nie musiała czekać na zaręczyny z pierwszym zamówieniem dla lady Clary. Jutro wieczorem śmietanka towarzyska będzie rozmawiała wyłącznie o tym, że lady Clara Fairfax przyszła w sukni od pani Noirot.

Maison Noirot wkrótce stanie się najmodniejszym butikiem w Londynie.

Marcelline osiągnęła wszystko, co planowała, jadąc kilka tygodni wcześniej do Paryża.

Nie mogłaby być szczęśliwsza.

Zaczęła zbierać i składać suknie porzucone przez lady Clarę.

– Czyżbyś zamierzała je spalić? – zapytał półgłosem Clevedon.

– Ależ skąd – zaprzeczyła.

– Przecież to zwykłe łachy a nie suknie – zauważył książę. – Dopóki nie zatrułaś mi duszy, nigdy nie zwracałem uwagi na kolory, ale nawet ja potrafię rozpoznać fatalny krój i kiepskie szycie.

– Można je rozpruć i uszyć na nowo – wyjaśniła. – Wspieram ośrodek dla skrzywdzonych dziewcząt. Lady Fairfax była tak miła i pozwoliła mi zabrać część odrzuconych rzeczy dla moich podopiecznych.

– Twoich podopiecznych – powtórzył. – Jesteś filantropką? – zapytał i się roześmiał.

Pragnęła czymś w niego rzucić. Na przykład najbliższym krzesłem.

Albo rzucić mu się w ramiona.

Musiała zignorować mroczny szept zdegenerowanej krwi. Książę jest piękny. Na jego widok kręci jej się w głowie. To niesprawiedliwe, że nie może z nim zgrzeszyć bez żadnych konsekwencji. Oddałaby mu się w łóżku i w powozie, przy ścianie, gdziekolwiek i nieważne, jak arogancko by się zachowywał. Gdyby tylko mogła go po prostu wykorzystać i zapomnieć, jak to mieli w zwyczaju mężczyźni.

A jednak to niemożliwe. Poza tym już go wykorzystała, choć w inny sposób. W ważnej sprawie. I dostała wszystko, czego chciała.

Do pokoju muzycznego wbiegła pokojówka. Marcelline dyrygowała nią przez chwilę. Kiedy służąca wybiegła z naręczem sukien, kobieta nie podjęła urwanej rozmowy. W ogóle się nie odezwała.

Nie mogła dać się sprowokować. Jest przecież bardzo szczęśliwa. Osiągnęła swój cel.

– Który to przytułek? – zapytał Clevedon. – Każę sekretarzowi wesprzeć go finansowo. Jeśli te panny są w stanie zrobić coś ładnego z tych szmat, zasłużyły na to.

– Stowarzyszenie dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet. – Mogłaby dodać, że założyła je z siostrami w zeszłym roku. Same, jako młode dziewczęta, dowiedziały się wszystkiego o życiu w biedzie i o tym, jak trudno jest zarabiać na siebie, a jak łatwo – wpaść w nieodpowiednie towarzystwo.

Lecz jej przeszłość była tajemnicą.

– Niektóre z naszych dziewcząt zostały pokojówkami – oświadczyła. – Większość pracuje jako szwaczki. Na szwaczki jest zawsze zapotrzebowanie, szczególnie w czasie żałoby narodowej. – Na szczęście dla szwaczek angielski dwór często był w żałobie po bliższych lub dalszych europejskich kuzynach.

Do pokoju wkroczył kamerdyner, wpuszczając lokaja z tacą przekąsek dla Jego Wysokości.

Marcelline umierała z głodu. Spędziła u lady Clary cały poranek i przedpołudnie, lecz nikt nie poczęstował jej ciastem ani nie zaproponował choćby szklanki wody. Sklepikarki nie zasługiwały na poczęstunki.

Och, kiedyż ta dziewczyna się wreszcie ubierze? Ileż czasu zajmuje nałożenie kapelusza i przewiązanie szala? Biorąc pod uwagę scenę zazdrości, Marcelline zakładałaby raczej, że panna Fairfax ani na chwilę nie zostawi ich samych.

Choć, rzecz jasna, nie byli całkiem sami. Służba kręciła się tam i z powrotem. Zresztą lady Clara nie musiała się niczego obawiać.

Marcelline miała plany wyłącznie wobec posągowej figury lady Clary oraz portfela jej ojca, a później męża. Nic więcej.

I jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

Cisza przeciągała się nieprzyjemnie, przerywana jedynie nieustannym krążeniem służby.

Wreszcie nadeszła lady Clara.

Marcelline przerwała składanie sukien, by fantazyjnie upiąć jej szal. Szale panny Fairfax były znakomitej jakości, musiała to przyznać. Poprawiwszy strój lady Clary, dygnęła grzecznie i wróciła do pracy.

Clevedon minął ją bez słowa. Słyszała jego stłumione kroki na miękkim dywanie, niski pomruk jego głosu i dźwięczny śmiech lady Clary. Składała prędko suknie, nie patrząc za nimi.

Kiedy wyszli, ponownie powtórzyła sobie, że wykonała kawał świetnej roboty i nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy, co – wziąwszy pod uwagę jej pochodzenie – było niemal cudem. Powinna być z siebie bardzo zadowolona.

* * *

Wieczorem

Suknia, którą zwróciła pani Whitwood, leżała na kontuarze. Blada z wściekłości klientka wpadła do butiku, w czasie gdy Marcelline obsługiwała lady Clarę w domu Warfordów.

Sophy uspokoiła panią Whitwood. Potrafiłaby uspokoić wodza Hunów. Suknię należy przerobić i butik poniesie jedynie koszty ponownego szycia, to znaczy najniższe z wszystkich, gdy chodzi o szycie balowej sukni. Traciły jednak na to mnóstwo czasu, który powinny poświęcić na nowe zlecenia. Jeśli dalej tak pójdzie, zbankrutują. Nie mogą sobie pozwolić na ciągłe przerabianie sukien. Nie mogą sobie również pozwolić na niszczenie reputacji.

Marcelline oglądała suknię, zastanawiając się, co zmienić.

– Kto pracował nad tą suknią? – zapytała pannę Pritchett, starszą szwaczkę.

– Madame, jeśli w sukni jest jakieś niedociągnięcie, to moja wina – odparła panna Pritchett. – Nadzorowałam szycie tej sukni. Ale jak pani widzi, została uszyta wedle pani szkiców.

– W istocie. Wszak sama zaprojektowałam ten model – dodała Marcelline. – To zdumiewające, że ktoś był w stanie uszyć taką samą suknię. Krój stanika to z całą pewnością mój wynalazek. W jaki sposób jakaś inna krawcowa wpadła na taki sam pomysł?

– To wyjątkowo nieszczęśliwy zbieg okoliczności, madame – wycedziła panna Pritchett. – Jednak fakt, że nie zdarzało nam się to wcześniej, również graniczy z cudem, skoro wzięła pani szwaczki praktycznie z ulicy. Czasami takie są skutki zbyt miękkiego serca. One zaś takich nie posiadają. Nie odróżniają dobra od zła, pani rozumie. Chętnie zostanę dziś dłużej, żeby przerobić tę suknię, nawet do nocy, jeśli trzeba.

– Dziękuję, ale potrzebuję cię tu jutro z samego rana – odpowiedziała Marcelline. – Suknia balowa lady Clary Fairfax musi być gotowa na dziewiętnastą. Niech wszystkie dziewczęta przyjdą wcześnie i wypoczęte. Może na ósmą? – Marcelline zerknęła na zegarek. – Och, już dwudziesta. Proszę, odeślij je wszystkie do domów i powiedz, że na ósmą mają być z powrotem. Niech się nastawią na pracowity dzień.

Rzadko trzymała szwaczki dłużej niż do dziewiątej wieczorem, nawet gdy butik miał mnóstwo zleceń. Na przykład, gdy córka doktora Farquara musiała bardzo szybko wyjść za mąż albo gdy pani Whitwood pokłóciła się z Pretensją i przyjechała, by zamówić wyprawę żałobną dla siebie i swoich pięciu córek.

Doświadczenie wskazywało, że szwaczki znacznie lepiej pracują rano. Wieczorem stawały się ospałe i powolne. Wprawdzie w pracowni były wielkie okna, jednak po zachodzie słońca nie miało to już znaczenia.

– Dobrze, madame, jednak płaszcz pani Plumley jeszcze nie jest gotowy.

– Potrzebujemy go dopiero na wtorek. Wszystkie zmykajcie do domów i przygotujcie się na pracowity dzień.

– Dobrze, madame.

Marcelline patrzyła spod oka, jak panna Pritchett opuszcza salę. Pułapka, którą zastawiły poprzedniego dnia, zdała egzamin.

Każdego dnia przed wyjściem z pracowni szwaczki dokładnie sprzątały miejsca pracy. Ścierały blaty, podnosiły z krzeseł i podłogi wszystkie strzępki tkanin, nitki, guziki i wstążki. Poprzedniego ranka pracownia lśniła czystością, gdy Marcelline niby przypadkiem upuściła pod krzesło szkic sukni dla pani Sharp.

Pierwsza szwaczka – zwykle była to panna Pritchett – powinna była go odnaleźć i oddać Marcelline, Sophy czy Leonie. Jednak gdy Sophy weszła do pracowni, szkicu nie było i żadna z dziewcząt nie wspomniała o nim słowem. Dopiero tego ranka Selina Jeffreys znalazła go pod swoim krzesłem.

Panna Pritchett srogo zgromiła ją za pośpieszne wyjście z pracy i zostawienie bałaganu. Zrobiła mnóstwo zamieszania o szkic i krzyczała, że prace madame nie mogą być rzucane byle gdzie.

Siostry Noirot dobrze wiedziały, że pracownia była sprzątnięta, a szkic nie leżał pod krzesłem panny Jeffreys ani nigdzie indziej.

Teraz wiedziały już wszystko. I były przygotowane.

Drzwi butiku otworzyły się nagle z łoskotem, dzwonek zadźwięczał jak szalony.

Marcelline podniosła wzrok znad sukni i serce ścisnęło jej się boleśnie.

Clevedon przez chwilę omiatał butik obłąkanym spojrzeniem, wreszcie ją dostrzegł. Zmarszczył brwi, ale prędko przybrał maskę światowca i ruszył ku niej swobodnym krokiem. Wpatrzona w jego piękną twarz, zbyt piękną,

by była prawdziwa, Marcelline nie dostrzegła wielkiego pudła, które dzierżył.

– Wasza Wysokość. – Przywitała go dygnięciem.

– Pani Noirot. – Książę postawił tajemnicze pudło na kontuarze.

– To nie może być nowa suknia lady Fairfax – zmartwiała Marcelline. – Sophy mówiła, że była nią zachwycona.

– Dlaczego, na Boga, miałbym zwracać zamówienia Clary? – zdumiał się Clevedon. – Nie jestem jej służącym. To dla panny Erroll.

Marcelline zawrzała gniewem. Policzki zapłonęły jej rumieńcem. Nie dbała już o pokerową minę.

– Zabierz to – warknęła.

– Nie ma mowy – odparł. – Miałem z tym mnóstwo kłopotu. Nic nie wiem o dzieciach i nie uwierzyłabyś, jak wiele…

– Nie możesz dawać prezentów mojej córce!

Clevedon uniósł pokrywkę i wyjął z pudła lalkę. Ale jaką lalkę! Miała czarne kręcone włosy i oczy z błękitnych szkiełek. Ubrana była w suknię ze srebrnej siatki i z koronek, ozdobioną perłami.

– Nie zabieram tego – oświadczył. – Możesz ją spalić, jeśli chcesz.

W tej chwili z zaplecza wypadła Lucie i stanęła jak wryta na widok lalki, której książę nie raczył schować do pudła. Pewnie wyglądała przez okno na ulicę i rozpoznała jego powóz.

Miała dopiero sześć lat. Marcelline nie mogła od niej wymagać, że oprze się takiej lalce. Dziewczynka zdołała dygnąć i wyjąkać: „Dobry wieczór, Wasza Wysokość”, lecz jej wzrok utkwiony był w zabawce.

– Jejku, jaka śliczna lalka – westchnęła. – To chyba najpiękniejsza lalka, jaką widziałam w całym życiu.

Przez te całe sześć lat, pomyślała Marcelline.

– Zapłacisz za to – szepnęła do Clevedona. – Pożałujesz!

– Naprawdę? – Clevedon zwrócił się do Lucie: – Przyznaję, że nie jestem w tej materii ekspertem.

– Och, tak! – Lucie podeszła bliżej. – To nie jest zwykła lalka. Ma szklane oczy, widzi pan? I taką ożywioną minę. A włosy! Myślę, że to są prawdziwe włosy!

– Może chciałabyś ją potrzymać? – zapytał książę.

– Bardzo! – Ruszyła ku niemu, lecz zawahała się i spojrzała na Marcelline. – Mamo, mogę? – pisnęła błagalnym tonem.

– Tak – odparła grobowym głosem pani Noirot. Cóż innego mogła powiedzieć? Była praktyczna, do bólu rozsądna i przewidująca. Jednak odmówienie dziecku, które nie zasłużyło wszak na żadną karę, takiego prezentu wydało jej się nieuzasadnionym okrucieństwem. Owszem, była surową matką. Musiała taka być. Nie chciała jednak, by jej córka musiała przechodzić przez to, czego ona sama doświadczyła w latach swego dzieciństwa.

Clevedon kucnął obok Lucie i z powagą wręczył jej lalkę. Równie poważnie Lucie wzięła ją w ramiona, wstrzymując oddech. Patrzyła na nią z takim niedowierzaniem, jakby lalka była magiczną istotą, która za chwilę zniknie.

– Jak ma na imię? – zapytała nabożnie.

– Nie mam pojęcia – wyznał. – Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedziała.

Och, co za potwór!

Lucie zastanawiała się przez chwilę.

– Gdyby to była moja lalka, nazwałabym ją Susannah.

– Myślę, że bardzo by chciała zostać twoją lalką. – Clevedon spojrzał na Marcelline. – Jeśli może.

Choć była zajęta zabawką, Lucie zauważyła, czyjej aprobaty książę szukał.

– Mamo, zgodzisz się? Proszę, mamo! Mogę ją wziąć?

– Tak – rzekła Marcelline. Cóż innego mogła rzec?

– Dziękuję, mamo!!! – Lucie rzuciła Clevedonowi błękitne spojrzenie, które w zamyśle miało złamać mu serce. Marcelline liczyła, że dosięgło celu. – Dziękuję, Wasza Wysokość. Przyrzekam, że będę się nią dobrze opiekowała.

– Jestem tego pewien.

– Rusza rękami i nogami, widzi pan? – zapytała Lucie, pokazując mu lalkę. – Można ją przebierać. Ta suknia jest przepiękna, ale Susannah jest księżniczką, więc potrzebuje bogatej garderoby. Mama i ciocie pomogą mi uszyć dla niej nowe sukienki. Koszulę nocną, suknie na spacery, na przejażdżki i błękitny płaszczyk pod kolor jej oczu. Kiedy przyjdzie pan następnym razem, wszystko panu pokażę.

Kiedy przyjdzie następnym razem…

– Koniecznie zaprezentuj Susannah ciociom – podpowiedziała Marcelline. – A ja porozmawiam z Jego Wysokością.

Lucie pożegnała się i wyszła, ostrożnie trzymając w objęciach lalkę, jakby niosła żywe niemowlę. Clevedon podniósł się i patrzył za dziewczynką z uśmiechem, jakiego Marcelline nigdy wcześniej nie widziała. To nie był jego uwodzicielski uśmiech, ani czarujący, ani zwycięski.

To był uśmiech pełen czułości i wzruszenia. Marcelline nie była w stanie tego znieść. Ten uśmiech rozbroił ją i podbił jak żaden inny z arsenału uśmiechów Clevedona.

Czuła coraz większą złość.

– Clevedon – odezwała się chłodno.

Książę spojrzał na nią. Uśmiech rozwiał się jak sen.

– Możesz sobie darować wyrzuty? – zapytał bez ogródek. – Z wyrachowaniem podbiła moje serce, wzorem swej matki…

– Ma dopiero sześć lat!

– Cóż, obie dopięłyście swego. Co miałem zrobić? To przecież mała dziewczynka. Dlaczegóż nie zasługuje choćby na lalkę?

– Lucie ma lalki! Czy wygląda na porzuconą? Zaniedbaną? To moja córka i dbam o nią bardziej niż o siebie! Nie ma z tobą nic wspólnego. Nie zyskasz niczego, kupując jej lalki. Co sobie pomyśli lady Clara? Co powiedzą twoi szlachetni znajomi, kiedy dowiedzą się, że robisz prezenty mojej córce? Wiesz, że za chwilę wszyscy będą o tym wiedzieć. – Lucie, oczywiście, pokaże lalkę szwaczkom i plotka rozejdzie się po Londynie lotem błyskawicy. – Myślisz, że to nie zaszkodzi moim interesom?

– Interesy. Potrafisz myśleć tylko o jednym.

– Od nich zależy moje życie, Wasza Bezmyślność! – Zatoczyła dłonią krąg wokół siebie. – W taki sposób zarabiam na życie. Nie dociera to do ciebie? Potrafisz pojąć znaczenie tych słów? Zarabiam na życie!

– Ja wcale…

– Dzięki tej pracy karmię, ubieram i edukuję córkę! – krzyczała coraz głośniej Marcelline. – Zapewniam jej dom, utrzymuję siostry. Nie wiem już, jak mogę ci to wytłumaczyć. Jak możesz być tak ślepy i bezmyślny, by…

– Straciłem dla ciebie głowę – wypalił nagle książę. – Gdziekolwiek się obrócę, tam ty jesteś.

– Co? Chyba żartujesz! Gdziekolwiek ja się obrócę, tam zaraz się na ciebie natykam.

– Zniszczyłaś mi życie – ciągnął książę. – Przez dwa tygodnie próbowałem się oświadczyć Clarze i za każdym razem, gdy próbuję się do tego zmusić…

– Zmusić?!

– Za każdym razem… ty. Zawsze ty. Jadę do domu Warfordów, by wreszcie mieć to za sobą, i co? Po spotkaniu z tobą Clara była w takiej histerii, że nie byłem w stanie zamienić z nią słowa i cała przemowa, którą komponowałem przez pół godziny, uleciała mi z głowy!

Drzwi na zaplecze otworzyły się cicho i do sali weszła Leonie.

– Och, Wasza Wysokość – udała zdziwienie, choć zapewne słyszała kłótnię aż na piętrze. Marcelline miała nadzieję, że szwaczki posłusznie poszły wcześniej do domów i nie podsłuchują pod ścianą.

– Jego Wysokość właśnie wychodzi – ucięła Marcelline.

– Wcale nie – prychnął Clevedon.

– Zamykamy – wycedziła Marcelline – a pan i tak niczego nie kupuje.

– Może jednak coś kupię.

– Leonie, proszę, zamknij kontuar. – Następnie zwróciła się do księcia: – Nie zamierzam zmieniać godzin otwarcia, by spełniać pana zachcianki.

– Cóż zatem? Wyrzucicie mnie siłą?

Marcelline mogła go znienacka ogłuszyć. Potem we trzy wyrzuciłyby go, nieprzytomnego, na uliczkę za butikiem. To nie byłby pierwszy raz, gdy musiałyby sobie poradzić z natarczywym mężczyzną.

– Jesteś za wielki, przeklętniku! – nie wytrzymała Marcelline. – Ale wyjaśnimy sobie pewne sprawy raz na zawsze.

Rozdział 10

Uroczyste zaślubiny w najbliższym czasie: niebawem
pan Vaughan pojmie za żonę lady Mary Anne Gage,
siostrę lorda Kenmare'a. Wiceksiążę Palmerstone stara się
o rękę uposażonej pani Thwaites.

Magazyn „Życie Dworu", wydanie sobotnie

(25 kwietnia 1835)

Marcelline przebiegła korytarz, mijając schody na piętro, i wpadła do pracowni.

Ujrzała chaos.

Blaty kipiały resztkami tkanin, nici i wstążek, wszędzie walały się poduszeczki ze szpilkami. Na podłodze kłębiły się ścinki, krzesła stały na środku, odsunięte od blatów. Pracownia wyglądała, jakby szwaczki zostały przegnane przez kordon wojska.

Nie miała teraz ochoty się nad tym zastanawiać. Nie była w stanie połączyć faktów. Nieład w pracowni był po prostu kolejnym przykrym elementem tego długiego i nużącego dnia, w którym wciąż musiała się gryźć w język i powściągać gniew na czyjąś głupotę, brak manier i wychowania.

Zmierzy się z tym później.

Najpierw Clevedon.

Odwróciła się do niego, chwytając za plecami krawędź niechlujnie zasypanego blatu.

Była dumna z czystości i elegancji swego butiku. Jej uporządkowane życie stało w sprzeczności ze wspomnieniami życia rodziców i dzieciństwa panien Noirot. Jednak to, co sobie pomyśli książę, nie miało dla niej znaczenia. Poza tym skąd miałby wiedzieć, jak powinna wyglądać pracownia? I czy w ogóle zwróciłby na to uwagę?

– Nie przyjdziesz tu więcej – oświadczyła. – Nigdy w życiu!

– Z przyjemnością – odparł. – To ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałbym być.

– Nie będziesz kupował mojej córce prezentów – dodała.

– Skąd pomysł, że miałem taki zamiar?

– Bo to mały, sprytny lisek, który wie, jak owinąć sobie mężczyznę wokół palca.

– Zupełnie jak jej matka.

– Owszem. Oczarowałam cię i owinęłam wokół palca. Ale koniec z tym. Czy kiedykolwiek chciałam od ciebie czegoś poza tym, byś się zaręczył i przyprowadził tu narzeczoną?

Kłamczucha!

– Nie jestem zaręczony. I to przez ciebie.

– Przeze mnie? – Roześmiała się drwiąco. Drwiąc z niego. Drwiąc z siebie. – Przez ciebie. Dlaczego nie odważyłeś się na tę jakże długo przygotowywaną przemowę? Przecież to piękna dziewczyna! Poświęciłeś tej oracji całe pół godziny cennego czasu, by mogła odpowiedzieć na najważniejsze pytanie życia.

– Clara wcale nie…

– Ale z drugiej strony, co w tym dziwnego? Wszak zakładasz, że wszystko ci się należy. Zawsze dostajesz to, czego pragniesz, i natychmiast przestaje cię to interesować.

– Kocham ją – wyznał Clevedon ze smutkiem. – Kochałem ją od dzieciństwa. Ale ty…

– A więc to moja wina? Jestem demonem niszczącym twoje szczęście? Posłuchaj sam siebie. Jak każdy mężczyzna masz po prostu ochotę na coś, czego nie możesz mieć. Jak każdy mężczyzna będziesz do tego dążył i nawet ulegniesz obsesji – dopóki tego nie dostaniesz. Przyjechałeś tu, bo nie jesteś w stanie jasno myśleć. Bo doprowadza cię do szału to, że nie dostajesz tego, czego pragniesz.

Twarz Clevedona pociemniała. Zacisnął pięści.

– Jeśli zdaje ci się, że to właśnie ciebie pragnę, przemyśl to jeszcze raz – wycedził. – Nie pragnę ciebie. Ale ty mnie pragniesz i aż mi ciebie żal.

Marcelline czuła, jakby wpadła na ścianę. W głowie jej się zakręciło, a w sercu poczuła nieznośny ból.

Oczywiście, bardzo go pragnęła. Pragnęła być tą oszałamiająco piękną dziewczyną, którą kochał. Albo kimś innym, jakąś kobietą, która się dla niego liczyła. Nie sobą. Kimś nic nieznaczącym, kogo można wykorzystać i odrzucić. Pragnęła wszystkiego, co odebrali jej lekkomyślni rodzice i dalsza rodzina: dobrego imienia, szlachetnego nazwiska, każdej szansy, którą zmarnowali, i każdego ostrzeżenia, którego nie usłuchali przez wszystkie te lata.

Nawet nie drgnęła.

– W takim razie przyślij mi więcej klientek – oświadczyła. – Pieniądze z łatwością ukoją mój ból i rozczarowanie.

Wciągnął z sykiem powietrze.

– Na litość boską – szepnął. – Jesteś wcielonym złem.

– A ty aniołem? – roześmiała się.

Ruszył ku niej gwałtownym krokiem i Marcelline wiedziała, co się za chwilę wydarzy. Lecz przecież była wcielonym złem, a on wcale nie był lepszy. I przecież stała tylko, ściskając dłońmi krawędź blatu i patrząc na niego wyzywająco.

* * *

Clevedon stanął nad nią, spoglądając jej w oczy lśniące drwiną. Szydziła z niego, dobrze wiedząc, że daleko mu do świętoszka.

Sam doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest aniołem. Trzy lata wcześniej uciekł od wszelkiej odpowiedzialności, wyjechał za granicę, najpierw zagubił siebie, a potem odnalazł. Osiadł w Paryżu, bo tam czuł się tak wolny, jak nigdy nie mógłby się poczuć w Anglii. Dopóki pozostawał za granicą, jego głód przyjemności i żądza przygód nie mogły skrzywdzić tych, których kochał.

Noirot siała wyłącznie zniszczenie.

Nie pasowała mu pod żadnym względem, była złym wyborem, zwłaszcza w tej chwili. Dlaczego nie spotkał jej dwa lata wcześniej?

Gdy jednak spojrzał jej w oczy, nie potrafił już odróżnić dobra od zła. Byli tacy sami, tak bardzo do siebie podobni. Pragnął tylko jej. A ona,

mimo że znali się krótko, poznała go tak dobrze, że raz za razem wbijała mu szpilę bolesnej prawdy.

Owszem, będzie się miotał oszalały z pragnienia, dopóki jej nie posiądzie.

A potem będzie już po wszystkim. I będzie mógł o niej zapomnieć.

Ujął jej twarz w dłonie i podniósł ku sobie, pochylił się nad nią i pocałował miękkie wargi. Odwróciła głowę. Przesunął ustami po jej policzku i obok ucha. Odetchnął delikatnym aromatem róż i zdawało mu się, że tonie w niej bez pamięci. Że zawsze była i zawsze będzie już tylko ona.

– Wariacie – westchnęła Noirot. – Głupcze.

– Tak – przyznał bez wahania i chwycił ją w ramiona, przyciągając do siebie.

To było tak doskonałe, choć jednocześnie tak złe. Ciepło jej ciała i fakt, że tak idealnie pasowało do jego ciała, jakby szatan uszył je na miarę. Clevedon miał dość udawania. Dość uciekania. Serce łomotało mu jak szalone, krew krążyła w żyłach razem ze wściekłością i z pożądaniem.

Tego chciał od początku: chciał ją posiąść, mieć ją na własność. Wspomnienia zawirowały mu w głowie, budząc gniew. Jak spokojnie odeszła od niego w operze. Mężczyźni zderzający się ze sobą lub potykający o własne nogi na jej widok. Łagodny łuk jej szyi, gdy odwraca głowę. Pełen gracji ruch wachlarza, gdy prezentowała mu suknię. Lekkie muśnięcie ramienia, którego wcześniej dotknął. I jeszcze więcej obrazów, każda chwila w jej towarzystwie wirowała mu w głowie, odbierając resztki rozsądku.

Tego właśnie chciał. Trzymać ją. Zatrzymać.

Mieć ją na własność.

Bez namysłu, jak barbarzyńca.

Jednym ruchem zmiótł wszystko z blatu. Resztki tkanin, koronek i wstążek spłynęły na podłogę wśród brzęków szpulek i guzików.

Clevedon podsadził ją na blat. Położyła dłonie na jego torsie, żeby go odepchnąć. Przytrzymał je swymi dłońmi, przyciskając jej palce do łomoczącego serca. Podniósł jej twarz i spojrzał wyzywająco w oczy ciemne jak noc. Tutaj właśnie chciał być. Zagubiony w mroku, zbłąkany w ciemności, która nosiła jej imię.

Noirot. Tylko jej chciał. Nie wiedział nawet, czy to jej prawdziwe nazwisko. Nie znał jej imienia. Nie wiedział, czy rzeczywiście miała męża. To nie miało znaczenia.

Chwyciła go za głowę i przyciągnęła do siebie. Oplotła go nogami i całowała z furią, jak zawsze, nie ukrywając niczego i żądając od niego takiego samego szaleństwa.

Oddał się jej w wygłodniałym, dzikim pocałunku, błądząc dłońmi po jej ciele, pragnąc coraz bardziej. Powstrzymywał się tak długo! Choć minęło zaledwie kilka tygodni, zdawało mu się, że pragnie jej od wieków. Że przez całą wieczność żyje w krainie marzeń, ścigany fantazjami o jej bliskości. Wreszcie się zbudził. Wreszcie czuje, że żyje.

Jedwab, muślin i koronki szeleściły mu pod palcami. Wszędzie natykał się na przeszkody. Kolejne warstwy przeklętych fatałaszków odgradzały go od jej skóry. Pamiętał aksamitny dotyk i miał wrażenie, że za chwilę oszaleje, jeśli nie poczuje jej pod opuszkami palców. Nie mógł sobie pozwolić na całonocną zabawę. Choć nie myślał trzeźwo, czuł, że mają mało czasu, zaledwie chwilę. Spotkali się niepotrzebnie, nie byli sobie przeznaczeni i tylko na to mogą liczyć.

Na chwilę.

Clevedon zadarł jej spódnicę razem z halkami i przesunął dłońmi po muślinowych majtkach. Czuł się, jakby poraził go prąd. Smukłe ciało promieniowało żarem przez cienką tkaninę. Gładkie uda prężyły się pod pończochami.

Nie miał na to czasu. Wsunął palce pod majtki. Noirot jęknęła wprost do jego ust.

Wiedział, że popadł w szaleństwo. Jakaś część jego umysłu pamiętała, że zamknął za sobą drzwi, ale nie przekręcił klucza. Wiedział, że w każdej chwili ktoś może wejść. Jednak to nie było w stanie go powstrzymać. Mógł się jedynie pośpieszyć.

Zachowywał się jak szalony i powinien się wstydzić. Po wszystkich tych wydarzeniach szarpie jej suknię jak uczniak napalony na służebną dziewkę, kradnący chwilę namiętności w schowku pod schodami. Ale nie mógł przestać.

Noirot rozpięła mu spodnie. Jęknął głucho, gdy zamknęła palce na jego męskości, badając posuwistymi ruchami jej rozmiar. Od tej chwili czuł już wyłącznie żądzę.

Odepchnął jej dłoń i wszedł w nią płynnym ruchem do samego końca. Krzyknęła cicho i zagryzła wargi. Oddychali coraz szybciej, gdy Clevedon wbijał się w nią zachłannie, brutalnie, bez opamiętania.

Moja!

Poczuł na ramionach paznokcie Noirot. Jej ciałem wstrząsnął spazm i to było wszystko. Nie krzyknęła. Oddychała tylko urywanie.

Chciał więcej. O wiele więcej. Ale chciał tego zbyt długo i gdy zacisnęła się na nim z rozkoszy, stracił kontrolę. Żądza owładnęła nim i pociągnęła na dno. Dał się zatopić w rozkoszy większej niż kiedykolwiek, zaciskając palce na jej biodrach. Poczuł na sobie drugą falę skurczów Noirot. Tym razem krzyknęła przeszywająco, przeklinając jego imię. Zakończył w niej, dygocząc z triumfu, ulgi i radości.

* * *

Marcelline wcale nie chciała się do niego przytulać, lecz gdyby tego nie zrobiła, z pewnością spadłaby z blatu. Jej serce powoli zwalniało rytm, wciąż tłukąc się mocno o żebra.

Och, jakże była głupia! Szalona! Mogła żyć w błogiej nieświadomości. Mogła nadal sądzić, że wszyscy mężczyźni są tacy sami, a przyjemność z nimi jest raczej umiarkowana.

Teraz już wiedziała, że bliskość może wstrząsać całym ciałem i poruszyć ziemię. Że w ciągu kilku chwil świat może się roztrzaskać i odbudować na nowo, lecz nic już nie będzie takie samo.

Ten dzień przynosił same nieszczęścia. Czymże była dla niej kolejna katastrofa?

Popełniła fatalny błąd, ale to przecież nie pierwszy raz. Jakoś przeżyła poprzednie. Poradzi sobie i z tym. Clevedon trzymał ją mocno w ramionach. Marcelline wiedziała, że powinna go odepchnąć. Powinna była się od niego uwolnić znacznie wcześniej. Wiedziała, że nie może zaufać mężczyźnie, iż wycofa się w kluczowym momencie. Jak się okazało, sobie również nie mogła ufać. Tak bardzo chciała mieć go w sobie. Pragnęła, by choć przez moment, choć raz należał wyłącznie do niej. I nie mogła się z nim rozstać.

Jeszcze nie teraz.

Pławiła się jeszcze chwilę w emanującym z niego cieple. Wdychała otaczający go zapach. Tak bardzo męski. Otarła się o niego policzkiem i było to bardziej intymne niż wszystko, co zrobili wcześniej. Stał pomiędzy jej nogami i czuła, jak jego męskość wysuwa się z niej powoli, a wilgoć plami suknię. Nie miała na tyle rozsądku ani ochoty, by uniknąć tego zagrożenia. To szalone, rozpaczliwe spółkowanie nie miało wiele wspólnego z miłością, a jednak połączyło ich bardziej niż tydzień w pościeli.

Zrobiła głupstwo. Nadszedł czas się z tym rozprawić.

– Musisz mnie puścić – powiedziała cicho.

Clevedon objął ją mocniej.

– Musisz mnie puścić – powtórzyła.

– Chwileczkę – szepnął. – Jeszcze nie teraz.

– Nie mamy czasu. Czekają na mnie z kolacją, zaraz ktoś tu wejdzie. Nie możesz tu zostać, pod żadnym pozorem. Nie możesz zostać – powtórzyła z uporem. – I nie wracaj tu nigdy, proszę.

Czuła, jak znieruchomiał.

– Nie możemy tego tak zakończyć.

– Nie powinniśmy byli w ogóle zaczynać.

– Za późno na żale.

– Co się stało, to się nie odstanie – odparła. – Ale ja już skończyłam z tobą, a ty ze mną.

Odepchnęła go i tym razem wypuścił ją z ramion. Wyjęła z kieszeni chusteczkę, szybko doprowadziła się do porządku i poprawiła suknię.

Clevedon pozapinał guziki i wygładził ubranie.

Chciała zeskoczyć z blatu, lecz na Clevedonie dotykanie jej najwyraźniej nie robiło już wrażenia, gdyż chwycił ją w pasie i z łatwością zestawił na podłogę.

Przypomniała sobie, jak łatwo podniósł Lucie na ręce. Pamiętała, jak uśmiechał się do jej córki. Zdławiła szloch cisnący się do gardła.

Obiło jej się o uszy, że książę stracił w dzieciństwie młodszą siostrę. Ale czy miało to jeszcze znaczenie?

Ruszyła ku drzwiom, by pożegnać się z nim raz na zawsze, gdy z korytarza dobiegł ją szelest.

Leonie już dawno zamknęła butik i upewniła się, że nikt nie przeszkodzi Marcelline. Nikt nie powinien się skradać na parterze. Cała rodzina przygotowywała o tej porze kolację na piętrze.

– Stój – syknęła do Clevedona.

Przycisnęła ucho do drzwi. Cisza.

– Mnie też się zdawało, że coś słyszałem – szepnął książę. – Erroll? Czy mogła…?

– Nie. Po zamknięciu butiku nie wolno jej schodzić na dół. Poza tym i tak by nie przyszła. Boi się ciemności. – Lęk przed ciemnością pojawił się, gdy cudem wyszła z cholery. Jak i inne lęki. – Bądź cicho, dobrze?

Znów szelest i stukot. Ktoś jest na korytarzu i potyka się w ciemnościach.

Clevedon sięgnął do klamki.

– Ja się tym…

– Nie bądź głupi! – warknęła Marcelline. – Nie ma cię tu!

Bezszelestnie otworzyła drzwi i zerknęła w głąb korytarza. Mdłe światło dobiegało z małego kantorka, w którym Leonie trzymała księgi. Od jakiegoś czasu Marcelline chowała tam również szkicowniki z projektami. A dziś zastawiły tam pułapkę.

Serce zaczęło jej łomotać.

Wyślizgnęła się z pracowni. Słyszała za sobą ciche kroki Clevedona. Zatrzymała się i gestem kazała mu wracać do pokoju.

– Nie bądź…

Zakryła mu usta dłonią.

– Sama to załatwię. To moja sprawa. Mamy tu szpiega. Czekałyśmy dziś na nią.

Clevedon stał w pracowni jak skamieniały.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego pozwolił jej iść samej.

Oczywiście, w ogóle nie powinno go tu być, zwłaszcza o tej porze.

Ale… szpieg? Czy Clara wspominała coś o…

Clara!

Clevedon zacisnął zęby, czując wstyd i niesmak. Zdradził przyjaciółkę, zdradził swoją przyszłą żonę.

– To moja żona, moja żona – mamrotał. Wygładził pieczołowicie fular, jak gdyby mógł zatrzeć w ten sposób to, co zrobił. Usiłował przywołać w myślach jej obraz, wyobrazić sobie ich wspaniałą, spokojną przyszłość. Nie zakładał innych rozwiązań. Miał poślubić słodką, miłą, śliczną

dziewczynę, którą znał od dziecka. Zwiewną, błękitnooką istotę, którą spotkał, gdy wciąż był w żałobie po siostrze. Była równie niewinna jak Alice i patrzyła na niego z taką samą miłością. Zawsze uważał, że ożeni się z Clarą i będzie ją chronił przed każdym niebezpieczeństwem do końca ich dni.

A jednak przy pierwszej sposobności uciekł od niej i przez trzy lata trzymał się z daleka. Zresztą wcale by nie wrócił, gdyby nie naciski Longmore'a. A teraz… Zaledwie po kilku dniach od powrotu zdradził ją.

Wstyd jednak nie był wystarczająco silny, by zmazać wspomnienie szaleństwa, które go ogarnęło, gdy dotknął Noirot. Trudno. Już się stało. Już ją posiadł i będzie mógł o niej zapomnieć.

Tymczasem stał w ciemnościach jak kretyn, podczas gdy Noirot zajmowała się jakimś absurdalnym szpiegiem.

– Nie! – krzyknął ktoś w oddali.

Clevedon bezszelestnie wyszedł na korytarz i ruszył ku otwartym drzwiom, z których sączyło się słabe światło.

– Mam nadzieję, że pani Downes hojnie ci zapłaciła za tę zdradę – mówiła Noirot. – Bo nigdy nie znajdziesz już pracy w tej branży, dopilnuję tego.

– Nie może mi pani nic zrobić – odparł ostry głos. – Jest pani skończona. Wszyscy wiedzą, że pani jest nałożnicą księcia. Wszyscy wiedzą, że zadziera pani przed nim kieckę tuż pod nosem jego narzeczonej!

– Nie dbam o to, co wszyscy wiedzą. Nie pogarszaj swojej sytuacji i oddaj mi te szkice. Są tu tylko jedne drzwi, Pritchett. Nie wypuszczę cię.

– Czyżby?

Rozległ się huk przewracanych mebli. Trzask rozbijanego szkła. Krzyk wściekłości.

Nie dbał, co Noirot sądzi o samodzielnym radzeniu sobie. Nie dbał o to, że nikt nie powinien go tu spotkać. Jej problemy zawodowe nie były jego sprawą, ale uznał, że wymykają się spod jej kontroli. W każdej chwili siostry Noirot mogły zbiec z góry, zwabione hałasem. Errol także mogła przybiec. A gdyby ktoś zrobił jej krzywdę?

Sunął cicho ku otwartym drzwiom. Jakaś waza czy czara przeleciała tuż obok jego głowy i roztrzaskała się o ścianę w holu. Wpadł do pokoju. Nieznajoma kobieta cisnęła kałamarzem. Noirot uchyliła się, potknęła o wywrócone krzesło i padła na podłogę. Rozległ się trzask. Zobaczył, jak

mała latarnia wywraca się na biurku. Płomienie natychmiast objęły leżące na nim papiery. W mgnieniu oka skoczyły na zasłony okienne i zaczęły się piąć ku górze.

Kobieta ominęła go zwinnie. Trzymała coś w ramionach, ale nie starał się jej zatrzymać. Noirot próbowała się podnieść, a płomienie strzelały iskrami i skakały ku półkom z książkami i dokumentami. Jeden róg pokoju tonął już w ogniu. W pamięci wrócił do widoku pracowni i porozrzucanych tkanin, które w niej widział. W innych pokojach i magazynach na pewno miały więcej tkanin i papierowych wykrojów. Tekturowych pudeł na gotowe suknie. Piór, wstążek, tiulu i papieru pakowego.

Już teraz miałby problem z ugaszeniem ognia.

W ułamku sekundy podjął decyzję. Nie miał szans walczyć z pożarem. Za chwilę zostaną uwięzieni w płonącym piekle.

* * *

Ściskając pod pachą bezcenną teczkę, Pritchett wymknęła się przez tylne drzwi i nie oglądając się za siebie, przebiegła chyżo całą alejkę aż do Cary Street. Dopiero tam przystanęła, żeby nabrać tchu. Zobaczyła buchający znad butiku dym i poczuła ukłucie w sercu. Miała nadzieję, że dziecku nie stanie się żadna krzywda. Zaplanowała wszystko tak starannie, a madame zniszczyła jej plan w jednej chwili, każąc jej odesłać szwaczki do domów. Pritchett wygoniła je, twierdząc, że sama sprzątnie pracownię. Kiedy w butiku pojawił się książę, odetchnęła z ulgą, licząc na to, że na jakiś czas zajmie uwagę pani Noirot.

Jednak wszystko potoczyło się fatalnie i teraz nie tylko madame, lecz także książę wie, co zrobiła.

To nic, to nic. Miała teczkę ze wszystkimi szkicami, a za pieniądze pani Downes zacznie nowe życie zupełnie gdzie indziej. Przybierze nowe imię i nazwisko, jakoś sobie poradzi.

Ostatni raz zerknęła za siebie. Gęsty woal dymu buchał w rozgwieżdżone niebo.

* * *

Marcelline dojrzała płomienie i na chwilę zastygła z grozy, a potem wykrzyknęła:

– Lucie!

Clevedon chwycił ją pod ramiona i postawił na nogi. Na piętrze wszczął się tumult. Najwyraźniej kobiety usłyszały hałasy albo poczuły dym.

– Wychodzić! – ryknął Clevedon. – Wszyscy na dwór! Już!

Tupanie i hałasy na górze wzmogły się w jednej chwili.

– Wszyscy! – wrzasnął znów.

Marcelline ruszyła ku schodom. Chwycił ją za rękę.

– Lucie! – zawyła. – Dlaczego nie schodzą? – Czyżby były już uwięzione w ogniu? – Lucie!!!

Clevedon brutalnie wywlókł ją z korytarza w stronę frontowych drzwi.

– Nie! – krzyczała przeraźliwie Noirot. – Moja córka!

– Już schodzą! – odkrzyknął.

Na schodach załomotały prędkie kroki.

– Wychodzić, szybko. Wszyscy na dwór. Noirot, zabieraj je stąd.

W mrocznym, zadymionym korytarzu Marcelline nie widziała nikogo. Słyszała jednak głosy sióstr, Lucie i Millie.

Clevedon szarpnął ją za łokieć.

– Na dwór! – ryknął dziko. – Już!

Wycofał się za węgieł domu. Noirot nie potrzebowała kolejnych plotek.

Wybiegły na ulicę i dopiero wtedy Marcelline dostrzegła, że nie ma z nimi Lucie.

– Gdzie Lucie? – krzyknęła w panice.

– Była tu.

– Szła razem z nami.

– Trzymałam ją za rękę, ale mi się wyrwała, madame! – załkała Millie. – Myślałam, że pobiegła do was.

Nie, nie, nie. Marcelline była bliska obłędu. Wpatrywała się kolejno w okna płonącego domu, ale nikogo nie dostrzegła.

– Lucie! – wrzasnęła. Siostry jej wtórowały. Ulica zapełniła się gapiami. Marcelline przebiegła wzrokiem tłum, ale tam również nie dostrzegła córki.

Zresztą to byłoby prawie niemożliwe. Odwaga Lucie gasła wraz z zachodzącym słońcem. Nie pobiegłaby w obcy tłum po zmroku.

– Lalka! – krzyknęła Sophy. – Chciała zabrać lalkę, ale jej nie pozwoliłyśmy!

– Wróciła po nią? – pisnęła Leonie przez ściśnięte gardło.

Marcelline rzuciła się ku drzwiom, lecz siostry chwyciły ją i przytrzymały. Szarpała się dziko w ich uścisku, lecz nie puściły jej.

– Marcelline, spójrz – powiedziała z bólem Sophy.

We wszystkich oknach szalał ogień. Z pracowni buchały różnokolorowe płomienie.

– Lucie! – rozpłakała się Marcelline. – Lucie!!!

* * *

Clevedon liczył głowy, gdy wybiegali na zewnątrz, i słyszał głosy już na chodniku. Był pewny, że wszystkie są już bezpieczne. Zaraz usłyszał jednak krzyki Noirot wzywającej Lucie.

Nie. Na Boga, nie! Nie mogła zostać w środku!

Wbiegł do płonącego budynku.

– Lucie! – krzyczał. – Erroll!

Ogień szalał na parterze, pnąc się w górę, sycząc i trzeszcząc. W kłębach dymu ledwo dostrzegł schody. Po omacku wbiegł na górę.

– Lucie! Erroll!

Przekrzykiwał huk ognia, nasłuchując co chwilę. Wreszcie usłyszał rozpaczliwy szloch.

– Lucie! Gdzie jesteś, dziecko?

– Mamo!

Dym był coraz gęstszy i dławiący. Ledwie słyszał jej głos przez trzask płomieni. Niemal minął ją w ciemności. Gdyby szedł chwilę wcześniej lub chwilę później nie usłyszałby jej płaczu. Lecz gdzie ona jest?

– Lucie!

– Mamo!

Na poły po omacku, na poły intuicyjnie trafił na niskie drzwiczki pod schodami prowadzącymi na poddasze. Lucie musiała się tam już wcześniej

chować lub bawić. A może były to pierwsze drzwi, na jakie trafiła w ciemności.

Szarpnął za klamkę. Cisza i ciemność.

Nie, błagam. Niech żyje. Boże, daj mi szansę.

Po chwili dostrzegł skuloną postać w samym kącie. Chwycił ją w ramiona. Lucie trzymała kurczowo nową lalkę i dygotała.

– Już dobrze, maleńka – wychrypiał. Głos miał stłumiony ze strachu. I z ulgi.

Dziewczynka wtuliła twarz w jego płaszcz i się rozpłakała. Objął ją z czułością.

– Wszystko będzie dobrze.

Musi być dobrze, pomyślał. Musi. Nie pozwoli umrzeć temu dziecku.

Ogień pełzł ku nim, sycząc i parskając, jakby był żywym stworzeniem.

* * *

Marcelline szarpała się coraz słabiej. Siostry trzymały ją w żelaznym uścisku. Nie pozwoliły jej wrócić po Lucie, a teraz było już za późno.

Straż pożarna przyjechała szybko, ale niewystarczająco szybko. Zaczęli gasić sklep, lecz Marcelline widziała, jak dziki i szybki był to pożar. Jeśli będą mieli szczęście, zdołają powstrzymać ogień, by nie rozprzestrzenił się na sąsiednie sklepy.

Jej butik…

Nic nie mogło przetrwać takiego ognia. Ona również wolałaby nie przetrwać, ale nie było jej to dane.

Była zdruzgotana, załamana. Nie była w stanie ustać na nogach. Upadła na kolana, oplotła się ramionami i drżała, jakby była naga. Nie mogła nawet płakać. Ból był zbyt wielki. Kołysała się bezwiednie, tonąc w czarnej, bezdennej rozpaczy. Mama, tata, Charlie, kuzynka Emma. To, co czuła po ich stracie, było zaledwie smutkiem.

Jak przez mgłę słyszała szloch sióstr i czuła ich dotyk na ramionach.

W jej sercu rozwarło się piekło. I piekło okazało się czarną, zimną wiecznością i bólem ostrym jak nóż.

Lucie. Lucie. Lucie.

* * *

Clevedon musiał podjąć decyzję w mgnieniu oka i zdecydował się uciekać w przeciwną stronę niż schody. Ogień zdawał się rozprzestrzeniać od tyłu do frontu po lewej stronie budynku. To oznaczało, że płomienie odetną im drogę u stóp schodów. Ruszył więc korytarzem w drugą stronę, trzymając się blisko ściany i modląc się, by podłoga wytrzymała jeszcze chwilę. Domyślał się, że na poddaszu są magazyny tkanin i papierów, musiał opuścić dom, zanim płomienie tam dotrą.

Tak czy siak, stawiał wszystko na jedną kartę.

– Trzymaj się – szepnął Lucie do ucha. – I nie patrz.

Oplotła go ciasno ramionami i wtuliła twarz w jego fular. Nie puściła lalki i Clevedon czuł, jak porcelanowe ramię klepie go po łopatce. Najchętniej rozszarpałby zabawkę na strzępy, ale Lucie jej potrzebowała. Poza tym lalka była najmniejszym z ich problemów.

Przypomniał sobie, że butik ma tylne drzwi, a więc i podwórko. Musiał się zatem dostać do jakiegoś okna albo balkonu wychodzącego na tyły budynku. Dotarł do końca korytarza i trafił na ścianę. Ślepą.

Nie! Musi być jakieś wyjście.

Dym gęstniał, żar stawał się nie do zniesienia. Clevedon chwycił Lucie jedną ręką, a drugą na oślep obmacywał gorącą ścianę. Po chwili, która zdawała mu się wiecznością, odnalazł okno. Nawet nie planował go otwierać.

– Trzymaj się z całej siły, skarbie – powiedział. – Nie patrz i za nic w świecie mnie nie puszczaj, dobrze?

Bez namysłu kopnął w okno. Szyby rozprysnęły się na wszystkie strony, ramy poszły w drzazgi. Clevedon kopał w zapamiętaniu, wybijając okno z ramą na zewnątrz. Noc była ciemna. Wyjrzał przez otwór, obawiając się, że zobaczy tylko ziejącą przepaść. Piękne od frontu kamienice rzadko miewały z tyłu balkony czy schodki. Miał jednak szczęście. W mroku dojrzał nieopodal wysoki murek rozdzielający dwa podwórka. Otoczywszy Lucie ramionami, by ochronić ją przed ostrymi kawałkami szkła, wydostał się przez okno, opuścił na murek, a potem na podwórko. Powietrze blisko

płonącego domu drżało od żaru, lecz i tak było tu chłodniej niż w środku. Po chwili Clevedon zaczął rozróżniać kształty w mdłym świetle latarni.

– Udało się – szepnął. – Bogu dzięki.

Coś ścisnęło go w gardle i zapłakał sucho jak dziecko, które tak bardzo chciał ocalić.

* * *

Marcelline pogrążyła się w rozpaczy tak straszliwej, że niemal nie zauważała, co się dzieje na ulicy.

Tłum gapiów szemrał ze zgrozą, kołysał się jak zwarta masa zatrwożonych chochołów. Syczała woda, a strażacy wołali coś do siebie.

Nagle wszystkie dźwięki ucichły. Świat jakby zamarł ze zdumienia. Szmer powrócił, lecz zabarwienie miał inne, radosne. Ktoś westchnął, ktoś krzyknął:

– Popatrzcie!

Czyjeś ręce pociągnęły ją w górę. Podniosła głowę i przez chwilę myślała, że to umysł płata jej okrutne figle.

To nie mógł być Clevedon… ten ogromny, osmalony, czarny od sadzy… niosący… niosący równie osmalony tobołek. Chude nogi wystawały spod rąbka przypalonej sukienki. Pończochy w strzępach. Lewa stopa bez buta.

Ręce wciąż próbowały ją podnieść. Marcelline potrząsnęła głową, zacisnęła powieki, ale kiedy je otworzyła, zjawisko wciąż zbliżało się ku niej.

To jednak Clevedon. Niesie Lucie.

Żywą?

Marcelline nie była w stanie zrobić kroku. Chwiała się na nogach, jakby miała za chwilę zemdleć. Wydostał się z piekła. Za jego plecami wciąż tańczyły płomienie. Szedł ku niej, osmaloną dłonią tuląc do siebie głowę Lucie. Trzymała go za szyję i wtulała twarz w zwisający w strzępach fular. Kiedy się zbliżyli, dostrzegła lalkę w ramionach córki. Trzymała ją kurczowo. Trzymała się Clevedona. Żyła.

– Och… – jęknęła Marcelline. Nie była w stanie wykrztusić nic więcej.

Clevedon zatrzymał się przed Marcelline i spojrzał na dziewczynkę, tulącą się do niego. Pogłaskał ją po głowie.

– Już dobrze, Erroll. Jesteś najdzielniejszą dziewczynką, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Już możesz patrzeć.

Oddając ją w ramiona matki, burknął:

– Obiecała mi, że nie będzie patrzeć. Uznałem, że lepiej, żeby nie widziała.

On jednak widział. Spojrzał w twarz straszliwej śmierci. Spojrzał jej w twarz, by ocalić córkę Marcelline.

– Dziękuję – wyszeptała. Jedno słowo. Tak nieadekwatne do tego, czego dokonał. Tylko takie słowo oferował jej język, w którym rozmawiali. Reszta była w jej sercu. I tego nigdy nie będzie jej wolno wypowiedzieć.

Nigdy nie spłaci tego długu.

* * *

Po domu zostały jedynie dymiące zgliszcza. Odór spalenizny snuł się po Chancery Lane aż do Fleet Street.

Mogło się skończyć znacznie gorzej, szeptali zgromadzeni gapie. Wiatr nie rozdmuchał pożaru na sąsiednie budynki, a straż pożarna przyjechała bardzo szybko.

Clevedon wiedział, że mogło być znacznie gorzej. Mogły stracić coś więcej niż majątek. Dziecko.

Trzymając Lucie w objęciach, Marcelline krążyła po ulicy w górę i w dół, wciąż wpatrując się w ruiny swego domu. Jej siostry stały nieopodal, pod latarnią, gdzie ułożyły niewielki stos rzeczy, które zdążyły chwycić przed ucieczką. Widział, jak ich spojrzenia wędrują do zgliszcz i do Noirot, i z powrotem. Rudowłosa trzymała lalkę. Nawet w półmroku dostrzegał w ich oczach rozpacz.

Straciły wszystkie tkaniny. Najbardziej kosztowne koronki, fiszbiny i tiule. Wszystkie narzędzia pracy. Wykroje i księgi. Straciły dosłownie wszystko.

Ale dziecko żyje.

Widział poplamionych atramentem pismaków, plączących się po ulicy. Doprawdy powinien już iść do domu. Był cały pokryty sadzą, w mroku może nikt go jeszcze nie rozpoznał.

Nie mógł jednak porzucić trzech zrujnowanych kobiet i dziecka. W ciągu kilku chwil znalazły się dosłownie na ulicy. Bez butiku, bez domu, bez pieniędzy. Wątpił, by cokolwiek udało się uratować z tych zgliszcz.

Na pewno były ubezpieczone, inaczej nie przyjechałaby straż. Wiedział, że Marcelline jest pragmatyczna i rozsądna do nieprzyzwoitości. Bez wątpienia ma oszczędności w banku.

Jednak dobrze ulokowane zasoby nie dadzą im schronienia na tę noc. Wątpił też, by zaoszczędziła tak dużo, żeby w ciągu miesiąca odbudować firmę.

Stał jak słup soli, tłumacząc sobie, że nie powinien się ociągać. Już nadwerężył przyjaźń z Clarą, zdradził ją i splugawił jej miłość. Jednak wiedział o tym tylko on sam. I Noirot. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Przecież nigdy z rozmysłem nie skrzywdziłby Clary.

Znajdź jakiś inny sposób, by im pomóc – mruknął do siebie. Istniały dyskretne metody działania. Potrafiłby je wesprzeć, nie przyciągając niczyjej uwagi. Wszak to niepotrzebna uwaga najbardziej szkodziła Noirot.

Przypomniał sobie, co powiedziała jej nieszczęsna kobieta, która zaprószyła ogień w kantorku. „Wszyscy wiedzą, że jest pani nałożnicą księcia. Wszyscy wiedzą, że zadziera pani przed nim kieckę tuż pod nosem jego narzeczonej!”.

Przypomniał sobie również, co powiedziała mu Noirot. Zdawało mu się, że było to wieki temu. „Jaka szanująca się dama zgodziłaby się być klientką krawcowej, która specjalizuje się w uwodzeniu mężów”.

Najwyższy czas się ulotnić. Im prędzej pójdzie, tym szybciej przyśle pomoc.

* * *

Marcelline czuła się śmiertelnie zmęczona. Co teraz zrobią? Dokąd pójdą?

Powinna wiedzieć, co robić, ale jej rozsądek się wyłączył. Mogła jedynie tulić cudem ocalałą córkę i gapić się z trwogą na zgliszcza swego życia.

– Daj mi ją na chwilę – odezwała się Sophy. – Padasz z nóg.

– Nie, jeszcze nie. – Lucie wciąż dygotała. Odkąd Clevedon oddał ją matce, nie odezwała się słowem.

– Proszę – nie poddawała się Sophy. – Erroll, przyjdziesz do cioci Sophy? Mamusia chwilę odpocznie.

Lucie podniosła głowę.

– Chodź – zachęciła Sophy.

Lucie wyciągnęła do niej ręce. Sophy wzięła ją w ramiona.

– Już dobrze – powiedziała. – Już dobrze, słonko. Jesteśmy bezpieczne. – Zaczęła kołysać dziewczynkę i nucić.

– Mamy ubezpieczenie – westchnęła Leonie. – Mamy pieniądze w banku. A nade wszystko, żyjemy.

Prawda, pomyślała Marcelline. Żyją. Lucie nic się nie stało. Wszystko inne można…

Och, ależ to będzie trudne. Ubezpieczenie nie pokryje wszystkich strat. Nie mają aż takich oszczędności. Będą musiały zaczynać wszystko od zera. Znowu.

Leonie objęła siostrę. Marcelline nie mogła płakać, choć bardzo chciałaby to z siebie wyrzucić. Poczułaby ulgę. Jednak łzy nie nadchodziły. Oparła głowę o ramię Leonie. Mam wciąż córkę, powtarzała w duchu. Mam siostry. Tylko to się liczy.

Nie mogą jednak zostać na noc na ulicy. Musi się wziąć w garść i zacząć myśleć. Podniosła głowę, wyplątała się z ramion Leonie i wyprostowała.

– Czas się przenieść do gospody – stwierdziła. – Poślemy też po Belchera.

Belcher był ich radcą prawnym.

– Oczywiście – odrzekła Leonie. – Przyniesie nam trochę pieniędzy. Pewnie niewiele, ale na nocleg wystarczy.

Biuro radcy było bardzo blisko gospody Inn of Court. Pytanie tylko, czy będzie w nim o tej porze.

– Znajdziemy jakiegoś wyrostka i poślemy po Belchera – zdecydowała Marcelline. – Sophy, oddaj mi Lucie. Musisz oczarować słodkimi słówkami jakiegoś reportera, żeby pożyczył ci kartkę i pióro. Chcę napisać list do

Belchera. Zdaje mi się, że widziałam w tłumie twojego przyjaciela, Toma Foxe’a.

Marcelline wzięła Lucie na ręce i rozejrzała się po ulicy. Tłumek nagle zaszemrał. Z cienia wyłonił się książę Clevedon, tuż za nim pędził Foxe z „Poranego Zwierciadła”.

– Wasza Wysokość, czy powie pan słowo o swoim heroicznym…

– Foxe! – krzyknęła Sophy. – Właśnie cię szukałam.

– Wasza Wysokość…

– Mój drogi, książę nie rozmawia z takimi kreaturami jak ty. – Sophy roześmiała się perliście i odciągnęła dziennikarza na bok.

Clevedon stanął przed Marcelline.

– Musicie pójść ze mną.

– Nie – odparła.

– Nie zostaniecie przecież tutaj.

– Posyłam właśnie po radcę.

– Możesz po niego posłać jutro rano – oznajmił. – Na pewno poszedł już do domu. Zaraz północ. Musicie wszystkie coś zjeść i iść spać.

– Musisz już stąd iść – szepnęła. – Sophy zatrzyma Foxe’a tak długo, jak zdoła, ale dałeś mu właśnie temat na pierwszą stronę.

– W takim razie nie mamy czasu do stracenia – uznał. Wyciągnął osmaloną dłoń do Lucie. – Erroll, miałabyś ochotę odwiedzić mój dom?

Lucie podniosła głowę z ramienia matki.

– Czy p… powóz też t… tam jest? – wyjąkała.

Fala ulgi niemal zbiła Marcelline z nóg. Nie zdając sobie z tego sprawy, obawiała się, że po tej strasznej nocy Lucie nigdy się już nie odezwie. Przez kilka miesięcy po ataku cholery dręczyły ją koszmary. Stała się nieśmiała i ostrożna. Dzieci były odporne, co nie oznaczało, że dramatyczne przejścia nie mogły ich złamać.

– Mam masę powozów – wyznał książę. – Ale potrzebujemy dorożki, by się do nich dostać.

– Ma p… pan też lalki?

– Mam. I domek dla lalek.

– D… dobrze. Idę z p… panem.

W zasadzie przeskoczyła z rąk matki w ramiona księcia.

– Clevedon – zaczęła Marcelline. Jednak nie miała odwagi go pouczać. Uratował Lucie. – Wasza Wysokość, to niezbyt rozsądne.

– Ani przyjęte, wiem – zgodził się półgłosem. – Ale tak być musi.
I odszedł z jej córką w mrok.

Rozdział 11

Tej bramy nie sposób wiernie opisać, gdyż jest zaiste kaskadą wszelakich zdobień i ornamentów pnących się od jej podstaw aż po samo zwieńczenie, które dźwiga kopię lwa dłuta Michała Anioła. Dwa rzędy frywolnych kolumienek zbiegają się ku rzeźbie, poniżej której umieszczono jeszcze strzeliste okienko z witrażem.

Leigh Hunt, *Miasto: niezapomniane style i wydarzenia*, tom 1 (1848)

Dom Clevedonów, wzorem swego aktualnego pana, nie zważał na panujące obyczaje. Inni arystokraci dawno porzucili swe stare domy nad rzeką i wynieśli się do kamieniczek na Mayfair. Gdy fabryki i stowarzyszenia zajmowały kolejne rezydencje, książęta Clevedon z uporem trwali w swojej. Jeden z ostatnich pałaców, które niegdyś rozciągały się wzdłuż Tamizy, rozsiadł się jak kwoka na końcu alei. Clevedon House był zwalistą jakobińską bryłą, uzbrojoną w wieżyczki i kipiącą ozdobami bramę wjazdową zwieńczoną łukiem z witrażowym okienkiem, nad którym kamienny lew wspinał się na tylne łapy i ryczał ku niebiosom. Marcelline przechodziła obok niego tysiące razy w drodze do magazynów i sklepów w sąsiedztwie.

Wnętrze okazało się jeszcze większe i bardziej imponujące, niż obiecywał front domu. Marmurowy westybul wiódł do potężnego holu. Po przeciwnej stronie, chyba z kilometr od wejścia, olśniewająco czerwony chodnik piął się po gigantycznych marmurowych schodach, których filigranowa balustrada z brązu zdawała się z tej odległości utkana ze złotej koronki. Czarne kolumny zdobiły ściany wyłożone płytami żółtego marmuru.

Clevedon wpadł do holu. Na widok otaczającej go grupy kobiet odźwierny szeroko otworzył usta ze zdumienia. W następnej chwili

zmaterializował się obok nich sztywny i pełen godności dżentelmen bez liberii.

– Ach, jesteś, Halliday – stwierdził Clevedon. – Drogie panie, to mój kamerdyner.

Halliday musiał być oswojony z szaleństwami swego pana, gdyż nawet nie mrugnął na widok jego osmalonych dłoni, postrzępionego ubrania i skulonego w jego ramionach dziecka.

– Był pożar – oznajmił książę. – Damy zostały bez dachu nad głową.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Trzymając Lucie na rękach, książę wskazał kamerdynerowi alkowę. Odeszli kilka kroków i rozmawiali przyciszonymi głosami. Marcelline nie słyszała, o czym mówią. Była zresztą zbyt zmęczona i otumaniona, by sprzeciwiać się czemukolwiek.

Leonie podeszła do stóp schodów i przyjrzała się kandelabrowi umieszczonemu na marmurowej podstawie. Drugi, identyczny, stał po przeciwległej stronie schodów. Gdy wróciła, wyszeptała:

– Musieli zapłacić co najmniej tysiąc funtów za każdy taki kandelabr! Czy Warford House też tak wygląda?

– Warford House wygląda przy tym jak chatka rybaka – bąknęła Marcelline. – Myślę, że ten dom mógłby konkurować z pałacem Buckingham.

– Nie dziwię się zatem, że lady Warford zrobiła wszystko, by ściągnąć Jego Wysokość z Paryża – uznała Sophy. – Co, gdyby lady Clara uległa jakiemuś innemu, mniej uposażonemu konkurentowi? Jakaż strata!

Marcelline dostrzegła, że Halliday się ukłonił. Koniec rozmowy. Skinął na najbliższego lokaja, szepnął do niego kilka słów i chłopak zniknął jak kamfora. Nie minęły dwie minuty i do holu zaczęła przybywać służba.

Clevedon podszedł do nich.

– Wszystko będzie dobrze. Halliday i gospodyni, pani Michaels, zajmą się wami. Ja jednak, jak zapewne rozumiecie, muszę wrócić do swoich spraw.

Oddał Lucie matce, ukłonił się i zniknął w jednym z pokoi. Marcelline nie miała czasu zastanawiać się nad jego nagłym zniknięciem. Nie było się zresztą nad czym zastanawiać. Rozumiała, że musiał udawać, że są mu obojętne. Po prostu udzielił im schronienia. To było miłosierdzie, nic osobistego.

To wyjaśniało, dlaczego służba traktuje je tak miło.

Prowadząc je schodami na górę, pani Michaels opowiedziała kilka historii, jakie zwykle gospodynie opowiadają gościom. Rodzina Noirot dowiedziała się zatem, że pałac Clevedonów ma około pięćdziesięciu komnat. „Któż by się zajmował ich liczeniem?”– szepnęła Sophy do Marcelline. Że przez wieki był wiele razy odnawiany i modernizowany. Że idą właśnie do jednego ze skrzydeł, które dobudował dziad Jego Wysokości i które okalają piękny, przestronny ogród.

Służba, jak zaznaczyła pani Michaels, jest przyzwyczajona do niespodziewanych wizyt znajomych księcia.

– Była u nas niedawno lady Adelaide, szanowna ciotka Jego Wysokości – oświadczyła z dumą, wprowadzając siostry Noirot do połączonych apartamentów z widokiem na ogród. – Szanowne ciotki Jego Wysokości często nas odwiedzają, więc północne skrzydło mamy zawsze gotowe na przyjęcie gości.

Pokazując co chwilę jakieś wyjątkowo cenne meble czy dzieła sztuki, gospodyni rozsyłała pokojówki i lokajów na wszystkie strony. Zastępy służących rozpalały w kominkach, szukały czystych ubrań i szykowały gorące kąpiele.

Oczywiście pokojówki zerkały dyskretnie na siostry Noirot, jednak przyjmowały ich obecność spokojnie i bez zdziwienia. Gdy Marcelline zaprotestowała, że przydzielona jej sypialnia jest o wiele za duża dla nich wszystkich – w zasadzie była większa niż całe piętro ich domu – pani Michales zdawała się urażona.

– Nie chcemy dokładać pani pracy – tłumaczyła Marcelline. – Przecież to tylko na jedną noc.

Patrzyła ze zgrozą na gigantyczne łóżko. Wiele razy spały wszystkie trzy razem z Lucie w o wiele mniejszym.

– Polecenia Jego Wysokości były bardzo jasne – wycedziła stanowczo pani Michaels. – Zresztą pokoje są już prawie gotowe. Musimy tylko rozpalić ogień. Jego Wysokość obawia się, byście się panie nie przeziębiły po takiej katastrofie. I ma rację. Szok tego rodzaju wywołuje wstrząs w organizmie. Obawia się zwłaszcza o zdrowie panienki. Ale w bawialni jest już bardzo ciepło. – Zagoniła je jak stadko kur do mniejszego pokoju, przylegającego do sypialni Marcelline.

Wzrok gospodyni z czułością wędrował za Lucie, która przezwyciężyła nieśmiałość i spacerowała po bawialni, rozglądając się dookoła.

– Jego Wysokość zaznaczył, że będzie pani potrzebowała niani dla panienki.

Millie zniknęła chwilę po tym, jak Clevedon wyszedł z Lucie z płonącego domu. Ponieważ to ona prowadziła dziewczynkę, wolała nie stawiać czoła konsekwencjom.

– To nie jest konieczne. – Marcelline się uśmiechnęła. – Poradzę sobie.

Pani Michaels uniosła brew.

– Droga pani, wiem, że przeszła pani przez piekło, ale proszę spojrzeć, oto Mary i Sarah. – Skinęła dłonią, a z masy służących wystąpiły dwie młode pokojówki i dygnęły głęboko, jakby siostry Noirot były ważnymi osobistościami. – Zapewniam panią, że świetnie opiekują się dziećmi. Jestem pewna, że przyda się pani odrobina odpoczynku i snu, podczas gdy dziewczęta pobawią się z panienką Noirot. Jego Wysokość zaznaczył, że panienka powinna obejrzeć domek dla lalek jego siostry. Panienka Alice zmarła dawno temu – wyjaśniła szeptem. – Powiedział, że zabawa lalkami może oderwać myśli panienki od strasznych przeżyć.

Gospodyni przyklękła obok Lucie.

– Czy Jego Wysokość obiecał panience domek dla lalek?

– Obiecał, naturalnie – odparła z godnością Lucie. Podsunęła gospodyni pod nos osmaloną lalkę, przez którą omal nie zginęła. – Susannah potrzebuje kąpieli.

– I otrzyma ją – oznajmiła pani Michaels z pełną powagą. Wstała, skinęła dłonią i dwie dziewczyny podeszły bliżej. – Czy panienka również chciałaby się wykąpać? A potem zjeść kolację? Pójdzie panienka z Sarah i Mary?

Lucie spojrzała błagalnie na matkę.

– Mogę iść, mamo?

Marcelline przyjrzała się pokojówkom. Wpatrywały się w Lucie z zachwytem. Dziewczynka otrząsnęła się już na tyle, by roztaczać swój zwykły czar. Była, rzecz jasna, brudna i rozczochrana, lecz jej wielkie błękitne oczy lśniły zwykłym blaskiem.

– Możesz, kochanie – zgodziła się Marcelline.

Chciała jeszcze dodać: „Mary i Sarah mają cię pilnować, a nie spełniać każdą twoją zachciankę”, ale uznała, że to strata czasu. Będą ją

rozpieszczać tak długo, aż okręci je sobie wokół palca, a potem doprowadzi do szału, jak doprowadzała do szału biedną Millie. Dyscyplinowanie czarującego dziecka było zadaniem nie do udźwignięcia. Nawet kiedy było bardzo niegrzeczne. Lucie miała niezwykle zdecydowany charakterek, upór i krnąbrność swych przodków. Odziedziczyła także ich absolutny brak skrupułów.

Nie nauczyła się jeszcze zdobywać wszystkiego podstępem i kiedy jej czar nie działał, miotała w gniewie straszliwymi groźbami.

Marcelline musiała przyznać, że Lucie przeżyła tego wieczoru coś przerażającego i trochę rozpieszczania jej nie zaszkodzi. Rzeczywiście zabawa lalkami może zająć jej myśli i odwrócić uwagę. Jakkolwiek nie bez wad, była to sytuacja tylko na jedną noc. Pokojówki wyprowadziły Lucie z bawialni. Przynajmniej będzie miała czas na zebranie myśli i zaplanowanie dalszych działań.

Z pewnością byłoby jej łatwiej, gdyby nie znajdowała się pod dachem Clevedona. Gdyby bogate wnętrza nie przypominały jej, kim on jest. Oprócz tego, że był pociągającym, szaleńczo przystojnym mężczyzną, który należał do niej zdecydowanie za krótko.

Ale to nic, powtarzała sobie. To było tylko pożądanie, nic więcej. Pragnęli się od pierwszego spotkania. Dostała wreszcie to, czego chciała, choć nie spodziewała się tego, co nadeszło. A jednak, niezależnie od pragnień i oczekiwań, od spełnień i niespodzianek, to nie tylko przystojny mężczyzna. To książę Clevedon. A ona jest sklepikarką. Nigdy nie mogłaby być dla niego niczym więcej niż utrzymanką. Każda z jej antenatek zaakceptowałaby taki obrót spraw, jednak Marcelline musiała pamiętać o własnych ambicjach i osiągnięciach. O pracy, którą naprawdę kochała.

Ich szaleństwo musiało się skończyć. I się skończyło.

Teraz musi myśleć o przyszłości.

Muszą gdzieś mieszkać. Muszą gdzieś pracować. Sophy natychmiast musi zająć się kontaktami z prasą. Zwykły pożar nie byłby historią trudną do opanowania i Sophy na pewno sobie z tym poradzi, ale… Może już być za późno. Marcelline wyobraziła sobie pierwsze strony porannych gazet. Bohaterski czyn księcia! Uratował dziecko z płonącego domu! A potem spekulacje. Co robił w butiku o tej porze? Dlaczego zabrał je do siebie? Co pomyśli o tym jego przyszła narzeczona?

– Och, mój Boże! – jęknęła Marcelline, łapiąc się za głowę.

– Co się stało? – przestraszyła się Sophy. – Mam nadzieję, że nie panikujesz z powodu Lucie?

– Widać, że Jego Wysokość położył szczególny nacisk na to, by służba nie spuszczała jej z oka – stwierdziła Leonie.

– Nie wymyśliłybyśmy lepszego lekarstwa na jej lęki niż noc w takich luksusach. – Sophy zatoczyła dłonią krąg wokół siebie. – Aż bolą oczy. Dwie pokojówki, którymi może komenderować! Wykąpią jej przeklętą lalkę i bez wątpienia ufryzują jej włosy.

– Nie martwię się o Lucie – prychnęła Marcelline. – Lady Clara! Jej suknia! Co my teraz zrobimy?

* * *

Panna Pritchett wpadła do mieszkania, spakowała się, opowiedziała gospodyni bajeczkę o umierającej ciotce i pojechała dorożką do gospody na Charing Cross. Stamtąd wysłała liścik do pani Downes z informacją, że zamierza wsiąść do pierwszego powozu do Dover, więc jeśli chce od niej jakieś materiały, to musi się pospieszyć. Karetka pocztowa z poczty głównej odchodziła codziennie o dziewiętnastej trzydzieści, więc przy odrobinie szczęścia panna Pritchett nie musiałaby nawet czekać do rana.

Pani Downes zjawiła się niebawem. Na wstępie oznajmiła, że nie lubi być wzywana o tak późnej porze do podrzędnych gospód i szantażowana odjazdami karetek pocztowych. Wokół nich kłębił się tłum. Konie parskały, listonosze biegali z ostatnimi listami, stangreci wrzeszczeli, prostytutki wabiły klientów, a młodzi ulicznicy gwizdali na niewinne dziewczyny z prowincji.

Ignorując gorzkie wymówki Pretensji, panna Pritchett przeszła do sedna:

– Zdobyłam znacznie więcej, niż planowałam! Znalazłam jej teczkę ze wszystkimi wykrojami. Tę, którą zwykle chowały do zamykanej kasetki. – Wyciągnęła wykrój z teczki i pomachała nim tuż przed nosem pani Downes.

Pani Downes odwróciła obojętnie wzrok.

– Słyszałam już o pożarze – prychnęła, wzruszając ramionami. – Są skończone. Te wykroje nie mają już żadnej wartości.

Panna Pritchett schowała szkice.

– Mają ubezpieczenie i oszczędności w banku. Za parę tygodni będą z powrotem na rynku. Najstarsza Noirot jest najbardziej zdeterminowaną kobietą w Londynie. Jeśli ich pani nie chce, ja je zabiorę. Sama będę szyła te suknie na prowincji. Te wykroje są warte każdej ceny, a ja wiem, jak trzeba je uszyć. Zarobię znacznie więcej niż pięćdziesiąt nędznych gwinei. Rzeczywiście, ma pani rację. Bardziej przydadzą się mnie niż pani.

– Mówiłam przecież, że dwadzieścia – oburzyła się pani Downes.

– Dwadzieścia to za mało – odparła Pritchett. – Zgodziłabym się na dwadzieścia za teczkę, bo mi się spieszy, ale mnie pani rozzłościła.

– Powinnam cię zaprowadzić na policję. Podpalaczy się wiesza.

– Ciekawe, co by się stało, gdybym zeznała, że to pani nakłoniła mnie do wszystkiego? – parsknęła bezczelnie panna Pritchett. – Cóż, obawiam się, że nigdy się nie dowiemy. Otóż i mój pojazd. Pięćdziesiąt gwinei. Teraz albo nigdy.

– Nie noszę ze sobą tylu pieniędzy!

Panna Pritchett wetknęła teczkę pod pachę, chwyciła torbę i ruszyła ku drzwiom, licząc półgłosem:

– Jeden… dwa… trzy… cztery…

– Stój! – krzyknęła pani Downes.

Panna Pritchett zatrzymała się, ale nie odwróciła.

Pretensja podeszła prędko i wręczyła jej dyskretnie pękatą sakiewkę. Chwilę później panna Pritchett wsiadła do karetki pocztowej i odjechała.

* * *

Choć siostry Noirot opracowały szczegółowy plan działania, Marcelline spała bardzo kiepsko.

Spod półprzymkniętych powiek obserwowała, jak w przyległej łazience pokojówka kąpie Lucie, a druga myje jej lalkę. Sukienkę Lucie i ubranko lalki zabrały do prania. Potem Lucie poszła obejrzeć domek dla lalek. Wtedy towarzyszyły jej już trzy pokojówki. Lokaje wnieśli śliczne małe łóżeczko do bawialni. Lucie oświadczyła, że tam właśnie pragnie spać. Nie z mamą.

Marcelline wiedziała, że jej córka jest bezpieczna. Prawdopodobnie bardziej niż kiedykolwiek w całym swym życiu. Mimo to dręczyły ją koszmary. Śniło jej się, że Lucie nie wydostała się z pożaru i że musiała wyruszyć aż do wrót piekła, skąd dobiegał odrażający szatański śmiech, zanim drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem.

Kiedy rano pokojówka przyniosła jej do łóżka gorącą czekoladę, Marcelline odkryła, że spała znacznie dłużej niż zwykle. Było już po dziewiątej, a Lucie jadła właśnie śniadanie w towarzystwie księcia.

Kobieta wyskoczyła z łóżka. Nie miała zamiaru raczyć się czekoladą w pościeli o tak skandalicznej porze!

– Gdzie moje siostry? – zapytała.

Umówiły się, że wstaną wpół do siódmej. Szwaczki miały przyjść do pracy na ósmą. Teraz pewnie poprzyglądały się już czarnym zgliszczom i poszły sobie.

– Pani Michaels zabroniła nam pani przeszkadzać, pani Noirot – wyjaśniła pokojówka. – Ale panienka Lucie dopytywała już o panią, więc postanowiłam panią obudzić.

* * *

Noirot nie wpadła jak burza do jadalni. Nie wyglądała na poruszoną czy zmieszaną. Włosy miała odrobinę w nieładzie, jak zwykle, ale Clevedon wiedział już, że to efekt celowych zabiegów, a nie przypadku. Cokolwiek stało się poprzedniego wieczoru, prezentowała się nienagannie, z elegancją i klasą.

Była blada, oczy miała podkrążone. Pewnie nie spała zbyt dobrze. On zresztą także się nie wyspał i wstał w złym humorze.

Potem jednak zszedł do jadalni i znalazł w niej Lucie w towarzystwie młodszego lokaja, myszkujących po kredensach. Clevedon uśmiechnął się i przegnał ponure myśli.

Teraz dziewczynka siedziała po jego prawej stronie na stosie poduszek ułożonym na krześle. Tocząc wokół uszczęśliwionym spojrzeniem, smarowała chleb masłem i dżemem. Lalkę usadziła na sąsiednim krześle, również na stosie poduszek.

– Zobacz, kto wstał – odezwał się Clevedon. Ze zdumieniem stwierdził, że serce bije mu jak szalone. To idiotyczne. Czuł się jak uczniak. Jak młodzik na pierwszej randce.

Noirot podeszła do córki, pocałowała ją w czoło i pogłaskała po włosach.

– Dzień dobry, mamo – powiedziała Lucie. – Wybieramy się po śniadaniu na przejażdżkę powozem. Na tamtym stoliku jest wielki wybór jedzenia! Joseph ci przytrzyma pokrywki. Są i jajka, i bekon, i różne rodzaje bułek, i ciastka!

– Nie mam czasu na śniadanie. Gdy tylko ciocie zejdą, musimy jechać.

Lucie zmrużyła złowrogo błękitne oczy, a jej twarzyczka nabrała wyrazu, jaki Clevedon już raz mógł obserwować.

– I nie będziesz robić żadnych scen – uprzedziła ją Noirot. – Podziękujesz grzecznie Jego Wysokości za uprzejmość i hojność…

– Przykro mi, ale nie jest to możliwe – wtrącił Clevedon. – Właśnie odbyliśmy interesującą konwersację o domku dla lalek. Panienka w ogóle nie miała czasu się nim pobawić. W nocy była wszak zbyt śpiąca. Poza tym obiecałem jej przejażdżkę. Nie widzę powodu, dla którego musicie się panie aż tak śpieszyć.

Siostry Noirot weszły do jadalni, przecierając oczy i dyskretnie ziewając. Najwyraźniej ktoś obudził je przed czasem. Ze zdumieniem patrzyły na suto zastawiony stół. Pewnie też są głodne.

– Musimy jak najprędzej pojechać do butiku i sprawdzić, czy da się cokolwiek uratować – wycedziła Noirot. – Ktoś musi zaplanować pracę naszych szwaczek, o ile jeszcze tam są. Powinnam była wysłać do nich listy wczoraj wieczorem, ale pomyślałam o tym dopiero teraz. Potrzebuję ich. Musimy znaleźć jakieś miejsce do pracy. Musimy uszyć suknię dla lady Clary!

Powinien się skrzywić na dźwięk tego imienia. Powinien czuć głęboki wstyd i rzeczywiście tak było. Nie był to jednak wstyd tak obezwładniający, by dał się wytrącić z równowagi. Z trudem, ale był w stanie odciąć się od nieprzyjemnych myśli. Od wspomnienia tego, co wydarzyło się w pracowni. Wspomnienia, że dostał wszystko, czego chciał, a jednak pragnął tego nadal. Choć powinien być już znudzony tą kobietą.

– O świcie wysłałem do butiku mego rządcę Varleya wraz z pokaźną grupą służących – rzekł. – Napisali mi, że dom jako taki ocalał, lecz zniszczenia są straszliwe. Jeśli nawet nie strawił czegoś ogień, jest czarne

od sadzy, mokre i, jak się domyślam, cuchnie. Udało się odzyskać zestaw żelaznych skrzyneczek, które zostaną oczyszczone i dostarczone do waszych pokoi.

– Dostarczone…

– Varley wygrzebał też jakieś księgi rachunkowe – ciągnął Clevedon. Wskazał gestem stolik ze śniadaniem. – Wszystko jest pod kontrolą. Proszę, częstujcie się.

– Pod kontrolą? – powtórzyła i przez ułamek sekundy wyglądała na zaskoczoną. Ale nie dał się nabrać. To Noirot. Jej nic nie jest w stanie zaskoczyć.

Usiadła bezwładnie na krześle po jego lewej stronie, naprzeciwko Lucie.

– Podać ci śniadanie, mamo? – zapytała słodko Lucie. – Joseph mi pomoże.

Odłożyła sztućce, dokładnie wytarła rączki w serwetkę i ześlizgnęła się z gracją ze swego tronu. Joseph posłusznie udał się za nią do stolika. Wskazywała paluszkiem wybrane kąski, a lokaj z uśmiechem nakładał wszystko na talerz.

– Bycie księciem musi być doprawdy wspaniałe – uznała blondynka.

– Jest – potwierdził Clevedon. – Mój dom bez trudu pomieści wasze przedsiębiorstwo i nawet was tu nie zauważę. Mam zdecydowanie za dużo pokojówek, które z radością wykonają dla odmiany jakieś inne prace, wystarczy je zaprosić. Mam także środki, dzięki którym mogę, w najmniejszym stopniu nie szkodząc sobie, pomóc wam znów stanąć na nogi.

Joseph postawił pełny talerz przed madame Noirot i wrócił do stolika, by Lucie wybrała potrawy dla ciotek.

– Ten dom ma pomieścić nasze przedsiębiorstwo? – żachnęła się Noirot. – To jakiś żart?

– Rozumiem, że w tej sytuacji kluczowy jest czas – ciągnął książę. – Nie można przeciągać żadnej decyzji i musicie jak najprędzej wrócić na rynek. Porozumiałem się z Varleyem. Uważa, że w ciągu kilku dni znajdzie dla pań odpowiedni dom. Tymczasem, jak zasugerował, możecie wykonywać wszelkie konieczne prace tutaj i stąd dowodzić przeprowadzką i urządzaniem nowego butiku.

– Stąd – powtórzyła. – Proponuje pan, byśmy otworzyły butik w Clevedon House.

– To rozwiązanie najprostsze i najbardziej oczywiste – wzruszył ramionami. Wiedział, że to prawda. Przez pół nocy rozważał to zagadnienie ze wszystkich stron. Koncentrując się na problemach zawodowych sióstr Noirot, był w stanie odsunąć inne myśli na bok. – Nie nawykłem do takich tragedii w codziennym życiu. Nie mogłem zasnąć ze zdenerwowania, więc rozmyślałem o waszych problemach.

– Nie przyszło panu do głowy, że zdenerwowanie mogło zaciemnić panu obraz?

– Przeciwnie. Jestem przekonany, że mój umysł był zahartowany jak ostrze, które przeszło przez oczyszczający płomień – oznajmił.

Spojrzał w jej ciemne oczy i nagle wróciły do niego wspomnienia tamtej szalonej bliskości. Jej zdławione jęki, żar jej ciała, wstrząsająca rozkosz, jaka…

Praca! – napomniał się w duchu. Skup się na pracy. Porządek. Logika. Spokój.

– Pani Michaels pomoże wam zorganizować odpowiednią pracownię – mówił automatycznie. – Moje powozy i ludzie są do waszej dyspozycji. Zamówcie wszystko, cokolwiek jest potrzebne do wykonania pilnych zamówień. Jeśli niezbędna okaże się dodatkowa siła, pani Michaels wybierze najzdolniejsze szwaczki spośród pokojówek.

Noirot zbladła jak płótno. Siostry wpatrywały się w nią nieruchomo. Nie potrafił odgadnąć, czy są przeciwne temu rozwiązaniu, czy nie. Ich twarze wyrażały tyle samo uczuć co twarz Noirot. Musiały jednak uznać sensowność propozycji, bo blondynka odezwała się nagle:

– Plan Jego Wysokości podoba mi się znacznie bardziej niż nasz. Marcelline miała zamiar znów grać w karty, byśmy mogły kupić wszystko, czego nam trzeba.

Marcelline!

Clevedon prawie spadł z krzesła. Zacisnął dłonie na brzegu stołu, by opanować niedorzeczny szum w uszach. Jakież to idiotyczne! W czasie burzy morskiej, w czasie fizycznej bliskości, w pożarze zwracali się do siebie tak, jak pozwalały na to formy. Ona była dla niego po prostu „Noirot”. On dla niej był „Jego Wysokością” bądź „Clevedonem”. Teraz zaś siedział przy stole z całą jej rodziną i dowiedział się, jak ma na imię.

Nie mógł powiedzieć tego na głos, ale czuł na języku smak jej imienia.

Marcelline. Jak tajemnica. Jak szept w ciemności.

Cała była tajemnicą i pokusą. Rzecz oczywista, że grałaby w karty, żeby się odkuć.

– Poślemy po Belchera – dodała rudowłosa. – Podpisze z rządcą Jego Wysokości dokumenty pożyczki.

– Nonsens! – roześmiał się Clevedon. – Jakiekolwiek macie wydatki, okażą się zapewne drobiazgiem w porównaniu z kwotami, jakie co miesiąc wydaję na dobroczynność.

Twarz Noirot… Marcelline… robiła się na przemian blada i czerwona.

– Nie jesteśmy nędzarkami! – syknęła. Pochyliła się ku niemu i wyjąkała z trudem: – Zawdzięczam ci życie mojej córki. Nie chcę być winna jeszcze więcej.

Serce Clevedona zatrzymało się na moment. Poczuł ból tak straszliwy, że wstrzymał oddech i odwrócił wzrok. Spojrzał na Lucie. Dziewczynkę, którą ocalił.

Noirot sądziła, że to dług. Dług, którego nigdy nie spłaci. Nie wiedziała, że był to dla niego wielki dar. Odkupienie.

Nie mógł ocalić Alice. Był za daleko, gdy zdarzył się wypadek. Wiedział, że nigdy jej nie odzyska. Wiedział też, że ocalenie tego dziecka także nie przywróci Alice.

Jednak gdy wynosił ją z płomieni, żywą i zdrową, czuł nie tylko ulgę, ale i radość tak wielką, że nie mieściła mu się w sercu.

Z niewielką pomocą Josepha Lucie zasiadła na swym tronie.

– Nie uratowałem jej dla ciebie – odparł szeptem. – Choć raz odłóż na bok dumę i potrzebę komenderowania wszystkimi i zrób to, co jest rozsądne.

– To ty nie zachowujesz się rozsądnie. Pomyśl tylko o plotkach.

– Marcelline ma rację – wtrąciła się rudowłosa. – Nie możemy przyjmować prezentów od Waszej Wysokości. Straciłyśmy sklep, ale nie możemy sobie pozwolić na utratę reputacji.

– Nie możemy same dostarczać plotkarzom powodów do dyskusji – dodała blondynka – bo nasza konkurencja…

– Nie mamy konkurencji – ucięła Noirot, zadzierając nos.

Zdołał się nie uśmiechnąć.

– Mam na myśli te butiki, które niesłusznie uważają się za naszą konkurencję. Będą rozdmuchiwać wszelkie plotki, jakie im się nawiną.

Clevedon spojrzał na Lucie.

– A ty co sądzisz, Erroll?

– Mogę się pobawić domkiem dla lalek?

– Oczywiście, skarbie.

Zwrócił się do Noirot:

– Ostro się targujecie. Niech będzie pożyczka.

– Dziękuję – odparła Noirot. Jej siostry powtórzyły podziękowania jak echo. Zerknęła na nie i wstały. – Czy mogę powierzyć Lucie opiece twej służby, Wasza Wysokość? – zapytała. – Widzę, że postanowiłeś rozpuścić ją jak dziadowski bicz, ona nie zamierza cię zniechęcać, ja zaś nie mam ochoty na próbę sił. Nie mamy chwili do stracenia. Bezwzględnie musimy dostarczyć suknię lady Clarze przed dziewiętnastą.

Clevedon spojrzał na nią, jakby oszalała.

– Pani raczy żartować – prychnął. – Ledwie uratowała się pani z pożaru. Butik doszczętnie spłonął. Zapewniam, że klientki nie będą oczekiwały, że dostarczy im pani zamówienia akurat dzisiaj.

– Pan nie rozumie – odparła Marcelline. – Lady Clara nie ma w czym iść do Almacka. Wyrzuciłam wszystkie jej suknie. Musi dostać nową kreację. Obiecałam jej.

* * *

Siedemnasta

Clevedon House znajdował się w stanie ledwie kontrolowanego chaosu.

Służący biegali w tę i z powrotem. Jedni znosili do domu zakupy, które siostry Noirot zrobiły o poranku. Clevedon dostrzegał wielkie bele tkanin i pudła pełne nie wiadomo czego. Inni pędzili w kółko po domu, rozdając karteczki z poleceniami i przynosząc to i owo z rozmaitych kredensów i szaf, a nawet ze skrzyń ukrytych na strychu.

Stadko szwaczek nadbiegło truchtem późnym rankiem i gapiąc się z otwartymi ustami na otaczające je bogactwa, podreptało do pomieszczeń na pierwszym piętrze, przeznaczonych na tymczasową pracownię.

Rudowłosa – jak się okazało, panna Leonie Noirot – uspokajała Clevedona, że wszystko się ułoży do wieczora, gdy sprowadzą już potrzebne materiały i pogrupują szwaczki w zespoły. Wiele razy dziękowała mu za ocalenie ksiąg rachunkowych i uśmiechnęła się wreszcie, gdy wyznał, że nie miał z tym nic wspólnego i nie odróżniłby księgi rachunkowej od podręcznika egzorcysty, gdyż na oczy nie widział żadnego z nich.

Blondynka, panna Sophy Noirot, poprosiła o papier, pióra i atrament, by napisać reklamy i wyjaśnienia do gazet. Zaproponował jej własny gabinet, gdyż panna Leonie zauważyła, że Sophy potrzebuje ciszy i spokoju, aby właściwie skomponować tekst. Wyjaśniła, iż pisanie do gazet jest doprawdy niewiele łatwiejsze niż tworzenie powieści, w ich pracowni zaś panuje istne pandemonium, gdyż rozmaite osoby wciąż wchodzą i wychodzą, a Marcelline nieustannie rzuca poleceniami na prawo i lewo.

Clevedon schronił się w bibliotece. Mógłby oczywiście uciec z domu, ale to wydawało mu się nieodpowiedzialne. Sam rozpoczął tę rewolucję, więc musi jej teraz doglądać. Jak się okazało, był potrzebny znacznie częściej, niż się spodziewał. Co i rusz ktoś wchodził z pytaniem, na które tylko on mógł znać odpowiedź, bądź problemem, który tylko on mógł rozwiązać. Zwykle była to jedna z sióstr madame Noirot, gdyż ona sama trzymała się z daleka, czasem zaglądała też pani Michaels lub Halliday.

Prawdę mówiąc, Clevedon wcale nie miał ochoty uciekać. Uważał przedsięwzięcie za niebywale interesujące. Co i rusz stawał w otwartych drzwiach biblioteki, przyglądając się szalonej krzątaninie. Chętnie popatrzyłby na kobiety szyjące suknię Clary, ale panna Sophy taktownie go wyprosiła. Szwaczki jej zdaniem nie byłyby w stanie skoncentrować się na pracy pod okiem przystojnego dżentelmena. Miała rację. Na własne oczy widział, jak wpadły w stupor na widok któregoś z lokajów.

Książę wciąż wątpił, że będą w stanie skończyć suknię do wieczora. Tkaniny dotarły dopiero w południe, a wykroje, na które zdołał rzucić okiem, upewniły go, że suknia nie należy do prostych i niewyszukanych. Przeglądał niedbale kobiecy magazyn „La Belle Assemblée”, który musiała zostawić jedna z jego ciotek. Słysząc zbliżające się kroki, odepchnął magazyn i rzucił nań stos zaproszeń.

Lokaj Thomas zaanonsował hrabiego Longmore’a, który wpadł tuż za służącym, posyłając księciu mordercze spojrzenie.

– Postradałeś rozum? – wykrzyknął.

Thomas wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, Longmore – odparł Clevedon. – Mój rozum ma się świetnie, dziękuję za troskę. Z żalem jednak zauważam, że ty jesteś w jakimś delirium. Mam nadzieję, że to nie nawrót cholery. Mam tłum gości i doprawdy nie chciałbym, żeby wszyscy zapadli na to, co przywlokłeś.

– Nie bajdurz – burknął Longmore. – Kiedy przeczytałem dzisiejsze gazety, byłem pewny, że to ich kolejna wyssana z palca bajeczka. Jak te nonsensy o rzekomych groźbach krawcowej, że targnie się na własne życie. Musiałem zmierzyć się z moją matką, która, jak się domyślasz, jest w histerii.

To sprowadziło Clevedona na ziemię.

Zapomniał o lady Warford. Ale czy miało to teraz znaczenie?

Nigdy dotąd nie pozwalał, by jej humory i nerwy miały jakikolwiek wpływ na jego życie. Niech mąż się z nią użera.

– Przez dwie godziny przekonywałem matkę, że chyba oszalała, skoro sądzi, iż w gazetach znajdzie choćby słowo prawdy. Przyjechałem jednak, by przekonać się, co ty sądzisz o tych plotkach – ciągnął Longmore podniesionym głosem. – I cóż? Okazuje się, że gazety wcale nie przesadzały. Ba! Sprawa posunęła się znacznie dalej! Mój przyjaciel ulokował trzy niezamężne kobiety bynajmniej nie w dyskretnej chatynce w Kensington, ale w swej rodowej rezydencji! A z nimi kolejne zastępy kobiet! I istne tłumy tragarzy, którzy uczynili z pałacu targowisko. Na własne oczy widziałem, jak Halliday taszczył coś, co wyglądało jak kosz na pranie. Kosz na pranie!!!

Kamerdyner prowadził dom swego pana. Dbał o księgozbiór i pracował jako sekretarz. Wydawał polecenia. Nigdy nie splamił nieskazitelnie białych rękawiczek noszeniem sprzętów po korytarzach. Skoro taszczył kosz, robił to dla własnej uciechy. Lub z ciekawości. Chciał wejść do pracowni i zobaczyć, co się tam dzieje.

Longmore miotał się po bibliotece, jakby gonił go rój wściekłych os.

– Wiem, że nie masz wielkiego szacunku dla tradycji – wykrzyknął – ale to… Do licha, nie znajduję nawet słów! Zapomnijmy już o mej matce, ale jak ja spojrzę w oczy Clarze?

– To dopiero paradne – parsknął Clevedon.

– Paradne? – Longmore’a na chwilę zamurowało.

– Wszystkie te kobiety są tutaj właśnie ze względu na twoją siostrę – wyjaśnił Clevedon. – Obiecały uszyć jej suknię na dzisiejszy bal. I wygląda na to, że nic na świecie, zaraza, ogień, powódź czy kara boska, nie są w stanie ich powstrzymać. To zdumiewające. Wydaje się, że uważają obietnicę wykonania sukni za równie wiążącą, jak ty czy ja uznalibyśmy dane komuś słowo honoru.

– Nie mówisz tego poważnie. – Longmore przeczesał włosy roztrzęsionymi dłońmi. – Czyżbyś zażywał opium? Piłeś absynt? Może masz gorączkę? Wylew? Domyślam się, że to jakiś uraz mózgu. Ta krawcowa…

– Którą masz na myśli? Są trzy.

– Nie igraj ze mną – wycedził Longmore. – Przysięgam, że wystawiłbyś na próbę cierpliwość wszystkich świętych i męczenników naraz. Doprowadzisz do tego, że będę zmuszony wyzwać cię na pojedynek. Nie pozwolę ci robić z mej siostry idiotki. Nie będziesz… – urwał raptownie, gdyż do biblioteki weszła bez pukania panna Sophy.

– Wasza Wysokość, zastanawiam się…

Stanęła jak wryta na widok purpurowego Longmore’a, jak gdyby dopiero go dostrzegła. Clevedon był jednak przekonany, że dwie młodsze siostry są równie przebiegłe jak Marcelline. Mógłby zaręczyć, że panna Sophy wbiegła tu najzupełniej celowo. Pewnie słyszały wrzaski Longmore’a aż w pracowni.

Tak czy siak, nie byłaby w stanie go przeoczyć, gdyż był niemal równie wysoki jak Clevedon, a ponadto stał jej na drodze. A może pomyliła go z księciem? Nawet ich znajomym zdarzały się takie omyłki. Obaj byli ciemnowłosi i słusznego wzrostu, choć Longmore ubierał się dość niedbale.

Okazując jednak ogromne zdumienie, Sophy stanęła na środku biblioteki i spłonęła rumieńcem.

– Błagam o wybaczenie – odezwała się nieśmiało. – Wtargnęłam tu tak nieuprzejmie…

– Nic się nie stało – odparł Clevedon. – Wszak mówiłem pani, że w tym domu rezygnujemy z form grzecznościowych. Nie mamy na to czasu. To mój przyjaciel, bądź też były przyjaciel, lord Longmore. Longmore, choć wiem, że na to nie zasługujesz, przedstawiam ci pannę Sophy Noirot, znakomitą stylistkę.

Longmore nie odrywał od niej wzroku. Przez długą chwilę milczał jak zaklęty. Wreszcie zdołał się ukłonić i wyjąkać:

– Panno Noirot…

– Mój panie. – Sophy się uśmiechnęła, dygając.

Ach, oto i firmowe dygnięcie! Może nie takie samo jak Marcelline, lecz robiące równie piorunujące wrażenie. Longmore otworzył jeszcze szerzej czarne oczy.

– Cóż się stało? – zapytał ubawiony Clevedon.

Podejrzanie niewinne spojrzenie błękitnych oczu Sophy spoczęło na księciu.

– Mam problem z notatką prasową, Wasza Wysokość. Piszę ją od rana i straciłam już dystans. Zapewne sądzi pan, że nie powinnam mieć z tym większych problemów, jednak wciąż nie mogę dojść z nią do ładu, choć w gabinecie panuje przyjemna cisza.

Wszystko słyszała, pomyślał Clevedon. Słyszała krzyki Longmore’a, a mimo to postanowiła wejść. To ona zawsze pisze reklamy i materiały do gazet. Ona napisała notatkę o słynnej sukni Noirot. Jej zadaniem jest przekuć potknięcia i skandale na korzyść rodziny.

– To uraz, panno Noirot. – Książę się uśmiechnął, mrugając dyskretnie okiem. – Nie może pani oczekiwać, że otrząśnie się po tej katastrofie w ciągu jednej nocy.

– Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie ocenić własnej pisaniny – wyznała. – Czy zechciałby pan wyrazić swoją opinię? – Zerknęła przelotnie na Longmore’a. – Jeśli, oczywiście, pan hrabia się zgodzi.

Longmore odmaszerował sztywno i rzucił się na sofę.

– Madame Noirot śpieszy poinformować szanowne klientki – zaczęła czytać Sophy – że niebawem ponownie otworzy butik w nowej lokalizacji, z pełnym asortymentem bielizny i sukien w najlepszym guście i w rozsądnych cenach…

– Proszę wykreślić „rozsądne ceny” – wtrącił się Clevedon. – Kosztami strojów martwi się tylko klasa średnia. Jeśli chcą panie trafić do dam z wysokich sfer, lepiej, by ceny były nierozsądne. Jeśli coś nie jest kosztowne, nie ma dla nich wartości.

Sophy pokiwała głową.

– Widzi pan? Marcelline też by to z pewnością wychwyciła, lecz nie śmiem jej przeszkadzać. Jeśli suknia lady Clary nie zostanie uszyta na czas,

moja siostra będzie zdruzgotana.

Longmore rzucił jej mroczne spojrzenie spod gęstych czarnych rzęs.

– O ile matka pozwoli jej założyć tę suknię.

Sophy odwróciła się do niego, otwierając szeroko oczy.

– Miałaby nie pozwolić jej założyć sukni? Co też pan opowiada? Moja siostra żyły sobie wypruwa, żeby ją skończyć.

– Drogie dziecko… – zaczął Longmore.

– Nasz dom spłonął – ciągnęła Sophy. – Córka mojej siostry… Moja jedyna siostrzenica niemal zginęła w pożarze. Jego Wysokość ocalił jej życie, ryzykując własne. Wbiegł do płonącego budynku! – Coraz bardziej podnosiła głos. – Przyjął nas w swym domu, pożyczył nam pieniądze na materiały, pracujemy wszystkie w niemożliwym tempie, żeby dotrzymać obietnic, a pan mi mówi… Pan mi mówi, że pańska matka nie pozwoli lady Clarze założyć tej sukni?

Jej głos zadrżał. W oczach zalśniły łzy. Longmore poderwał się z sofy.

– Tak tylko powiedziałem – wyrzucił. – Proszę się nie denerwować.

Sophy odetchnęła głęboko.

– Jeśli po tym wszystkim, co przeszłyśmy, pańska matka powie choćby słowo przeciwko tej sukni lub przeciwko mojej siostrze, obiecuję, że osobiście gołymi rękami ją uduszę!

Z rozmachem rzuciła kartki na podłogę i wymaszerowała z biblioteki, zatrzaskując za sobą drzwi.

Longmore pozbierał porzucone świstki i wybiegł za nią.

Clevedon zaczekał, aż ich kroki ucichną w oddali, i zaklaskał w dłonie.

– Doskonałe przedstawienie, panno Noirot! – powiedział półgłosem. – Doskonałe.

Z uśmiechem zamknął drzwi i pogrążył się ponownie w lekturze „La Belle Assemblée”.

* * *

Clevedon przeniósł się z magazynem do biurka. Robił właśnie notatki na kartce, gdy drzwi uchyliły się na tyle, by w szparze dostrzegł kapelusz ozdobiony wstążkami.

– Wychodzę – rzuciła Noirot i wycofała się do korytarza.

Clevedon poderwał się zza biurka.

– Zaczekaj!

Wetknęła głowę w szparę.

– Nie mam czasu – odparła ze zniecierpliwieniem. – Chciałam tylko dać znać, że suknia już gotowa. – Powiedziała to zupełnie spokojnie i chłodno, lecz Clevedon wyczuł w jej głosie nutkę triumfu.

Otworzył szeroko drzwi.

Noirot dzierżyła w ramionach pakunek przypominający ciało owinięte całunem. To pewnie suknia opakowana bibułkami i owinięta muślinem na wzór mumii.

– Chcesz to taszczyć sama przez całe miasto? Nie ma mowy! Gdzie lokaj? – Książę dostrzegł jednego przy frotowych drzwiach. – Thomas!

– Nie! – Noirot gestem odesłała lokaja pod drzwi. – Obiecałam, że dostarczę ją osobiście i nie pozwolę nikomu jej dotknąć.

Clevedon obrzucił pakunek zaciekawionym spojrzeniem.

– Mogę ją obejrzeć?

– Pod żadnym pozorem! Nie zdążę jej teraz odpakować i zapakować na nowo. Zobaczysz ją wieczorem w Almacku. I, jak wszyscy inni, będziesz olśniony.

Almack. Clevedon miał wrażenie, że przygniótł go niewidzialny ciężar. Kolejna środa w tym samym towarzystwie. Te same rozmowy na te same tematy, podsycane jedynie najświeższym skandalem. Dziś wieczorem zapewne będą plotkować o nim. Szeptać za wachlarzami, trącać się łokciami. Lady Warford zaleje go potokiem wymowy i będzie napadała każdego gościa po kolei, by olśnić go swymi aluzjami i metaforami subtelnymi jak słoń w składzie porcelany.

Clevedon przypomniał sobie, co Longmore powiedział na temat nowej sukni.

– Chyba pójdę z tobą. Brat Clary tu był i…

– Wiem – odparła. – Sophy dała sobie z nim radę, a ja poradzę sobie z lady Warford, jeśli okaże się to konieczne. Choć wątpię. Kiedy lady Clara zobaczy się w tej sukni, nic jej nie powstrzyma… Zresztą nie mam czasu na dyskusje. A ty zanudziłbyś się podczas przymiarek.

– Wręcz przeciwnie – zaskoczył ją Clevedon. Wszak gruntownie przestudiował „La Belle Assemblée” i miał nawet kilka pomysłów. –

Widzisz, przygotowałem…

– Już wpół do siódmej – ucięła Noirot. – I długa droga do Warford House.

– Weź karykiel – podsunął.

– Nie wiem, co biorę. Halliday obiecał mi najszybszy powozik. Już na mnie czekają.

Chciał z nią pojechać. Chciał zobaczyć suknię i minę Clary, gdy się w nią ubierze. Chciał, żeby wszyscy zobaczyli i zrozumieli, że to tylko interesy, a Noirot jest nie tylko utalentowana, lecz także niebywale oddana swojej pracy i nie mógł przecież nie pomóc jej z suknią przygotowywaną właśnie dla Clary.

Lecz, ku swemu wstydowi, czuł, że nie jest to jedyny powód, dla którego chciał z nią jechać.

Stał na tyle blisko, by czuć jej zapach. Widział perłowy blask jej skóry i delikatny rumieniec. Ciemne kędziorki wymykające się spod kapelusza, wijące się wokół uszu. Miał ochotę ująć jej twarz w dłonie i przyciągnąć ją do swoich ust.

Głupiec, głupiec!

Noirot jedzie właśnie do Clary, a przecież on od zawsze kochał Clarę i nie może ścierpieć myśli, że mogłaby przez niego cierpieć.

Narobił już wystarczająco dużo zamieszania. Lady Warford zapewne dręczy Clarę od świtu i wmawia biedaczce, że to jej wina, że Clevedon zachowuje się tak skandalicznie. Tak zwane przyjaciółki, od wieków zazdrosne o Clevedona, też na pewno będą jej dokuczać półsłówkami i aluzjami.

Odsunął się od progu.

– Byłbym szalony, zatrzymując cię, skoro dokonałaś tego, co uważałem za niemożliwe.

Noirot także się odsunęła.

– Mam nadzieję, że mnie wpuszczą.

Rozdział 12

Szykowna dama potrafi dodać blasku swej sukni
dobrze dobranym klejnotem, podobnie jak rozsądny
pisarz doda ducha całemu akapitowi jedną celną
metaforą.

John Gay, poeta i dramaturg (1685–1732)

Marcelline dotarła do Warford House za pięć siódma. Choć podjechała powozikiem ozdobionym wielkim herbem Clevedona, nawet nie spojrzała na frontowe drzwi. Obeszła dom i zapukała do drzwi dla służby, gdzie kazano jej czekać. Przez chwilę obawiała się, że jej nie wpuszczą, lecz starała się nie poddawać zwątpieniu. Suknia była wspaniała! Lady Clara na pewno zrozumiała, że jest w dobrych rękach, inaczej wyprosiłaby Marcelline przy pierwszej skrytykowanej kreacji.

Wreszcie pokojówka lady Clary wpuściła ją na korytarz i z ponurą miną, pod zaciekawionymi spojrzeniami służących, poprowadziła ją w stronę pokojów. Niebawem przyczyna podłego nastroju panny Davis się wyjaśniła, gdyż w garderobie panienki zastały lady Clarę wraz z matką. Widać było, że się kłóciły i musiała to być ostra sprzeczka, gdyż obie damy były purpurowe na twarzy.

– Krawcowa jest – burknęła bezceremonialnie panna Davis i w garderobie zapadła ciężka cisza.

Lady Warford była niemal tak wysoka jak Clara i musiała być w młodości bardzo piękna. Zaciętość i złe humory wyrzeźbiły jednak głębokie bruzdy na jej twarzy i obecnie wyglądała jak bóstwo wojny. Wciąż jednak można ją było uznać za bardzo powabną matronę.

– Ty! – ryknęła do Marcelline. – Jak śmiesz się tu pokazywać?

– Mamo, błagam – jęknęła lady Clara, wpatrując się w zawiniątko w ramionach Marcelline. – Na litość boską, nie wierzyłam, gdy mi

powiedzieli, że przywiozła pani suknię! Wszak czytałam, że wasz butik doszczętnie spłonął.

– To prawda, lady Claro. Jednak dałam pani słowo.

– Z suknią czy bez sukni, jak śmiesz tu przychodzić, podła kreaturo? – warknęła lady Warford.

– Uszyła mi pani suknię? – nie dowierzała Clara. – Naprawdę?

Marcelline pokiwała głową. Ułożyła mumię na niskiej ławie, rozwiązała tasiemki, odwinęła muślin i wyciągnęła suknię spomiędzy pieczołowicie ułożonych bibułek. Usłyszała trzy westchnienia.

– Och, jejku – szepnęła lady Clara. – Och, jejku.

– To oburzające – warknęła bez przekonania lady Warford. – Claro, jak możesz przyjmować cokolwiek z rąk tej żmii?

– Nie mam co na siebie włożyć – stwierdziła lady Clara.

– Nie mam co na siebie włożyć – przedrzeźniła ją drwiąco matka.

Lady Clara całkowicie ją zignorowała i gestem wezwała pokojówkę, by pomogła jej zdjąć domową suknię. Lady Warford opadła na fotel i zmierzyła wszystkich wrogim spojrzeniem. Marcelline i panna Davis ubrały lady Clarę w nową suknię. Lady Fairfax podeszła do lustra.

– Och – westchnęła odkrywczo. – Och, jejku.

Pokojówka zasłoniła usta dłonią. Lady Warford gapiła się z niedowierzaniem.

Marcelline połączyła delikatną suknię z krepy z białą satynową halką. Dekolt był dość głęboki i śmiało eksponował gładkie ramiona i nieskazitelne piersi lady Clary. Miękki odcień bieli podkreślał jej alabastrową cerę. Marcelline nie obszywała sukni błyskotkami, by nie odciągać uwagi od doskonałego kroju i ślicznych drapowań na gorsecie. Kilka kokardek ozdabiało krótkie bufiaste rękawki i rozcięcie sukni, z którego wyzierała halka. Suknię zdobiły nieliczne haftowane złote, srebrne i czarne gałązki. Nie była to kreacja w stylu francuskim, jednak z pewnością nie była typowa dla Angielek.

Stwierdzenie, że suknia podkreśliła urodę lady Clary, byłoby poważnym niedopowiedzeniem. Dzięki niej piękno panny Fairfax stało się niemal nie do zniesienia.

Dostrzegła to lady Clara, a także jej pokojówka. Nawet jej matka.

W garderobie panowała nabożna cisza.

Marcelline pozwoliła im się nacieszyć tą chwilą, sama zaś uważnie przyglądała się efektom swej pracy. Dzięki niemal fanatycznym przekonaniom co do dokładności pomiarów suknia prawie nie wymagała korekt. Nie będzie musiała skracać ani wydłużać halki. Może nieco zwęzi dekolt na plecach, żeby idealnie przylegał. Panna Davis trochę krzywo naciągnęła rękawki i rozjeżdżały się teraz na boki. Jednak kwadrans wystarczy, by dokonać wszelkich niezbędnych poprawek.

Marcelline wyjęła z kieszeni zawiniątko z przyborami. Kiedy skończyła szyć, pouczyła Davis, jak układać suknię, i zaproponowała dodatki: diadem pleciony ze złota i srebra, by rozjaśnić platynowe włosy lady Clary, ciężkie złote kolczyki, szal z gazy, białe pantofle z jedwabiu i białe rękawiczki z jagnięcej skóry.

Wizyta przeciągnęła się do godziny i pod koniec lady Warford co chwilę zrzędziła, że czas ucieka. Nie dała Marcelline nawet chwili na podziwianie jej arcydzieła. Przez nią spóźniły się na kolację, wykrzyknęła i wypchnęła córkę z garderoby bez słowa pożegnania.

Bez słowa uznania.

Panna Davis burknęła, że młoda pani wygląda doprawdy bardzo ładnie, i niemal chyłkiem wyprowadziła Marcelline przez tylne drzwi jak wstydliwy sekret.

Wyszedłszy z dusznego domu w orzeźwiającą ciemność, Marcelline kilka razy powtórzyła sobie w duchu, że jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

Osiągnęła wymarzony cel. Lady Clara nigdy wcześniej nie wyglądała tak pięknie. Znajomi jej nie poznają, a przyjaciółki zzielenieją z zazdrości. Wszyscy panowie padną jej do stóp. Clevedon też. Zakocha się w niej na nowo.

Marcelline poczuła w sercu ostry ból. Wiedziała dlaczego. Była mistrzynią kłamstwa, jednak nie potrafiła i przede wszystkim nie chciała okłamywać samej siebie. Żałowała, że nie jest lady Clarą lub inną panią z towarzystwa. Chciałaby być prawdziwą damą, w której mógłby się zakochać książę. Choćby raz.

Trudno, pomyślała i wzruszyła ramionami. Lucie żyje. Żyją jej siostry. Mogą zacząć wszystko od początku, a od jutra cała śmietanka towarzyska zacznie tłoczyć się przed ich drzwiami.

* * *

Clevedon już w drodze do Almacka zaczął obliczać, kiedy będzie mógł stamtąd wyjść, nie budząc sprzeciwów i kolejnych plotek. Z pewnością nie zostanie tak długo, jak powinien, zwłaszcza zdaniem lady Warford. Nie zamierzał jednak przejmować się jej opinią. Jechał tam wyłącznie dla Clary i wątpił, by Clara życzyła sobie, by chodził za nią wszędzie jak pies.

Przyjechał najpóźniej, jak wypadało. To tylko pogorszyło sytuację, gdyż Clara nie miała już dla niego czasu. Okazało się, że na sali nie ma żadnej innej ładnej panny, a Clevedon miał już dość grania w karty z tymi samymi nudziarzami. Clara zatrzymała dla niego tylko jeden taniec. Tłumaczyła się, że nie była pewna, czy książę w ogóle się pojawi, a inni panowie tak nalegali…

W istocie tłoczyli się wokół niej bardziej niż zwykle. To pewnie za sprawą stroju. Wyglądała całkiem ładnie w sukni, którą uszyła Noirot. Co więcej, dostrzegł na twarzach londyńskich dam ten sam wyraz, który widział u paryżanek. Żałował, że Marcelline nie może ich zobaczyć.

Czas wlókł się okrutnie, zanim mógł wreszcie poprosić Clarę do tańca. Ujął ją za rękę i powiedział, że jest najpiękniejszą dziewczyną na sali.

– Jednak to szata zdobi człowieka – odparła Clara. – Nie wierzyłam, że madame Noirot uszyje mi suknię po tym, co się wydarzyło.

– Od wczoraj żyła wyłącznie tą myślą – odrzekł.

Clara zerknęła na niego spod rzęs.

– Twoja stylistka jest, zdaje się, bardzo dumną istotą.

Dumną. Wyniosłą. Namiętną.

– To twoja stylistka, Claro, nie moja.

– Wszyscy ją tak nazywają. Stylistka Clevedona. Mieszka w twoim domu z całą rodziną. Adoptowałeś je wszystkie?

– Nie miałem innego pomysłu.

Clara nie odpowiedziała. Przetańczyli pełne koło, zanim odezwała się znowu:

– Czytałam kiedyś, że osoba, której ocaliło się życie, na zawsze należy już do tego, kto je ocalił.

– Mogłabyś nie zaczynać? – parsknął Clevedon ze zniecierpliwieniem. – Uważasz, że miałem jakiś wybór? Nawet gdyby to twoja matka utknęła w płonącym budynku, nie patrzyłbym na to bezczynnie. Longmore postąpiłby na moim miejscu tak samo, cokolwiek teraz opowiada.

– Och, opowiadał niejedno – burknęła Clara. – Kiedy wrócił od ciebie do domu, oświadczył mamie, by nie robiła scen o stadko zadzierających nosa burżujek. Stwierdził, że to do ciebie podobne, że przyjąłeś je pod swój dach. Że pracują jak natchnione. Spłonął ich dom, dziecko o mało nie zginęło w pożarze, nie mają nic prócz tego, co na sobie, a jednak martwią się wyłącznie tym, by zdążyć uszyć moją suknię.

– Potrafią dopiąć swego – przyznał Clevedon. – Zresztą sama widziałaś.

Noirot, wyniosła jak królowa, rozstawiająca Clarę po kątach.

Tak pewna siebie, tak niedostępna. Taka namiętna.

– Przyznaję, że wszyscy są wstrząśnięci, że w ogóle chciałam z nią rozmawiać – kaprysiła Clara.

– „Wszyscy” ciągle są czymś wstrząśnięci – zbył ją książę.

– Marzyłam o tej sukni. Mama nie chciała wpuścić madame Noirot do domu. Ale zrobiłam jej okropną scenę i jednak pozwoliła jej wejść. Jestem próżna.

– Co za bzdury. Już najwyższy czas, byś przestała ukrywać swą urodę pod tymi bezkształtnymi giezłami. Czasem zastanawiam się, czy twoja matka…

Urwał nagle, zawstydzony tym, co chciał powiedzieć, i zdumiony, że olśniło go dopiero teraz. Że pyszna, zazdrosna lady Warford celowo ubierała córkę jak kwokę. Zapewne robiła to, by utrzymać innych mężczyzn z dala, gdyż chroniła córkę dla Clevedona.

Trzymała ją w ukryciu dla mężczyzny, który wprawdzie ją kochał, ale nie chciał być przy niej. Nie chciał tak żyć, pragnął czegoś innego, sam jeszcze nie wiedział czego.

Choć… teraz zaczynał rozumieć.

Jednak wiedza w niczym mu nie pomogła. Ani władza, ani nazwisko, ani pieniądze nie mogły mu tego zapewnić.

– Co chciałeś powiedzieć? – zapytała Clara.

– Że twoja matka jest bardzo opiekuńcza – skłamał. – Pewnie bardziej, niżbyś chciała. Ale na koniec i tak zawsze dostajesz to, czego chcesz.

Nie zauważył pytającego wzroku Clary. Patrzył na tańczące wokół damy, na powiewające suknie balowe. Niemal wszystkie nosiły jeszcze żałobne kreacje: biel i czerń. W sali zrobiło się duszno, powietrze było gęste od zmieszanych perfum. Clevedon przypomniał sobie inny bal, lecz ten różnił się od paryskiego całkowitym brakiem kolorów.

Nastrój też był bezbarwny.

W Paryżu czuł w powietrzu magię. Nierealność sytuacji. Absurd obecności Noirot i jej pewnego zachowania w sali, w której nigdy nie powinna się znaleźć. Jakby sama była słońcem, a wszyscy inni – maleńkimi planetami i księżycami, orbitującymi wokół niej bez końca.

Magiczne.

Ach, jakimże jest głupcem! Tańczy z najpiękniejszą panną w Londynie. Każdy dżentelmen mu teraz zazdrości.

On zaś marzy o ucieczce.

* * *

1 maja, piątek
Biblioteka Clevedon House

– Musimy się wyprowadzić – oznajmiła Marcelline.

Nie widziała Clevedona od środy. Nie miała pojęcia, o której wrócił z balu. Jego pokoje znajdowały się we frontowej części domu, co dawało efekt, jakby mieszkał kilka ulic dalej.

Była dziesiąta rano. Godzinę wcześniej szwaczki pojawiły się całą gromadką i rzuciły do najpilniejszych zadań. Zwykle w takiej sytuacji Marcelline byłaby w butiku, obsługując klientki.

Teraz jednak nie miały butiku. A po triumfie lady Clary na ostatnim balu Marcelline spodziewała się wielu nowych klientek. Jeśli Maison Noirot nie skorzysta z tej okazji, to towarzystwo modnych dam, których uwagi nic nie przyciąga na długo, zapomni o pięknej sukni panny Warford.

Oczywiście to nie będzie jej jedyna suknia od madame Noirot, jednak nigdy więcej nie zrobi już pierwszego wrażenia.

Nie był to jedyny powód, dla którego chciała uciekać, ale tylko o tym mogła swobodnie rozmawiać.

Właśnie chciała napisać liścik do Clevedona, gdy do pracowni wkroczył Halliday z informacją, że Jego Wysokość oczekuje na panią Noirot w bibliotece.

Marcelline ruszyła, nie zwlekając. Zastała księcia pochylonego nad stosami dokumentów i magazynów. Nie czekała, aż powie jej, o czym chciał rozmawiać.

– Nie możemy tu dłużej mieszkać – powtórzyła. – Nie chcę się okazać niewdzięcznicą i liczę na to, że wiesz, że jestem ci bardzo zobowiązana. Ale to zniszczy moją firmę. Rozproszy pracownice, rozpręży moją rodzinę. Rozbestwi Lucie. Pokojówki, lokaje, wszystkie te wygody. Ona już zaczyna myśleć, że to jest normalne i że jej się należy. Zrobiła się nie do wytrzymania, a nigdy nie była łatwym dzieckiem. Przywrócenie jej do porządku zajmie mi tygodnie, jeśli nie miesiące… – Urwała, gdy Clevedon podniósł głowę znad papierów i wlepił w nią szmaragdowe oczy.

Prześlizgnęła wzrokiem po jego gładkim czole, prostym nosie i zmysłowych, pełnych ustach. Zrobiło jej się gorąco. Jej myśli skakały z tematu na temat, by uniknąć tego, czym za żadne skarby nie powinna się zajmować, ale serce tłukło się w jej piersi, w uszach zaczęła szumieć krew. Zadygotała i cofnęła się o krok.

– Poza tym jest między nami to – wyjąkała.

– Jest między nami to – zgodził się Clevedon.

– Tak… – westchnęła i dodała prędko: – Lady Clara przekonała się do mnie i wolałabym jej nie zniechęcać. Im dłużej tu mieszkam, tym bardziej lady Warford mnie nienawidzi. Nie wiem, jak długo jeszcze lady Clara będzie w stanie przeciwstawiać się matce.

Nie wiem, jak długo będę w stanie trzymać się z dala od ciebie, pomyślała.

Odwrócił wzrok i westchnął.

Marcelline pragnęła go dotknąć. Położyć dłoń na jego policzku. Wtulić się w jego ramiona, oprzeć głowę na szerokiej piersi i słuchać bicia jego serca. Chciała czuć jego siłę i żar bijący z jego ciała. Chciała go poczuć w sobie. Pragnęła go.

Ostatniej nocy nie mogła zasnąć, wyobrażając sobie jego ciche kroki w korytarzu. Dźwięk zamykanych drzwi. Jego oddech i ruch materaca, gdy

kładłby się obok niej na łóżku. Szelest jedwabiu, gdy zdejmowałby koszulę. Jego niski głos, wargi przy jej uchu. Dłonie Clevedona na jej ciele, podciągające jej koszulę. Jego dłonie pomiędzy jej nogami…

Przestań!

– Rozmawiałam dziś z siostrami i zgadzamy się co do tego, że nie możemy tu dłużej zostać – wychrypiała. – Wychodzę z Leonie. Poszukamy jakiegoś domu.

– To nie będzie konieczne.

– To absolutnie konieczne – odparła z naciskiem. – Musimy wykorzystać tę szansę. Nie rozumiesz…

– Rozumiem doskonale. – Popchnął ku niej dokument, który studiował. – Varley znalazł dla was butik. Pojedziemy go obejrzeć?

* * *

Nieruchomość przy St. James niedaleko Bennet Street należała, rzecz jasna, do Clevedona. Książę wyjaśnił, że poprzedni wynajmujący wpadli w długi już kilka miesięcy od otwarcia sklepu. Tydzień wcześniej uciekli pod osłoną nocy, nie zapłaciwszy trzymiesięcznego czynszu i ukradłszy wszystko, co zdołali wynieść.

Książę kłamał jak z nut. Prawda zaś była taka, że Varley przekupił ich, by zrezygnowali z wynajmu i na osłodę pozwolił im zabrać wszystko, co nie było przybite do ściany.

– Zdumiewający zbieg okoliczności – rzekła podejrzliwie panna Leonie, gdy Varley otwierał drzwi.

– Całe szczęście, że się wydarzył, nie grymaś – skarciła siostrę panna Sophy.

Wszyscy weszli do sklepu i tylko madame Noirot stała dalej na chodniku. Clevedon zauważył jej krytyczny wzrok błądzący po budynku od dachu po sutereny, a potem dookoła, po całym sąsiedztwie. Była to prestiżowa lokalizacja, choć niektóre przybytki cieszyły się wątpliwą reputacją, zwłaszcza u dam. Obok szykownych klubów dla dżentelmenów, takich jak White’s czy Boodle’s, i najbardziej eleganckich sklepów, jak obuwniczy Hobiego i kapeluszniczy Locka czy składów win, można było tu znaleźć

prywatne salony gier i burdele. Jednak te gniazda hazardu i rozkoszy były raczej ukryte w wąskich zaułkach.

– I jak? – zapytał. – Aprobujesz okolicę?

Spojrzała na niego ciemnymi oczami, ale szybko odwróciła wzrok.

– Jest to dokładna realizacja moich planów – odrzekła. – Najpierw Fleet Street, potem St. James. Wiedziałam, że tu trafię, nie spodziewałam się jednak, że tak szybko.

Z tajemniczym uśmieszkiem weszła do sklepu. Clevedon ruszył za nią.

Słysząc dzwonek u drzwi, Leonie podniosła na nich oczy znad arkusza, który trzymał przed nią Varley.

– Wiedziałam, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe – burknęła. – Nie stać nas na ten sklep. Nie pokryjemy takich rachunków, nie wspomnę nawet, jakich nakładów wymaga to miejsce. A na takie długi u Jego Wysokości też nas nie stać.

– Proszę nie mówić bzdur – odparł Clevedon.

– Nie gadaj bzdur – powiedziała w tym samym momencie Marcelline. – Sama lokalizacja podwoi nasze dotychczasowe przychody. Przestrzeń jest ogromna, wreszcie będziemy mogły zapewnić szwaczkom wystarczająco dużo miejsca, nie odbierając go klientkom ani wystawie. Możemy zatrudnić drugie tyle dziewcząt i szyć dwa razy więcej. Już teraz mam o wiele za dużo pomysłów, a za mało miejsca i ludzi, by wszystko zrealizować.

– Kochanie, ale do tego trzeba nam klientek – zaoponowała Leonie. – Będziemy musiały ich zdobyć dwa razy więcej…

– Sophy, musisz natychmiast napisać do gazet. – Marcelline niecierpliwie machnęła dłonią. – „Madame Noirot śpieszy poinformować szanowne klientki, że w najbliższą środę odbędzie się uroczyste otwarcie nowego butiku przy St. James 56. Znajdą w nim panie nowe zestawy eleganckiej bielizny i suknie, jakich nie zobaczą w żadnym innym sklepie. Polecamy także szeroki wybór dodatków, szali i torebek”. I tak dalej, i tak dalej, sama wiesz najlepiej. Tylko więcej niż zwykle.

– Znacznie więcej – potwierdził Clevedon. – Musi pani zaprojektować gorset i koniecznie o tym napisać.

Trzy siostry Noirot wlepiły w niego oczy.

– Czytałem o tym w magazynach dla dam – wyjaśnił. – W idei nowego kroju gorsetu jest najwyraźniej coś niebywale pociągającego i ekscytującego.

W ich minach zaszły niemal niedostrzegalne zmiany. Gdyby nie spędzał tyle czasu z siostrami Noirot bądź nie zwracał tak pilnej uwagi na mimikę Marcelline, zapewne nie dostrzegłby minimalnego zmrużenia oczu czy drgnięcia kącików ust, oznaczających, że wszystkie trzy dokonują gwałtownych kalkulacji.

– Jego Wysokość ma rację – stwierdziła wreszcie madame. – Zaprojektuję nowy gorset. Tymczasem zaś na rzecz reklamy Sophy wymyśli dla niego nazwę. Coś egzotycznego. Pamiętacie gorset czerkieski pani Bell? Coś w tym stylu. Ale z włoskiego. Klientki chcą włoskich gorsetów.

– Musicie też zmienić datę otwarcia. Nie można sobie pozwolić na ani jeden dzień zwłoki. Otwórzcie jutro. Nie zdążycie tu odmalować według gustu, ale po prawdzie odnawiano ten sklep nie tak dawno i jeszcze jest świeżo. Kiedy wstawi się meble i sprzątnie, będzie jak nowy.

Młodsze siostry wybuchnęły unisono:

– To niemożliwe!

– Jak, na bogów, mamy zdążyć do jutra?!

Noirot uniosła dłonie.

– Będziemy musiały zaangażować większość pana służących – zwróciła się do Clevedona. – I pojazdów. I, oczywiście, musimy dokupić wiele tkanin. I dodatków.

– Rozumiem. – Pokiwał głową.

– Nie uda nam się bez pańskiej pomocy, Wasza Wysokość – powiedziała cicho.

– Miałem zamiar pomóc – oświadczył. – Odrobina poświęcenia i pozbędę się waszej zgrai z Clevedon House.

To powinno uciszyć lady Warford i inne matrony. On sam miał w nosie plotki i skandale, wiedział jednak, że uprzykrzają życie Clarze. Nie mógł żyć po swojemu, nie przysparzając jej wstydu i zażenowania.

Poza tym nie był dobry w opieraniu się pokusom. Im dłużej Noirot gości pod jego dachem, tym większe ryzyko, że jej ulegnie.

– Odrobina poświęcenia – parsknęła panna Sophy. – Och, jak dobrze jest być księciem.

– Jak dobrze jest znać księcia – poprawiła ją Leonie. – W tym miejscu geniusz Marcelline będzie miał szansę rozkwitnąć. Ale umeblowanie będzie bardzo kosztowne.

Marcelline już zaczęła krążyć po przyszłej sali sprzedaży.

– Na razie wystarczą komody i kontuar – uznała. – Ale muszą być wypolerowane na wysoki połysk. Wszystko inne zamówimy potem. Popatrzmy… Kryształowe żyrandole, plafony, lustra…

Clevedon wyjął z kieszeni notatnik i zaczął zapisywać.

* * *

Nie miały kłopotu z rozdzieleniem zadań. Pracowały w tym zawodzie na tyle długo, że wiedziały już, która w czym się specjalizuje. Sophy wróciła do Clevedon House, aby napisać notatki prasowe i nadzorować szwaczki. Leonie została w sklepie, żeby odbierać spływające przesyłki i dysponować nadciągającą z meblami służbą księcia. Służący donieśli, że Halliday zorganizował już wyposażenie sklepu i niebawem pojawi się na miejscu.

Zadaniem Clevedona było towarzyszenie Marcelline na zakupach.

Nie widziała innego wyjścia. Potrzebowała jego pomocy. Będzie musiała stłumić swe żądze i zachowywać się, jak na damę przystało. Miała w tym wiele doświadczenia.

– Jeśli mamy zdążyć ze wszystkim do wieczora, musisz ze mną pojechać – powiedziała, gdy skończyli spisywać potrzebne sprzęty. – Nie mam czasu na użeranie się ze sprzedawcami czy targowanie o lepsze ceny. Chcę, żeby od wejścia do magazynu padali mi do stóp i uwijali się jak w ukropie. Towarzystwo księcia Clevedona powinno mi zapewnić ten rodzaj uwagi.

– Planowałem właśnie wybrać się z tobą na zakupy. – Clevedon się uśmiechnął. – Nie zauważyłaś, jak pilnie notowałem?

Zauważyła i zastanawiała się nad jego zachowaniem. Ale ugryzła się w język. Dopiero kiedy byli w powozie, powiedziała:

– Sądziłam, że nienawidzisz zakupów, zwłaszcza w towarzystwie kobiet.

– Tak rzeczywiście było. Jednak dzięki tobie to wszystko stało się bardzo intrygujące.

– Intrygujące?

– Całe to zamieszanie – wyjaśnił. – Te namiętne dyskusje, te dramaty. Dzika ambicja i niewzruszona wiara we własną wizję. Cel. Ciągle masz

jakiś cel. Bawi mnie obserwowanie, jak bardzo poukładane jest wasze życie.

– Nonsens – roześmiała się. – Wszak muszę się z czegoś utrzymywać, więc staram się uzyskać jak największe przychody jak najmniejszym kosztem. Jak widzisz, chętnie korzystam z pomocy. Gdybym nie musiała pracować, nie pracowałabym. Z radością żyłabym bez żadnego celu i od czasu do czasu hojną ręką wspomagała zwykłych śmiertelników.

– I kto tu prawi nonsensy? – odparł Clevedon. – Żyjesz pracą. Oddychasz nią. To nie jest twoje zatrudnienie. To twoja pasja, powołanie i spełnienie.

– Nie mogę się doczekać dnia, w którym spocznę na laurach i nie kiwnę palcem w bucie. To jest mój cel.

– Ten dzień nigdy nie nadejdzie – uznał książę. – Nieważne, jakie szczyty osiągniesz, nie będziesz w stanie przerwać pracy. Nie potrafisz spojrzeć na siebie z boku. Obserwuję cię od jakiegoś czasu. Widziałem, jak rzucałaś suknie Clary na podłogę i deptałaś je. Nie były dla ciebie zwykłymi niedopasowanymi ubraniami, były aktami przestępstwa. Wydzierałaś je z rąk Clary, jakbyś ratowała jej życie przed zagładą. Uszyłaś jej suknię, bo była to dla ciebie sprawa życia lub śmierci. Umarłabyś chyba, gdyby poszła na bal w którejś ze swoich starych kreacji.

Marcelline wyjrzała przez okno.

– Te dramaty – mruknęła, przedrzeźniając Clevedona. – Sprawa życia lub śmierci, umarłabyś – wyliczała. – I kto tu dramatyzuje?

Czuła się niezręcznie. Nigdy nie pomyślała o sobie w ten sposób. Owszem, była uparta, rzeczowa, praktyczna i chłodna. Wszystko to robiła dla pracy i dla rodziny. A może książę ma rację? Może to zwykła ambicja? Zastanowi się nad tym później. I nad tym, że Clevedon tak uważnie ją obserwuje.

– Och, niech ci będzie – stwierdziła pojednawczo. – Może by mnie to nie zabiło, ale pewnie miałabym mdłości.

Roześmiał się.

Powóz zatrzymał się przy magazynach.

* * *

To był najbardziej pracowity i zabiegany dzień w życiu Clevedona – nie licząc dzikiej gonitwy z Paryża za Noirot. Biegali od jednego sklepu do drugiego, zamawiając i kupując zasłony, meble, dodatki. Nie wiedział nawet, że są sklepy sprzedające wyłącznie lampy albo zwierciadła.

Jego obecność zapewniła Marcelline całą uwagę i usłużność sprzedawców. Sami właściciele wyłaniali się z kantorków i byli gotowi poruszyć niebo i ziemię, by spełnić wszystkie ich zachcianki. Jeśli się wahali, wystarczyło, że książę napomknął, iż mogliby pójść do sklepu na sąsiedniej ulicy, a wszystko okazywało się nie tylko możliwe, lecz także łatwe i przyjemne.

Nie mieli już czasu na prywatne rozmowy. Noirot nie miała nawet kiedy się zastanawiać, co chciałaby kupić, nie mówiąc o oglądaniu najnowszych modeli tego czy tamtego. W czasie krótkich przejazdów powozem dyskutowali z pośpiechem wyłącznie o sprawach praktycznych.

Powinien być znudzony do nieprzytomności. Powinien marzyć o ucieczce i bezpiecznym schronieniu w zaciszu klubu albo o trzech butelkach wina z Longmore’em.

Tymczasem był tak zaangażowany, że nie zauważył nawet, jak prędko upłynął im dzień. W którymś momencie zjedli co prawda posiłek z koszyka przygotowanego rano przez kucharkę, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy to było godzinę, czy pięć godzin temu.

Kiedy wyszli z kolejnego sklepu, Marcelline odetchnęła głęboko i powiedziała:

– *Mon Dieu!* To już koniec. Tak myślę. Mam nadzieję. To już wszystko, prawda?

Clevedon wyjął notes, a kiedy do niego zajrzał, zorientował się, że ledwie widzi litery. Zapadł zmrok. Odkąd wyszli z nowego butiku Maison Noirot, był tak zajęty przemyśleniami i obliczeniami, że nie dbał o upływ czasu. Marcelline skupiła się na wybieraniu kolejnych mebli i sprzętów, miał więc okazję pogrążyć się we własnych myślach.

Dopiero teraz rozejrzał się wokół siebie. Latarnie rozświetlały zatłoczone ulice. Niedługo sklepy będą już zamknięte, lecz na chodnikach wciąż tłoczyli się ludzie, zerkając na szyby wystaw i wciąż wchodząc do środka. Zapewne ku rozpaczy sprzedawców, którzy woleliby już iść na kolację. Niebawem na ulice wylegnie cała armia pracowników licznych magazynów i manufaktur. Oni również będą dokądś biegli.

Zastanowił się z goryczą, kiedy ostatnio śpieszył się dokądkolwiek. Kiedy zależało mu na powrocie do domu? Bądź na kolacji w czyimś towarzystwie.

– Jeśli o czymś zapomnieliśmy, to na pewno o niczym istotnym – odparł.

– Niedługo się o tym przekonamy.

Clevedon powiedział stangretowi, żeby zawiózł ich z powrotem do butiku na St. James.

* * *

Zdawało jej się, że wloką się przez londyńskie ulice całe wieki. Wreszcie zniecierpliwiona Marcelline wysiadła z powozu i stanęła przed ciemnym, opustoszałym butikiem.

– Wszyscy już poszli – wymamrotała z niedowierzaniem. – Jak to? – Głos jej drżał. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy czuła się tak rozczarowana. – Myślałam… Myślałam…

– Byliśmy bardziej skuteczni, niżbym się spodziewał – pocieszał ją książę. – Założę się, że wszyscy już pojechali do domu. To znaczy do Clevedon House. I jedzą zasłużoną kolację. My też zaraz pojedziemy, ale skoro już tu jesteśmy, może się rozejrzymy? – Wyjął klucze z kieszeni. – Jestem właścicielem, jak wiesz.

W poblasku latarni ulicznej zdołali wejść do butiku bez potrącania mebli. Po chwili Clevedon zapalił lampę, a potem kolejną.

Marcelline stała na środku sali sprzedażowej, przyciskając dłonie do brzucha. Czuła, jakby stado motyli łaskotało ją od środka. Radość i podekscytowanie mieszały się z niepokojem. Obróciła się dookoła, obejmując wszystko spojrzeniem: wypolerowane do połysku komody, szykowne żyrandole, elegancko udrapowane zasłony i meble zaaranżowane jak w bawialni wielkiej damy.

– Może być? – zapytał Clevedon. – Zadowolona?

– Bardzo – szepnęła. – Wiem, że mój nieskazitelny gust może być czasami deprymujący…

– Doprawdy, Noirot, zdumiewają mnie twoja pokora i skromność.

– …ale dzięki niemu jestem w stanie wyróżnić się na rynku. – Rozejrzała się jeszcze raz. – Będę musiała rano trochę poprzestawiać meble. Leonie świetnie daje sobie radę z rachunkami i przepisami prawa, a zmysł estetyczny ma wyostrzony bardziej niż większość kobiet, jednak jest trochę zbyt konwencjonalna. Główna sala jest absolutnie najważniejsza, bo to ona robi pierwsze wrażenie. Wchodząc do Maison Noirot, dama musi się poczuć szykownie i elegancko, a jednocześnie bezpiecznie i komfortowo, a dodatkowo czuć to coś, co wyróżnia nas spośród innych butików.

– Ostateczny szlif – zgodził się książę.

– Nieoczywiste dodatki i drobiazgi budujące atmosferę.

– Francuzi powiedzieliby: *je ne sais quoi* – stwierdził Clevedon. – I ja także tak powiem, bo choć wiem i czuję, że tworzysz coś takiego, nigdy nie potrafiłbym tego opisać ani nazwać.

Popatrzyła na niego przelotnie.

– Bardzo się zmieniłeś, odkąd się poznaliśmy. W Paryżu twierdziłeś, że takie niuanse nie mają dla ciebie znaczenia.

– Starałem się tego nie zauważać – przyznał. – Ale to jest wszędzie, gdzie spojrzę. Ty jesteś. Wszędzie widzę ciebie. Chciałbym się już ciebie pozbyć, naprawdę. Gdy mężczyzna zaczyna czytać damskie periodyki… nie, nie mogę nawet o tym rozmawiać. To wszystko przez ciebie. Z radością ujrzę wasze plecy, gdy będziecie zmierzały do głównej bramy, i odzyskam swoje życie.

– Irytuje cię bycie aniołem dobroczynności.

– Nie bądź śmieszna. Nie jestem aniołem. Chodź, obejrzymy inne pomieszczenia.

Obeszli prędko zaplecze, biura, pracownie i magazyny. Marcelline była pewna, że Clevedon chciałby już jechać do domu. Przez chwilę urządzanie sklepu mogło go bawić, być intrygującą odmianą. Ale nie jest kupcem. Pieniądze są dla niego czymś zupełnie innym. W zasadzie są niczym. Ma ich tyle, że nigdy nie poznał ich wartości.

Pewnie miał już też dosyć plotek i kompletnej dezorganizacji życia domowego. Nie mógł wiedzieć, jak niewielkie były to niedogodności w porównaniu z tym, co mogło mu się przydarzyć za sprawą jej rodziny. Przodkowie sióstr Noirot bywali przyczyną rozpadu wielkich rodów. Wykradali lub uwodzili ponętne dziedziczki i niedoświadczonych dziedziców, by wodzić ich za nos i porzucać, zrujnowanych i złamanych.

Gdy Marcelline uznała, że obejrzała już wszystko i może w spokoju opuścić sklep, Clevedon poprowadził ją ku schodom. Dopiero w tym momencie dotarło do niej, że o czymś jednak zapomniała. Na parterze były piękny sklep, kantorki i magazyny, na piętrze świetnie doświetlone studio dla Marcelline, dyskretny pokoik do poufnych rozmów z klientkami i dwa pokoje do pracy dla Sophy i Leonie.

Drugie i trzecie piętro przeznaczone były na mieszkanie.

Nawet o tym nie pomyślała, robiąc zakupy.

– Na litość boską… – westchnęła. – Mam nadzieję, że będę mogła pożyczyć z Clevedon House materac albo dwa. Stół i krzesła też by ułatwiły sprawę, choć nie są konieczne. Mieszkałyśmy już w gorszych warunkach. Nie mogę uwierzyć, że nie kupiłam niczego dla nas…

– Zobaczmy. Może poprzedni wynajmujący coś zostawili.

Clevedon ruszył po schodach, unosząc wysoko lampę. Zatrzymał się na drugim piętrze.

– Zaczekaj chwilę – poprosił i wszedł do pokoju na wprost schodów. Po chwili światło gazowych lamp oświetliło hol.

– Ha – odezwał się Clevedon. – Chodź i zobacz sama.

Weszła do pokoju.

Sofa, fotele, stoliki. Zasłony w oknach, na wypolerowanej podłodze jasny dywan. Żaden ze sprzętów nie pochodził z Clevedon House. Nie były to antyczne, bogate meble. Przypominały raczej mieszkanie paryskiej kuzynki Marcelline. Eleganckie, stylowe, ciepłe. Jak w domu.

– Och, mój Boże – powiedziała i urwała nagle. Nie była w stanie zaufać własnym słowom. Serce na chwilę w niej zamarło.

Z saloniku Clevedon wprowadził ją do małej, ale przytulnej jadalni, a następnie do pokoju dziecięcego umeblowanego z tak widoczną troską i znajomością Lucie, że Marcelline ścisnęło w gardle. Stały tam nieduży stolik i niskie krzesełko, a na serwecie mały zestaw do herbaty. Na ścianach – półki na książki i malowany regał na zabawki.

Clevedon otworzył drzwi do kolejnego przestronnego pokoju.

– Pomyślałem, że tu ci się najbardziej spodoba – powiedział. – Jeśli nie, rzecz jasna, będziecie się mogły później pozamieniać. Jesteś artystką, więc uznałem, że docenisz pokój nie od strony hałaśliwej ulicy, ale z widokiem na ogród, a nawet na Green Park, choć żeby go dojrzeć, musiałabyś stanąć na krześle.

Marcelline słynęła w rodzinie z niewzruszonej kontroli własnych emocji. Potrafiła zachować dla siebie nawet największe wzruszenie. Jednak w tym momencie jej bariery pękły.

– Och, Clevedon, coś ty narobił? – jęknęła, chwytając się za serce.

W oczach jej pociemniało, wargi zadrżały gwałtownie i wreszcie, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, rozpłakała się.

Rozdział 13

Pani Hughes śpieszy poinformować szanowne klientki,
że w najbliższy wtorek odbędzie się uroczyste otwarcie
nowego butiku. Znajdą w nim panie nowe zestawy
eleganckiej bielizny i suknie w najlepszym guście.
Pani Hughes dziękuje za wsparcie i lojalność swoich
wspaniałych klientek. Informuje także, iż przyjmie
praktykantkę i sprzedawcę.

„Ackermann Repository”, reklama ze stycznia 1814 roku

Płacz nigdy nie przychodził jej z łatwością. Kiedy jej rodzice zmarli na cholerę, żałowała raczej wszystkich utraconych na zawsze i niewykorzystanych szans zbliżenia się do nich. Kiedy odeszła kuzynka Emma, która zajmowała się pannami Noirot po śmierci rodziców, a także w czasie ich licznych podróży, Marcelline czuła głęboki smutek. Tęskniła także za Charliem, któremu oddała swe młodzieńcze serce.

Nigdy jednak nie pozwoliła sobie na łzy. Nigdy nie odczuła prawdziwej żałoby. Każda utrata oznaczała dla niej konieczność natychmiastowego działania. Ktoś musiał się zająć rodziną.

Nie płakała, gdy Lucie była umierająca. Nie miała czasu na rozpacz. Tylko ciężką pracą była w stanie zapewnić jej leki, dzięki którym ostatecznie wydarła ją ze szponów śmierci. Kiedy myślała, że straciła ją w pożarze, czuła żal tak wielki, że nie starczyło już miejsca na łzy.

Jednak teraz…

Tak niewiele brakowało, jeszcze chwila i jechaliby spokojnie na kolację. Tymczasem coś w niej pękło i w jednej chwili utonęła we łzach. Szloch wstrząsał całym jej ciałem, jakby chciał ją rozerwać na strzępy. Nie była w stanie się opanować. Ukryła twarz w dłoniach i płakała żałośnie, jak skrzywdzone dziecko.

– Błagam, przestań – wystraszył się Clevedon. – Naprawdę jest aż tak okropnie? Pochlebiałem sobie, że posiadam jednak odrobinę gustu. Na twój

widok nawet rynna wpadłaby w histerię, do diaska!

Roześmiałaby się, gdyby nie szloch rozsadzający jej piersi. Zdawało jej się, że za chwilę serce jej pęknie z żalu.

– Do licha! – burknął Clevedon. – Gdybym wiedział, że będziesz robiła takie sceny, zabrałbym cię prosto do domu! To znaczy do Clevedon House.

Do domu. Do jego domu. Clevedon dał jej miejsce w swoim domu, kiedy straciła własny. A dziś, gdy myślała wyłącznie o sklepie, urządził dla niej nowy. Kolejna fala żalu i udręki niemal zbiła ją z nóg.

– To miała być miła niespodzianka – usprawiedliwiał się książę. – Miałaś powiedzieć: „Och, świetnie, że o tym pomyślałeś, Clevedon” i przyjąć, jakby ci się to należało, tak jak przyjmujesz wszystko. Doprawdy, mam nadzieję, że klientki nigdy nie oglądają cię w takim stanie. Straciłyby do ciebie szacunek i sympatię. A wiesz, że musisz z nimi postępować jak ze stadem owiec. Prowadzić je żelazną ręką, bo inaczej wejdą w szkodę… – Poddał się wreszcie. – Do licha, Noirot! Co się stało?

Ty. Ty się stałeś.

Na szczęście wybuch zaczynał słabnąć. Odjęła dłonie od twarzy. Drżały. Znalazła chusteczkę i wytarła mokre policzki. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na Clevedona. Wcisnął się w kąt sypialni i zwinął dłonie w pięści.

Domyśliła się, że chciał zrobić to, co każdy zrobiłby na jego miejscu. Podejść do niej, wziąć ją w ramiona i ukoić. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Co on wyprawia? Czy to ma być rodzaj krucjaty, by wynagrodzić nieświadomej niczego lady Clarze swą zdradę?

Prawie się roześmiała. Co za ironia.

Gdy wreszcie przełamał jej system obronny, znalazł w sobie siłę, by trzymać się na dystans.

– Nie rozumiesz – chlipnęła.

– Nie mogę zaprzeczyć.

– Nikt… – wyjąkała roztrzęsionym głosem. – Nikt… – Kolejny szloch wstrząsnął jej ciałem. Zacisnęła zęby na chusteczce i powiodła dłonią dookoła. – Całe moje życie. Nikt. Dom. Dałeś mi wreszcie dom.

Nie kłamała. Nikt wcześniej nie dał jej prawdziwego domu. Rodzice nigdy nie przebywali długo w jednym miejscu. Owszem, miewali jakieś wynajęte mieszkanka, miejsca, gdzie chronili się przed pościgiem, jakieś opuszczone chaty w szczerym polu, jak Cyganie. Nigdy nie mieli

prawdziwego domu. Nawet kiedy kuzynka Emma przygarnęła je do siebie, dostały zaledwie kąt do spania i pracy. Nic tam nie należało do Marcelline i jej sióstr. Niczego dla nich nie przygotowano. Maleńkie, ciemne pokoiki nad butikiem przy Fleet Street były ich pierwszym domem.

A teraz to? On to wszystko przygotował. W tajemnicy, po cichutku, widząc, że ona jest zajęta czym innym. Zaplanował to jako niespodziankę.

– Och, Clevedon, co ja teraz zrobię? – jęknęła.

– Zamieszkasz tu? – podsunął.

Spojrzała w jego bystre szmaragdowe oczy. Widziała już w nich ogień żądzy, wściekłość, iskry rozbawienia i rozpacz. Och, i czułość. Do Lucie.

– Ktoś musiał się tym zająć – wyjaśnił spokojnie. – Miałaś inne sprawy na głowie. Butik był… jest najważniejszy, rozumiem to. Bez niego nie macie nic. Ale chciałaś, żebym tylko chodził za tobą i robił wrażenie, a to strasznie nudna robota.

Z każdym zdaniem czuła się coraz bardziej zdruzgotana. Clevedon naprawdę rozumie, że praca jest dla niej wszystkim. W ciągu kilku tygodni całkowicie się zmienił. Jeszcze niedawno brzydził się jakąkolwiek uwagą na temat pracy, a teraz… Czytała czasem w powieściach, że ktoś nie był w stanie mówić, gdyż jego serce było przepełnione emocjami, i myślała wtedy: „Mojemu sercu z kamienia nigdy się to nie przydarzy”. Teraz jednak nie była w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. To było po prostu zbyt wiele. Wszystko nagle ułożyło się w jedną, spójną całość.

– Nie miałem odwagi zadręczać cię takimi drobiazgami – ciągnął książę. – Już i tak podjęłaś się niemożliwego. Ale to twoja zwykła postawa. Suknia Clary. To uganianie się za mną po Paryżu. Kto byłby zdolny do czegoś takiego? Kto założyłby, że cokolwiek ci się uda? Gdybyś kiedykolwiek spytała mnie o zdanie, powiedziałbym, że to wizja szalonej głowy…

– I miałbyś rację – wtrąciła. – To było szaleństwo.

– Ale się udało.

– Tak. Udało się.

Nie licząc pewnego drobiazgu, którego nie przewidziała. Czuła, że jej oczy znów napełniają się łzami. Zamrugała gwałtownie i się uśmiechnęła.

– Jestem taka szczęśliwa – wykrztusiła. – Nie mogłabym być szczęśliwsza. Zdobyłam wszystko, czego chciałam, a nawet więcej. Piękny butik przy St. James Street. To był absolutny szczyt moich marzeń i ambicji.

Clevedon się rozejrzał.

– Śmiem wątpić. Nie sądzę, by katedra Świętego Pawła pomieściła twoje ambicje. Czy w ogóle istnieją granice twoich marzeń i planów? Takie zwykłe granice dla śmiertelników, rzecz jasna.

Jakże dobrze ją znał. Roześmiała się gorzko. Zdawało jej się przez chwilę, że pęknie jej serce.

Spojrzał na nią uważnie.

– Co się stało?

– Sama nie wiem – odparła. – Wszystko poszło zgodnie z planem. A nawet o wiele lepiej. A jednak… Och, co za ironia!

Potrząsnęła głową, opadła na fotel i złożywszy ręce, przyjrzała się dywanowi, który wybrał dla niej książę. Karmazynowe maki wśród czarnych gałązek i liści na złotym tle o delikatnym różowym odcieniu.

Kolory sukni, którą włożyła na bal u księżnej de Chirac.

Nagle wszystko zrozumiała. Ten dom jest jego prezentem pożegnalnym.

Oczywiście.

Ścigała go i dopadła, i dostała od niego wszystko, czego chciała.

A nawet więcej.

Zakochała się w nim.

On zaś postanowił się pożegnać, jak na księcia przystało, ekstrawaganckim i kosztownym prezentem.

– Noirot, czy ty się na pewno dobrze czujesz? To był naprawdę długi i wyczerpujący dzień, oboje jesteśmy zmęczeni. Takie bieganie od sklepu do sklepu i kupowanie wszystkiego, co wpadnie w ręce, mogłoby wykończyć każdego, nawet ciebie. A ja… Cóż, po dniu spędzonym na zakupach w twoim towarzystwie mogę już nigdy nie dojść do siebie.

Spojrzała na niego.

Ich znajomość dobiegła końca.

Biorąc pod uwagę, kim był, nie mogłaby być dla niego nikim więcej niż zwykłą kochanką, a na to nie mogła pozwolić. Bynajmniej nie z przyczyn moralnych. Nie znała się zresztą na nich, a tym bardziej nie przykładała do nich wagi. Chodziło wyłącznie o pracę. O firmę, która utrzymywała jej rodzinę, o pracę, którą kochała i która była miłością jej życia.

Potrafiła trzymać język za zębami. Potrafiła cierpieć w milczeniu. Mogłaby grzecznie podziękować, pożegnać się i zająć pracą, gdyż, doprawdy, nie pozostawało jej nic innego.

Niestety, wciąż była sobą. Marcelline Noirot. Szlachetna ofiara nie leżała w jej naturze.

I kochała go.

Prędko wymyśliła zatem plan. W ułamku sekundy ujrzała go jak na dłoni, jak wszystkie swoje wielkie plany. Zobaczyła, co musi zrobić.

Wstała, wskazała mu łóżko i powiedziała:

– Usiądź tutaj.

– Co ty knujesz? – parsknął Clevedon.

Rozwiązała wstążki kapelusza.

– Noirot, może nie dotarło do ciebie, dlaczego chciałem pozbyć się was z mojego domu. Nie dbam o plotki, kiedy dotyczą tylko mnie. Ale wiesz, że te plotki krzywdzą także inne osoby.

– Jesteś mężczyzną – potwierdziła. – Mężczyznom łatwo się wybacza to, czego kobietom nie wybacza się nigdy.

– Obiecałem sobie, że nigdy nie zrobię niczego, co trzeba mi będzie wybaczać.

– Nie będziesz pierwszym, który złamał obietnicę.

Trzymając wstążki kapelusza, spojrzała mu w oczy. Niczego nie kryła. W jej spojrzeniu mógł zobaczyć całe serce, wszystkie myśli i uczucia, ale nie dbała o to.

Zakochała się i tej nocy będzie go kochała bez wstydu i poczucia winy, otwarcie i szczerze. To będzie jej pożegnalny prezent.

Książę usiadł na łóżku. Twarz miał napiętą.

Marcelline puściła wstążki. Kapelusz potoczył się po dywanie.

Clevedon śledził go wzrokiem.

– Niech cię piekło pochłonie – mruknął.

– Nie martw się – odparła. – To tylko pożegnanie.

– Ale…

Położyła palec na jego wargach.

– Chcę ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Podziękować ci z najciemniejszej głębi mego serca. Niektóre długi mogłabym może spłacić, ale większości nigdy nie zdołam. Chcę, byś zrozumiał, że moja wdzięczność jest niezmierzona i nigdy nie wygaśnie. Bo jutro odejdziesz. I nigdy tu nie wrócisz. Jeśli twoja żona lub kochanka będą się u mnie ubierać, będziesz się trzymał z daleka. Jeśli się przypadkiem spotkamy, nie odezwiesz się do mnie. Jutro rano staniesz się dla mnie tym, kim zawsze

miałeś być: nieznanym dżentelmenem, którego portfel ochoczo ograbiam, i nikim więcej. Rozumiesz?

Oczy Clevedona pociemniały. Zobaczyła w nich żar, złość i rozczarowanie. Podniósł się z łóżka.

– Ale dziś… – zatrzymała go. – Kocham cię.

Clevedon zacisnął powieki. Na jego policzki wypłynął ciemny rumieniec i skurcz żalu wykrzywił na chwilę jego piękną twarz. Trwało to ułamek sekundy, lecz Marcelline już wiedziała, że miała rację. To był dobry plan.

Zaczęła się rozbierać. To była suknia, którą miała na sobie w czasie pożaru. Choć pokojówki w Clevedon House wyprały ją i wyprasowały, nie spełniała już zwykłych wymogów Marcelline. Siostry Noirot uznały jednak, że mają ważniejsze sprawy na głowie niż odtwarzanie własnej garderoby.

Suknia rozpinała się na plecach, lecz nie stanowiło to problemu. Marcelline od dziecka ubierała się i rozbierała samodzielnie. Rozpięła rękawki i odpięła haftki na plecach. Zsunęła suknię na podłogę. Miała pod nią muślinową halkę wiązaną w pasie. Rozwiązała ją, zdjęła z ramion i upuściła.

Wyraźnie słyszała oddech Clevedona.

Rozpięła do końca rękawki i rzuciła je na stos ubrań. Stała przed nim przez chwilę w koszuli, półhalkach, gorsecie, pończochach i trzewikach, pozwalając mu nacieszyć się tym widokiem. Nie była pewna, co Clevedon czuje, nie licząc oczywiście zwykłych emocji, jakie odczuwa każdy mężczyzna w podobnej sytuacji, lecz być może, podobnie jak ona, chce dokładnie zapamiętać ten moment.

Po chwili uklękła na dywanie.

– Marcelline – powiedział miękko. Pierwszy raz odezwał się do niej po imieniu i było to jak najczulsza pieszczota. Och, zapamięta to na zawsze. Jego głos.

– Dałeś mi dom – szepnęła. – Pozwól, bym się tobą nacieszyła. Zostaw to mnie. Czyż nie robię wszystkiego tak, jak trzeba?

Zdjęła mu buty i ustawiła je porządnie obok sterty odzieży.

Wstała i przysunęła się do Clevedona, patrząc z góry na jego jedwabiste czarne włosy, lśniące w świetle lampy. Wpatrywał się w nią pociemniałymi oczami. Usta miał rozchylone.

Pochyliła się i rozpięła mu marynarkę, a potem zdjęła ją jednym ruchem, równie wprawnie jak jego lokaj. Złożyła ją delikatnie i odłożyła na krzesło.

Potem zdjęła mu kamizelkę i odłożyła ją również, zatrzymując na chwilę dłoń na jedwabnym hafcie. Rozwiązała fular.

Twarz Clevedona była na wysokości jej piersi. Marcelline czuła jego oddech przez cienką koronkę koszuli. Wdychał głęboko powietrze.

– Zapach twojego ciała… – powiedział miękko. – Niech mnie Bóg strzeże…

Jej dłonie zadrżały, rozplątując delikatny muślin. Przypomniała sobie pierwszy wieczór i to, jak zabrała mu szpilkę z diamentem, a na jej miejsce wpięła swoją perłę. Złożyła fular na kamizelce.

Rozpięła guziki jego koszuli i rozchyliła ją na boki. Położyła dłoń na muskularnej szyi i przesunęła ją powoli po sprężystym torsie. Pochyliła się i przytuliła policzek do jego policzka. Przez chwilę wdychała jego zapach. Zapach mężczyzny silnego, gorącego i uderzającego do głowy jak alkohol.

Odsunęła się, zdjęła buty i rozwiązała wstążkę gorsetu. Koszula zsunęła jej się z ramienia, odsłaniając jedną pierś. Clevedon syknął. Marcelline rozwiązała półhalki, które opadły z szelestem do jej stóp. Sięgając pod halkę, rozsupłała wstążkę od majtek. Kiedy opadły na podłogę, wyszła ze sterty jedwabiu i muślinu i kopnęła wszystko na bok.

Przez chwilę stała przed nim w samej koszuli i pończochach, kołysząc się lekko. Chciała, żeby na nią patrzył. Chciała widzieć w jego wzroku zachwyt i pożądanie.

– Zabijesz mnie – wyrzęził. – Zabijesz mnie.

– Będziesz miał piękną śmierć – odparła z uśmiechem.

Postawiła stopę na krawędzi łóżka, tuż przy jego udzie. Podciągnęła brzeg koszuli, obnażając kolano. Clevedon wydał zduszony jęk.

Rozwiązała podwiązkę i boleśnie powoli zsunęła pończochę, przez kolano, po łydce i kostce. Rzuciła pończochę i stała tak jeszcze przez chwilę, zapisując w pamięci jego piękną twarz wyrażającą kompletne oszołomienie.

Potem w taki sam sposób zdjęła drugą pończochę. Koszula zsunęła jej się niemal do talii, rękawki trzymały się na łokciach. Marcelline opuściła ręce i potrząsnęła nimi, pozbywając się koszuli.

Była zupełnie naga.

Oddech księcia gwałtownie przyśpieszył.

– Chodź do mnie, wariatko – szepnął.

Podeszła powoli. Wyciągnął ku niej ramiona i przyciągnął do siebie, sięgając ustami do jej piersi. Otoczył wargami wyprężoną brodawkę Marcelline. Jęknęła cicho, wsunęła palce w jego włosy i przytrzymała głowę Clevedona. Pocałowała go w czubek głowy, wdychając męski zapach. Dygotała z pragnienia. Jej ciało pragnęło jego ciała. Lecz jeszcze bardziej jej serce pragnęło jego miłości.

Nie odepchnęła od siebie pragnień, emocji i cierpienia. Trzymała go tylko za głowę i drżała. Kiedy jednak zaczął ją do siebie przyciągać, odsunęła się.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Miałem nadzieję, że nie.

Rozpięła mu spodnie, wyciągnęła poły koszuli.

– Podnieś ręce.

Clevedon zamknął oczy i zrobił, co kazała.

Ściągnęła mu koszulę, popchnęła go na materac i szarpnęła za spodnie, jednym ruchem ściągając je razem z bielizną. Uwolniona męskość wyprężyła się z wyczekiwaniem. Marcelline chwyciła ją w dłonie, zachwycając się jej żarem, sprężystością, rozmiarem i doskonałymi proporcjami – zupełnie jak cała reszta jej właściciela.

– Chryste… – jęknął Clevedon.

Z szelmowskim uśmiechem pocałowała aksamitny czubek. Książę zaklął jak szewc.

Mogłaby zrobić więcej. Och, mogłaby go całować bez końca, ale chciała, by trwało to jak najdłużej. Podniosła się i ściągnęła mu pończochy. Kolana się pod nią uginały. Dłonie i wargi Clevedona doprowadzały ją do obłędu. Szczyciła się swoim chłodem, królewską samokontrolą i znajomością mężczyzn. Tymczasem na samą myśl o nim czuła się podniecona, jego bliskość uderzała jej do głowy. Zapalała się jak papierowa chusteczka.

Wspiąwszy się na łóżko, usiadła na nim okrakiem. Clevedon uniósł się ku niej i ujął jej twarz w dłonie. Przez długą chwilę trzymał ją i patrzył jej w oczy. Marcelline myślała, że książę chce coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Wreszcie przyciągnął ją do siebie i bardzo delikatnie pocałował. Pocałunek prędko stał się żarłoczny i gwałtowny jak ogień.

Marcelline czuła w sobie ten sam żar i pragnienie. Oddawała mu pocałunki z całą namiętnością, którą tłamsiła w sobie od tylu tygodni, z namiętnością, którą od lat rezerwowała wyłącznie dla pracy.

Wreszcie spotkała mężczyznę, który pokonał wszystkie przeciwności i sprawił, że go pokochała.

Clevedon badał językiem każdy zakamarek jej ust. Jego smak i zapach otaczały ją zewsząd jak ciepłe morze, w którym dryfowała bezwładnie, falowała i tonęła.

Położyła dłonie na jego szerokich ramionach, głaszcząc je, a potem przesunęła palce wzdłuż muskularnych pleców. Dotykała powoli całego ciała Clevedona, by móc je przywołać w fantazji, gdy już go przy niej nie będzie. Uczyła się go na pamięć.

Był sprężysty i umięśniony. To nie było ciało dżentelmena, lecz wiedziała o tym już od pierwszego spotkania. Starał się z trudem ukryć potężne mięśnie i fizyczną siłę pod eleganckimi strojami. Piękne dzikie zwierzę ściśnięte w cywilizowanych ramach.

Oderwał wargi od jej ust i Marcelline przez chwilę miała wrażenie, że się rozpłacze z żalu. Jednak Clevedon zaczął całować jej szyję, ramiona i dekolt. Zaznaczył językiem obojczyk. Marcelline jęknęła, odrzucając głowę do tyłu. Clevedon lizał jej skórę jak wielki kot. Jak pantera z jej wizji. Każdy nerw w jej ciele zdawał się napięty do granic wytrzymałości. Mogłaby przysiąc, że po jej skórze pełgają iskry, jak w powietrzu przed wielką burzą. Żądza przebiegła całe ciało i skupiła się w podbrzuszu, wysyłając stamtąd niemal bolesne fale żaru. Dygotała w oczekiwaniu na rozładowanie tej energii. Jego nabrzmiała męskość trącała ją w łono.

Bardzo chciałaby przedłużać tę chwilę w nieskończoność, ale nie była w stanie dłużej się kontrolować. Uniosła się na kolanach i wsunęła go w siebie najwolniej, jak potrafiła. Clevedon jęknął rozdzierająco. Uniosła się znów i osunęła, przyjmując go całego.

– Boże… – jęknął książę.

Unosiła się boleśnie powoli i opadała. Clevedon wbił palce w jej biodra.

– Marcelline… Na litość boską…

Nie słuchała. Wiedziała, że nie zdoła się nim nasycić, próbowała więc rozciągnąć tę chwilę. Jednak z każdym ruchem narastała w niej rozkosz tak silna, że kręciło jej się w głowie.

– *Mon Dieu!* – jęknęła.

Słyszała jego niski, wibrujący głos. Jęki i wzdychanie, bez słów. I triumfalny stłumiony śmiech. I urywany szloch. Clevedon chwycił jej pośladki, jednak pozwolił jej kontrolować tempo. Marcelline usiłowała

zwolnić, lecz żądza powoli przejmowała nad nią kontrolę. Krew szumiała jej w uszach, pierwotny instynkt nie dał się dłużej tłumić. Ona także była zwierzęciem, biegnącym teraz bez opamiętania, szukającym spełnienia.

Nie mogła już przestać, nie mogła zwolnić. Podnosiła się i opadała coraz prędzej. Ciało Clevedona wychodziło jej naprzeciw. Śmiał się chrapliwie i ona także się śmiała, ze szczęścia i z upojenia. Nagle napełniła ją przejmująca rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie czuła, i uniosła ją w górę tak wysoko, że zupełnie straciła orientację, jak muślinowa chusteczka porwana przez wiatr, a potem opadła w słodki, aksamitny mrok.

* * *

Leżała na nim, drżąca i spełniona. Clevedon leżał także, tuląc ją w ramionach, z trudem powstrzymując dreszcze.

Nic się nie stało, wszystko w porządku, to tylko pożegnanie.

Wiedział, że to musi być ich pożegnanie. Zbyt już nadwerężył cierpliwość swoich krewnych i znajomych. A także cierpliwość i wyrozumiałość Clary. Zachowywał się bezdusznie, samolubnie i niegrzecznie wobec kobiety, która zawsze go kochała i wspierała.

W pośpiechu szukał sklepu dla Marcelline i w pośpiechu go urządzał, bo wiedział, że musi wreszcie położyć kres temu szaleństwu. Choć nie znosił i zwykle nie respektował zasad towarzyskich, czuł, że już najwyższy czas się im podporządkować.

To koniec. Sklep i dom miały przede wszystkim złagodzić jego niepokoje. Są bezpieczne. Mają się gdzie podziać. Poradzą sobie.

Bez niego.

Miał nadzieję, że z czasem o niej zapomni.

Wciąż słyszał jej drżące od emocji słowa: „Ale dziś… Kocham cię”.

Nie mógł o tym myśleć. Nie będzie o tym myślał!

Miłość nie była w planach.

To była tylko gra. Jak w kartach. A teraz karty im się skończyły. Najwyższy już czas.

Jednak wciąż leżał, głaszcząc jej plecy i myśląc, że nic na świecie nie jest tak gładkie jak skóra Marcelline. Jej loki łaskotały go w brodę. Podniósł

głowę, żeby zanurzyć w nich twarz i odetchnąć ich zapachem.

„Ale dziś… Kocham cię”.

Naprawdę to powiedziała. Clevedon siedział jak rażony gromem. Ogłuszony nie wiedział, co powiedzieć. Jednocześnie wierzył jej i wzdragał się przed tym. Czuł wdzięczność i ogromny żal. Tłumaczył sobie, że jest naiwnym głupcem. Kłócił się z tym. Wiedział, że jednocześnie ma rację i się myli. Że powinien natychmiast wyjść, bo znów stanie się to, czego miał już nie robić. Nie mógł na to pozwolić. Nie chciał się zachowywać jak samolubny łajdak pozbawiony choć krztyny honoru.

Spierał się ze sobą, lecz ani drgnął. Stała przed nim i pragnął jej.

Był słaby.

Może nie aż tak słaby i samolubny jak jego ojciec, ale i nie lepszy.

I tak oto przegrał walkę. Wewnętrzną walkę o honor, szacunek i wierność, wartości, które z takim poświęceniem starał się mu przekazać lord Warford.

Powinien był po prostu wstać z łóżka i wyjść. Powinien był nigdy na nim nie siadać.

Och, dość tego! Powinien, nie powinien, mógł. Przegrał i koniec tematu.

Został z nią.

I chciał z nią zostać na zawsze.

– Czas na nas – szepnęła.

– Tak. Wiem.

Było już późno. Musieli jechać. Nie mieli czasu kochać się jeszcze raz. Nie mogli leżeć i po prostu cieszyć się swoją bliskością. Napawać się spełnieniem.

Pomógł jej się ubrać, a ona pomogła jemu. Poszło im zdecydowanie za szybko.

Jazda do Clevedon House była za krótka.

Nie zdążył nacieszyć się jej pięknym profilem wyłaniającym się z mroku w świetle latarni. Spodziewał się, że jeszcze ją zobaczy. Noirot życzyła sobie, by trzymał się z daleka i oczywiście taki miał zamiar, ale może kiedyś… Przypadkiem… Przecież sam często robił zakupy w tej okolicy.

Ale już nigdy nie zobaczy jej takiej. Na wpół ukrytej w mroku powozu. Nigdy nie znajdzie się na tyle blisko, by czuć jej oszałamiający zapach. Lekki, a jednak uderzający do głowy. Nigdy już nie usłyszy delikatnego szelestu jej bielizny pod piękną suknią.

Skarcił się w duchu. Przecież niebawem o wszystkim zapomni. Wszystkie tak ważne teraz szczegóły ulotnią się z jego pamięci.

Zapomni, jak stał na chodniku, udając, że nie patrzy na jej kostki, gdy wspinała się do powozu. Zapomni jej dygnięcie godne sonetów. Zapomni, jak kochali się po raz pierwszy i oplotła jego talię nogami, jęcząc cicho za każdym razem, gdy wbijał się w nią bez opamiętania. Zapomni o własnej rozkoszy, tak wstrząsającej, że słowo „rozkosz” wydaje się zupełnie nie na miejscu.

Zapomni o tym wszystkim, zapomni o dzisiejszej nocy.

Wspomnienia będą żywe jeszcze przez jakiś czas, a potem zbledną. Zbledną też ból, żal, gniew i smutek.

Ofiarowała mu noc godną zapamiętania. Ale przecież o niej zapomni…

* * *

Siostry Noirot wstały wcześnie. O wpół do dziewiątej były już w sklepie. Niebawem pojawiły się podekscytowane szwaczki i wkrótce pilnie pracowały przy nowych stanowiskach. O trzynastej butik otworzył swe podwoje dla klientek, jak obiecywały reklamy w prasie i prywatne liściki, które Sophy słała bez wytchnienia przez cały poprzedni dzień.

Kwadrans po trzynastej lady Renfrew i pani Sharp pojawiły się na umówione przymiarki. Wartki strumień klientek wpływał do butiku aż do zamknięcia. Niektóre damy przyszły na zakupy. Niektóre chciały tylko obejrzeć nowy salon. Siostry Noirot nie miały ani chwili wytchnienia.

Marcelline powtarzała sobie w duchu, że jest ogromnie szczęśliwa.

Byłaby głupia, gdyby pragnęła czegoś więcej.

Rozdział 14

Prawdziwa angielska dama wie, że człowieka zdobi
dobrze skrojona suknia. Nie zapomina także
o doniosłej roli aplikacji, ozdób i dodatków.

Magazyn „La Belle Assemblée”, reklama
z czerwca 1807 roku

3 maja, sobota

W Clevedon House panowała przygnębiająca cisza. Korytarze świeciły pustkami, służba znów była niewidoczna. Nikt nie biegał z pokoju do pokoju. Żadna panna Noirot nie wpadała znienacka do biblioteki.

Clevedon stał nad stolikiem zasypanym damskimi magazynami i gazetami. Z pierwszej strony „Porannego Zwierciadła” krzyczała do niego reklama nowych weneckich gorsetów madame Noirot. Poczuł gorycz żalu, a potem nagły przypływ gniewu. Kiedy to się wreszcie skończy?

Wiedział, że powinien wrzucić wszystkie gazety do kominka, razem z brukowcem Foxe’a. Tymczasem usiadł przy nich, studiując wnikliwie artykuły i robiąc notatki.

Uznał, że to dlatego, iż umiera z nudów. Że to tylko rozrywka, lepsza niż skorzystanie z piętrzących się na tacy zaproszeń. Choć, oczywiście, była to również strata czasu.

Zadzwonił na lokaja i poprosił, żeby przysłał Hallidaya.

Po trzech minutach Halliday wszedł do biblioteki.

Clevedon odłożył „Poranne Zwierciadło”.

– Jesteś wreszcie. Chciałbym, żebyś wysłał panience Noirot domek dla lalek.

Po niemal niezauważalnej chwili wahania Halliday odparł:

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Clevedon spojrzał na kamerdynera z uwagą.

– Wszystko w porządku? Myślę, że domek zniesie dwudziestominutową przejażdżkę na St. James, nie uważasz? Jest stary, zgadzam się, ale zdawało mi się, że w całkiem dobrym stanie.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Oczywiście, nie ma najmniejszego problemu. Zajmę się tym natychmiast.

– Ale?

– Słucham, Wasza Wysokość?

– Słyszę „ale” – powtórzył Clevedon. – Wyraźnie słyszę to „ale”, o którym boisz się powiedzieć.

– Nie jest to „ale”, Wasza Wysokość – wyznał Halliday – lecz raczej impertynencja, za którą bardzo przepraszam.

Clevedon wpatrzył się w niego wyczekująco. Halliday dyskretnie westchnął.

– Odnieśliśmy wrażenie, że panienka Erroll, to znaczy panienka Noirot jednak nas jeszcze odwiedzi.

Clevedon wstał zza biurka.

– Skąd, u diabła, takie wrażenie?!

– Być może nie było to wrażenie, lecz raczej nadzieja, sir – wyjaśnił Halliday. – Zgadzamy się, że panienka Noirot jest taka czarująca.

„My”. To znaczy cała służba. Clevedon patrzył na kamerdynera ze zdumieniem.

– One mają coś w sobie. Zdają się oczarowywać wszystkich dookoła.

Pokojówka Sarah odjechała do Maison Noirot ze śpiewem na ustach, by opiekować się Lucie, dopóki matka nie znajdzie dla niej odpowiedniej guwernantki. Panna Sophy bez trudu oczarowała bezdusznego na ogół Longmore’a.

– W istocie, panie Noirot są pełne wdzięku – przyznał Halliday – lecz pani Michaels i ja sam bardziej jesteśmy pod wrażeniem ich manier. Nie zachowują się jak mieszczki. Pani Michaels jest przekonana, że tak naprawdę są to prawdziwe damy.

– Damy!

– Wierzy, że są damami, które znalazły się w trudnych okolicznościach życiowych.

Clevedon przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie z Marcelline i zdumienie, jakiego doznał na wieść, że nie jest damą. Zachowywała się jak arystokratka, a jednak wielokrotnie powtarzała, że nią nie jest.

Prawda?

– To bardzo romantyczne – powiedział. – Wiem, że pani Michaels gustuje w takich powieściach.

– Bez wątpienia Wasza Wysokość ma rację. Wyznaję jednak, że bardzo nas zaskoczyły. Pani Michaels była wręcz oszołomiona, gdy jej przekazałem, że będziemy gościć jakieś mieszczki. Powiedziała mi jednak, że gdy je poznała, jej wstrząs tylko się pogłębił. Wcale nie wydały jej się mieszczkami.

Służba była znacznie bardziej wyczulona na kręgi społeczne niż arystokraci. Każdy kamerdyner wyczuje prostaka z odległości stu metrów. Rozpozna krętacza, gdy ten tylko otworzy usta. Tymczasem służba Clevedona uznała, że panie Noirot to przebrane damy.

Cóż, to tylko potwierdza, jak sprytne są trzy siostry. Urocze, ekscytujące, trzy wersje pradawnej Ewy nakłaniające mężczyzn do…

Na litość boską, dość tego! To przez te gazety i niedorzeczne romanse!

– Przecież widziałeś je przy pracy – burknął do Hallidaya. – Znają swój fach.

– Z pewnością dlatego pani Michaels wierzy, iż są szlachciankami w opresji. Muszę przyznać, że w pierwszej chwili byłem przekonany, że to jeden z żartów Waszej Wysokości. Błagam o wybaczenie, ale uznałem, że przywiózł pan jakieś kuzynki z zagranicy i sprawdza naszą czujność. Oczywiście tylko przez chwilę. Wszak przekonałem się prędko, że pożar nie był wcale żartem.

Lokaj Thomas uchylił drzwi.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, lord Longmore przyszedł i…

Longmore odepchnął lokaja i wmaszerował do biblioteki.

– Ty łajdaku! – ryknął i wymierzył cios w twarz Clevedona.

* * *

Maison Noirot

Lucie siedziała przy oknie, wyglądając na ulicę.

Siedziała tam już od kilku godzin.

Marcelline wiedziała, czego Lucie wypatruje, i obawiała się rozmowy, która musiała nastąpić.

– Czas na herbatę, skarbie – powiedziała. – Sarah ustawiła już serwis na twoim stoliku, lalki też siedzą i czekają na ciebie.

Lucie milczała.

– Po herbacie Sarah zabierze cię na spacer do Green Park, gdzie przechadzają się wytworni dżentelmeni i piękne damy.

– Nie mogę wyjść – wzdrygnęła się Lucie. – A jeśli on przyjdzie, a mnie nie będzie? Będzie bardzo rozczarowany!

Marcelline westchnęła.

Podeszła do parapetu i usiadła obok córki.

– Jego Wysokość nie przyjdzie już do nas, skarbie. Opiekował się nami przez jakiś czas, ale jest bardzo zajęty…

– Dla mnie zawsze miał czas.

– Nie jesteśmy jego rodziną, kochanie.

Lucie zmrużyła oczy i zacisnęła wargi.

– Przygotował dla nas piękny dom – ciągnęła Marcelline z trudem. – Zobacz tylko, jakie śliczne rzeczy kupił dla ciebie. Serwis do herbaty i stolik. Krzesełko i najpiękniejsze łóżeczko na świecie. Ale ma swoje życie i nie będzie…

– Nie! – Lucie zeskoczyła z parapetu. – Nie! Nie! Nie!

– Lucie Cordelio!

– Nie jestem Lucie! Jestem Erroll. Nigdy już nie będę Lucie. On do mnie wróci! Kocha mnie! Kocha Erroll!

Rzuciła się na dywan, szlochając i kopiąc bezładnie.

Do pokoju wpadły Sophy i Leonie. Sarah wbiegła tuż za nimi i stanęła w progu jak wryta. Pierwszy raz widziała Lucie w zwykłym dla niej ataku szału. Chciała podejść do dziewczynki, ale Marcelline zatrzymała ją gestem.

– Lucie Cordelio – powiedziała spokojnie. – Już dość. Wiesz przecież, że damy nie rzucają się z krzykiem na podłogę.

– Nie jestem damą! Nienawidzę cię!

Sarah zakryła usta dłonią.

– Uspokój się, Erroll – wtrąciła Sophy – bo się od tego rozchorujesz.

– On wróci! – wrzasnęła Lucie. – Kocha mnie!

Marcelline westchnęła. Uklękła na podłodze i wzięła córkę w ramiona, ignorując wierzgające nogi i ogłuszające piski. Trzymała ją mocno i kołysała łagodnie, jak niegdyś, gdy była niemowlęciem.

– Wystarczy – szeptała czule córce do ucha. – Przestań, kochanie. Musisz się zachowywać jak duża dziewczynka.

Lucie powoli przestała kopać i wierzgać. Piski przeszły w cichy szloch.

– Dlaczego nie możemy tam zostać? – Dziewczynka płakała rozpaczliwie. – Dlaczego książę nie chce ze mną mieszkać?

Marcelline podniosła się z Lucie w ramionach i przysiadła na parapecie, kołysząc dziecko uspokajająco.

– Gdyby każdy, kto cię kocha, mógł z tobą mieszkać, to gdzie byśmy mieszkały? Gdzie ja miałabym się podziać? Nie chcesz już mieszkać z mamą, ciocią Sophy i ciocią Leonie? Jesteśmy dla ciebie za biedne? Chcesz nas porzucić i zamieszkać w pałacu? Jak sądzisz, ciociu Sophy? Czy powinnyśmy ubrać Erroll w sukienkę księżniczki i odesłać do pałacu?

Plotła bzdury, ale to uspokajało dziewczynkę. Zacisnęła ramiona na szyi Marcelline.

– Mogę tu mieszkać – burknęła. – Ale dlaczego on do nas nie przyjdzie?

– To prawdziwy książę, kochanie – powiedziała Marcelline. – Ma swoją rodzinę. Niedługo się ożeni i będzie miał dzieci. Nie możesz mieć każdego dżentelmena, który ci się spodoba.

Erroll ucichła. Marcelline widziała, że intensywnie myśli. Miała dopiero sześć lat i własny rozum, ale wizja zostania księżniczką mocno poruszyła jej wyobraźnię.

Sarah odezwała się nieśmiało:

– Mam pomysł, panienko Erroll. Wypijmy razem herbatę, a potem pójdziemy do Green Park. Może uda nam się spotkać księżniczkę Wiktorię. Czy wie panienka, kim ona jest? To siostrzenica króla i pewnego dnia zostanie królową Anglii!

– Jeśli rzeczywiście ją spotkacie – pokiwała głową Marcelline – musicie dobrze zapamiętać, w co jest ubrana, a potem dokładnie nam o tym opowiedzieć.

* * *

W chwili gdy przy St. James dziewczynka wpadła w szał, w bibliotece Clevedon House w szał wpadł hrabia Longmore. Książę bez trudu unieruchomił pięści przyjaciela w stalowym uścisku. Trochę się szamotali, wreszcie Longmore oklapł i zaczął krzyczeć.

Halliday taktownie wycofał się z biblioteki i zamknął drzwi. Longmore nie zdołał uderzyć Clevedona ani sprowokować go do bójki, krążył więc po bibliotece jak lew w klatce i pił brandy olbrzymimi haustami.

Książę wiedział, że zasłużył na tę awanturę, mimo to z trudem znosił fochy przyjaciela. Sam wcale nie bawił się dobrze, wręcz przeciwnie. Miał wrażenie, że całe jego życie to katastrofa.

– Nie zasługujesz na moją siostrę! – wykrzykiwał Longmore. – Nie powinienem był w ogóle jechać do Paryża. Clara ostro zmyła mi za to głowę i miała rację. Mogłeś tam sobie zgnić. A ja mogłem ją zachęcić do rozejrzenia się wśród adoratorów. Powinienem był wiedzieć, że się do tego nie nadajesz. Ale nie. Nie! Byłem kompletnie zaślepiony. Nawet dziwiłem się, że tak prędko wróciłeś i wmawiałem sobie, że to pewnie z tęsknoty za Clarą. Mój Boże, byłem równie naiwny jak ona!

– Nie przypominam sobie, byś wyznaczył mi konkretną datę powrotu – wtrącił Clevedon.

– Mówiłem, że koniec miesiąca wystarczy. Wiedziałem, że jeszcze nie jesteś gotowy. Chciałem tylko powiedzieć matce, że kiedyś wrócisz. Żałuję, że jej nie powiedziałem, żeby dała sobie z tobą spokój. Właściwie teraz też mogę jej to powiedzieć.

– Jeśli cała ta awantura dotyczy krawcowej…

– A kogóż innego miałaby dotyczyć? – warknął Longmore. – Kto tak doszczętnie gardził przyzwoitymi zasadami…

– „Gardził przyzwoitymi zasadami” – zakpił Clevedon. – Nie wierzę, że słyszę to z twoich ust. Od kiedy dbasz o przyzwoitość i zasady? Własny ojciec spakował ci walizkę i wysłał w podróż, żeby oszczędzić sobie wstydu.

– Nigdy nie zgrywałem świętoszka…

– Całe szczęście. Nikt by ci nie uwierzył.

– Ale nigdy też nie sprowadzałem prostactwa do rodzinnego domu!

– Dom im się spalił – wycedził Clevedon. – Wszystko było w gazetach, sądzisz, że to wymysł? Ach, po cóż w ogóle pytam? Gdybyś zadał sobie

trud myślenia, nie siedziałbyś tu, żłopiąc moją brandy jak poncz w Almacku.

– Nigdy nie tknąłem ich ponczu.

– Nigdy też nie myślałeś. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło i nie jestem pewien, czy mnie to w ogóle obchodzi. Panie Noirot nie mieszkają już u mnie. Były tu zaledwie kilka dni.

– Nie mogłeś umieścić ich w hotelu?

– Niczego nie rozumiesz. – Clevedon machnął ręką. – One prowadzą biznes. Nie stać ich na przerwę w pracy. Potrzebowały miejsca dla szwaczek. Potrzebowały mojej pomocy. To był najprostszy plan. Prawie zwariowały ze strachu, że nie dokończą sukni dla Clary…

– Nie mów o niej i o tamtych jednocześnie, ty zdradziecka świnio!

– Nie ma ich tutaj, idioto! W sobotę rano wyniosły się na dobre!

– A w piątek wieczorem poszedłeś z brunetką do łóżka!

Tego Clevedon się nie spodziewał. To było jak jeden z tych zdradzieckich ciosów Longmore’a nadchodzących nie wiadomo skąd.

Zdawało mu się przez chwilę, że krew zalała mu oczy. Zacisnął pięści.

– Pokusa, by cię zatłuc, staje się trudna do okiełznania.

– Nie mów do mnie takim tonem, jakbym uraził jej cnotę.

– Tylko skończony drań mówi w ten sposób o kobietach.

– Byłeś z nią – powtórzył Longmore. – Nie zadbałeś nawet o dyskrecję. Byłem u White’a, kiedy jeden ze znajomych powiedział mi, że widział na Bennet Street twój powóz. Zaczęli się zastanawiać, co tam robisz. W końcu teatralnie trzepnąłem się w czoło i powiedziałem, że jesteśmy przecież umówieni, a ja całkiem o tym zapomniałem. Wyszedłem na Bennet Street, stanąłem przed drzwiami butiku i czekałem, aż wyjdziesz. I czekałem. I czekałem.

– Pewnie umierałeś z nudów – prychnął Clevedon. Serce mu łomotało ze wstydu i z zażenowania. I pod wpływem wspomnień.

Longmore wlał w siebie resztkę brandy, odmaszerował do stolika i ponownie napełnił szklankę. Pił długo.

– Wszyscy się z ciebie śmieją – stwierdził. – Nigdy wcześniej nie widziałem cię w takim stanie. Ta kobieta omotała cię jakimś czarem, to pewne. Gdyby to był zwykły romans, poprosiłbym cię w dwuznacznych słowach o trochę dyskrecji. Niech to szlag trafi, Clevedon! Mogłeś chociaż powiedzieć stangretowi, żeby czekał na ciebie gdzieś na uboczu!

– Nie mogłem – odparł Clevedon. – Planowałem wejść tam na kwadrans. Wybacz, że czekałeś tak długo.

– Myślałem, że umrę z nudów – burknął hrabia. – I z wściekłości. Co mam teraz zrobić, do diabła?! Jak się zachować wobec Clary? Czy jako jej brat mam jej powiedzieć, że dżentelmen, na którego od tylu lat czeka, najwidoczniej stracił głowę dla krawcowej? To ją załamie. Zawsze była bardzo pobłażliwa dla twoich wybryków, wiesz o tym. Przymykała oczy i zajmowała się sobą. Ale to… To nie jest zwykły wybryk.

– To było pożegnanie – wycedził Clevedon. – Może dłuższe, niż planowałem, ale jednak pożegnanie. Rozumiesz, co mówię? Pani Noirot chciała jedynie ubierać moją żonę. Zdaje mi się, że jest jej zupełnie wszystko jedno, kto nią zostanie, choć Clara spodobała jej się, bo ma dobrą figurę do prezentowania tych diabelskich sukien. Byłem nią przez chwilę opętany, przyznaję. Znasz mnie zresztą, kiedy spotkam interesującą kobietę, muszę ją mieć. Ale to już za nami. To było pożegnanie. Muszę cię prosić, byś zostawił to dla siebie i nie mieszał w to Clary. To sprawi jej wyłącznie ból, a dlaczego miałaby cierpieć z powodu mojej głupoty?

– Przysięgasz, że to już koniec? – zapytał Longmore.

– Ja…

Drzwi biblioteki rozwarły się gwałtownie i Clevedon nie dokończył zdania. Halliday stanął na progu z małą srebrną tacą w dłoniach. Coś się stało. Halliday nie przynosił listów, robił to lokaj. I nigdy nie wszedłby do biblioteki w czasie wizyty.

– Wasza Wysokość raczy mi wybaczyć to najście, lecz ta wiadomość nie mogła czekać – oświadczył dobitnie kamerdyner.

Clevedon, nie zwlekając, przeciął bibliotekę kilkoma krokami, chwycił kopertę i rozdarł ją z pośpiechem.

Nie było tam nawet słów powitania. Tylko pięć wyrazów: „Potrzebujemy twojej pomocy. Lucie uciekła”. I podpis: „M”.

* * *

W niecałe dwadzieścia minut Clevedon i Longmore dotarli do butiku. Dziecko zniknęło niebawem po powrocie ze spaceru. Sarah przygotowała

dla niej kąpiel, lecz dziewczynki nie było już w pokoju. Marcelline powiedziała, że przeszukały calutki dom.

– Uciekła – potwierdziła ze zgrozą. – Wyszła przez okno na tyłach domu. Nigdy nie zostawiłabym otwartego okna, gdybym wiedziała, że wpadnie na taki pomysł!

Musiała nauczyć się tego od Clevedona. Tak właśnie wydostali się z pożaru. Wprawdzie miała mieć zamknięte oczy, ale słyszała zapewne wiele opowieści o jego bohaterskim czynie.

– Macie pomysł, dokąd mogła pójść? – zapytał. – Jakąkolwiek wskazówkę?

– Miała w południe istny atak histerii – wyznała Marcelline. – Ale potem wydawała się zupełnie spokojna. Sarah mówiła, że w parku była bardzo wesoła.

Pokojówka nagle zasłoniła usta dłonią.

– Co się stało? – prędko zapytał Clevedon. – Mów szybko. Nie mamy chwili do stracenia.

Sarah się rozpłakała.

– Przepraszam – wyjąkała. – To moja wina, madame. Och, jak mogłam być taka głupia?

– Co się stało, do licha?! – ryknął Clevedon.

Sarah otarła oczy. Na jej twarz wypłynęły krwiste rumieńce.

– Kiedy byłyśmy w parku, panienka Erroll wypytywała mnie o rodzinę Waszej Wysokości i o to, dlaczego nie mieszka w Clevedon House. Powiedziałam, że Wasza Wysokość nie ma jeszcze własnej rodziny i pokazałam widoczny z parku Warford House. Powiedziałam, że mieszka tam dama, z którą książę się ożeni. Wtedy zrobiła taką dziwną minę. Wiedziałam już, że nie powinnam była jej tego mówić. Tak strasznie rozpaczała, kiedy się dowiedziała, że Wasza Wysokość już nie wróci.

Clevedon spojrzał na Marcelline.

– Czekała na Waszą Wysokość – odparła słabo Marcelline. – Powiedziałam jej, że nie ma na co czekać, i wpadła w szał.

Niewinna, słodka dziewczynka czekała na niego. A on miał już nigdy nie przyjść.

To jego wina. Dał jej lalkę, którą pokochała i przez którą omal nie straciła życia. Zamieszkała w jego domu. Była rozpieszczana przez służbę

i bawiła się wielkim domkiem dla lalek. Cóż innego mogła pomyśleć, jeśli nie to, że stał się częścią jej życia, członkiem jej rodziny?

Zachowywał się tak samolubnie i bezmyślnie. Myślał tylko o sobie i o tym, jak za wszelką cenę dotrzeć do celu. A teraz… Dziewczynce może się coś stać.

Tak właśnie ojciec doprowadził do śmierci matki i Alice. Myślał tylko o sobie.

Clevedon był zdruzgotany.

– To już jakiś trop – rzekł z trudem. – Można by założyć, że chciała mnie odnaleźć i ruszyła do Clevedon House.

– Nie zna drogi – wzdrygnęła się Marcelline. – Jechałyśmy tu powozem. Na pewno by nie trafiła.

Clevedon stwierdził w duchu, że niejedna dorosła dama nie znalazłaby drogi.

Sześciolatka jest sama na ruchliwych ulicach Londynu, a do zmroku niedaleko. Może być wszędzie!

– Trzeba zawiadomić policję – zdecydował. – Może już ją znaleźli. Na pewno zwróciliby uwagę na bogato ubrane dziecko samo na ulicy.

Podobnie jak rzezimieszki.

Jak straszny popełnił błąd, jakże przerażające mogą być jego konsekwencje. Uciekła sposobem, jaki jej pokazał. Uciekła do niego.

Zwrócił się do Longmore’a:

– Wyślij jednego lokaja na posterunek. Muszę cię też prosić o wezwanie całej twej służby. Ja wezwę swoją. Przeczeszemy ulice.

– Lucie boi się ciemności – szepnęła Marcelline ze zgrozą. Oczy miała zaczerwienione, ale nie płakała. – Boi się ciemności!

Siostry ją objęły. On nie mógł tego zrobić. Nie mógł jej pocieszyć.

Nie wiedział, czy bardziej cierpi dlatego, że nie może jej przytulić, czy przede wszystkim boi się o Lucie.

– Znajdziemy ją przed zmrokiem – obiecał. – Bałbym się o wiele bardziej, gdyby uciekła z waszego poprzedniego domu.

St. James to bezpieczniejsza okolica, tłumaczył sobie. Niedaleko pałacu królewskiego, w otoczeniu eleganckich klubów. Oczywiście wszędzie było groźnie, jednak tu przynajmniej nie wpadnie w łapy uliczników. Poza tym to małe dziecko. Nie mogła ujść daleko.

Ale ktoś mógł ją już zabrać, a wtedy…

Nie. Nikt jej nie zabierze. Clevedon wiedział, dokąd poszła. I znajdzie ją.

* * *

Wpół do czwartej nad ranem

Nic.

Ani śladu Lucie.

Policja. Prywatni detektywi. Cała służba Clevedona i Longmore’a. Wszyscy szukali, przemierzali ulice i stukali do drzwi. Zatrzymywali powozy i dorożki.

Nikt jej nie widział.

Clevedon, Longmore i Marcelline przemierzali Bennet Street i St. James, wstępując do wszystkich sklepów i klubów. Zaglądali w podwórka i boczne alejki. Przeczesali plac St. James.

Gdy zapadł zmrok, Clevedon chciał odesłać Noirot do domu, ale powiedziała, że nie zniosłaby bezczynnego siedzenia. Chodziła bez wytchnienia, aż zaczęła dygotać z wyczerpania. Nawet wtedy nie zdołał jej przekonać, by wsiadła do powozu, choć był otwarty i być może z wysoka łatwiej dostrzegłaby Lucie.

O trzeciej nad ranem niemal siłą zaciągnął ją do domu.

– W tym stanie nie pomożesz już nikomu – przekonywał. – Musisz odpocząć.

– Jakże mam teraz odpoczywać? – rozpaczała Marcelline.

– Połóż się. Oprzyj stopy na wysokiej poduszce. Napij się brandy. Jadę do domu zrobić to samo. Poszukiwania wciąż trwają. Nie przestaną jej szukać. Wrócę z Longmore’em, kiedy wzejdzie słońce.

– Ona się boi ciemności – chlipnęła Marcelline.

– Wiem.

– Co ja zrobię?

Domyślił się. Chciała zapytać: „Co ja zrobię, jeśli jej nie znajdziemy?”.

– Znajdziemy ją – zapewnił.

Rozmowa ta wracała do niego raz po raz, gdy wyciągnął się na sofie w bibliotece. Próbował się zdrzemnąć, ale nie był w stanie zamknąć oczu.

Wstał wreszcie i zaczął krążyć po pokoju.

Musiał przemyśleć to, czego nie chciał do siebie dopuścić. Że ktoś ją porwał. Ktoś przecież mógł ją porwać. Odetchnął z drżeniem. No dobrze. Jednak nie wszystko byłoby stracone. Łajdak zaraz sam by się odezwał. Któż chciałby trzymać w ukryciu bogato ubrane dziecko, gdyby mógł dostać za nie sowitą nagrodę?

Czy policjanci o tym pomyśleli? Clevedon usiadł przy biurku i zaczął spisywać strategię i robić notatki, czekając na poranek.

* * *

Obudziło go znaczące kaszlnięcie.

Otworzył z trudem oczy. W ustach czuł niesmak, a głowa tak mu ciążyła, że w pierwszej chwili pomyślał, iż ma pierwszorzędnego kaca. Potem spostrzegł, że opierał ją na biurku. I wreszcie przypomniał sobie wszystko.

Poderwał głowę. Zobaczył Hallidaya.

– Co? – wykrzyknął schrypniętym głosem. – Co się stało? Która godzina?

Spojrzał w okno. Słońce właśnie wstawało. W porządku.

– Kwadrans po siódmej, Wasza Wysokość.

– Dobrze. Dziękuję, że mnie obudziłeś. Nie chciałem zaspać.

– Ktoś chce się z panem pilnie zobaczyć, Wasza Wysokość.

– Policja? – zapytał Clevedon. – Znaleźli ją?

Zauważył, że Halliday z trudem utrzymuje swą obojętną maskę doskonałego kamerdynera.

Clevedon zerwał się na równe nogi. W uszach słyszał szum krwi, serce mu łomotało.

– Co?! Co się stało?

– Wasza Wysokość wybaczy…

– Wybaczę co?!

Halliday wyszedł na korytarz.

– Halliday!

Do biblioteki wszedł lokaj, niosąc na rękach bardzo brudną, przemoczoną dziewczynkę.

– Jego Majestat zasyła pozdrowienia i zapytuje, czy ta zguba należy do pana – wyjąkał wzruszony Halliday.

* * *

Powóz podjechał na St. James później, niż Clevedon obiecał. Słońce już wstało i Marcelline zrezygnowała z daremnych prób zjedzenia śniadania, które przygotowały jej siostry. Nie zmrużyła oka nawet na chwilę. Bała się.

Czekała, gotowa do wyjścia, przemierzając butik wzdłuż i wszerz. Zobaczywszy powóz, wybiegła i prawie zderzyła się z pędzącym ku niej Josephem.

– Wszystko w porządku, pani Noirot! – wykrzyknął uradowany lokaj. – Mamy ją! Jest cała i zdrowa. Jego Wysokość załącza pozdrowienia i przeprasza, że nie odesłał jej od razu, ale panienka Noirot odmówiła. I w związku z tym poleca zapytać, czy góra zgodziłaby się przyjść do Mahometa, jeśli dobrze zapamiętałem.

* * *

Marcelline znalazła ich w bawialni. W jednej z wielu bawialni. Leżeli oboje na dywanie, otoczeni ołowianymi żołnierzykami, konikami, armatami i innymi wojennymi atrybutami.

Lucie miała na sobie strój pazia. Spodenki i marynarkę uszyte na chłopca nieco wyższego od niej i czerwone pończochy, bez butów. Włosy miała związane z tyłu czymś, co przy bliższych oględzinach okazało się męską chusteczką. Z uwagą obserwowała, jak Clevedon rozwija przed nią zastęp kawalerii. Książę pierwszy spostrzegł Marcelline i prędko wstał.

Lucie podniosła głowę.

– Mamo! – krzyknęła.

Marcelline uklękła i rozłożyła ramiona. Dziewczynka rzuciła się jej na szyję.

– Moje dziecko, moje dziecko – szeptała Marcelline. Wtuliła twarz w ciepłą szyję córki, wdychając znajomy zapach jej ciała zmieszany

z wonią kwiatów. Mydło. Włosy Lucie były wciąż wilgotne.

Tuliła ją długo, aż Lucie zniecierpliwiła się i wyswobodziła z jej ramion.

– Mamo, bawimy się żołnierzykami – oświadczyła dziewczynka.

Marcelline złapała ją za ramiona i spojrzała w wielkie błękitne oczy. Oczy jej babki, DeLucey.

– Uciekłaś – powiedziała. – Przeraziłaś nas na śmierć.

Lucie wydęła usteczka.

– Wiem – przyznała. – Jego Wysokość mówi, że nigdy więcej nie mogę tego robić i że damy nie wyłażą przez okno. Ale byłam w rozpaczy, mamo!

– I nie chciałaś wrócić do domu – ciągnęła Marcelline. – Musiałam po ciebie przyjechać. Co teraz będzie, panno Lucie Cordelio?

– Jestem Erroll. Musiałam się wykąpać. Strasznie byłam brudna. Schowałam się w stajniach, kiedy chcieli mnie odwieźć do domu, i wpadłam do koryta.

Marcelline spojrzała bezradnie na Clevedona. Stał nieopodal, przekładając ołowianego żołnierzyka z ręki do ręki.

– Na ile możemy wywnioskować z jej opowieści, szła dobrą drogą do Clevedon House aż do Pall Mall i tam najwyraźniej źle skręciła – powiedział. – Wałęsała się przy pałacu i dotarła do bramy. Naturalnie straże zauważyły ją od razu i zaniepokoiły się, że dziecko chodzi samo po ulicach. Wszystko wskazuje na to, że domyśliła się wtedy, gdzie jest, bo gdy ją grzecznie spytali, kim jest i gdzie mieszka, oświadczyła, że jest księżniczką Erroll z Albanii i życzy sobie rozmawiać z księżniczką Wiktorią.

– *Mon Dieu* – jęknęła Marcelline. – Zażądałaś spotkania z księżniczką? Powiedziałaś im, że sama też nią jesteś?

– Jestem księżniczką, mamo. Księżniczką Erroll, przecież wiesz.

– Lucie, to nie jest twoje prawdziwe imię. Jesteś księżniczką Erroll na niby!

– Wiem, mamo. Ale czy Jej Wysokość przyszłaby do mnie, gdybym powiedziała, że panna Lucie Cordelia Noirot chce z nią porozmawiać? Sama powiedz!

Marcelline spojrzała w oczy Clevedona.

– Żałuję, że nie widziałem ich min – szepnął. – Nie mieli pojęcia, co zrobić. Kiedy powiedzieli jej, że księżniczka jest zajęta, łaskawie zgodziła się zaczekać. Cóż mieli zrobić? Nigdy nie słyszeli o księżniczce Erroll z Albanii, ale widzieli jej maniery.

Marcelline podniosła się i chwyciła za głowę. Czuła, że to zaczyna ją przerastać. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było wyjawienie światu ich pochodzenia. Londyńczycy unikaliby jej i jej sklepu jak gniazda cholery.

– Lucie nie jest księżniczką – jęknęła. – To tylko zabawa.

Clevedon spojrzał na nią dziwnie.

– Tak czy siak, nie mogli jej wyrzucić na ulicę.

– Nie wpadli na to, żeby zawiadomić policję?

– Zapewne wpadli, ale sama wiesz… – Zawahał się. – Uznali, że to jakaś delikatna królewska sprawa. Policja nie byłaby mile widziana.

Marcelline zrozumiała aluzję. Rodzina królewska nie była znana ze wstrzemięźliwości. Król miał dziesięcioro dzieci z jedną tylko kochanką. Kto wie, ilu jego potomków mogło być na świecie.

– Starali się to sami rozwikłać – ciągnął Clevedon. – Próbowali rozmaitych form przekupstwa, lecz Jej Wysokość księżniczka Erroll z Albanii przyjmowała dary jako należny sobie hołd. Wreszcie zasnęła w jednej z królewskich karoc. Straże posłały gońca do pałacu z prośbą o instrukcje i dopiero późną nocą dostały naszą notatkę o zaginięciu. Założę się, że kiedy się domyśliła, że odwiozą ją do domu, mieli istne urwanie głowy. Doszli do porozumienia dopiero, gdy obiecali, że przywiozą ją tutaj. Przynieśli mi ją o świcie wraz z królewskimi pozdrowieniami.

Marcelline nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Obawiała się, że wpadnie w histerię.

Cała ta absurdalna historia wydała się jej zbyt znajoma. Jej rodzice robili to ciągle. Bezczelnie podawali się za kogoś, kim nie byli: hrabinę czegoś tam czy księcia czegoś innego.

– Bardzo mi przykro, że sam król musiał się z tym borykać – oznajmiła tak spokojnie, jak tylko zdołała.

– Lucie, twoja mama i ja musimy porozmawiać na osobności – stwierdził Clevedon. – W tym czasie ustaw, proszę, armię w czworobokach, jak ci tłumaczyłem, jeśli planujesz rozetrzeć Francuzów w pył wzorem księcia Wellingtona.

Rozdział 15

Pałac ten – wzór majestatycznej prostoty – zbudowano
na planie czworoboku, z wielką wjazdową bramą.
Od Tamizy oddzielał go ogród z ogromną liczbą drzew,
tworzący przyjemne dla oka tło i zasłaniający
te zwykle nieprzystojne budynki tłoczące się
wzdłuż rzeki.

Leigh Hunt, *Miasto: niezapomniane style i wydarzenia*,
tom 1 (1848)

Clevedon zaprowadził Marcelline do ogrodu. Byli doskonale widoczni przez setki okien pałacu. To było najlepsze miejsce na dyskretną rozmowę. Z dala od wścibskich uszu i na widoku ciekawskich służących. Clevedon wiedział, że będzie zmuszony zachować stosowny dystans.

Nie będzie czuł jej zapachu, obezwładniającego myśli i rozpraszającego rozsądek.

Stanęli pośrodku ogrodu, gdzie przecinało się kilka alejek.

– Nie powinienem był obiecywać, że już nigdy się nie spotkamy – oznajmił. – Nie przypuszczałem, że Lucie tak to przeżyje.

– Nie możesz brać tego pod uwagę – zaprotestowała Noirot.

– Przeżyła coś okropnego! – uniósł się Clevedon.

– Dzieci są odporne. Zrobi nam kilka scen, jak zwykle, kiedy coś idzie nie po jej myśli, a potem się uspokoi.

– Często ucieka z domu?

– Nie. I to się więcej nie powtórzy.

– Tego nie możesz być pewna – odparł z naciskiem. – To musiało ją bardzo wiele kosztować. Nie sądzę, by się na to poważyła, gdyby nie była w rozpaczy.

– Była w rozpaczy, bo nie wszystko ułożyło się tak, jak sobie życzyła. Przecież doskonale wie, że ulice są niebezpieczne, ale była zbyt wściekła,

by dbać o zasady i pamiętać o przestrogach. A Sarah jej nie zna i nie potrafiła rozpoznać znaków zapowiadających bunt.

Nerwy Marcelline były napięte jak struny. Widać było, że jest wyczerpana. Twarz miała bladą i wymizerowaną. Po ogromnej uldze, która spłynęła na nią na wieść o odnalezieniu Lucie, poczuła silne znużenie, które uparcie ignorowała. Powinien zmierzać do sedna. Noirot chce pozbyć się go na zawsze z własnego życia i z życia Lucie.

Jest matką dziewczynki, oczywiście. Jednak Clevedon wiedział, że rodzice nie zawsze mają rację, a w tym wypadku był przekonany, że Marcelline jej nie ma.

– Wydaje mi się, że się mylisz – zaczął ostrożnie.

– Wydaje mi się, że to moje życie i moja sprawa.

Clevedon westchnął. Musi jej powiedzieć. Nie znalazł innego sposobu.

– Kiedy zginęły moja matka i siostra – zaczął – potrzebowałem ojca. – Głęboko odetchnął, dopiero wtedy był w stanie mówić dalej. Nigdy i nikomu nie opowiadał o dzieciństwie, nawet Clarze. Okazało się to trudniejsze, niż myślał. – To był wypadek. Ojciec był pijany i wywrócił powóz. On sam przeżył. Ja… Ja nie wiedziałem, jak sobie poradzić. Miałem tylko dziewięć lat. Pewnie się domyślasz, że byłem zdruz-gotany i przerażony. Nie mam pojęcia dlaczego. Pamiętam tylko, że tak rozpaczliwie chciałem być przy nim. Ojciec jednak odesłał mnie pod opiekę ciotek i niebawem zapił się na śmierć. Wszyscy wiedzieli, że był pijakiem. Że zabił moją matkę i siostrę. Ale ja byłem jeszcze mały i nie potrafiłem tego zrozumieć. Wiedziałem jedynie, że porzucił mnie, kiedy najbardziej go potrzebowałem.

Odetchnął ponownie i zacisnął pięści.

– Lucie przeżyła coś przerażającego. Nie chcę, żeby myślała, że ją z tym porzuciłem. Myślę, że powinniśmy zrobić dla niej wyjątek. Może mógłbym ją odwiedzać? Powiedzmy, raz w tygodniu, w niedziele?

Marcelline milczała długo.

– Nie – odparła wreszcie ze spokojem. Spojrzała mu w oczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

To była dobrze mu znana maska hazardzistki. Poczuł gniew. Otworzył się przed nią, opowiedział jej coś, czego nie mówił jeszcze nikomu, a ona go odrzuca!

– Masz rację – dodała, zbijając go z tropu. – Lucie cię potrzebuje. Jest przerażona. Przeżyła coś strasznego. Ale to ja muszę ją ukoić. Mógłbyś ją odwiedzać w niedziele. Ale jak długo? Wszak nie będziesz do niej przychodzić wiecznie. A im dłużej będzie trwała wasza znajomość, tym bardziej będzie przekonana, że do niej należysz. A pomijając już Lucie i jej rozczarowanie, czy pomyślałeś, jak bardzo skrzywdzisz lady Clarę? Ile wstydu jej znowu przyniesiesz? Nic z tych rzeczy by się nie wydarzyło, Wasza Wysokość, gdybyś trzymał się swojej sfery!

Jej słowa nie różniły się od tego, co sam sobie powtarzał. Wiedział, że zachowywał się okropnie, ale chciał to przecież naprawić. Zaufał jej i zwierzył się ze wspomnień, żeby zrozumiała.

Nie spodziewał się zimnej złości, z jaką cedziła słowa. Na policzki wypłynął mu jaskrawy rumieniec, jakby go uderzyła.

– Jakże się nagle przejmujesz uczuciami lady Clary!

Odsunęła się i zaśmiała cicho.

– Przejmuję się wyłącznie jej garderobą. Kiedy to do ciebie dotrze?

Clevedon nie rozumiał jej zachowania. Przecież to jego wezwała, gdy Lucie zaginęła. Szukali jej razem, dzieląc się lękiem i nadzieją. Troszczył się o to dziecko i troszczył się o nią samą, musiała to wiedzieć.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz – szepnął.

– I co to zmienia? – zapytała z goryczą. Spojrzała mu prosto w oczy. – Muszę myśleć o butiku. Jeśli nie weźmiesz się wreszcie w garść i nie zaczniesz zachowywać z rozsądkiem, zmusisz mnie do opuszczenia Anglii. Do niczego nie dojdę, jeśli wciąż będziesz wywoływał plotki i skandale i niszczył moją reputację. I jeszcze oczekujesz wdzięczności! Myślisz tylko o sobie i swoich zachciankach. Mógłbyś się choć przez chwilę zastanowić nad sobą? Co nawyprawiałeś, odkąd spotkaliśmy się w Paryżu? Jakie były tego konsekwencje? I choć raz, błagam, Wasza Wysokość, choć jeden raz pomyśl o innych, a nie tylko o sobie!

Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie. Nie zatrzymywał jej.

Czerwona mgła przesłoniła mu wzrok. Czuł jednocześnie wściekłość, wstyd i żal i miał szczerą ochotę odpowiedzieć jej równie podle. Ale nie mógł się ruszyć.

Stał więc i nienawidził jej z całego serca. Siebie również.

Tkwił sam w ogrodzie przez długie minuty, aż wreszcie, powoli, gniew się w nim wypalił. Clevedon zadygotał z zimna. Czuł się odarty ze

wszystkich kłamstw, którymi się usprawiedliwiał. Wiedział doskonale, że wszystko, co Marcelline powiedziała, było szczerą, choć gorzką prawdą.

* * *

Tego samego dnia udał się do jubilera i kupił pierścionek z największym diamentem, jaki Rundell i Bridge mieli w sklepie. Resztę dnia spędził w bibliotece, pisząc, poprawiając i redagując oficjalną prośbę o rękę Clary. Chciał, by była idealna. Musiał wyrazić w niej swe uczucia. Wyznać, że w jego sercu nie ma miejsca dla nikogo innego. Że porzucił nieodpowiedzialne szaleństwa i stanie się dżentelmenem, na którego Clara zasługuje.

Nie sprawiło mu to większych trudności. Miał talent do lekkich, konwencjonalnych formułek, potrafił wykrzesać z nich odrobinę humoru. Na papierze jego myśli zdawały się jasne i klarowne. Pod kontrolą.

Od dziecka uwielbiał pisać do Clary, nie tylko dla rozrywki. Oczywiście dzielenie się przemyśleniami z delikatną, uduchowioną istotą sprawiało mu wiele radości, ale było w tym coś więcej. Pisząc do niej, porządkował swoje przekonania, wyrażał poglądy.

Przykładał się do oświadczyn tak bardzo, że zrobiło się już za późno, by jechać do Warford House. Clara zapewne wyszła już na jakiś bal, raut czy coś równie idiotycznego.

Pojedzie do niej jutro.

* * *

Rzecz oczywista, książę Clevedon zastukał do drzwi Warford House we wtorek, mimo iż wiedział, że we wtorki Warfordowie nie przyjmują gości. Po raz pierwszy w życiu lady Clara miała szczerą ochotę go nie przyjmować. Jednak kiedy powiedziała matce, że ma migrenę, lady Warford tylko się roześmiała.

– Lady Gorrell widziała go wczoraj u Rundella i Bridge’a. I proszę bardzo! Przyszedł dzisiaj, bo wie, że może cię mieć tylko dla siebie, a nie

w tłumie tych twoich bankrutów i lekkoduchów. Jestem pewna, że potrafisz złożyć w całość te wskazówki i możesz odłożyć migrenę na później. Najpierw wysłuchaj, co książę Clevedon ma ci do powiedzenia.

Pierścionek, oświadczyny, kolejny dzień zwłoki. Albo już dziś się wszystko wyjaśni. Mama może mieć rację, może jej też nie mieć. Clara nie miała dziś nastroju ani na oświadczyny, ani na kłótnie z matką. Od rana już trzy razy wysłuchiwała nużącego monologu lady Warford o tym, że wszyscy w towarzystwie plotkują o księciu Clevedonie, tej diablicy i jej przeklętym bachorze.

Oczywiście matka wybaczy mu wszystko i o wiele więcej, gdy tylko nałoży Clarze pierścionek na palec, i będzie już mogła pysznić się przed przyjaciółkami, których córki wyszły za mąż za poślednich hrabiów i baronów.

Wybaczy także Clarze wszystkie jej potworne występki. Wszak to jej wina, że Clevedon ugania się za krawcową. To jej wina, że jest skandalicznie nieobecny i znudzony na przyjęciach, że zapomina o wizytach, na które się umówił. To wina Clary, bo nie potrafi skupić na sobie jego uwagi.

Nic dziwnego, że gdy książę wszedł do bawialni, w której siedziała z matką, uśmiech lady Clary nie był najszczerszy. Wspomniawszy, że Longmore opowiedział im o niedzielnej „przygodzie”, matka zapytała bardzo słodkim głosem, czy aniołek ma się dobrze. Clevedon odparł, że owszem. Na każde z jej pytań odpowiadał monosylabami i wyraźnie nie chciał rozmawiać o dziecku, lecz matka z uporem drążyła temat. Wreszcie Clara poddała się własnej ciekawości.

– Czy naprawdę zażądała spotkania z księżniczką Wiktorią? – zapytała.

Roześmiał się. Wtedy nareszcie opowiedział wszystko od początku. Była to, rzecz jasna, ta sama historią, którą słyszały już od Harry’ego, ale opowiedziana w stylu Clevedona, z barwnymi opisami i udawanym dialogiem panny Noirot ze strażą, przekonującej ich, że jest księżniczką Erroll z Albanii.

– A kiedy matka wytknęła jej, że wcale nie jest księżniczką – opowiadał Clevedon – panna Lucie odparła: „Owszem, mamo, ale czy Jej Wysokość przyszłaby do mnie, gdybym powiedziała, że panna Lucie Cordelia Noirot chce z nią porozmawiać? Sama powiedz!”. Z wielkim trudem nie parsknąłem śmiechem.

Clevedon kocha to dziecko, pomyślała Clara. Co ja mam teraz zrobić?

– To dziecko ciągle wpada w jakieś tarapaty – rzekła z godnością lady Warford.

– Ma pani niezwykłe szczęście – odparł Clevedon. – Trzy córki i żadnych tarapatów.

– Doprawdy, jest pan w błędzie, Wasza Wysokość – żachnęła się lady Warford. – Im starsze są, tym więcej sprawiają problemów.

– Martwisz się jedynie, byśmy nie zostały starymi pannami, mamo – prychnęła Clara. – Albo żebyśmy nie wyszły za kogoś… nieodpowiedniego.

– Clara cierpi na migrenę – wyjaśniła prędko lady Warford, rzucając córce ostrzegawcze spojrzenie. – Jest odrobinkę nie w humorze.

Clara poczuła na sobie uważne spojrzenie Clevedona.

– Źle się czujesz, moja droga? Wybacz, powinienem był zauważyć. W istocie, nie jesteś dziś sobą.

– Och, to głupstwo! – pisnęła matka, wpatrując się w Clarę.

– Głupstwo czy nie, jesteś blada, Claro. – Clevedon podniósł się z fotela. – Nie będę cię męczył. Przyjdę innym razem.

Po chwili już go nie było. Niebawem, znużona do reszty okrzykami matki, oszołomiona wstydem, złością i plątaniną myśli, Clara poszła do łóżka z prawdziwym bólem głowy.

* * *

Green Park, środa

– Uciekłeś – podsumowała Marcelline.

Spacerowały po parku. Lucie pchała dziecięcy wózek, jeden z niezliczonych cudów, w jakie Clevedon wyposażył jej pokój. Susannah siedziała w nim elegancko upozowana i patrzyła w przestrzeń oczami z błękitnych szkiełek.

Marcelline z bólem serca powiedziała mu wiele przykrych rzeczy, żeby wreszcie ją znienawidził. Jednak Clevedon wrócił.

Przyjechał do sklepu, ale nie znalazłszy jej tam i nie dowiedziawszy się niczego od jej sióstr, zażądał rozmowy z Sarah. Jako że pokojówka wciąż była oficjalnie jego pracownicą, Sophy i Leonie musiały się na to zgodzić. Dziewczyna wypaplała mu, że pani Noirot zabrała panienkę na spacer do parku.

Książę przyszedł do parku i wyśledził je tylko po to, by zwierzyć się Marcelline ze swych udręk miłosnych!

Clevedon jest bystry, wrażliwy i pełen troski – powtarzała sobie w duchu. Jest doświadczonym i wspaniałym kochankiem. Jest także uparty i niepomny na reguły. Wiedziała, że książęta różnią się od zwykłych ludzi. Przez całe życie dostają to, czego chcą, i to niszczy ich rozsądek.

Miała wrażenie, że i jej rozsądek ucierpiał przez zbyt częste przebywanie w jego towarzystwie. Chociaż nie, to jej serce ucierpiało. W skrytości ducha wcale się nie zmartwiła, że wciąż nie zaręczył się z lady Clarą.

Ale wkrótce się zaręczy. A ona będzie musiała sobie z tym poradzić.

– Uciekłeś przy pierwszej okazji, byle się tylko nie oświadczyć – pokiwała głową. – Gdybyś przy niej został, zaręczam ci, że jej migrena zniknęłaby jak sen złoty. To twoje zachowanie ją rani, uparty człowieku.

– Wiem, że znowu wszystko zepsułem – wyznał pokornie. – Wszystko, co mi wtedy powiedziałaś, to szczera prawda. Jednak ten bałagan mnie przerasta! Jestem tak zagubiony, że nie wiem, jak z tego wybrnąć.

– Ganiając za mną po parku, nie polepszasz swojej sytuacji – wytknęła.

– Ale to właśnie ty najlepiej znasz moje błędy i wypaczenia – jęknął. – Jesteś opanowaną i władczą damą, która wie, jak powinniśmy się zachowywać.

– Bynajmniej. Wiem jedynie, jak powinniśmy się ubierać.

– Założyłbym się o wszystko, że doskonale wiedziała, po co przyszedłem – ciągnął. – Wychodząc od jubilera, natknąłem się na lady Gorrell, a ona na pewno opowiedziała o tym wszystkim przyjaciółkom. Ale znam Clarę. Wcale nie ucieszyła się na mój widok. A kiedy wstałem, żeby wyjść, odetchnęła z ulgą.

– A ty nie masz pojęcia, dlaczego nie chciała z tobą rozmawiać? – zadrwiła Marcelline. – Ignorujesz ją od wielu tygodni. Robisz z siebie pośmiewisko. Zadajesz się ze sklepikarkami. A potem idziesz po pierścionek i bez słowa zjawiasz się na jej progu w glorii chwały, gotowy do oświadczyn.

– To nie było tak – żachnął się książę.

– Błagam cię, nie pogrążaj się. Nie uwodziłeś jej ani przez minutę.

– Znam ją, odkąd miała pięć lat!

– Kobiety lubią, kiedy się je adoruje. Wiesz o tym. O co ci chodzi? Dlaczego traktujesz ją inaczej niż pozostałe damy?

Clevedon stanął jak wryty. Grymas trwogi przebiegł przez jego piękną twarz.

– Próbujesz mi powiedzieć, że mam za nią biegać i robić do niej słodkie oczy, spijać z jej ust każde słowo jak ta banda bezwolnych szczeniaków, którzy wszędzie się za nią ciągną?

– Nie bądź dzieckiem – ucięła Marcelline. – Wiem doskonale, że potrafisz uwodzić kobietę jak prawdziwy mężczyzna. Wiesz, w czym jest problem? Traktujesz ją jak siostrę!

Zastygł na chwilę, ale natychmiast się otrząsnął. I już szedł przy niej swoim lekkim i aroganckim krokiem, oczekując, że cały świat rzuci mu się do stóp. Dlaczegóż nie miałby oczekiwać, że Marcelline pomoże mu rozwikłać miłosne sprawy? Wszak był to cel jej życia, cel życia każdej istoty: służyć mu. Czyż jej codzienną pracą i obowiązkiem nie było służenie ludziom jego pokroju?

Nigdy nie wpadłby na to, że nie wypada omawiać planów narzeczeńskich z kobietą, którą na wszelkie sposoby usiłował uwieść. Której serce zdobywał w takich męczarniach, że prawie stracił rozum.

Nigdy nie wpadłby na to, jak bolesna jest dla niej ta rozmowa.

Upomniała się w duchu, że to nie jego wina. Sama jest sobie winna. Jak mogła się w nim zakochać? Przecież nazywa się Noirot! Powinna była być mądrzejsza.

Powinna była myśleć. Kierować się rozsądkiem, a nie innymi pobudkami.

Clevedon musi ożenić się z lady Clarą. Wszystkie plany Marcelline wiązały się z przyszłą księżną Clevedon. Jeśli to małżeństwo nie dojdzie do skutku, kto wie, kiedy Maison Noirot pozyska tak cenną klientkę. Poza tym ile jest kobiet w Londynie, które mogą stanowić tak dobrą oprawę dla sukien Marcelline?

A sama lady Clara także nie będzie tak świetną reklamą, jeśli wyjdzie za kogoś innego niż książę Clevedon.

Marcelline nie obawiała się stracić lady Clary. Wystarczył jeden wieczór, by panna Fairfax przekonała się, co może osiągnąć dobrze dobraną suknią. Maison Noirot już zyskał jej lojalność. Na przekór plotkom i skandalom. Na przekór lady Warford.

Lady Clara miała przyjechać dziś na przymiarkę.

Guwernantka wioząca w wózku dziewczynkę zatrzymała się, by przyjrzeć się z bliska lalce Lucie. Panienka Noirot łaskawie wyjęła Susannah z wózeczka i pokazała ją ze wszystkich stron.

– Śliczna sukienka! – wykrzyknęła dziewczynka.

– Moja mama ją uszyła – wyjaśniła Lucie. – Mama szyje suknie dla dam i księżniczek!

Włożyła lalkę do wózka, a guwernantka odjechała. Dziewczynka jeszcze długo odwracała się za lalką.

– Powinnaś dać Lucie wizytówki – uznał Clevedon. – Myślałaś o wprowadzeniu sukienek dla lalek?

– Nie.

– Pomyśl.

Miała ważniejsze sprawy do przemyślenia.

– Lady Clara przyjeżdża dziś do mnie na przymiarkę – oznajmiła. – Suknia ma być na piątek. Słyszałam, że to jeden z najważniejszych balów w sezonie.

– W piątek? – Clevedon zmarszczył brwi. – Do licha! Bal u lady Brownlow. Pewnie powinienem pójść.

– Rzecz jasna, że pójdziesz. To bardzo ważny punkt sezonu.

– To nie świadczy dobrze o sezonie, nieprawdaż?

– Co się z tobą dzieje? – zdumiała się Marcelline. – Przecież lubisz tańczyć.

– W Paryżu – przyznał. – W Wiedniu. W Wenecji.

– Wiesz, ile dam i dżentelmenów oddałoby wszystko, by znaleźć się na tym balu?

– A ty? – rozmarzył się Clevedon. – Nie chciałabyś się tam pojawić, prezentując jakąś nieziemską kreację? – Uśmiechnął się nieprzytomnie. – Bardzo chciałbym zobaczyć, jak wdzierasz się na ten bal bez zaproszenia.

Marcelline z trudem stłumiła okrzyk frustracji.

– W ogóle mnie nie słuchasz! – syknęła. – Musisz tam być, żeby uwodzić lady Clarę! Zdecydowanie nie potrzebujesz na tym balu kobiety, którą

wszyscy uznają za twoją kochankę, ściągającej na siebie uwagę ekstrawaganckim strojem! Ja zaś nie potrzebuję zniechęcać do siebie dam, które chciałabym zwabić do butiku. Ile razy muszę ci to tłumaczyć? Jak możesz być taki tępy?

Odwrócił wzrok.

– Wyobraziłem sobie ciebie na tym balu i to było po prostu zabawne. Cóż, wyobrażę to sobie również, kiedy już tam będę. To pozwoli mi jakoś przetrwać tę traumę.

Marcelline także potrafiła to sobie wyobrazić. Siebie na tym balu. Może nie obecną siebie, ale taką, którą mogłaby być. Córkę dżentelmena. Chociaż z drugiej strony, gdyby mogła być na tym balu, nie miałaby Lucie. Nigdy nie nauczyłaby się projektować strojów. Nie odnalazłaby prawdziwej siebie.

Wyglądałaby jak reszta tych owieczek.

Życie nie byłoby takie trudne, ale nie byłoby nawet w przybliżeniu tak ekscytujące i zabawne. Wystarczy spojrzeć na Clevedona. Umierał z nudów. Lady Brownlow została niedawno wybrana na patronkę Almacka. Była jedną z najświetniejszych dam w towarzystwie, jej bale uchodziły za najlepsze w sezonie. A on stroił fochy, jakby kazali mu siedzieć na wykładzie z algebry.

– Pójdziesz tam – powtórzyła. – I przyjdziesz o czasie. Dasz wszystkim do zrozumienia, że przyszedłeś wyłącznie dla lady Clary i chcesz tylko z nią spędzić cały wieczór. Jakby żadna inna kobieta dla ciebie nie istniała. Będziesz się zachowywał tak, jakbyś dopiero co ją poznał. Jakby nagle zstąpiła do ciebie z niebios, jak objawienie, jak Wenus z fal.

Szkoda, że nie było z nimi Sophy. Ujęłaby to znacznie lepiej.

– Będziesz czarujący i uroczy. Oszołomisz ją wdziękiem i manierami. Jeśli pogoda na to pozwoli, zaprowadzisz ją na balkon czy taras, z dala od tłumu. I będziesz romantyczny, czuły i wzruszony. Żeby mogła odpowiedzieć wyłącznie: „Tak”. To się nazywa sztuka uwodzenia, Clevedon. Proszę, weź to pod uwagę. To nie jest twoja siostra czy kuzynka. To piękna, czarująca dama, którą uwiedziesz, by została twoją księżną.

* * *

Bal u księżnej Brownlow, piątek

Książę Clevedon postanowił uczynić wszystko tak, jak nakazała mu Noirot. Nie pozwolił sobie zastanawiać się nad tym, gdyż w zasadzie nie było o czym dumać. Chce się ożenić z Clarą. Jest mu przeznaczona. Kochał ją od zawsze.

Jak siostrę…

Odepchnął od siebie tę myśl i ruszył na bal u księżnej Brownlow. Trzymał się kurczowo instrukcji Noirot. Przyjechał wcześnie. Nie za wcześnie, bo to byłoby dziecinne, ale w sam raz. Następnie ruszył na polowanie i uganiał się za Clarą, jakby była słynną aktorką albo tajemniczą paryską kurtyzaną.

Zabawiał ją i czarował do wyczerpania. Szeptał żarciki wprost do jej ucha, gdy był tylko wystarczająco blisko. Wyglądała całkiem ładnie i wataha jej wielbicieli wciąż ich rozdzielała.

Noirot ubrała Clarę w tę dziwną kombinację sukni z peleryną z bladoróżowej krepy, spod której wyzierała halka z białej satyny. Kilka wstążek krzyżowało się na głęboko wyciętym dekolcie, zwracając uwagę na kształtne piersi, a gorset uszyty z poprzecznych fałd podkreślał jej figurę.

Mężczyźni nie mogli oderwać od niej wzroku. Kobiety zieleniały z zawiści.

Poprowadził ją na parkiet ze świadomością, że jest największym szczęściarzem na sali.

I kocha ją.

Jak siostrę.

Przez chwilę mocował się z natrętną myślą, ale zdołał zepchnąć ją w mroczne otchłanie podświadomości. Wciąż tam była, gdy zgodnie ze wskazówkami Noirot zaprowadził Clarę na taras. Byli tam także inni goście, mimo to Clevedon zdołał znaleźć azyl w ciemnym kącie. Oczywiście nie byli całkiem sami. Nie na takim balu. Słaby blask z sali balowej oświetlał taras. Wąski sierp księżyca unosił się nad drzewami, przejrzyste chmury nie przesłaniały gwiazd. Było dość romantycznie.

Zdołał ją rozśmieszyć, a potem przywołać na jej policzki rumieńce. I wreszcie, gdy uznał, że chwila jest idealna, powiedział:

– Chciałbym zapytać cię o coś bardzo ważnego, moja droga.

Uśmiechnęła się lekko.

– Doprawdy?

– Moje szczęście od tego zależy – odparł.

Znowu odpowiedziała mu uśmiechem. Drwiącym? Chyba nie. Raczej była zdenerwowana. On był, z pewnością.

W odpowiednim czasie wziął ją w ramiona.

Nie protestowała.

Dobrze. Idzie całkiem nieźle.

A jednak coś jest nie tak.

Nie. Wszystko jest jak najlepiej.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

Uniosła dłoń, żeby go zatrzymać.

Odsunął się i poczuł ulgę.

Nie, to niemożliwe. Powinien czuć żal i lęk!

Clara wpatrywała się w niego z uśmiechem, lecz w jej oczach lśniła znajoma iskierka. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ją już widział. I uznał, że tak lśnią oczy Clary, gdy z uporem przeciwstawia się matce.

Żałował, że nie ma przy sobie Noirot, by podpowiedziała mu, co robić. Musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją. Czuł, że sprawy przybrały zgoła niespodziewany obrót, i nie wiedział, czy zdoła to powstrzymać.

I nagle uświadomił sobie, co zrobił.

Idiota.

Powinien był się najpierw oświadczyć!

Jęknął w duchu.

– Wybacz, Claro. Zachowałem się jak głupiec. Jak raptus.

Uniosła perfekcyjne łuki brwi.

Przemowa, którą trenował godzinami, nagle uleciała mu z głowy.

– Miałem cię najpierw zapytać, czy wyświadczysz mi ten honor i zostaniesz moją żoną – brnął, sięgając do kieszonki surduta po pierścionek. – Chciałem… sam już nie wiem, co mówię. – Gdzie ten cholerny pierścionek? – Wyglądasz tak pięknie, że…

– Przestań – odparła spokojnie. – Przestań, na litość boską. Masz mnie za głupią?

Przestał szperać po kieszeniach.

– Głupią? Wręcz przeciwnie. Zawsze się świetnie rozumieliśmy. Żartowaliśmy razem. Jakże mógłbym pisać codziennie listy do głupiej dziewczyny?

– Przestałeś pisać – powiedziała. – Przestałeś, gdy tylko spotkałeś… Ach, nie o tym chciałam. Popatrz na mnie.

Wyjął ręce z kieszeni.

– Patrzyłem na ciebie przez cały wieczór – oznajmił. – Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na balu. Najpiękniejszą w całym Londynie.

– Zmieniłam się! – wykrzyknęła. – Jestem zupełnie inna. Ale ty tego nie zauważyłeś. Zmieniłam się. Wiele się nauczyłam. Inni to widzą. Ale nie ty. Dla ciebie jestem wciąż małą Clarą. Przyjaciółką. Nie widzisz we mnie kobiety.

– Głupstwa opowiadasz. Cały wieczór…

– Przez cały wieczór grałeś kogoś innego. I na pewno ćwiczyłeś to godzinami, przyznaj się. To widać! Nie było w tym ani grama prawdziwych emocji.

Mówiła coraz głośniej. Clevedon zauważył, że grupki gości stojących na tarasie powoli zaczynają się do nich zbliżać.

– Claro, może powinniśmy…

– Zasługuję na uczucia – przerwała mu. – Zasługuję na prawdziwą miłość. Zasługuję na mężczyznę, który odda mi całe swe serce, a nie mały skrawek przeznaczony dla znajomych.

– Jesteś niesprawiedliwa – poskarżył się książę. – Kochałem cię całe życie.

– Kochałeś mnie jak siostrę!

Natrętna myśl wypłynęła ku niemu z głębin podświadomości. Stłumił ją z wysiłkiem.

– O wiele bardziej! – zaprzeczył żarliwie. – Wiesz, że o wiele bardziej.

– Doprawdy? Ach, zresztą nie dbam już o to. – Zadarła nos. Clara naprawdę ostentacyjnie zadarła nos. – Kiedy jesteś przy mnie, czuję się tak, jakby towarzyszył mi Harry. Nawet gorzej, gdyż ostatnio jesteś wiecznie znudzonym malkontentem, a przez to stałeś się nudny jak flaki z olejem. Harry potrafi być chociaż zabawny! Wiem, że mężczyźni muszą mieć własne sprawy i własne ścieżki. Po cóż zresztą owijać w bawełnę, wiadomo, że chodzi o inne kobiety. Matka tłoczyła mi to do głowy od dzieciństwa. Naszym zadaniem jest udawać, że nie mamy o niczym pojęcia. Mężczyźni już tacy są i nie mogą być inni. Wychowano mnie, bym potrafiła odwracać wzrok.

– Claro, przysięgam, że…

– Zamilknij – wycedziła. – Nie będę tego słuchać. Nie jesteś w stanie przyjechać na umówione spotkanie. Nie jesteś w stanie wysłać nawet krótkiego liściku. Kilka słów: „Przepraszam, Claro, coś mi wypadło”. Nawet to cię przerasta. Jeśli tak ma wyglądać nasze życie, jeśli zamierzasz być nieobecny, znudzony i obojętny za każdym razem, gdy zapałasz do kogoś żądzą… Cóż, nie mam na to ochoty. Nie dam się przekupić tytułem księżnej. Nie dam się przekupić pałacem. Zasługuję na coś więcej niż rola cichej, posłusznej, wiecznie czekającej żony. Jestem interesująca i zabawna. Czytam. Mam własne zdanie na wiele tematów. Lubię poezję i teatr. Mam poczucie humoru.

– Wiem to wszystko. Zawsze o tym wiedziałem.

– Zasługuję na prawdziwą miłość. Na czułość, pożądanie, szaleństwo. Jeśli jeszcze nie spostrzegłeś, jest cała rzesza dżentelmenów gotowych oddać mi serca, dusze i ciała. Dlaczegóż, na Boga, miałabym wychodzić za księcia, który może mi ofiarować jedynie przyjaźń?! Dlaczegóż miałabym wybrać ciebie?

Potrząsnęła głową i wymaszerowała z tarasu.

Clevedon zdał sobie sprawę, że otacza go grobowa cisza.

Spojrzał za oddalającą się Clarą. W otwartych dwuskrzydłowych drzwiach zgromadził się tłum gości. Rozstąpili się przed panną Fairfax jak fale. Gdy weszła bez wahania na salę balową, rozległy się wiwaty i oklaski. Ponad bezładny hałas aplauzu wybił się cienki pisk. Lady Warford.

Wiwaty ucichły, ale tłum brzęczał jednostajnym podekscytowanym półgłosem. Muzycy zaczęli znów grać, wszyscy przeszli na parkiet. Clevedon nie ruszył się z miejsca.

Po chwili zszedł z tarasu do ogrodu, minął trawniki i ruszył ścieżką do furtki. Wyszedł na ulicę i dopiero tam się zatrzymał. Rozejrzał się dookoła, jak obudzony ze snu. Zauważył, że drżą mu dłonie. Patrzył na nie ze zdumieniem.

Tłumiona zawzięcie myśl znów wypłynęła i wirowała mu w głowie.

Książę Clevedon stał na chodniku, oddychając głęboko, jakby… jakby…

Czuł się jak człowiek, który zrezygnował już z walki i potulnie wszedł na podwyższenie szubienicy. Poczuł linę opadającą mu na ramiona i zaciskającą się na szyi pętlę. Usłyszał księdza modlącego się za jego duszę. Poczuł szarpnięcie liny pod brodą, gdy nagle, w ostatniej chwili, nadeszło ułaskawienie.

* * *

Sophy wróciła do domu o świcie.

Marcelline wstała, słysząc jej kroki na schodach. I tak nie spała. Leżała i wpatrywała się w ciemność.

Sophy wracała z balu, na którym Clevedon miał się oświadczyć lady Clarze. Już o świcie całe miasto musiało się dowiedzieć, w co dokładnie ubrana była lady Clara oraz kto uszył jej suknię. Oczywiście Sophy nie poszła, żeby się przekonać, jaką suknię założy szczęśliwa narzeczona. Wszak same ją zaprojektowały, uszyły i dobrały wszystkie dodatki. Poszła, gdyż w zamian za obszerną wzmiankę o sukni i butiku, którą wynegocjowała, Tom Foxe zażądał relacji naocznego świadka.

Sophy pierwszy raz udała się do eleganckiego pałacu. Organizując wielkie bale, gospodarze często wynajmowali dodatkową służbę przy pomocy sprawdzonych agencji. Sophy zarejestrowała się pod zmyślonymi nazwiskami we wszystkich agencjach, do których zdołała dotrzeć. Doskonale potrafiła zmieniać głos, akcent i udawać posługaczkę. Udawała wszak, odkąd była w wieku Lucie. Poza tym miała na nazwisko Noirot.

– Wszystko w porządku – odezwała się, zdejmując pelerynę. – Nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale już się tym zajęłam.

– Nie wszystko poszło zgodnie z planem… – powtórzyła bezmyślnie Marcelline.

– Dała mu kosza.

– *Mon Dieu!* – Marcelline zacisnęła pięści. Nie mogła oddychać. Z ulgi? Z rozpaczy?

– Co? – wykrzyknęła półgłosem Leonie.

Marcelline i Sophy spojrzały w jej stronę. Stała w otwartych drzwiach swojej sypialni. Nie trudziła się zakładaniem podomki, a okazały czepek z koronek i wstążek przekrzywił się na lewe ucho. Wyglądała jak dziecko wyciągnięte siłą z łóżka. Przynajmniej jedna z nich naprawdę spała.

– Lady Clara odrzuciła oświadczyny – powtórzyła Sophy. – Widziałam to na własne oczy. Zabiegał o nią przez cały wieczór. Można było uwierzyć, że widzi ją pierwszy raz w życiu i nie chce już patrzeć na nikogo innego.

Był jak amant z powieści. Bo, powiedzmy sobie szczerze, mężczyźni na ogół nie bywają romantyczni.

– Ale co się stało? – zdumiała się Leonie. – Skoro był aż taki romantyczny…

– Wszystko szło wprost idealnie. Zaprowadził ją na taras. Stałam bardzo blisko, tuż przy otwartych drzwiach, i słyszałam każde ich słowo. Kiedy mu odmówiła, przysięgam, że opadła mi szczęka. Nie wiem, skąd wzięła siłę, by dać mu kosza, ale zrobiła to w mistrzowskim stylu. Wszyscy słyszeli. Akurat muzycy przestali grać i zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nikt nawet nie pisnął, tylko wszyscy bezszelestnie przesuwali się w stronę okien.

Marcelline oplotła się ramionami.

– Och, nie. Tylko nie to.

– Nie martw się – uspokoiła ją prędko Sophy. – Od razu wymyśliłam, co zrobić, i zrobiłam to, więc wszystko obróci się na naszą korzyść. Wracajcie do łóżek, nie ma się czym martwić. Rano wszystko się wyjaśni, ale teraz, moje kochane, muszę się natychmiast położyć. Zaraz zasnę na stojąco.

Rozdział 16

Swego czasu nasi szanowni sąsiedzi nazwali nas złośliwie narodem sklepikarzy, lecz czyż obecnie mielibyśmy wstydzić się tego określenia? Wierzymy, że nie ma na świecie drugiego miasta z tak wielką obfitością eleganckich, szykownych, wabiących natłokiem pięknych towarów sklepów i butików jak Londyn.

Księga zawodów i sztuk użytecznych (1818)

Sobota, ósma rano

Choć położyła się zaledwie kilka godzin wcześniej, uśmiechnięta Sophy wpadła na śniadanie razem z siostrami, ściskając w dłoni świeży numer „Porannego Zwierciadła”.

– Mówiłam, że dałam radę! – wykrzyknęła. – Całe kolumny szczegółowego opisu sukni lady Clary czy też lady C., jak dyskretnie pisze Foxe. – Usiadła i zaczęła czytać urywki: – Halka z białej satyny, kremowa koronka… Nisko wycięty gorset…

Marcelline westchnęła nad filiżanką kawy. Nie zmrużyła oka do rana.

– Widzę, że dałaś Tomowi Foxe’owi wszystko, czego zażądał.

– A on oddał mi całe kolumny tekstu! – odparła z triumfem Sophy.

Leonie wyrwała jej gazetę z dłoni.

– Pokaż. Rozcięta suknia z różowej krepy… nowoczesny gorset modelujący sylwetkę ukośnymi drapowaniami… – Spojrzała na Marcelline. – To ciągnie się na całą stronę, jak opis z paryskiego magazynu mody. Suknia, dodatki, buty. Na litość boską, co dla niego zrobiłaś, Sophy? Nie! Nie mów mi. Nie chcę wiedzieć.

– Przecież mówiłam, że się tym zajmę – odparła Sophy. – Opuść opisy sukni, przecież wiecie, w co była ubrana. – Pokazała palcem akapit. –

Zacznij tutaj.

> *Czytelnik zapewne zdziwi się szczegółowym opisem stroju wzmiankowanej damy, lecz wierzymy, iż to suknia, jak zbroja, natchnęła ją do nieopisanej wprost pewności siebie, z którą odrzuciła tytuł księżnej. Jesteśmy też przekonani, że odziana w tak wspaniałą kreację bez trudu popisała się poetycką i pełną żaru przemową, którą ostatecznie dziękowała za niewczesną propozycję małżeńską.*

Leonie przeczytała następnie skrót przemowy lady C. Tom Foxe mógłby z powodzeniem pisać powieści romansowe, nie było co do tego wątpliwości.

Marcelline odstawiła filiżankę i rozmasowała sobie skronie.

– Książę Clevedon i śliczna dama. Ona go kocha, a on jest szulerem i uwodzicielem, a w końcu niszczy wszystko. Żegnaj, księżno Clevedon.

– Być może – zgodziła się Sophy. – Znalezienie kolejnej narzeczonej zajmie mu trochę czasu. Ale spójrz na to z jasnej strony. Lady Clara wróci do Maison Noirot. Zrozumiała i uznała wszystko, co dla niej zrobiłyśmy. Słyszałaś, co mu powiedziała? „Zmieniłam się”.

– A za nią przybiegną jej przyjaciółki – przytaknęła Leonie. – Każda dama, która była na tym balu, będzie chciała zobaczyć suknie dające tyle pewności siebie, żeby odrzucić oświadczyny prawdziwego księcia. Sophy, kochana, przeszłaś samą siebie.

– Leonie ma rację – uznała Marcelline. – Doskonale to rozegrałaś. Genialnie. Ja bym pewnie stała tam z otwartymi ustami i pustką w głowie aż do rana. A ty od razu wiedziałaś, jak to wykorzystać.

– Nigdy nie tracisz konceptu – prychnęła Sophy. – Wszystkie myślimy i działamy równie prędko. A to była łatwizna. A teraz musimy się przygotować do najazdu. W czym im się pokazać? Co powinnyśmy na siebie włożyć?

– Zostaw to nam – powiedziała Leonie. – Ty musisz się jeszcze położyć. Towarzystwo będzie dziś żyło tym skandalem, a wszystkie gazety zaczną kopiować materiał Foxe’a. Po południu cały Londyn dowie się, co się stało. Czeka nas długi dzień, a ty za mało spałaś.

Marcelline nie spała ani chwili, ale nie chciała o tym rozmawiać. Przewracała się w łóżku, tłumacząc sobie, że postąpiła słusznie. Gdyby

miała jakiekolwiek inne wyjście, z pewnością by z niego skorzystała. Ale nie miała. Wiele tygodni wcześniej postanowiły, że lady Clara musi zostać ich klientką. Wykrzesały z niej więcej, niż kryła w sercu, więcej niż kiedykolwiek się domyślała.

Clevedon musi ją poślubić. Tak się to miało skończyć.

To dlatego Marcelline tropiła księcia w Paryżu. Ich celem była przyszła księżna Clevedon. To księżna miała położyć kres ponurej dominacji Pretensji. Dzięki księżnej Clevedon nikt nie zagrażałby ich pozycji na rynku.

Lady Clara nią nie zostanie. Nie po takiej przemowie w towarzystwie. Ale Sophy je uratowała. Przynajmniej tę część planu, która zakładała zdominowanie rynku.

Marcelline nie pozwalała dojść do głosu uczuciom. Uczucia tylko jej przeszkadzały.

Sophy zdecydowanie musi wracać do łóżka. Spędziła cały wieczór i pół nocy na nogach, a dzień istotnie zapowiada się gorąco.

– Przyznaję, że przeżyłam znacznie więcej przygód, niż planowałam – oświadczyła Sophy. – Mówiłam, że zdołałam zająć doskonałe miejsce przy samym oknie? Nikt mnie nie widział. Nikt nie dostrzega służących. Ale kiedy się odwróciłam, wpadłam na lorda Longmore’a.

Siostry spojrzały na nią, unosząc brwi.

– Dosłownie stanął mi na drodze. Spodziewałam się, że nie zwróci na mnie uwagi, jakbym nie istniała. Wszak służący, jak sklepikarki, są niewidoczni. Ale on stanął jak wryty i zapytał: „A pani co tu robi?”. Myślałam, że się przewrócę! Ale zdołałam powiedzieć: „Pracuję, sir”, swoim najlepszym pokojówkowym tonem, wiecie, z lekkim akcentem z Lancashire. „Wyrzuciły cię z butiku?” – zdumiał się on. „Z jakiego butiku?” – zapytałam i zaczęłam go przekonywać, że mnie z kimś pomylił. Ale on nie zamierzał mi uwierzyć. Patrzył na mnie podejrzliwie i byłby mnie wypytywał do rana, na szczęście jego matka zaczęła krzyczeć, więc przewrócił oczami i poszedł do niej.

– Lepiej na niego uważaj – upomniała ją Marcelline. – Nie jest taki głupi, na jakiego się kreuje, a wplątanie się w skandal z kolejnym arystokratą jest, doprawdy, ostatnią rzeczą, jakiej nam teraz trzeba.

– Wątpię, by chciał się ze mną w cokolwiek wplątywać. – Sophy wzruszyła ramionami. – Raczej posłałby całą naszą rodzinę do diabła.

Myślę nawet, że uważa nas za pomiot samego szatana.

– Miejmy nadzieję, że damy z towarzystwa nie podzielają jego opinii – westchnęła Leonie.

– Ależ skąd – żachnęła się Sophy, wstając od stołu. – Wracam do łóżka. Ale nie dajcie mi za długo spać. Nie chcę stracić ani chwili tej zabawy. I na waszym miejscu wstawiłabym na wystawę szarą suknię.

* * *

Butik Pretensji, tego samego dnia

Pani Downes zmierzyła ponurym wzrokiem suknię leżącą na kontuarze.

– Ile to w sumie? – zapytała burkliwie pannę Oakes.

– Sześć.

– Lady Gorrell rzuciła nią we mnie – stwierdziła z pretensją pani Downes.

– To oburzające, madame.

Panna Oakes widziała to na własne oczy, lecz w istocie wcale nie była oburzona. Gdyby sama zapłaciła ogromną sumę za suknię, w jakiej przyjaciółka była w teatrze już rok temu, zareagowałaby tak samo.

Panna Oakes lojalnie ostrzegała panią Downes. Wskazała, że rękawki – rzekomo przesłane przez krewną właścicielki prosto z Paryża – były modne rok temu. Pani Downes uznała, że panna Oakes jest idiotką, a nawet jeśli rękawki są już niemodne, to klientki i tak niczego nie zauważą. Większość arystokratek bezgranicznie ufała jej talentowi oraz wyczuciu smaku. Kiedyś. Lecz teraz wszystko zaczęło się zmieniać.

Tylko jedna stylistka w Londynie mogła liczyć na ślepe zaufanie klientek i nie była nią już Pretensja. Niebawem wszystkie damy dojrzą smutną prawdę, samodzielnie lub pod wpływem przyjaciółek i krewnych, że te modele widywano już tu czy tam, rok czy dwa lata temu. Z tuzina zamówionych sukien sześć zostało już zwróconych przez klientki wściekłe do nieprzytomności, że zapłaciły fortunę za kopie, i to kopie z poprzednich lat.

Pretensję wywiedziono w pole z mistrzostwem godnym szulerów. Panna Oakes zastanowiła się przelotnie, ile Pretensja zapłaciła za stare szkice i jak wiele klientek straci, gdy plotka obiegnie miasto.

Uznała, że nadszedł czas, by znaleźć sobie nową pracę.

* * *

Clevedon słusznie zakładał, że butik tego dnia przechodzi prawdziwe oblężenie.

Minął go raz w drodze do klubu, a potem raz jeszcze, idąc do szewca. Potem w drodze do kapelusznika i do winiarni. Chodził w tę i z powrotem, kupując rzeczy, których nie potrzebował, byle tylko zostać jeszcze chwilę na St. James. Czekał, aż zbity tłum nacierający na Maison Noirot rozewrze wreszcie szyki i wróci do domów.

Czytał „Poranne Zwierciadło”, tak jak wszyscy arystokraci. Nie był zachwycony faktem, że Tom Foxe już o świcie wypuścił tę historię. Choć był z tego znany, rzecz jasna. A jednak szczegóły były zbyt zgodne z prawdą. Na milę widać było, że Foxe miał na balu szpiega.

Szpiegiem tym musiała być panna Sophy Noirot. Materiał dotyczył niemal w całości sukni, opisanej pięknie i z pasją. Kilka razy wspominał butik, z którego pochodziła, i był ewidentnie w romantycznym stylu panny Sophy. Żeby zdążyć z tak szczegółowym opisem, musiała być na balu.

Patrząc na tłoczące się w drzwiach klientki, czuł głęboką ulgę i radość.

Obawiał się, że wypadki poprzedniej nocy będą oznaczały koniec kariery Maison Noirot. Że arystokratki obwinią Marcelline za jego skandaliczne zachowanie i odwrócą się od niej, jak wiele razy go ostrzegała. Noga Clary nigdy więcej tu nie postanie, a madame Noirot zostanie powszechnie uznana za uwodzicielkę i ladacznicę. A wtedy szlachetne damy nie będą chciały mieć z nią nic do czynienia.

Jednak damy przybyły licznie i wpływały do butiku niekończącą się falą. Wysiadały z powozów, rozglądały się dumnie, upewniając się, czy wszyscy je widzą, i wpychały się do środka, roztrącając znajome i krewne. Wszystkie były w stanie takiego odurzenia, że założyłyby nawet zasłony z okien i dzwonek znad drzwi.

„…suknia, jak zbroja, natchnęła ją do nieopisanej wprost pewności siebie, z którą odrzuciła tytuł księżnej. Jesteśmy też przekonani, że odziana w tak wspaniałą kreację bez trudu popisała się poetycką i pełną żaru przemową, którą ostatecznie dziękowała za niewczesną propozycję małżeńską”.

Bezczelność tych sformułowań przechodziła wszelkie pojęcie!

Typowe. Bezczelność pań Noirot przekraczała wszelkie znane granice. I, jak wszystko, do czego się zabierały, artykuł był prawdziwym mistrzostwem. Najchętniej uściskałby Sophy serdecznie, ale to nie Sophy ściągnęła go na St. James Street.

To nie przez Sophy nie spał przez całą noc i krążył po sypialni, kłócąc się ze sobą. Gdy wydostał się z przeklętego balu i otrzeźwiło go nocne powietrze, zrozumiał wreszcie, dlaczego ociągał się z oświadczynami i dlaczego trzęsie się jak liść.

Był tylko jeden sposób, w jaki mógł zakończyć tę farsę. Więc czekał. Czekał niecierpliwie, aż wszystkie damy pójdą w diabły.

Przebiegł przez St. James Street i bez wahania wszedł do Maison Noirot.

* * *

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał donośnie.

Czy one nigdy nie pójdą do domów? – pomyślała z rozpaczą Marcelline.

Oczywiście, była szczęśliwa. To był dzień triumfu. Lepszy nawet niż dzień po powrocie z Paryża, gdy damy przyjeżdżały obejrzeć słynną piaskową suknię. Dziś przybyły takie tłumy, że dawny butik za żadne skarby by ich nie pomieścił. Marcelline przyjęła tyle zamówień, że będzie musiała w trybie natychmiastowym zatrudnić kolejnych sześć szwaczek.

Wszystko to przemknęło jej przez myśl, zanim podniosła wzrok znad srebrnej tacy ze wstążkami, które segregowała, i spojrzała ku drzwiom. Serce ścisnęło się w niej boleśnie.

Dżentelmen wszedł, zatrzymał się tuż za progiem i rozejrzał. Zrobił to dokładnie tak samo jak inni dżentelmeni przychodzący w towarzystwie swych dam. Spoglądał na wszystko chłodnym okiem, oceniał wartość

i decydował, czy należy zajmować sobie tym myśli. Absolutnie nie dostrzegał stojącej za kontuarem sprzedawczyni.

Jednak nie był to pierwszy lepszy dżentelmen, lecz Clevedon, wysoki i pewny siebie, w kapeluszu lekko na bakier, z ciemnymi lokami wywijającymi się spod ronda. Miał ze sobą elegancką laskę z pozłacaną gałką. Oparł na niej obie dłonie. Cienkie rękawiczki leżały na nich jak ulał.

Na pięknych, smukłych dłoniach.

Pamiętała, jak głaskał nimi jej plecy. Jak ujmował w nie jej twarz. Przesuwał palcami po piersiach. Muskał jej uda.

Gdyby to był jakikolwiek inny dżentelmen, profesjonalna sprzedawczyni wyszłaby zza kontuaru, gotowa poświęcić mu całą swą uwagę.

Marcelline zacisnęła dłonie na krawędzi blatu.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedziała.

– Dzień dobry, pani Noirot. – Zdjął kapelusz i się ukłonił.

Dygnęła delikatnie.

Odłożył kapelusz na fotel, podszedł do manekina i przyjrzał się uważnie prezentowanej sukni. Była uszyta z tiulu w ciemnoszarym kolorze znanym jako „londyński dym”. Wspaniale komponował się z gładką różową satyną gorsetu. Haftowane róże i wijące się liście zdobiły dół sukni.

– Bardzo… francuska – uznał Clevedon.

– Zawsze wystawiam na witrynę coś bardziej ekstrawaganckiego, niż proponuję klientkom – przyznała. – Kiedy obejrzą już manekin, rzadziej wpadają w histerię, gdy proponuję im coś bardziej wyrafinowanego niż to, do czego są przyzwyczajone.

Uśmiechnął się i podszedł do kontuaru.

– Znamienne – powiedział. – Ty jesteś zdecydowanie bardziej wyrafinowana niż to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni.

– Maison Noirot nie jest zwykłym butikiem.

– Nie mogę się nie zgodzić. Ucieszyłem się, że panna Sophy zdołała wykorzystać wczorajszą awanturę na waszą korzyść. Choć, rzecz jasna, niczego innego nie oczekiwałem.

– Ja oczekiwałam znacznie więcej od ciebie – wycedziła Marcelline. – Zrujnowałeś mój plan.

– Przyznaję. Lecz cóż innego mogłem uczynić? Oświadczałem się nie tej kobiecie, co trzeba.

Serce Marcelline zatrzymało się na moment. Zakręciło jej się w głowie.

Clevedon podszedł do drzwi i przekręcił tabliczkę z napisem: „Zamknięte”.

– Jeszcze jest otwarte – powiedziała słabo Marcelline. Jej głos zdawał się dobiegać z oddali.

– Wystarczająco się już dziś napracowałaś.

– Nie ty będziesz o tym decydował.

Wrócił do kontuaru.

– Wyjdź stamtąd – poprosił.

– Nie ma mowy.

Uśmiechnął się, lecz nazwanie tego uśmiechem było straszliwym niedomówieniem. Każdy potrafi się uśmiechnąć. Na to, co robił Clevedon, tylko Sophy potrafiłaby znaleźć określenie.

Kąciki jego pięknych ust uniosły się lekko, a szmaragdowe oczy patrzyły na nią z pełnym czułości rozbawieniem. Stała pod tym spojrzeniem, trzymając się lady, osłabiona i bezbronna. I rozpalona.

– Potrzebuję nowych klientek – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy lady Clara do nas wróci…

– Wiesz doskonale, że wróci. Po kolejne suknie, które pomogą jej mierzyć się z durnymi mężczyznami.

– …a skoro nie spodziewamy się żadnej księżnej Clevedon w najbliższym czasie, będę musiała zadowolić się pomniejszymi arystokratkami.

– Tak sobie rozmyślałem – oświadczył lekko – że to ty powinnaś zostać księżną Clevedon.

Marcelline zabrakło tchu. Pierwszy raz w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Choć jej instynkt pracował na zwiększonych obrotach, nie miała pojęcia, co zrobić. Przez chwilę zastanawiała się, czy się nie przesłyszała. Albo czy Clevedon z niej nie żartuje.

Była wyczerpana. Po bezsennej nocy nadszedł długi, męczący dzień. Czuła się rozdarta pomiędzy ulgą, że się jednak nie zaręczył, a frustracją, że jej wszystkie plany wzięły w łeb. Wszystko na nic. Tak bardzo się starała i zapłaciła za to ogromną cenę. I wszystko, wszystko legło w gruzach.

Odetchnęła głęboko. To nie wystarczyło. Musiała usiąść i napić się brandy.

– Straciłeś rozum? – zapytała.

– Rozum? Raczej nie. Serce – z pewnością.

– Już rozumiem. Jesteś w szoku. To był dla ciebie za duży wstrząs. Miałeś tak piękną dziewczynę i kochałeś ją od dziecka…

– Jak siostrę. Miała rację. Ty też miałaś rację.

– Jesteś w szoku. Prawdopodobnie ze złości. Upokorzyła cię na oczach wszystkich. Słyszałam, że goście klaskali i wiwatowali.

– Panna Sophy ci o tym powiedziała? Domyśliłem się, że była na balu. Jej styl aż bije z „Porannego Zwierciadła”.

Próbował odwrócić jej uwagę. Nie mogła na to pozwolić.

– Chcesz się zemścić – stwierdziła wreszcie.

– Na Clarze? Nie pleć bzdur. Miała absolutną rację. Zna moje serce i widziała to od pierwszej chwili. Widziała, że tylko udaję. Postępowałem ściśle według twoich wskazówek. Jak maszyna. To nie powinno tak wyglądać. To powinno wypływać prosto z serca.

– Dość – ucięła Marcelline. – Przestań natychmiast.

Miała ochotę uciec, uciec jak najdalej, jak jej rodzice. Musiała uciec, bo z całego serca pragnęła się zgodzić. A to oznaczało koniec jej życia i planów.

– Wybiegłem z balu roztrzęsiony – zaczął Clevedon. Spojrzała na dłonie w ślicznych rękawiczkach z cielęcej skóry. Położył je na kontuarze. Jej ręce spoczywały tak niedaleko. Wystarczyło tylko sięgnąć i mogłaby go dotknąć. Zacisnęła palce na krawędzi lady. – Zrozumiałem wtedy, że byłem o krok od popełnienia największego i nieodwracalnego błędu w życiu. Błędu, który zniszczyłby dwie osoby. Zrozumiałem, że Clara zlitowała się nade mną. Że ocaliła nas oboje. Nie byłbym w stanie być dla niej dobrym mężem. Nie liczy się dla mnie nikt prócz ciebie.

Nie, nie rób tego! Zamilknij!

Oddychała z trudem.

– Nie bądź głupcem – wyjąkała.

– Posłuchaj – zaczął Clevedon.

– Nie będę tego słuchać! – przerwała mu. – Nie myślisz jasno.

– Myślałem o tym przez całą noc – odparł. – I przez cały dzień, gdy szwendałem się po St. James Street jak włóczęga, czekając, aż ten ludzki potop się skończy i będę mógł z tobą porozmawiać. Miałem aż za dużo czasu na przemyślenie tego. Nie widzę innego rozwiązania. Im dłużej o tym

myślę, tym bardziej jestem przekonany. Tym bardziej pozwalam sobie czuć to, co czuję. Kocham cię, Marcelline. – Odchrząknął. – A ty kochasz mnie.

Wiedziała, że go nie powstrzyma. Że Clevedon się nie podda. Jest szalony i uparty, czyż nie udowodnił jej tego tak wiele razy? Kiedy czegoś zapragnął, nie było siły, która mogłaby go od tego odwieść. I stosował wszystkie dostępne metody, a nieuczciwe – ze szczególnym upodobaniem.

Był taki sam jak ona.

O ironio!

Objęła się ramionami w obronnym geście.

– Mówiłam ci już, że to nie ma znaczenia. Nie możesz się ze mną ożenić. Jestem sklepikarką! Nie możesz ożenić się ze sklepikarką, Wasza Wysokość.

– Arystokraci żenili się już z kurtyzanami – odparł. – Żenili się ze swoimi gospodyniami i pokojówkami.

– I zawsze kończyło się to skandalem i nieszczęściem – warknęła. Kiedy dżentelmen żeni się z kimś ze znacznie niższego stanu, jego żona i dzieci płacą potem za tę lekkomyślność. Stają się wyrzutkami. Żyją jak na wygnaniu, nie mogąc już wrócić do włas-nego świata i nie mogąc wstąpić do nowego. – Nie mogę wprost uwierzyć, że wpadłeś na ten szalony pomysł.

– To jedyny pomysł, Marcelline. Kocham cię. Chcę ci wszystko ofiarować. Chcę, żeby Lucie miała to, czego zapragnie. Nie tylko lalki, piękne sukienki i wykształcenie, lecz także ojca. Ja również straciłem bliskich i wiem, jak ona cierpi. Pragnę ciebie, chcę być częścią twojej rodziny.

Słyszała w jego głosie rozpaczliwą determinację i niemal się rozpłakała.

– Wiem, że praca jest twoją największą pasją – ciągnął. – Zginęłabyś, gdybyś miała ją porzucić. Ale nie musisz tego robić. O tym też pomyślałem. Przyznaję, że myślałem o butiku już od wielu tygodni.

Ani przez chwilę nie wątpiła w żadne jego słowo.

– Mam wiele pomysłów – zapalał się książę. – Możemy pracować razem. Znam wielu dżentelmenów, którzy mają rozmaite interesy. Potrafię nieźle pisać i mam środki, by z powodzeniem wydawać magazyn. Taki jak „La Belle Assemblée”, ale lepszy. Mam też inne pomysły na rozwinięcie twojego biznesu. Zawsze powtarzałaś, że jesteś najlepszą stylistką na

świecie. Mogę sprawić, że cały świat rzeczywiście się o tym dowie. Wyjdź za mnie, Marcelline.

Marcelline zadrżała. Owszem, była marzycielką. Wszyscy w jej rodzinie od zawsze roili wielkie plany. Jednak ona wraz z siostrami zdołała część z tych marzeń wprowadzić w życie.

Clevedon stworzył zaiste piękny plan. Ale widział wyłącznie jego jasne strony.

– Interesy innych dżentelmenów zawsze polegają na nabywaniu własności – powiedziała spokojnie. – Kupują oni wielkie kopalnie, inwestują w budowę kanałów i kolei. Nie są właścicielami butików i nie zajmują się damską konfekcją. Arystokracja nigdy by ci tego nie wybaczyła. Złoty wiek się skończył. Skończyły się czasy królewicza regenta i jego swobodne zasady. Towarzystwo nie jest już tak tolerancyjne jak kiedyś.

– Towarzystwo śmiertelnie mnie nudzi – parsknął. – Nie dbam o ich zdanie. Wierzę w ciebie i w twoją pracę. Chcę brać w tym udział.

Na Boga, on oszalał! Nie wie, co mówi, i nie ma pojęcia, co może oznaczać utrata przyjaźni i szacunku arystokratów, zerwanie wszelkich znajomości i wygnanie ze świata, do którego należało się od urodzenia. Ona wiedziała to aż za dobrze.

Nawet gdyby Clevedon rozumiał to i akceptował, pozostawała jeszcze drobna, lecz niezbyt fortunna prawda o jej pochodzeniu.

Naprawdę nie miała wyboru. Musiała zachować rozsądek. Tego marzenia nie da się ziścić.

Clevedon patrzył na nią z uwagą. Czekał.

Puściła ramiona, złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Dziękuję. Jesteś kochany, dobry, hojny i to naprawdę wielki, wielki honor dla mnie. Wiem, czego oczekiwałby ode mnie teraz świat, ale musisz mi wierzyć, że to niemożliwe i że…

– Marcelline, proszę, nie…

– Nie, Wasza Wysokość. Nie mogę wyjść za ciebie. Nigdy.

Widziała, jak pobladł śmiertelnie, i zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa, wyszła prędko na zaplecze, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi.

* * *

Clevedon wypadł z butiku i jak ślepiec zataczał się po St. James Street. Na końcu ulicy zatrzymał się raptownie i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w Pałac św. Jakuba. W uszach miał koszmarny szum, czuł się zdruzgotany, złamany, zrozpaczony i zły, sam nie wiedział jaki jeszcze. Do tej pory nie zajmował się włas-nymi emocjami i wielu z nich nie potrafił nawet oddzielić i nazwać. Był to jakiś piekielny wywar uczuć, który wciągał go w otchłań. Niczego nie widział, nic nie słyszał. Ktoś nagle szarpnął go za ramię.

– Co się z tobą dzieje, do licha? Wrzeszczałem jak opętany i biegłem za tobą jak szaleniec. Szaleniec ścigający szaleńca, doprawdy. Widziałem, jak wychodzisz z butiku, ośle jeden!

Clevedon spojrzał z udręczeniem na Longmore’a.

– Radzę, byś mnie nie prowokował – oznajmił lodowatym tonem. – Marzę o wybiciu kilku zębów i twoje świetnie się nadadzą.

– Chyba żartujesz. – Longmore złapał się za głowę. – Krawcowa dała ci kosza? Na wszystkich bogów, to raczej nie jest twój dzień. Może nawet rok.

Clevedona ogarnęła przemożna pokusa, by rzucić Longmore’em o uliczną lampę. Pewnie od razu wywołałoby to pałacowe straże i jutro Clevedon znalazłby się na okładkach wszystkich gazet.

Do diabła, czymże jest dla niego kolejny skandal?!

Rzucił laską i szarpnął Longmore’a za ramiona. Hrabia zaklął szpetnie i się cofnął.

– Walcz jak mężczyzna, łajdaku! – ryknął Clevedon. – Wyzywam cię!

W mgnieniu oka zrzucili płaszcze i zaczęli z pasją okładać się pięściami, próbując zatłuc się nawzajem na śmierć.

* * *

Marcelline wysłała Sophy, żeby zamknęła sklep.

Choć była wyczerpana do nieprzytomności, wiedziała, że pójście do łóżka w niczym jej nie pomoże. Lucie pomyśli, że się rozchorowała,

wpadnie w panikę i znów zrobi coś szalonego.

Poza tym na pewno by nie zasnęła. Najlepiej będzie, jeśli skupi się na projektowaniu. To ją uspokoi.

Próbowała wymyślić nowy rodzaj zapięcia peleryny, gdy do pracowni weszła Sophy. Leonie wślizgnęła się tuż za nią. Wychodząc do butiku, Sophy o nic nie zapytała, ale uważnie spojrzała na siostrę. Marcelline potrafiła chować uczucia pod maską, ale nie przed najbliższymi.

Przyszły więc, by dowiedzieć się, co ją trapi, i pocieszyć ją jak zawsze.

– Co się stało? – zapytała Sophy.

– Clevedon – odparła Marcelline. Dziobnęła ołówkiem w projekt. Złamał się. – Och, to po prostu śmieszne. Powinnam była od razu się śmiać. Naprawdę. Nie uwierzycie mi.

– Uwierzymy – obiecała Sophy.

– Dał ci dostęp do swojego konta – próbowała zgadnąć Leonie.

– Nie, poprosił mnie o rękę.

Zapadła głucha cisza. Po chwili Sophy wyjąkała:

– Widzę, że jest w nastroju do oświadczyn…

Marcelline wybuchnęła śmiechem. Potem zaczęła szlochać. Ale zanim rozpłakała się na dobre, do drzwi zapukała Selina Jeffreys.

– Błagam o wybaczenie, madame. Wracam właśnie ze sklepu pana Adkinsa, gdzie kupowałam wstążki. Kiedy szłam z powrotem, zobaczyłam dwóch dżentelmenów bijących się na pięści przy pałacu. Ze wszystkich sklepów i klubów wybiegli już gapie i kibicują im.

– Dwóch dżentelmenów? – zdumiała się Leonie. – Raczej jakichś parobków.

– Nie, panno Leonie. Jednym z nich jest książę Clevedon, a drugim jego ciemnowłosy, wysoki przyjaciel.

– Lord Longmore – zgadła Sophy. – Był tu przed chwilą.

– Tak, panno Noirot, to ten. Myślę, że starają się nawzajem pozabijać! Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Poza tym zewsząd zbiegli się mężczyźni. To nie było odpowiednie miejsce dla panny bez towarzystwa.

Leonie i Sophy nie miały takich skrupułów. Zerwały się i pobiegły oglądać walkę. W pośpiechu nie zauważyły, że Marcelline nie idzie za nimi.

* * *

Wróciły niebawem.

Marcelline tymczasem zrezygnowała z prób stworzenia czegoś pięknego. Nie była w nastroju. Zajrzała do szwaczek, a potem wspięła się na piętro i przez chwilę dyskretnie podpatrywała, jak Lucie czyta Susannah jedną z książeczek od Clevedona.

Wreszcie poszła do bawialni i nalała sobie brandy. Ledwie zdążyła upić dwa łyki, gdy wbiegły Sophy i Leonie, zaróżowione i zdyszane, najwyraźniej w dobrym humorze.

Spojrzały na jej szklaneczkę i również nalały sobie brandy.

– To było wspaniałe widowisko! – zachwyciła się Sophy. – Muszą obaj trenować, bo naprawdę potrafią się bić!

– Nie znam się na boksie. – Leonie wzruszyła ramionami. – Dla mnie to wyglądało tak, jakby po prostu chcieli się pozabijać.

– Ach, byli tak energiczni! – wykrzyknęła Sophy. – Kapelusze spadły im z głów, płaszcze rzucili na chodnik. Szarpali się za fulary! Włosy mieli w strasznym nieładzie, a na koszulach plamy krwi. – Powachlowała się dłonią. – Prawie zemdlałam z wrażenia.

– Przypomniało mi to rzymskie igrzyska w Koloseum – stwierdziła Leonie. – Wszyscy dżentelmeni z White’a przybiegli bez płaszczów! Krzyczeli, klaskali i dopingowali ich do dalszej walki.

– To prawda – potwierdziła Sophy. – Trochę wymknęło się to spod kontroli i nawet zaczęłam się zastanawiać, czy nie znaleźć jakiegoś bezpieczniejszego miejsca, ale wtedy z White’a wyszedł hrabia Hargate w towarzystwie kilku innych starszych dżentelmenów.

– Przeszedł przez tłum, odpychając wszystkich na boki – ciągnęła Leonie – a przecież ma już z sześćdziesiąt lat!

– Ale kroczył władczo jak Zeus – dodała Sophy. – Tłum się rozstąpił, a hrabia nakazał księciu Clevedonowi i Longmore’owi natychmiast przestać się wygłupiać.

– Ale nie słuchali – wtrąciła Leonie.

– Wpadli w szał! – piała w uniesieniu Sophy. – Byli jak wściekłe byki.

– Nikt nie śmiał przerwać tej walki – przyznała Leonie.

– Hrabia Hargate wszedł pomiędzy nich bez wahania, wprost pod pięści Longmore’a. Uchylił się tak zwinnie, och, Marcelline, żałuję, że tego nie widziałaś! Chwycił Longmore’a za ręce i odciągnął. A drugi dżentelmen, sądząc z rysów i postury – syn hrabiego, złapał Clevedona wpół.

– I oderwali ich od siebie.

– A inny dżentelmen krzyczał, że to nielegalne zgromadzenie i że wezwie straże, więc uciekłyśmy. – Sophy dopiła brandy i nalała sobie drugą porcję.

– Nie ma sensu zastanawiać się, o co chodziło – uznała Marcelline. – Longmore bronił honoru siostry czy coś takiego.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Sophy. – Wszyscy uważają, że lady Clara sama skutecznie broni swego honoru. Longmore tylko pogorszyłby sprawę, nie uważacie?

– Skąd zatem ta bójka? – zastanawiała się Leonie.

– Nie bądź tępa – prychnęła Sophy. – Czy mężczyźni potrzebują rozsądnego powodu, by się bić? Mieli zły humor, ktoś kogoś obraził i rzucili się na siebie. Założę się, że już po wszystkim i poszli się razem napić.

– Dlaczego Longmore był w złym humorze, Sophy? – zapytała Marcelline. – Wspomniałaś, że był tu chwilę po wyjściu Clevedona.

– Przyszedł przekląć mnie za obecność na balu i oskarżyć o szpiegowanie dla Toma Foxe’a. Udałam, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Och, mój Boże! – wykrzyknęła nagle Sophy, blednąc. – Och, Marcelline! Jesteśmy najgorszymi siostrami na świecie. Słyszymy o walce i biegniemy, jak żądne krwi zwierzęta, a ty, ze złamanym sercem…

– Nie pleć – przerwała jej Marcelline. – Oszczędzaj kwiecisty styl dla gazet.

– Opowiadaj, kochana. – Sophy odstawiła szklaneczkę, uklękła obok Marcelline i ujęła jej dłoń. – Co powiedział Clevedon? Co mu odpowiedziałaś? I dlaczego udajesz, że nie pękło ci serce?

* * *

Clevedon House

10 maja, sobota, trzecia w nocy

W domu panowały cisza i mrok. Wszyscy spali. Pojedyncza świeca migotała słabym blaskiem tuż obok księcia. Ubrany jedynie w koszulę nocną skrobał prędko piórem po papierze.

Książę włożył wiele wysiłku w spranie Longmore'a na kwaśne jabłko. Potem pili razem do nieprzytomności, a jednak wrócił do domu całkiem trzeźwy. Wyglądało na to, że na całym świecie nie ma wystarczającej ilości alkoholu, by uśmierzyć jego cierpienie, uciszyć szalejące myśli czy ukoić do snu.

Domyślał się, że złamane serce wyleczy jedynie czas.

Szalejące myśli był w stanie okiełznać sam.

Udał się więc do biblioteki i zanim jeszcze otworzył kałamarz, wiedział już, jak powinien zacząć list do Clary:

Nie trwóż się, madame, tym listem, przypuszczając, iż odnajdziesz w nich te same wyznania i ponowne propozycje, które znalazłaś ostatniej nocy tak odrażającymi.

Był to początek listu pana Darcy'ego do Elizabeth Bennett z *Dumy i uprzedzenia*, ulubionej powieści Clary. Z łatwością wyobraził sobie jej uśmiech. Ciągnął dalej, własnymi słowami:

Niepotrzebnie Ci się oświadczałem i miałaś rację w każdym słowie, choć nie powiedziałaś nawet połowy prawdy. Wszyscy goście lady Brownlow powinni usłyszeć, że tysiące razy nadużywałem twej cierpliwości, kpiłem z Twej dobroci i myślałem wyłącznie o sobie. Byłaś mi wiernym przyjacielem, od kiedy tylko pamiętam, a w tym czasie ja także byłem wiernym przyjacielem, ale wyłącznie dla siebie. Gdy cierpiałaś żałobę po babce, którą bardzo kochałaś, porzuciłem Cię, by próżniaczo rozbijać się po kontynencie. Oczekiwałem, że na mnie zaczekasz i zaczekałaś. Jakże Ci się odpłaciłem za lojalność i cierpliwość? Szorstkim obyciem, nieczułością i niewiernością.

Pisał dalej. O tym, że wniosła światło i miłość w jego życie, gdy był zrozpaczonym, samotnym chłopcem. Jej listy rozświetlały mu dni. Była i na zawsze pozostanie droga jego sercu, ale ma rację, zawsze byli tylko przyjaciółmi. Nie umiał rozpoznać w skrytości ducha, że to za mało, by

prosić ją o rękę. Że to po prostu najłatwiejsza droga, jak na próżniaka przystało. Okłamywał ją i okłamywał samego siebie, bo był tchórzem i bał się narażać serce na ciosy. Wymienił wszystkie swe błędy, potknięcia i przykrości, jakie jej sprawił.

Przykro mi, moja droga, tak ogromnie przykro. Mam szczerą nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz, choć w tej chwili nie znajduję powodu, dla którego miałabyś to uczynić. Z całego serca życzę Ci szczęścia, którego ja nie potrafiłem Ci dać, a na które tak bardzo zasługujesz.

Dopisał pozdrowienia i podpisał się inicjałami, jak zwykle. Złożył list, zaadresował i zostawił na tacy dla lokaja.

Westchnął z ulgą.

Myśli się uspokoiły, pozostał jedynie ból serca.

Rozdział 17

Doświadczenie, źródło wszelkiej mądrości, przekonało mnie, że czułymi słowy można obudzić prawdziwe piękno. Komplementy z ust czułego kochanka rozświetlają urodę każdej kobiety.

Magazyn „La Belle Assemblée”, artykuł z czerwca 1807 roku

Światło dnia wlało się nagle do sypialni księcia. Clevedon zaklął i zamrugał gwałtownie. Sadysta Saunders stał przy jego łóżku, spoglądając na Jego Wysokość bez cienia litości. Gdy Clevedon próbował ruszyć głową, zdawało mu się, że piorun uderzył prosto w jego skroń.

– Przykro mi, że panu przeszkadzam, Wasza Wysokość.

– Nie kłam – zaskrzeczał Clevedon.

– Pan Halliday nalegał – ciągnął Saunders. – Uważał, że będzie pan sobie życzył wstać. Przyszła pani Noirot.

Clevedon poderwał się z pościeli. Jego mózg zderzył się w rozbłysku paraliżującego bólu z czymś twardym i ostrym.

– Lucie – wyrzęził. – Rozchorowała się? Zaginęła? Do licha, mówiłem, że to dziecko potrzebuje… – urwał, gdy zatruty alkoholem mózg uzyskał wreszcie połączenie z bezmyślnym językiem.

– Pani Noirot prosiła, by zapewnić Waszą Wysokość, że księżniczka Erroll z Albanii czuje się znakomicie i w zaciszu domowym pod nadzorem ciotki ćwiczy się w rachunkach. Pan Halliday uznał za stosowne zaproszenie pani Noirot do biblioteki. Wiedząc, że może pan potrzebować chwili na odzianie się, podał gościowi herbatę i przekąski. Ja przyniosłem panu kawę, sir.

Serce Clevedona zaczęło gwałtownie łomotać z podobną siłą jak mózg, jednak w innym tempie.

Nie wyskoczył z łóżka, ale wstał zacznie szybciej, niż należało w jego stanie. Przełknął kawę. Umył się i ubrał w rekordowym czasie, choć zdawało mu się, że trwa to całe wieki. Uznał, że nie będzie tracił czasu na golenie.

Zerknął w lustro i doszedł do wniosku, że golenie nie poprawiłoby zresztą w decydujący sposób jego wyglądu. Przypominał ożywione magiczną sztuką zwłoki. Zamotał fular w niedbały węzeł, narzucił surdut i prawie pobiegł do biblioteki, zapinając się po drodze.

Wszedł, wygładzając fular jak zdenerwowany uczniak. Jakby znów miał deklamować *Iliadę* przed nauczycielem. Noirot pochylała się nad stołem.

Wyglądała perfekcyjnie, jak zwykle, w białej sukni z ciężkiego jedwabiu haftowanej w czerwone i żółte kwiaty. Krótka pelerynka z tej samej tkaniny była obrębiona czarną koronką i rozchylała się, odsłaniając bufiaste rękawy sukni. Wokół szyi Noirot przewiązała koronkowe frymuśne… coś. Czepek miała nałożony głęboko na tył głowy, by bogato ozdobione koronkami i wstążkami rondo okalało jej twarz. Jeszcze więcej wstążek i koronek falowało na główce czepka wraz z pękiem piór.

Był pewny, że sam nie robi tak eleganckiego wrażenia. Na jego widok Noirot przycisnęła dłoń do piersi i szepnęła ze zgrozą:

– Och, mój Boże! – Prędko jednak wzięła się w garść i oznajmiła lekkim tonem: – Dotarły do mnie plotki o bójce.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – odparł, czując, że jest znacznie gorzej. – Umiem unikać ciosów w twarz. Powinnaś zobaczyć Longmore’a. Zawsze tak wyglądam po długiej nocy spędzonej w towarzystwie dżentelmena, który usiłował mnie zabić. Po co przyszłaś?

Rozpaczliwie starał się nie okazać nadziei ani tonem głosu, ani wyrazem twarzy. Nie potrafił jednak wyrzucić jej z serca. Nie chciał wierzyć, że zmieniła zdanie. Był już zupełnie trzeźwy i marzył jedynie, by się upić.

Rozumiał teraz doskonale, dlaczego jego ojciec zapił się na śmierć. Alkohol zagłuszał cierpienie. Podobnie jak fizyczny ból. Gdy walczył z Longmore’em, nie czuł nic. Teraz przypomniał sobie wszystko, co jej powiedział. Jak obnażył przed nią serce, niczego nie ukrywając. To jej nie wystarczyło. On jej nie wystarczał.

Wskazała na stół.

– Przeglądałam magazyny – powiedziała. – Przyznaję, że nie jestem zbyt dobrze wychowana, przejrzałam także twoje notatki. Ale nie potrafię ich

rozczytać. Mówiłeś, że masz jakieś pomysły? Pomysły na mój biznes?

– Po to przyszłaś? – zapytał z napięciem. – Po pomysły, dzięki którym staniesz się najlepszą stylistką na świecie?

– Jestem najlepszą stylistką na świecie! – odparła z naciskiem.

Jakże ją kochał! Jej pewność siebie, determinację, siłę, geniusz. Jej pasję.

Uśmiechnął się lekko. Miał nadzieję, że uśmiech nie wyglądał szyderczo.

– Wybacz, oczywiście. Jesteś najlepszą stylistką na świecie.

– Jestem także kimś więcej – powiedziała ostrożnie.

Podeszła do okna i popatrzyła na ogród.

Clevedon czekał. Nie miał wyboru.

– Byłam wczoraj bardzo zmęczona – powiedziała. – Wyczerpana. To był bardzo długi i niespodziewanie zajęty dzień. Kiedy przyszedłeś, byłam na granicy załamania. – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. – Tak bardzo starałam się nie rozpłakać, że byłam niemiła i nieuczciwa.

– Ależ przeciwnie. Dałaś mi kosza z wielkim wdziękiem – stwierdził. – Przyznałaś, że jestem hojny i szczodry. – Odetchnął głęboko. W jego głosie brzmiała gorycz. Równie dobrze mogła mu powiedzieć, że wciąż mogą być przyjaciółmi. Nie był w stanie się z nią przyjaźnić. To nie wystarczało. Rozumiał teraz w pełni, co czuła Clara.

– Byłeś dla mnie aż nazbyt dobry i zasługujesz na prawdę – powiedziała spokojnie. – Prawdę o mnie.

Clevedon przypomniał sobie, co poczuł, gdy po raz pierwszy zobaczył Lucie.

– Niech to szlag trafi, Noirot! Jesteś już zamężna! Nawet o tym kiedyś pomyślałem, ale potem zupełnie wypadło mi to z głowy. Przecież Lucie nie wzięła się znikąd. Ale jej ojca nigdy nie poznałem, zawsze byłaś tylko ty.

– On nie żyje.

Fala ulgi niemal zwaliła go z nóg. Podszedł do kominka i udał, że nonszalancko opiera się o krawędź. Dłonie mu drżały. Znowu. Co się z nim dzieje?

– Wasza Wysokość, wyglądasz fatalnie – powiedziała z troską. – Proszę, usiądź.

– Nie, czuję się doskonale.

– Usiądź. Błagam. Jestem kłębkiem nerwów i na pewno nie poprawisz mojej kondycji, jeśli zaraz zemdlejesz.

– Nie zemdleję! – odparł z godnością, lecz posłusznie rzucił swe udręczone ciało na sofę.

Noirot podeszła do stołu i wzięła filiżankę. Przyniosła mu ją.

– Wystygła już, ale przyda ci się.

Clevedon upił łyk kawy. Była zimna, jednak od razu poczuł się lepiej.

Noirot usiadła na fotelu. Dzielił ich malutki dywanik. Dzielił ich cały świat.

Splotła dłonie na kolanach.

– Mój mąż, Charles Noirot, był naszym dalekim kuzynem. Umarł we Francji podczas epidemii cholery. Większość moich krewnych umarła w tych dniach. Lucie ledwo przeżyła.

Umarł jej mąż. Umarli krewni. Jej dziecko stało u progu śmierci.

Usiłował to sobie wyobrazić, ale fantazja go zawiodła. W czasie epidemii był z Longmore'em na kontynencie. Cudem ocaleli. Większość ofiar umarła w ciągu kilku dni.

– Przykro mi – wyjąkał. – Nie wiedziałem.

– Skąd miałbyś wiedzieć? Ale nie o tym chciałam mówić. Chciałam powiedzieć ci, kim jestem.

– Więc naprawdę nazywasz się Noirot. Myślałem, że to wymyślone francuskie miano, jakie przybrałyście dla dobra interesu.

Uśmiechnęła się. Clevedon zadrżał.

– Mój dziadek ze strony ojca przybrał je, gdy uciekł z Francji w czasie rewolucji. Zdołał wywieźć z kraju żonę, dzieci i kilka kuzynek. Reszta rodziny nie miała tyle szczęścia. Jego starszy brat, książę Rivenoir, wpadł w ręce rewolucjonistów, gdy opuszczał Paryż. Gdy wraz z całą rodziną stracono go na gilotynie, mój dziadek odziedziczył tytuł. Uznał jednak, że nie będzie go używał. Rodzina Robillonów cieszyła się we Francji złą sławą. Znasz wiceksięcia de Valmont z powieści *Niebezpieczne związki* Laclosa?

Pokiwał głową. Była to jedna z książek, jakie lord Warford uznawał za niegodne prawdziwego dżentelmena. Naturalnie przeczytali ją z Longmore'em w tajemnicy.

– Robillonowie byli właśnie tego rodzaju arystokratami – powiedziała. – Libertynami, szulerami, dla których inni ludzie byli niewolnikami albo zabawkami. Nie byli kochani w swoim czasie, a i teraz nie wspomina się ich miło. Chcąc uciekać swobodnie i żyć bez obciążeń, dziadek przybrał

popularne nazwisko: Noirot, po angielsku po prostu Black. On i jego potomstwo używali ich zamiennie w zależności od sytuacji życiowej. To znaczy od tego, kogo w danym czasie zamierzali okraść, uwieść lub porzucić.

Clevedon pochylił się ku niej, słuchając w napięciu. Wreszcie wszystko układało się w całość. Sposób jej mówienia, jej doskonały francuski, jej arystokratyczne ruchy. Ale powtarzała wiele razy, że jest Angielką. Cóż, pewnie i wówczas kłamała.

– Czułem, że nie jesteś mieszczanką, za którą się podajesz – wyznał. – Moi służący także uznali w tobie arystokratkę, a służbę trudno jest oszukać.

– Och, potrafię oszukać każdego – parsknęła Noirot. – Taka się urodziłam. Rodzina nigdy nie zapomniała, kim jesteśmy. Nigdy nie porzucili swych nałogów. Byli mistrzami uwodzenia i używali tej umiejętności, by ograbiać bogatych dziedziców i dziedziczki. Jako znacznie bardziej romantyczni i mniej praktyczni niż miejscowi konkurenci, moi przodkowie mieli ogromne powodzenie u angielskich arystokratek.

– Musiało to działać również na angielskich dżentelmenów, jak sądzę – mruknął.

Spojrzała mu w oczy.

– Racja. Jednak ja nigdy nie starałam się złapać bogatego męża. Kłamałam i oszukiwałam, nie wiesz nawet, jak wiele razy, ale wszystko dla celu, który objawiłam ci na samym początku naszej znajomości.

– Wiem, że oszukiwałaś w kartach.

– Nie oszukiwałam przy ostatnim rozdaniu – odrzekła z uśmiechem. – Po prostu grałam, jakby zależało od tego moje życie. Moi krewni często znajdują się w takiej sytuacji. Grają o własne życie. Zresztą oszukiwanie w kartach to fraszka. Podrobiłam podpisy w naszych paszportach, żeby jak najprędzej wydostać się z Francji. Rodzice nauczyli mnie i siostry podrabiać wszelkie charaktery pisma i ćwiczyłyśmy się w tym pilnie, nie wiedząc, kiedy może nam się to przydać. Oczywiście odebrałyśmy także stosowną edukację dla młodych dam. Kogokolwiek udawaliśmy w rozmaitych momentach, nie zapomnieliśmy, że jesteśmy arystokratami. Zachowanie jak na damę czy dżentelmena przystało mamy we krwi. Zresztą sam wiesz, jak wiele drzwi to otwiera.

– Widzę, że doskonale umiałabyś się urządzić, gdybyś tylko chciała – stwierdził Clevedon. – A jednak wyszłaś za kuzyna. Prowadzisz butik. Nie

poszłaś w ich ślady.

Poderwała się z fotela i odeszła wśród szelestu halek. Książę również wstał, chwiejąc się na nogach. Nie wiedział, czy to skutek przepicia, czy nadzieja mieszająca się z pewnością, że ją stracił.

Podeszła do stołu i podniosła jedną z jego notatek.

– Twój charakter pisma woła o pomstę do nieba – zażartowała z wysiłkiem. Odłożyła kartkę i spojrzała mu w oczy. – Nie opowiedziałam ci jeszcze o mojej matce.

– Angielska szlachcianka? Czy coś innego?

– Jedno i drugie. – Marcelline się roześmiała.

Usiadła znów w fotelu i Clevedon z ulgą opadł na sofę. W głowie mu szumiało. Czuł, że nadciąga coś niedobrego. Chciał to już mieć za sobą i wbrew nadziei wierzył jednak, że będzie to korzystna wiadomość. Oczywiście nie mogło tak być. Widział, że Noirot jest niemal chora z niepokoju.

– Moją matką była Catherine DeLucey – wypaliła bez tchu.

Clevedon słyszał już to nazwisko, ale przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć. Wreszcie skojarzył wściekle przejrzysty błękit.

– Oczy Lucie – wymamrotał. – Te niezapomniane błękitne oczy. A także oczy panny Sophy i panny Leonie. Wiedziałem, że skądś je znam. Nie da się ich zapomnieć. DeLuceyowie, rodzina hrabiego Mandeville’a.

Marcelline zarumieniła się, a potem zbladła. Ciasno splotła dłonie.

Clevedon popatrzył na nią i raptem przypomniał sobie jakiś odległy skandal z udziałem któregoś z synów lorda Hargate’a. Jednak nie tego, który zeszłego wieczoru odciągnął go od Longmore’a. Którego zatem? Nie mógł sobie przypomnieć. Jego umysł nie pracował tak dobrze jak zazwyczaj.

– Nie pochodzę od tych DeLuceyów. Przyzwoitych, posiadających urocze zamki nieopodal Bristolu. Moja matka należała do tych drugich.

* * *

Clevedon pochylał się ku niej i słuchał jej uważnie. W jego oczach widziała niepewność i nadzieję.

Po chwili dotarła do niego odrażająca prawda. Odchylił się gwałtownie i odwrócił głowę. Nie chciał patrzeć jej w oczy.

Sophy i Leonie mówiły, że książę wcale nie musi wiedzieć. Że Marcelline tylko ściągnie na siebie jego niezasłużony gniew, a nie jest przecież z natury męczennicą. Nie wiedziały jednak, czym jest miłość. Nie wiedziały, jak bardzo pragnęła być z nim szczera. Clevedon otworzył przed nią serce. Nie wiedząc o niej dosłownie niczego, ofiarował jej spełnienie wszystkich marzeń. Musiała więc znaleźć w sobie odwagę: szczerość za szczerość.

Przypominała mu raz po raz o swej pracy, bo była w stanie zmierzyć się z jego odrazą do prowadzenia biznesu i skupienia się na zarabianiu. Ale powiedzieć mu, kim naprawdę jest? I widzieć, jak się przed nią zamyka, jak się odwraca? Nie umiała sobie tego wyobrazić.

Widziała to teraz na własne oczy i przeszył ją nieopisany ból. Ale najgorsze miała już za sobą. Przeżyje i to.

Odetchnęła i ciągnęła opowieść, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą:

– Moja matka była arystokratką, ale nie przypominała innych żon z rodziny Noirot. Nie miała pieniędzy. Rodzice potajemnie wzięli ślub z myślą o rzekomych wielkich fortunach, które nie istniały. Prawda wyszła na jaw dopiero w noc poślubną i oboje uznali to za świetny żart. Prowadzili potem pielgrzymi żywot, przeprowadzając się od jednej ofiary do drugiej. Wyczerpywali czyjś portfel i pod osłoną nocy uciekali do innego miasta. My, dzieci, byłyśmy zbędnym bagażem. Podrzucali nas ciągle to tym, to tamtym krewnym. Kiedy miałam dziewięć lat, wylądowałyśmy u damy, która wyszła za jednego z kuzynów ojca. Była stylistką w Paryżu. Nauczyła nas zawodu, a także zadbała o nasze wykształcenie. Byłyśmy ładnymi i wdzięcznymi dziewczynkami, a ciotka Emma zadbała, byśmy miały stały kontakt z klientkami. To wprawiało paryskie damy w dobry humor. Poza tym śliczna dziewczyna o dobrych manierach ma lepsze widoki na bogatego męża.

Spojrzała na niego, lecz zdawał się z uwagą studiować wzór na dywanie. Gęste ciemne brwi ocieniały oczy i odcinały się ostro od bladych policzków.

Nie potrzebowała jego wzroku, by domyśleć się, co w nim zobaczy: mur. Ścianę nie do przebicia.

Zadrżała z żalu. Była tak strasznie zmęczona. Przełknęła ślinę i opowiadała dalej:

– Zakochałam się w bratanku ciotki Emmy. Charlie nie miał ani grosza. Musiałam więc dalej pracować. Potem przyszła epidemia cholery. – Machnęła dłonią. – Wszyscy umarli. Musiałyśmy zamknąć butik. I tak nie mogłabym tam zostać. Bałam się, że także zachoruję, a kto wtedy zajmie się moją córką i siostrami? Wiedziałam, że w Londynie będziemy bezpieczniejsze, choć bezdomne. Poszłam więc do klubu i grałam. Widziałeś w Paryżu, że potrafię wygrywać. Tak zdołałam utrzymać rodzinę po przyjeździe do Londynu trzy lata temu. Tak udało mi się otworzyć butik. Wygrałam ten los w karty.

Wstała.

– To tyle. Wiesz o mnie już wszystko. Twój przyjaciel Longmore twierdzi, że przysłał nas sam szatan, i nie mija się z prawdą. Nie mógłbyś się związać z rodziną o gorszej reputacji. Uwodzimy i kradniemy. Kłamiemy i zdradzamy. Nie mamy skrupułów, zasad moralnych ni grama uczciwości. Nie rozumiemy nawet, czym są te wartości. Moja odmowa była przysługą, Wasza Wysokość. Żaden z moich krewnych nigdy nie zrozumie, dlaczego to uczyniłam.

Ruszyła ku drzwiom, nie przerywając potoku wymowy. Chciała już uciec. Chciała nigdy nie kończyć tej rozmowy. Myślała, że to pewnie ostatni raz, gdy rozmawiają.

– Widzieliby w tobie jedynie gęś do oskubania – dodała. – Ale nie powinieneś sądzić, że szlachetnie się dla ciebie poświęcam. Jestem zwyczajnie zbyt dumna, by pozwolić sobą pomiatać twoim arystokratycznym przyjaciołom.

– Dałabyś sobie z tym radę – powiedział tuż zza jej pleców.

Nie słyszała, jak wstał z sofy. Była ślepa i ogłuszona rozpaczą. Nie odwróciła się. Słowa Clevedona nie są w stanie niczego zmienić. Po prostu stara się być miły. Marcelline nie zniesie jego dobroci.

– Jakoś znosisz niegrzeczne i odpychające damulki z ich wygórowanymi żądaniami i to, że traktują cię jak niewolnicę – powiedział. – Nie masz trudności w radzeniu sobie z nimi. Lady Clara je ci z ręki.

Nadzieja zakiełkowała w sercu Marcelline. Zdławiła ją.

– To praca – odparła, nie odwracając się. – To część manipulacji klientami. Butik jest moim schronieniem. Ale towarzystwo arystokratów to

zupełnie inny świat.

– Nie próbujesz chronić siebie, tylko Lucie – odgadł książę. – Udajesz, że nie masz żadnych zalet, ale kochasz do szaleństwa swoją córkę. Nie jesteś jak twoja matka. Lucie nie jest dla ciebie ciężarem.

Marcelline zatrzymała się przy drzwiach z ręką na klamce. Z trudem dławiła wydzierający się z piersi szloch.

– Być może nie kierujesz się stosownymi dla damy zasadami moralnymi, nie masz skrupułów i tak dalej – ciągnął Clevedon – ale nie oszukujesz klientek.

– Manipuluję nimi. Chcę tylko ich pieniędzy.

– A w zamian za to zapracowujesz się na śmierć. Dajesz im więcej niż suknie i kapelusze. Dajesz im pewność siebie. Dałaś lady Clarze odwagę, by przeciwstawiła się matce i mnie.

– Och, Clevedon, jesteś szalony. Zaślepia cię miłość. – Odwróciła się do niego. – Czy sądzisz, że jeśli znajdziesz we mnie dwie lub trzy zalety, całe towarzystwo zobaczy we mnie to samo? Nie. Zobaczą jedynie, że poślubiłeś jedną ze Wstrętnych DeLuceyów.

– Syn hrabiego Hargate’a poślubił jedną z nich, a ich córka wyszła za hrabiego.

– Słyszałam tę historię – westchnęła Marcelline. – To była Batszeba DeLucey. Wniosła lordowi Rathbourne’owi w wianie ogromną fortunę. A co ja posiadam? Butik! Lord Hargate jest potężnym, władczym dżentelmenem. Ty masz może wyższy tytuł, a jednak nie posiadasz takiej pozycji. Wczoraj wszedł w tłum żądnych krwi i rozrywki mężczyzn i przywołał was do porządku, jakbyście byli chłopcami. Towarzystwo boi się go i szanuje. Ty jesteś zupełnie inny i nawet tego nie dostrzegasz. Zbyt długo mieszkałeś poza Anglią i nie angażujesz się w sprawy towarzyskie. Nie masz żadnego stanowiska politycznego. Nie wypracowałeś pozycji społecznej. Nie zmusisz świata, by mnie przyjął. Nie zmusisz ich, by pokochali Lucie.

– Jeśli nie możesz żyć w moim świecie – odparł – ja także nie chcę w nim żyć.

Marcelline zacisnęła pięści. Wstrząsnęło nią łkanie.

– Kocham cię – powiedział cicho. – Myślę, że pokochałem cię w pierwszej chwili, gdy ujrzałem cię w operze, a już na pewno wtedy, gdy

wyjęłaś z mojego fularu szpilkę z diamentem. Przyznaję, że to brzmi nierozsądnie…

– Nierozsądnie!

– Ale już śledzenie mnie w Paryżu było do cna szalone, musisz przyznać. Szaleńczo odważne było przyjechanie do Londynu z małym dzieckiem, dwiema siostrami na utrzymaniu i kilkoma pensami w kieszeni. Szalona wydaje się myśl, że z takimi zasobami zdołasz otworzyć elegancki butik. Że wygrasz to wszystko w karty! Ale popełniałaś te szaleństwa już wcześniej, zanim mnie poznałaś, zanim nawet pomyślałaś o przyszłej księżnej Clevedon. Więc jestem przekonany, że i teraz wymyślisz jakiś na poły szalony plan, który rozwiąże nasze problemy, zwłaszcza że będę cię wspierał potęgą swego błyskotliwego umysłu.

Patrzyła na niego z nagłą nieśmiałością. Patrzyła w niebezpieczne zielone oczy i widziała w nich jedynie miłość. Śliczne usta wygięły się w uśmiechu, który z łatwością rozgrzałby serce każdej kobiety.

On naprawdę ją kocha. Mimo tego, co mu wyznała. Naprawdę wierzy, że razem są w stanie sprostać wszystkiemu.

– A co, jeśli nie? – zapytała z rezygnacją. – Jeśli nasze problemy przerosną nawet moją szaloną wyobraźnię?

– Damy sobie radę – odparł. – Życie nigdy nie bywa idealne. Ale ja pragnę mocować się z nim u twego boku.

– Ba… bardzo to ro… romantyczne – wyszlochała Marcelline.

– Nie uczyłem się tego, przysięgam.

– Och, Clevedon – westchnęła.

Otworzył ramiona. Marcelline podeszła do niego i wtuliła się w pachnące bezpieczeństwem ciało księcia. Nie miała wyboru. Otoczył ją ramionami, a ona rozpłakała się jak podlotek. Była niewyspana, głodna i wyczerpana tłumieniem buzujących w niej emocji. Lęku i obawy, smutku i gniewu. I nadziei.

Nadziei wbrew wszystkiemu. Bo musiała przyznać, że jest marzycielką. Że snuje szalone plany i realizuje je bez cienia wątpliwości. A nikt jeszcze nie marzył, nie mając nadziei.

– Czy to znaczy, że wygrałem? – zapytał Clevedon. Łzy Marcelline były bardzo dobrym znakiem, ale musiał mieć pewność, że dobrze je odczytuje.

– Tak – mruknęła z twarzą ukrytą w jego kamizelce. – Choć niektórzy mogą sądzić, że przegrałeś.

– Wyjdziesz za mnie?

Długa cisza.

Uścisnął ją mocniej.

– Marcelline!

– Tak. Nie jestem wystarczająco szlachetna, by powiedzieć „nie”.

– Błagam, nie bądź szlachetna – żachnął się. – Szlachetność ducha… Wiesz, o czym mówię: moralność, zasady, skrupuły, takie tam… Są jak najbardziej w porządku. Do pewnego stopnia. Ale po przekroczeniu tej granicy niebywale mnie brzydzą.

Podniosła ku niemu twarz. W jej oczach lśniły łzy, ale również iskierki humoru.

– To po prostu nie dla mnie – ciągnął Clevedon. – Starałem się być dobry. Starałem się być innym człowiekiem niż mój ojciec. Próbowałem żyć według reguł lorda Warforda. Ale pewnego dnia dotarło do mnie, że to głupie i że mam już dość. Wtedy ruszyłem z Longmore’em w naszą szaloną podróż. Lecz gdy on się już znudził kontynentem i chciał wracać do domu, ja wiedziałem, że nie zniosę powrotu. Wtedy spotkałem ciebie i wszystko się zmieniło. Bo ty pasowałaś. Do mnie. Pasujesz do mnie.

Przesunął dłońmi po jej plecach. Słyszał, jak wstrzymuje oddech.

Tylko tego chciał. Jej cichych westchnień. Czekał na nią tak długo. Cierpiał jak potępiony.

Rozwiązał wstążki i rzucił jej czepek na podłogę.

Skrzywiła się.

– To był mój najlepszy czepek! Całą wieczność zastanawiałam się, który założyć.

– Słucham? Przecież ty zawsze wiesz, co założyć.

– Nigdy wcześniej nie otwierałam przed kimś serca. To czepek zwierzeń. Nawet na nowo go obszyłam, a ty go rzuciłeś na podłogę jak zużytą chusteczkę.

– Otworzyłaś przede mną serce – westchnął Clevedon. – To było naprawdę piękne. Jak wszystko, co robisz.

Odwiązał i zdjął koronkowe… coś z jej ramion.

Chwyciła go za rękę, zanim zdążył rzucić koronki na podłogę.

– Clevedon! Co ty sobie wyobrażasz?

Czekali na siebie za długo. Cierpieli już za długo. Nadszedł czas na szczęście.

– Wiesz doskonale, co sobie wyobrażam.

– Nie zamknąłeś drzwi!

– Racja.

Sięgnął po najbliżej stojące krzesło i podstawił je pod klamkę.

Potem zaprowadził ją do sofy, elegancko udrapował koronkowe coś na jej oparciu i sięgnął do guziczków narzutki.

– Nie waż się mnie rozbierać! – warknęła.

Spojrzał na nią z ukosa, oceniając liczbę guziczków przy narzutce. Przypomniał sobie, co się pod nią kryje: warstwa pod warstwą i na kolejnej warstwie. Przypomniał sobie, jak się dla niego rozbierała. Jak postawiła stopę na łóżku i powoli ściągała pończochę.

– Racja – przytaknął. – Następnym razem.

Ułożył się na sofie, trzymając ją w ramionach. Całował ją tak długo, aż zmiękła i wtuliła się w niego bezradnie, oddając mu pocałunki i wzdychając.

Oderwał od niej wargi na milimetr.

– Byłem okropny – szepnął.

– Ja też byłam okropna. Nie jestem zbyt dobra w byciu… dobrą.

– Nie chcę, żebyś była dobra. Chcę, żebyś była sobą, Marcelline. Kobietą, którą kocham.

Wpiła się w jego usta.

To był długi, spokojny pocałunek i zdawał się trwać wieczność. I czuli, że cała wieczność otwiera się przed nimi. Clevedon wiedział, że niemal zrujnował sobie i jej resztę życia, a jednak udało im się odnaleźć.

Wyswobodził się z jej objęć i przytulił do gładkiego policzka.

– Pewnego dnia – powiedział – bardzo niedługo strawimy cały dzień na nieśpiesznej miłości. Będę cię rozbierał godzinami z kolejnych ślicznych fatałaszków, ale teraz… – Odnalazł pod narzutką haftki sukni i rozpiął kilka, by dostać się do gorsetu, koszuli i odsłonić kawałek aksamitnej skóry. Pocałował jej szyję, gładki obojczyk i wzniesienie piersi. Marcelline wygięła się w łuk jak kot.

Z palcami wciąż wplecionymi w jego włosy drugą dłonią powoli brała go w posiadanie w najprostszy sposób: przez dotyk. Słyszał szmer opuszków jej palców na wełnianym rękawie marynarki i miękki szelest jedwabiu, gdy musnęła fular. Lekko prześlizgnęła się po haftowanej kamizelce. Gdy chwyciła za pasek od spodni, wstrzymał na chwilę oddech.

Położyła dłoń na rozporku. Męskość natychmiast stwardniała i uniosła się pod jej dotykiem.

– Mój – szepnęła. – Tak wspaniale męski. Cały mój.

Książę zadarł jej suknię, chwytając garściami masy jedwabiu i muślinowych halek, wijących się jak żywe pod jego palcami. Przesunął dłonią po jej łydce i w górę, wsunął dłoń pod majtki. Marcelline zadrżała.

– Moja – szepnął. – Tak perfekcyjnie kobieca. Cała moja.

Pocałował ją zachłannie, wdychając jej zapach, chłonąc smak, jakby nie był w stanie bez niej żyć. Wsunął palce pomiędzy płatki jej kobiecości. Była gorąca i wilgotna. Zadygotał z pożądania.

– Szczęściarz ze mnie – powiedział.

Roześmiała się chrapliwie.

– Czeka cię jeszcze większe szczęście.

Prędko rozpięła rozporek i chwyciła go w dłoń.

– Pragnę cię – wyznała miękko. – Chcę poczuć cię w sobie. Chcę być cała twoja i żebyś ty był cały mój.

– Tak, tak, tak. Czegokolwiek tylko zapragniesz. – Clevedon wsunął się w nią płynnym ruchem i miał wrażenie, że uniósł się w przestworza. Zobaczył gwiazdy i wielki błękit, chmury i wybuchające sztuczne ognie.

– Ooooch – jęknęła Marcelline. – Wasza Wysokość…

– Gervaise – wymamrotał.

– Gervaise – szepnęła z czułością. Clevedon zadrżał w jej ramionach. – *Gervaise, mon amour*.

Szeptała do niego po francusku słowa czułości, miłości i oddania. Kochali się powoli, a potem coraz prędzej, biegnąc razem ku oślepiającej radości jak ćmy do płomienia. Spełnienie oblało ich falą szczęścia, w której Clevedon zatonął, opadając na rozpalone ciało Marcelline, kryjąc twarz w jej piersiach i szepcząc jej imię.

* * *

Przez chwilę leżeli wyczerpani.

W ciszy.

Prawie nie mogła w to uwierzyć. Po tylu awanturach i pomyłkach jednak znalazł się w jej ramionach. Czuła, jak serce bije jej spokojnie, przepełnione szczęściem.

Obejmowała go mocno, ciesząc się słodkim ciężarem ciała księcia, dotykiem jego jedwabistych włosów, zapachem rozgrzanej skóry.

– To było znacznie przyjemniejsze niż poświęcenie w imię towarzyskich ideałów – mruknął Clevedon.

Roześmiała się.

– Tak, *cheri*. Masz rację.

Podniósł się na łokciu, żeby na nią spojrzeć.

– *Cheri* – powtórzył. – Brzmi to kusząco.

– Bo ja jestem kusząca – odparła.

– Kusząca księżna Clevedon – powiedział. – Podoba mi się ten tytuł. Podobają mi się jej dotyk i jej zapach. I dźwięk jej głosu. Jej zmysłowe ruchy. Kocham ją do szaleństwa. Chciałbym zostać tu na zawsze i bez końca wymieniać, co w niej kocham, i pokazywać jej na sto sposobów, jak ją kocham, ale świat wzywa. Życie wzywa. – Pocałował ją z czułością w czoło. – Czas się ubrać.

Uporali się z tym prędko, wszak niewiele z siebie zdjęli. Marcelline poprawiła bieliznę, zapięła kilka haftek i podciągnęła pończochy. Clevedon podciągnął spodnie, uporządkował koszulę i pozapinał wszystkie guziki.

Odnalazł koronkową chustę i Marcelline zawiązała ją na ramionach. Podniósł z podłogi czepek. Strzepnął go i próbował uporządkować pióra.

Patrzyła na niego przez chwilę i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– Och, Clevedon, jesteś po prostu wspaniały. Oddaj mi to. Nie masz pojęcia, co robisz, ale kocham cię za to, że próbujesz.

Książę spojrzał na czepek, potem na nią.

– Czyż nie jest to właśnie sens wszystkiego? – zapytał. – Czyż nie chodzi o próbowanie? Jeśli z całych serc będziemy się starali, wszystko będzie dobrze. A nawet jeśli nie wszystko wyjdzie tak, jak byśmy chcieli, to przynajmniej będziemy mieli przekonanie, że się staraliśmy. Czyż nie tak właśnie wszystko robisz? Z całego serca? Popatrz tylko, jak daleko zaszłaś, jak wiele osiągnęłaś! Pomyśl tylko, co możemy osiągnąć we dwoje!

– Cóż. – Wskazała dłonią na sofę. – Nasze dotychczasowe osiągnięcia bardzo mi się podobają.

Roześmiał się.

– Tak. Czy nie uważasz, że mężczyzna, który był zdolny do takich uniesień po wieczornej bijatyce i całonocnej popijawie, da radę podbić towarzystwo? Nie jestem może wyrafinowanym księciem, ale do tej pory po prostu się nie przykładałem. Wyobraź sobie, jaki będę wspaniały, jeśli się do tego przyłożę i będę miał przy boku prawdziwie królewską księżną. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Lub pode mną. Albo na mnie. Może także i za mną.

Uniosła brwi.

– Za tobą, Wasza Wysokość?

– Widzę, że można cię jeszcze czegoś nauczyć – stwierdził, wygładzając kamizelkę.

– Wyszłam za mąż bardzo młodo i niedługo byłam żoną – oznajmiła. – W praktyce jestem dziewicą.

Śmiech księcia tak słodko brzmiał w uszach Marcelline. Był szczęśliwy. I ona także. Miała nadzieję, że już na zawsze pozostaną tak szczęśliwi.

Chwycił ją w ramiona, mnąc czepek.

Nie dbała o to.

– Mam pomysł – powiedział.

– Zgadzam się – mruknęła.

– Pobierzmy się.

– Dobrze.

– Podbijmy świat.

– Zgoda. – Nikogo z jej rodziny nie można by oskarżyć o banalność marzeń.

– Rzućmy arystokrację na kolana.

– Chętnie.

– Niech błagają o twoje kreacje.

– Tak. Tak, tak.

– Czy jutro wydaje ci się zbyt wcześnie?

– Skądże. Mamy mnóstwo pracy przy podbijaniu świata. Musimy zacząć natychmiast. Nie mamy chwili do stracenia.

– Uwielbiam, kiedy tak mówisz.

Pocałował ją.

Trwało to bardzo długo.

I będzie trwało całe życie, była przekonana. Mogłaby się założyć. O cokolwiek.

Epilog

Bogactwo strojów przeszło najśmielsze oczekiwania.
Z dumą i satysfakcją należy donieść, iż suknie Jej
Wysokości oraz szlachetnych dam z królewskiej
rodziny zostały mistrzowsko wykonane w brytyjskiej
pracowni.

Magazyn „Życie Dworu” z 30 maja 1835 roku

Szesnastego maja książę Clevedon poślubił panią Marcelline Noirot w Clevedon House. Świadkami sakramentu były siostry panny młodej, ciotki pana młodego, lord Longmore i lady Clara Fairfax.

Ostatnia dwójka przybyła w tajemnicy przed rodzicami, lecz hrabia słynął z nieposłuszeństwa, lady Clara nabyła zaś ostatnio nową umiejętność przeciwstawiania się matce. W poprzedni czwartek udała się na wizytę do królowej w sukni z butiku Noirot, co wzbudziło w towarzystwie niezwykle satysfakcjonujące zamieszanie.

Longmore na próżno tłumaczył jej, że nie zamierza bezczynnie przyglądać się szaleństwu Clevedona i jej także tego nie radzi.

– To mój przyjaciel – odparła lady Clara. – Nie mam zamiaru słuchać durnych plotek ani na złość babci odmrażać sobie uszu. Wiesz doskonale, że nikt nigdy nie ubierze mnie tak jak lady Noirot. Nie zachowuj się jak mama.

Longmore prychnął i nic już nie powiedział.

Trudniejszym wyzwaniem były dla narzeczonych ciotki księcia Clevedona.

Gdy tylko dostały wiadomość o jego szaleństwie, przyjechały do Londynu i napadły na Clevedon House z zamiarem przywrócenia bratankowi rozsądku. W środę zasiadły do herbaty, biadoląc nad głową Clevedona, gdy Halliday zapowiedział narzeczoną Jego Wysokości, jej siostry oraz – jako ciężką artylerię – panienkę Lucie. Ciotki mogły

przetrwać atak samej pani Noirot, ale czar trzech oszałamiających sukien i pełnych gracji panien osłabił ich pozycje. Lucie podbiła je całkowicie.

W poniedziałek po ślubie najmłodsza z ciotek Clevedona, lady Adelaide Ludley, udała się z wizytą do królowej, z którą znały się od dziecka i mówiły sobie po imieniu. Dowiedziawszy się, że suknia lady Fairfax wzbudziła zachwyt Jej Majestatu, wspomniała, że butik Noirot współpracuje wyłącznie z brytyjskimi producentami i dostawcami. Wspomniała także, że siostry Noirot otworzyły Stowarzyszenie dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet. Obie te kwestie bardzo wzruszyły królową.

Lady Adelaide zgodziła się z nią, iż księżna Clevedon jest kłopotliwym gościem na dworze, jako że wciąż utrzymuje sklep. Z drugiej strony, dowodziła lady Adelaide, księżna działa w szczytnym celu. Nie może wszak porzucić ani klientek, ani młodych kobiet, które szkoli. Wszak nikt nie oczekuje od artystki, by po ślubie porzuciła malarstwo czy też inną ze sztuk.

Pod koniec wizyty lady Adelaide otrzymała zgodę na przedstawienie księżnej Clevedon Jej Majestatowi, co uczyniła przy podwieczorku towarzyszącym obchodom urodzin króla. Korzystając z nadarzającej się okazji, Jaśnie Oświecony wezwał do siebie Clevedona na prywatną rozmowę. Z gabinetu dobiegał ich głośny śmiech.

Gdy wrócił do swej żony, Marcelline zapytała cicho:

– O co chodziło?

– Pytał o księżniczkę Erroll z Albanii. – Clevedon się uśmiechnął. – Chyba się udało. Najwyraźniej uznali, że ja jestem ekscentryczny, a tobie nie można się oprzeć.

– Albo na odwrót.

– A robi to jakąś różnicę?

– Nie.

Pochyliła głowę, kryjąc twarz.

– Wasza Wysokość, księżno Clevedon – odezwał się. – Czy ty naprawdę chichoczesz?

Spojrzała na niego. Iskierki radości migotały w jej oczach.

– Zastanawiałam się, czy nie jest to największy przekręt w historii mojej rodziny.

– I pomyśleć tylko – dodał – że to dopiero początek.

* * *

Kilka dni później w parku St. James panna Lucie Cordelia Noirot łaskawie pozwoliła księżniczce Wiktorii potrzymać Susannah. Lalka była wystrojona w spacerową suknię, liliową pelerynkę i słomkowy kapelusz ozdobiony białą wstążką i dwoma piórami.

Wyrafinowane kreacje błyskotliwej i ambitnej stylistki Marcelline Noirot powoli podbijają serca londyńskiej arystokracji. Marcelline wie, że nic nie przyniosłoby większego splendoru jej butikowi niż patronat najpiękniejszej panny w mieście, lady Clare Fairfax, mającej niebawem zaręczyć się z księciem Clevedonem. Zdobycie szlachetnie urodzonej i poważanej klientki zapewniłoby powodzenie butikowi Maison Noirot i bogactwo rodzinie Marcelline. Lecz by zdobyć serce damy, Marcelline musi najpierw przekonać do siebie Clevedona, którego wymagania są niebotyczne, zasady moralne zaś… przeciwnie. Nagroda wydaje się warta ryzyka, lecz książę potrafi uwodzić równie mistrzowsko, jak szykowne kreacje madame Noirot. Iskra pożądania, która między tymi dwojgiem zapłonie, niebawem przerodzi się w skandaliczny spektakl, który rozpali całe miasto.

www.wydawnictwobis.com.pl